ST-WASYLEWSKI

NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

STANISŁAW WASYLEWSKI

NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

Głogów
Bobrawa
Lignica
Odra
Trzebnica
Oleśnica
Zgorzelec
Wrocław
1588
Byczyna
Bóg z nami
Warta
Strzegowa
Kluczborek
Oleśno
Ślęza
Oława
Brzeg
Częstochowa
Świdnica
Karłowice
Dobrodzień
Opole
Nysa
Strzelce
Toszek
Paczków
Nysa
Kładzko
Kędzierzyn
Bytom
Zabrze
Prudnik
Głogówek
Głubczyce
Racibórz
Wisła
Odra
Olza
CZECHO-SŁOWACJA
POLSKA
rys. Tad. Bocheński

№ 655

NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 655

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

PAMIĘTNIK INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

III

KATOWICE 1937

SKŁAD GŁÓWNY: NASZA KSIĘGARNIA, WARSZAWA

Nr 655

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

STANISŁAW WASYLEWSKI

NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

Z 354 ILUSTRACJAMI

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 655

Biblioteka

KATOWICE 1937

SKŁAD GŁÓWNY: NASZA KSIĘGARNIA, WARSZAWA

908
Was
Ma II
655

DRUKOWANO W DRUKARNI
NARODOWEJ W KRAKOWIE
OBWOLUTĘ, FOTOMONTAŻ
ORAZ UKŁAD GRAFICZNY
WYKONAŁ JÓZEF RATZKO
MAPĘ NA WEWNĘTRZNYCH
STRONACH OKŁADKI WYKO-
NAŁ TADEUSZ BOCHEŃSKI

S.I 18914

SPIS RZECZY

Str.

Od autora VIII
Na początku była glinka 2
Na zgliszczach polskości Wrocławia 6
Z biegiem Odry 12
Miasto, wieś, kopalnia 21
Dworzyszcze i zamek na Pasiece 31
Wśród Piastów śląskich 39
Pod jednym prawem i jedną zwierzchnością z Koroną 46
W jarzmie Habsburgów 55
Jan III przeprawia się przez Odrę 63
Jak się wniemczyli ewangelicy polscy? 71
Klasztory walczą 79
Na powitanie nowej władzy 88
Hej, hej, żołnierze! 95
Kołebka i głód 103
Lompa 109
Jan Dzierżoń, Kopernik ula 116
Homer Śląska Zielonego 120
Po rozbudzeniu renesans 128
Plebiscyt i trzecie powstanie 135
Typ rasowy i psychiczny 144
Turu, turu, turu, iła! 154
Marzanna i inne obrzędy 162
O czym pieśń śpiewa? 173
Rezerwat polszczyzny 186
84 kościółków drewnianych 200
Strój narodowy 214
Napisy mówią 223
Walka o szkołę 229
Śpiew, harcerstwo, teatr 237
W Kamieniu, u św. Jacka 242
U księdza prezesa Koziołka 245
Co się dzieje w Sulkowie? 251
„I nie ustaniem w walce!...“ 256
Informacje bibliograficzne 270
Spis ilustracji 276
Skorowidz miejscowości 281
Skorowidz nazwisk 284

Mówią, że ja paraduję
I ojców dużo kosztuję,
Nie pożądam od nikogo
I w tem nic nie widzę złego!

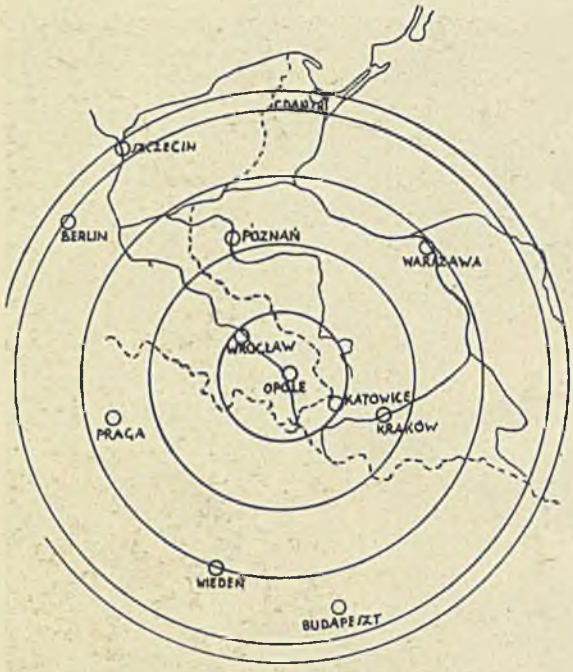

Odległość 100 km z Opola do głównych miast (rys. Wiktor Nechay)

Zdziechowice w pow. oleskim

Wyraz „Opole" kojarzymy sobie najprościej z osadą tego miana w Ziemi Lubelskiej, przy czym znawcy przeszłości przypomną, że Opolszczyzna należała do kompleksu dóbr straconej pod gilotyną Rozalii Lubomirskiej. Podobnie niezbyt odległe asocjacje przywodzi na myśl przymiotnik „brzeski". Każdy prawy Polak połączy go z reguły z Brześciem nad Bugiem czy Brześciem Kujawskim, na palcach zliczyć można ludzi, którzy pomyślą w tym wypadku o dolno-śląskim Brzegu i Lignicy i zatroskają się np. takim błahym szczególikiem, że bibliografowie nasi nie zdołali dotąd odnaleźć książeczki pod tytułem „Prosta rada dla niewiast ciężarnych", wydanej w tymże Brzegu w r. 1625 z inicjatywy Sybilli, ostatniej księżny na Brzegu i Lignicy.

Ten fatalny brak zaciekawienia, cechujący od wieków opinię polską, przetrwał do dziś dnia. „Wolimy — pisał już na odchodnym Stefan Żeromski — nie tylko w czynie lecz także w bezsilnych sądach i doraźnych chceniach leźć poprzez błota białoruskie ku starym dzikim polom... zamiast zwodzić dzieło obronne, świetne, dostojne i nieśmiertelnie wzniosłe!"

Opowieść niniejsza dotyczy tego Śląska, o którym się najmniej wie, najrzadziej mówi. Bo mówiąc o Śląsku mamy zwykle na myśli kominy fabryczne, gdzie nawet śnieg biały staje się popielatym, albo uroki Wisły czy Istebnej. A jeśli Śląsk oddzielony — to chętniej za Olzę myśl biegnie niż na przybrzegi Odry. I zawsze raczej Czarny, raczej Zielony, niż tamten, najcichszy, najmniej się rozgłaszający — Biały, biało-zielony, Opolski.

Łatwo dostrzec, że jest to zamknięta dla siebie całość krajobrazowa. Szmat ziemi pomiędzy Górą św. Anny, Opolem, Toszkiem, Raciborzem na południo-wschodzie a lesistym Olesnem, historyczną Byczyną i Kluczborkiem na północy.

Biały rumosz wapienny nadaje cechę krajobrazowi, a zajęcia rolników bytujących od niepamięci na swych zagrodach uformowały

odrębną postawę psychiczną Opolan, różniącą ich tak od mieszkańców Śląska fabrycznego, jak od istebniańskich górali. Inni ludzie, wiadomo: 1. pamponie, 2. kabzonie, 3. szymy — oto groźne w gwarze górniczej przezwiska mieszkańców Przyodrza.

Choć politycznie między trzy państwa rozdzielony, rejon śląski jest jeden, o tym pamiętamy. Zanim nad Odrę przywędrował człowiek, czyli zanim się tworzyć poczęła historia, już o tej jedności zadecydowała przyroda. Zamknięty Beskidem od południa, Jurą Krakowską od wschodu, Bramą Morawską i Sudetami od zachodu, stanowi Śląsk całość geograficzną, jak niewiele podobnych w Europie. O odrębności Śląska Opolskiego można mówić w tym tylko sensie, gdy się krainę rolniczą chce przeciwstawić zagłębiu kopalń, hut i martinowskich pieców. Mniej tu słupów z trupią główką („baczność, wysokie napięcie!"), więcej wolnego tempa w życiu i oskorupionej patriarchalności w obyczaju.

Starowieśniak opolski, świadom swych tytułów arystokrata tej ziemi, wymowny, konserwatywny, uparty, przypomina Polaka z dawnej Rzeczypospolitej. Ilekroć wejdziecie tam pod dach wiejskiej świetlicy — powita was równocześnie i szlachcic i mieszczanin i magnat i kmieć. Bo sam jeden już tylko pozostał gwoli reprezentacji szczepu, którego starość tak wyobraża, jak w pobliskim zakącie innych kresów zachodnich, w zabytkowej gamie pentatonicznej żyje do dziś wieść o dawnej muzyce ludu.

Jeździ się po Opolszczyźnie wszerz i wzdłuż, wśród setki drewnianych kościółków, pośród baśni ginącej i pieśni ożywionej — jak po starobliwym rezerwacie mowy, obyczaju, temperamentu. I ogląda się w najczulszym zadziwieniu ten kresowy południowo-zachodni spłacheć macierzyzny, zamieszkały w tak przeważnej większości przez autochtonów-Polaków.

A jest ich mało-wiele. Paręset tysięcy dusz w ogólnej, półtoramilionowej rzeszy Polaków w Niemczech. Zdaniem urzędowej statystyki niemieckiej ogłoszonej w r. 1934, ogólna liczba

Jan Gaszyna, przedstawiciel dawnego ziemiaństwa

Ślązacy na dorocznym święcie obrony Lwowa

Kruchta kościoła w Czarnowąsach na Śląsku Opolskim

ludności polskiej w Niemczech wynosiła w roku 1925 — 1,062.738 dusz. Z tego na zgliszczach Dolnego Śląska pod Brzegiem, Byczyną i Lignicą doliczono się zawsze jeszcze 15.057 Polaków (na ogólną liczbę 3,159.000 mieszkańców). Na Śląsku Opolskim natomiast (urzędowa nazwa O/S = Oberschlesien) na ogólną liczbę 1,372.000 dusz — 582.455 osób przyznało się do polskiego języka macierzystego, przy czym pominięto tych Polaków, którzy, kierowani oportunizmem czy strachem, pozwolili się wpisać do rubryki niemieckiej. Nowszych danych nie ogłoszono do tej pory drukiem, z obliczeń państwowego urzędu statystycznego w Berlinie wynika jednak, że przyrost naturalny ludności Śląska Opolskiego przewyższa inne prowincje Trzeciej Rzeszy, wynosi bowiem 10·8‰ rocznie.

Są to Polacy najstarsi z wieku i najmłodsi z uświadomienia narodowego. W zasadzie nie sięga ono głębiej w przeszłość jak do trzeciego-czwartego pokolenia, a często bywa, że błysk świadomości polskiej i łączności z Macierzą olśnił ich dopiero wczoraj lub olśniewa dziś.

Ślązacy, stara łącznikowa gałązka szczepu naszego, budzili się w ogóle powoli. Ten proces nie jest ukończony.

Walka i udry nie dziwne od wieków tym najbliższym zakraińcom, o których wiemy tak niewiele. Sublokatorzy w swoim własnym kraju mają ciężką szarpaczkę z gospodarzem, który walczy z nimi na gruncie ustawy i dociska kędy może, tysiącem sposobików, okólnymi drogami, w szkole, na „odprawie“ niemieckiej w kościele, w urzędzie. Niemiec nie jest Czechem ani

„Czy po to — pyta N. Bonczyk — urwałaś się Góro Chełmska w dzień potopu od Gór Olbrzymich,
Aby z twej podstawy wypatrzył Chrobry drogę na Zachód, do sławy?"

Sala plebiscytowa na Wystawie Pamiątek Powstańczych (1936). Na lewo urna wyborcza z Opola, na prawo portret Komisarza plebiscytowego Wojciecha Korfantego

Litwinem. Przez tysiąc lat współżycia miał czas rozeznać się w nawykach i słabościach duszy tubylca, miał czas udoskonalić i wyostrzyć swe metody.

Za bardzo dawnych złotych czasów imię Śląska, oddychającego jeszcze resztkami świetności rządów polskich, było tak rozgłośne w świecie, że wystarczyło geografowi epoki Renesansu Braunowi, gdy chciał w r. 1618 objaśnić gdzie leży Poznań, powiedzieć: na krańcach Śląska (in finibus Silesiae). W tym czasie Walenty Rozdzieński w poemacie niedawno odszukanym: *Officina ferraria* (Kraków, 1612), pierwszy wyśpiewał hymn na cześć prostego człowieka z kuźnic śląskich. Za nim też, za rodakiem swoim, mogą powtórzyć Opolanie, istni górnicy, żłobiący w podziemiu swą świadomość narodową:

Mizerny jest żywot nasz. Zawżdy się musimy
Z wielkim strachem urazu strzec, kiedy kujemy.
Trzeba być ostrożnym, bo młot nie sfolguje,
Prędko guza dostanie, kto niebacznie kuje!...

Zdarzyło mi się w czasie łazęgi po przybrzeżach Odry odwiedzić sędziwego kmiecia, jednego z tych, nad których głową wisi obecnie damoklesowy miecz ustawy o „włościach dziedzicznych". Skarżył się staruch, że sypiać po nocach nie może. Ale nie z przyczyny włościańskiego

Wydawnictwo „NOWIN CODZIENNYCH“ w Opolu

„Kreisleitera“, którego wola władna jest pozbawić go nawet prawa zapisania ojcowizny swym dzieciom.

— Coś mie takiego budzi ze śpiku i godo po cichuśku: Spodeś z dęba, uodpocznij żys se. Kaj ci tam do nos. A jo: no cegóż? A ono: Et, klipa eś jest. Bez śtyrdzieści lot byłeś śpiewokiem i starostom na „weselach“, a z procesyjami na uodpusty nie chodziłeś to? — Toć żech chodził. Spaść ech tam nie spod. A śpiewać, tyżech śpiewoł.

— A pamiętosz, jak pjyknie rządzili uojcowie? Kaj wom tam do nich. Tak długo, padali, nie zemrzesz, podwiela to coś słyszoł, coś wygworzoł i wyśpiewoł, dalej nie uozniesiesz i nie uopiszesz. Jeno mi tam koksem nie sikej, to ci padom!

— To znaczy wiecie — kończył — nie kłam — po waszemu. Takie widzicie mom utropienie. *Musza* pisać, *musza* rozpowszechniać to, coby mowy uojców nie zatracić!

Akcent na słowie „musza“ był podwójny, ważył w nim bowiem i upór Ślązaka i biologiczna siła polskości, która się poddać nie myśli. Istotnie jest coś zniewalającego w całej atmosferze obecnego bytu Opolan. O tym co się u nich działo i dzieje opowiem czytelnikowi w tej książce z obrazkami. O tym jak żyli i walczyli, jak śmieli się i błazny robili kiedyś. I o tym jak żyją dziś i walczą, jak organizują się w związki śpiewacze, harcerskie, spółdzielcze. I w trudzie zawziętym oczyszczają z nalotów swą szczerą polską duszę.

W szeregu szkiców niniejszych nie pretendowałem do wyczerpania tematu. Mimo to ponad

zamiar rozrosła się pod piórem garść mocnych wrażeń odniesionych bądź z rozczytywania się w literaturze drukowanej o rzeczach tamtejszych, bądź z rozmów z ludźmi i spostrzeżeń w czasie kilku wędrówek po tej zaiste o miedzę położonej „zagranicy".

Trudniej niż fakta przyszło autorowi zdobyć nieodzowny materiał ilustracyjny. Z nielicznymi wyjątkami jest on dziełem tubylczych, amatorskich obiektywów i dlatego prosi o pobłażanie.

Na koniec wypada mi podziękować najserdeczniej tym wszystkim, których uczynności doświadczyłem w czasie zbierania materiałów do tej pracy. Z wdzięcznością wspominam instytucje, które szły mi na rękę: Bibliotekę Jagiellońską, Bibliotekę Uniwersytecką i Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Śląską Bibliotekę Publiczną im. Józefa Piłsudskiego i Muzeum Śląskie w Katowicach. Dalej osoby, którym tylko ryczałtem bez wymieniania nazwisk gorąco dziękuję. Wreszcie panie i panowie, którzy nie poskąpili dobrej rady, informacji lub zdjęć fotograficznych: Adam Bar, Jan Czekanowski, Tadeusz Dobrowolski, Elżbieta Juraszówna, Jacek Koraszewski, Julian Krzyżanowski, Jan Kuglin, Stanisław Ligoń, Ludwik Musioł, Wiktor Nechay, Wacław Olszewicz, Edward Podworski, Franciszek Popiołek, Konstanty Prus, Jan Przybyła, Bronisława z Badurów Przykutowa, Regina z Parczewskich Sędzimirowa, Feliks Steuer, Anna Strzodowa, ks. Emil Szramek, Juliusz Zborowski i in.

W Poznaniu, w styczniu 1937.

Przedwojenne dziouchy z Bytomia i Zabrza

1919
1920
1921
POWSTAŃCOM POLEGŁYM
W WALCE O WOLNOŚĆ

NA POCZĄTKU BYŁA GLINKA

Czara srebrna z Wiechuły (powiat opolski)

Domostwo kościelne w Uszycach (powiat oleski)

Na początku była glinka urodzajna czyli less. Nawiane nią otwarte połacie ziemi, żyzne polany między Odrą a Górą Ślęzą na lewym brzegu tej rzeki, ściągały od prawieków ludność osadniczą. Las, od którego uciekał człowiek pierwotny, bo z nim walczyć nie umiał, plenił się tu niechętnie; tym bujniejsza za to była roślinność stepowa o niezwykle obfitej wegetacji. Już w środkowej epoce kamiennej widne są tu przejawy życia, organizowanego przez pierwszych osadników, przybywających z południa przez Bramę Morawską, naturalny punkt wpadowy na Śląsk od południa. Najnowsze badania stwierdzają, że ten przedhistoryczny Śląsk utrzymywał stałe stosunki handlowe z Małopolską zachodnią, sprowadzał stamtąd rozmaite rodzaje krzemienia, a w zamian dostarczał serpentynu, a może i nefrytu do wyrobu broni i przedmiotów codziennego użycia.

A potem w każdym tysiącleciu prehistorii goszczą tu, najeżdżają, żyją i mijają ludy o rozmaitych kulturach krzemieni, brązu i żelaza, legitymując się coraz innym sposobem grzebania zmarłych, zdobienia naczyń, wyzyskiwania kruszców, rozwoju form życia. Przybywają z północy, z Jutlandii i wysp duńskich, znad Dunaju i dolnej Odry, przybywają z południa i ze wschodu. Mieszkają najpierw w lepiankach w ziemię wpuszczonych, potem wznoszą chaty drewniane, słupowe.

Pod koniec epoki brązowej (1800—700 przed Chr.) Śląsk Opolski staje w zasięgu działania kultury łużyckiej, którą znaczą rozległe cmentarzyska, kurhany i płaskie groby w Raciborskiem, Kozielskiem, Opolskiem. Pochodzenie tej kultury nie jest dotąd rozstrzygnięte. Że nie była pochodzenia germańskiego — to uchodzi za pewne. Wiele danych wskazuje raczej, że jest dziełem Prasłowian albo jakichś wspólnych przodków Słowian i Bałtów. Do najwyższego rozkwitu doszła w epoce żelaznej (r. 700 przed Chr. —1000 po Chr.). Potem

nowy najazd obcego ludu, są to w każdym razie jacyś „skrzynkowcy“ (bo chowają zmarłych w skrzynkach), może Wandalowie, może przodkowie Prusów, Łotyszów, Litwinów. Po skrzynkowcach przybywają Scytowie aż ze stepów czarnomorskich, po nich złakomili się na błogosławioną glinkę Celtowie i, podbiwszy ludność tubylczą, zasiedli tu na cztery wieki, zapewne aż do narodzenia Chrystusa, jak dowodzą wykopaliska spod Głupczyc, Raciborza i Koźla. Z kolei ustąpili Celtowie ekspansji rzymskiej (piękny zabytek tych czasów, czarę srebrną, ozdobioną postaciami potworów morskich znaleziono w Wiechule, pow. Opolskiego).

Pierwsza nazwa historyczna tubylców pada w okresie wczesno-historycznym. Zapisał ją astronom i geograf aleksandryjski w 2-gim wieku po Chr., Ptolemeusz, który opowiada, że w sąsiedztwie szczepu germańskiego Semnonów mieszkają Silingowie. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że mowa tu o tubylczym słowiańskim plemieniu Ślęzan, którzy wzięli swą nazwę od rzeki Ślęzy (niem. Lohe) i od których poszła nazwa całego kraju. Uczeni niemieccy wolą, rzecz prosta, wyprowadzać nazwę Śląska od owych Silingów, którzy w ostatnim wieku dopiero przed Chrystusem przybyć tu mieli z duńskiej Zelandii. Ci Silingowie to nic innego, jak Ślęzanie, nazwę plemienia czerpiący w swej domowej rzece, podobnie jak Wiślanie w Wiśle. W siedem wieków później widzimy ich zapisanych na widowni dziejów przez t. zw. Geografa bawarskiego. Mówi on o czterech odrębnych plemionach: Ślęzanach, Opolanach, Dziadoszanach i Gołężycach. Opolanie posiadają 20 grodów czy też miast (XX civitates). Mieszkają po obu brzegach Odry nad Nysą kładzką, Stobrawą i Małopianą, graniczą od południo-wschodu ze Ślęzanami, a od południa z Gołężycami. Gołężycy, sąsiedzi Wiślan, wzięli nazwę od osoby swego jakiegoś przodka czy władcy Gołęgi, Opolanie zaś od Opola. Co oznacza ten wyraz? W pierwotnym ustroju społecznym Słowian nazywano tak jednostkę administracyjną z kilku czy kilku-

Stara zagroda (ojcowizna) w Sierakowicach (powiat gliwicki)

Stary wiatrak w Strzeleczkach (powiat prudnicki)

nastu osad złożoną. Podobnie jak Ślęza jest najdawniej poświadczoną nazwą rzeki na Śląsku, tak Opole uznać trzeba za najdawniejszą nazwę miejscową w tej dzielnicy.

O tych Ślęzanach i Opolanach cóż jeszcze wiemy? Ano tyle, co i o innych gałęziach szczepu lechickiego z doby przedpiastowskiej. To znaczy niewiele. Zasiedlili się tak mocno na żyznej glince przyodrzańskiej, jak Wiślanie nad górną, Mazurzy nad średnią, Pomorzanie nad dolną Wisłą, a Polanie nad Wartą i Gopłem. Trzeba bowiem pamiętać, że nabrzeże Odry, granica zachodnia osiadłości szczepu lechickiego, jest jednym z pięciu głównych ośrodków osadnictwa, a zatem i zorganizowanego życia politycznego w Polsce Piastowskiej.

Siedzą mocno i dostatnio. Pas lessu daje im chleb, zapewnia drożność i łączność z ziemiami nad Wisłą, puszcza zaś na krańcach osiedli broni od najazdu. Zwartym szlakiem ciągnie się ta puszcza na pograniczu Śląska Górnego i Średniego i rozdzielając terytoria Ślęzan i Opolan, przyczynia się zrazu do ich wyodrębnienia. Podobnie puszcza jodłowa Świętokrzyska dzieliła Wiślan od Mazurów. Ale nie tylko las dziewiczy, odwieczny, bez przejść i dróg, kładzie się przyrodzoną granicą. Umacnia go jeszcze człowiek przesieką. Były to obronne zabudowania wojskowe w puszczy, zarąbane drogi, zwały przeszkód, ostrokołów i pni, izbice ochronne i głazy, mające tarasować przejście wrogowi. Praca nad przesieką należała do obowiązkowych świadczeń na rzecz ogółu. Ciągnęły się te usilnie konserwowane zwały przeszkód szerokim pasem puszczańskim od przełomu Nyssy kładzkiej na północo-wschód poprzez Odrę, Stobrawę i dzieliły puszczę na dwie połowy. Jeżeli się wedle miast późniejszych orientować, to po jednej stronie przesieki zostawały Strzelce, Ryczyn i Namysłów, a po drugiej Niemodlin, Opole, Olesno. Wieki całe przetrwał sztuczny wał, wzmagając obronność granic. Jeszcze w XIII wieku pisano w dokumentach: praeseca circumibat totam terram Zlesiae — przesieka otaczała całą ziemię śląską (w ówczesnym rozumieniu).

O przesiekę opolską załamywała się nieraz fala germanizacji. Las śląski stanął na drodze, otaczając swe strony nieprzebytym pierścieniem. „Ta puszcza — stwierdza prof. Semkowicz, którego wywody streszczało się powyżej — przyczyniła się w dużej mierze do uratowania polskości, tak jak bezleśny pas lessowy, ułatwiający drożność i kontakt z ziemią krakowską, wzmacniał węzły, które mimo stuleci przetrwały".

Zmalała wobec tego ujemna strona przesieki, która, odgradzając dwa bratnie plemiona, opóźniała przez to ich zjednoczenie, podsycała separatyzm najpierw wśród plemion, potem państewek i książąt. Dodatnio oddziałała tu poniekąd kolonizacja niemiecka. Bo gdy topór pilnego kolonisty zaczął po napadach tatarskich brać się za bary ze starodrzewiem puszczy i zburzył te sztuczne przeszkody — przyczynił się, wbrew swej woli i świadomości, do zespolenia Opolszczyzny z resztą Śląska w XIII i XIV wieku.

Na dalsze dzieje pozostał im las, wierny las. Przyroda brała pod swą opiekę autochtonów, pomagając im do wytrwania na swych ojcowiznach.

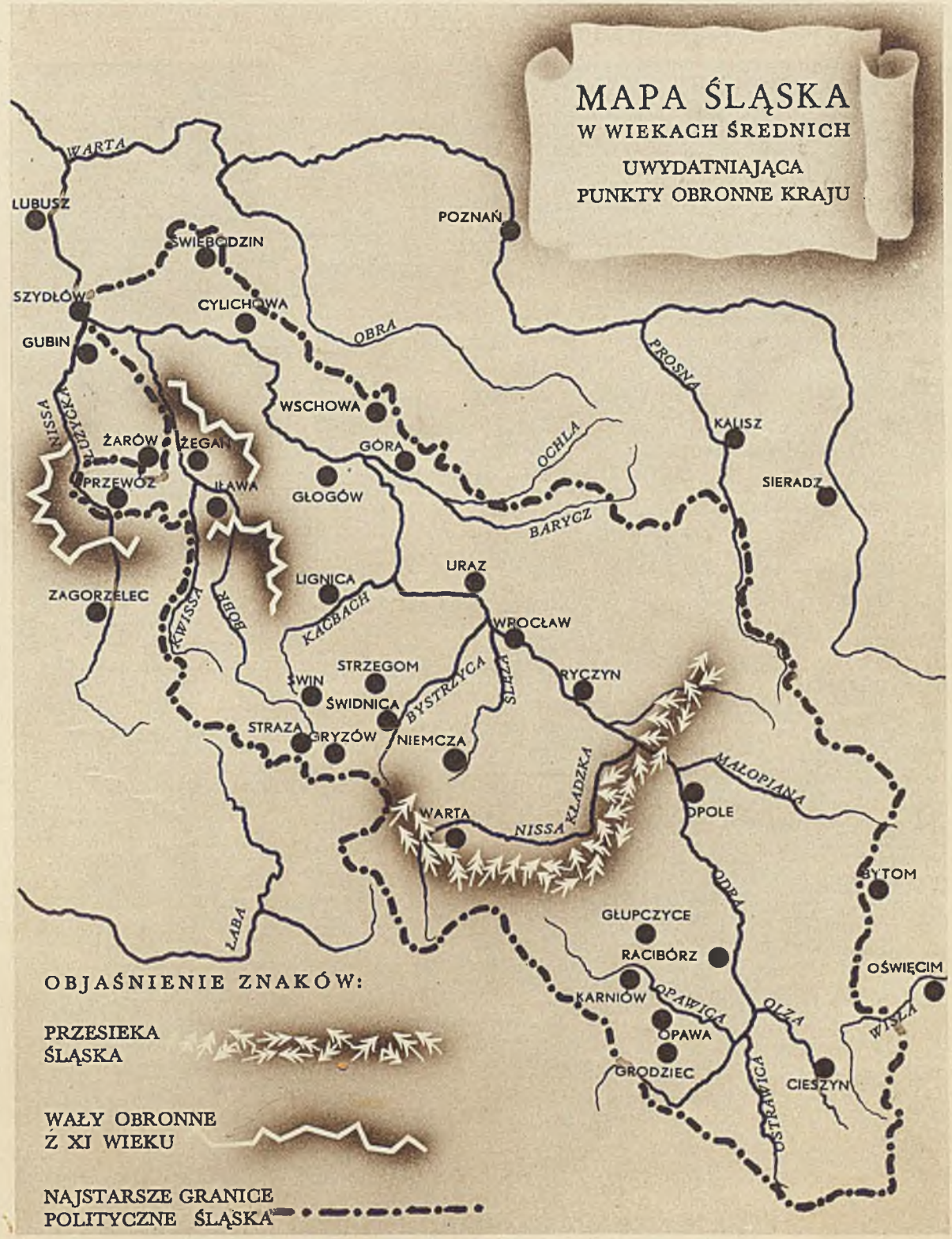
MAPA ŚLĄSKA
W WIEKACH ŚREDNICH
UWYDATNIAJĄCA
PUNKTY OBRONNE KRAJU
WARTA
LUBUSZ
POZNAŃ
ŚWIEBODZIN
SZYDŁÓW
CYLICHOWA
OBRA
GUBIN
PROSNA
WSCHOWA
KALISZ
NISSA ŁUŻYCKA
ŻARÓW
ŻEGAŃ
GÓRA
OCHLA
PRZEWÓZ
ŁAWA
GŁOGÓW
SIERADZ
BARYCZ
URAZ
LIGNICA
ZAGORZELEC
KWISSA
BÓBR
KACZBACH
WROCŁAW
STRZEGOM
RYCZYN
ŚWIN
ŚWIDNICA
BYSTRZYCA
STRAŻA
GRYZÓW
NIEMCZA
MAŁOPIANA
WARTA
NISSA KŁODZKA
OPOLE
BYTOM
ODRA
GŁUPCZYCE
RACIBÓRZ
OŚWIĘCIM
KARNIÓW
OPAWICA
OLZA
WISŁA
OPAWA
GRODZIEC
CIESZYN
OSTRAWICA
LABA
OBJAŚNIENIE ZNAKÓW:
PRZESIEKA ŚLĄSKA
WAŁY OBRONNE Z XI WIEKU
NAJSTARSZE GRANICE POLITYCZNE ŚLĄSKA

NA ZGLISZCZACH POLSKOŚCI WROCŁAWIA

Wincenty Pol, objechawszy już całą ziemię naszą, zajrzał wreszcie poza jej granice, do Wrocławia. W przededniu wiosny ludów działo się to, w r. 1847. I wcale się nie zdziwił, znalazłszy się w stolicy Śląska w obliczu powszechnie żywej tam polszczyzny. „Język polski — pisał pod świeżym wrażeniem — ma się tutaj, jak się ma dom do ulicy; wszystkie domowe sprawy załatwia lud pomimowolnie językiem polskim, wszystkie zadomowe — językiem niemieckim". „Rzadki dorożkarz, który by nie mówił po polsku... służba w oberżach i kupczyki po magazynach... wszystkie napisy na sklepach są w dwóch językach pisane, nawet Niemcy, właściciele majątków ziemskich... uczą się tu z potrzeby języka ludu, podobnie jak Niemiec Kurlandczyk uczy się rozmawiać z Łotyszem jego rodzinnym językiem".

W kilkanaście lat później, dokładniej mówiąc, w r. 1869, już było znacznie gorzej. Badacz gwar polskich, Lucjan Malinowski, notował w swoich wrażeniach: „Śladów polszczyzny we Wrocławiu mało, niekiedy tylko spotkać się można z przekręconym nazwiskiem polskim na szyldzie. Między klasą służących muszą być jednak mówiący po polsku, gdyż w jednym z kościołów bywa polskie kazanie... Byłem na lekcji prof. Nehringa w uniwersytecie... Prof. Nehring wykłada po polsku. Audytorium jego składa się wyłącznie z Polaków, przeważnie z Ks. Poznańskiego. Ślązacy wcale na te lekcje nie uczęszczają. Nie żyją oni z Polakami z innych prowincyj. Czyja w tym wina, trudno odgadnąć. Górnoślązacy studiują prawie wszyscy teologię i poza zakres swych specjalności rzadko wychodzą".

Na wsi w tym czasie było już zupełnie źle. Oto scena ilustrująca stosunki. Do jednego z wrocławskich akademików przychodzi starsza kobieta z jagodami na sprzedaż. „Podczas gdyśmy się po polsku naradzali czy je zakupić, niewiasta zawołała po polsku:

— O paniczkowie, mnie już nie chodzi o sprzedanie, ale o to, żebych was rada jak najdłużej słuchała!

— A skąd wy, kobieto?

— Od Trzebnica, mój paniczku.

— A u was jeszcze po polsku mówią?

— Oj, mówią, paniczku, ale coraz to mniej. Kiej byłam mała, to cała wieś mówiła tylko po polsku. Nas dzieci posyłali do szkoły — ale tam szullehr zabraniał nam po polsku mówić, a jak jedno do drugiego ozwało się, to zaraz bił w łeb, za kark, gdzie dopadł... i prawił nam, że tylko gruby naród mówi po naszemu, a każdy lepszy mówi tylko po niemiecku, bo to pańska mowa. Toteż aż mi się coś dziwnego robi, jako was słyszę, paniczkowie, że tak pięknie mówicie".

Taki sam i lepszy stan rzeczy trwa wszędzie na Dolnym Śląsku przez całe ubiegłe stulecie. „We wsi Penke, w połowie drogi do Oleśnicy, gdzie często przejeżdżałem w r. 1816, jeszcze starzy ludzie mówili po polsku. Podobnie w Grabownie pod Trzebnicą, w Przecowie za Namysłowem" (J. Lompa). Alf. Parczewski, który te właśnie strony otoczył najżarliwszą opieką już w samym końcu XIX w. i przewędrował je wieś za wsią, stwierdza raz po raz „tragedię zamierania narodowości", ale zaznacza z naciskiem: „Były i są wsie, w których starzy ludzie nie rozumieli po niemiecku, a małe dzieci mówiły i mówią doskonale w starym języku ojców. Polskimi tutaj są dzisiaj powiat brzeski na prawym brzegu Odry, południowe wsie powiatu Olawskiego, skrawki Oleśnickiego, w przeważnej większości swej powiaty namysłowski (Namslau) i sycowski (Gross-Wartenberg). Na północo-zachodzie wytycznym punktem wyjścia granicy jest wieś Bukownica (Frauenwaldau) w pow. trzebnickim. W samym Wrocławiu jest bardzo dużo Polaków, z pewnością więcej, aniżeli Litwinów w Wilnie".

Systematyczna, szeroko zakrojona akcja tępienia żywiołu polskiego nie była już w początkach XIX stulecia nowiną. F. A. Zimmermann, opisujący skrupulatnie, wioska za wioską, wszyst-

Dwie kamienice średniowieczne tworzą bramę wejściową kościoła św. Elżbiety w Wrocławiu

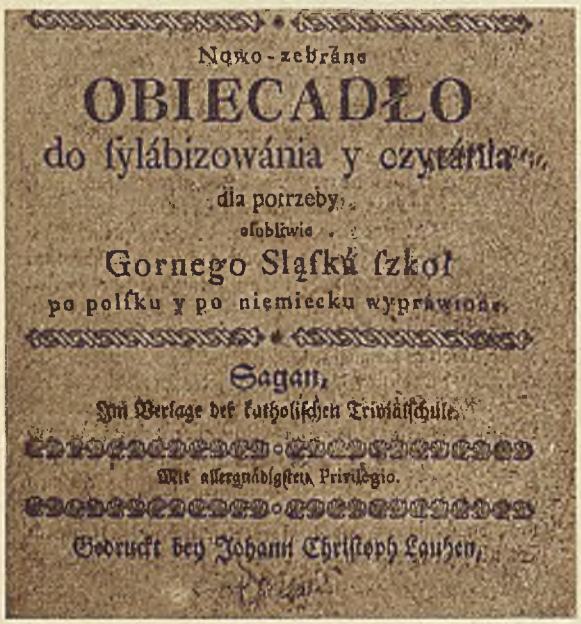
Nowo-zebrane
OBIECADŁO
do sylábizowánia y czytánia
dla potrzeby
osobliwie
Gornego Sląfkú fzkol
po polfku y po niemiecku wyprawiona.
Sagan,
Im Verlage der katholischen Trivialschule.
Mit allergnädigstem Privilegio.
Gedruckt bey Johann Christoph Lauchen.

„Obiecadło" polskie wydane w Żeganiu w XVIII w.

kie powiaty Śląska, stwierdzał w r. 1786 z zadowoleniem, że Polacy z rokiem każdym gromadniej niemczą się w szkole niemieckiej, czym się martwić nie należy, gdyż są to ludzie „twardego karku, złośliwi i leniwi, upijający się przy nadarzonej okazji", gdy przeciwnie „Niemcy są pracowici i uprzejmi dla bliźnich".

A znowuż przyjaciółka Goethego — który radził najsnadniej wyniszczać polskość za pomocą objazdowych teatrów niemieckich — nie mogła się wkrótce potem wydziwić, słysząc niedaleko Wrocławia, w Strachowicach, polskie pieśni dziewcząt w polu i z wielkim zadziwieniem pisała o tym do pani Fryderykowej Schillerowej, Wrocław bowiem otoczony był wieńcem rdzennie polskich wsi. W XVII wieku spotykało się osady polskie w dalekim promieniu na zachód od Odry. Ciekawe wiadomości znaleźć można w protokółach wizytacyj kościelnych, w naszych już czasach ogłoszonych drukiem: W roku 1638 Ślęzanie mieszkający u stóp góry Sobótki (dziś Zobten), mówili tylko po polsku i dwa razy do roku (do zluteranizowania w r. 1614) urządzali pielgrzymki do Częstochowy. Proboszczowie o nazwiskach rdzennych Marcin Chojecki, Jan Ścibora, Grzegorz Starzy odprawiali służbę bożą wyłącznie po polsku. Stwierdzają to wizytatorzy z archidiakonatu wrocławskiego.

Ten sam Wrocław był u początków istnienia państwa polskiego siedzibą pierwszego biskupstwa (r. 1000), a później u progu nowej ery dziejów, bo zaraz z wynalezieniem druku, zaczął uczyć Polaków w ojczystym języku pacierza, krotłami gotyckimi wyrażonego (1475). Było to Ojcze Nasz, Zdrowaś i Wierzę, ogłoszone w ogóle po raz pierwszy w Statutach synodalnych biskupstwa wrocławskiego.

Więcej jeszcze. Tu pod Wrocławiem zapisano po raz pierwszy na świecie całe zdanie w języku polskim. W drugiej połowie XIII wieku (1270). Kronikarz klasztoru Cystersów w Henrykowie pod Wrocławiem, opowiadając historię powstania nazw wsi klasztornych wspomina, że pewien rolnik miał rzec do

żony: *„daj, ać ja pobruszę a ty poczywaj“*, co znaczy: daj, niech ja pomielę (na żarnach), a ty odpoczywaj.

W tym czasie znakomity przyrodnik średniowiecza i chluba nauki polskiej, Witelo, przeszedł już południe swoich lat. Urodzony w r. 1230, syn kolonisty niemieckiego i Ślązaczki zasłynął w całym świecie jako pierwszy pionier wiedzy matematycznej i fizycznej, autor 10 ksiąg „O perspektywie“.

A jeśli teraz od Wrocławia skoczyć na południe Śląska Dolnego, na granicę czeską już prawie, do Kładzka (Glatz), znajdziemy się na górze wyniosłej, na której stała kiedyś kolebka piśmiennictwa polskiego, tam bowiem przyszła na świat pierwsza po polsku pisana księga pergaminowa. Na lat dziesięć przed datą Grunwaldu. W Kładzku osiedlili się na wyniosłej górze kanonicy regularni lateraneńscy. Słynął ich klasztor z doskonale urządzonego skryptorium, gdzie braciszkowie, biegli w trudnej sztuce malowania liter na pergaminie, sporządzali księgi religijne. Królowa Jadwiga, — zapisuje z wdzięczną dumą kronikarz konwentu, — „zapragnęła braterstwa z klasztorem i otrzymała je“, a Jagiełło sprowadził ich później do Krakowa. Za świadczenia mnogie i uczynki zbożne królowej, umyślili kanonicy kładzcy wywzajemnić się w sposób godny wielkiej córy Loisa. Gdy poszły pogłoski radosne po kraju o bliskim rozwiązaniu Jadwigi, postanowił konwent z wyniosłej góry pierworodne jej dziecię uczcić pierworodną księgą w języku polskim. Miał nią być psałterz Dawidowy, niezbędny w ręku człowieka średniowiecznego, który wiedział, że „nic może grzechu stroić, kto pienie psalmowe miłuje“. A już w ręku kobiety — niegodnej modlić się po łacinie, — psałterz w języku pospolitym (in lingua vulgari) był artykułem pierwszej potrzeby. Zawrzało w Kładzku od krzątaniny. Musieli się wpierw postarać o przekład na język polski, język młody, nie nazbyt jeszcze dla celów pisma giętki i obrotny (rok był pański 1398). A potem wyiluminować księgę, wyzdobić w inicjały, esy-floresy i dziwności kolorowe, jakoże ich protektorka na piękno ksiąg szczególnie jest wrażliwa. Usilnej pracy wymagało też wypełnienie literami trzydziestu pięciu składek pergaminowych. Lecz cóż? Gdy tak w kładzkim klasztorze przybywało kart Psałterzowi, na wawelskim zamku ubywało dni królowej. Dziecię przyszło na świat za wcześnie, księga za późno. W lipcu roku 1399 umarła protektorka pisarzy kładzkich, nie doczekawszy księgi, którą nazwano potem Psałterzem Floriańskim. Dziś w ziemi kładzkiej nawet nie próbujmy szukać śladów polskości, można powtórzyć tylko za prof. Semkowiczem, że „jej pierwotna polskość etnograficzna wydaje się więcej niż prawdopodobna“.

A rola Wrocławia odwróciła się do imentu. Wystarczyło trzystu lat, aby z katedry nauczyciela cofnął się na ławę sztubaka i drukował już tylko (od r. 1796) „nowo zebrane obiecadło do syllabizowania i czytania dla potrzeby Górnego Śląska szkół“. A równocześnie rozpoczynał systematyczną choć powolną akcję wyniszczenia żywiołu polskiego. Wystarczy rzucić okiem na pouczającą mapę w niemieckim dziele Partscha, wykazującego jak żywioł polski ustępował pod naciskiem parcia pruskiego. W ciągu wieku linia obronna polskości cofnęła się na odległość 45—70 km ku południo-wschodowi. Gdy bowiem w r. 1790 granica zwartej większości polskiej przechodziła ledwo o 4 km od Wrocławia, w r. 1890 cofnęła się już o 43 km.

Robota polska w w. XIX ograniczyła się do słabej, dorywczej defensywy. Komórką organizacyjną i skupiającą młodzież z Polski i ze Śląska, studiującą na uniwersytecie wrocławskim, stało się „Towarzystwo literacko-słowiańskie“, które postawiło sobie za cel w statucie „przez wspólne prace obeznać członków z językami, literaturą, dziejami i prawem ludów słowiańskich“. Troskliwym opiekunem zrzeszenia, ciężko wywalczającego sobie prawo bytu, był wieloletni jego prezes (1836—1850), Czech, żarliwy polonofil, wybitny fizjolog Jan Purkynie (ur. 1787—1869), po nim historyk literatury i zasłużony slawista, poznaniak Władysław Nehring († 1909). Wśród ty-

Średniowieczni kanonicy wrocławscy na sarkofagu Henryka IV († 1290)

siącznej rzeszy członków tego związku nie brakło z czasem i Ślązaków, choć nie łatwo było o dostęp do nich, studiujących przeważnie teologię. Najwybitniejsi wszakże, przyszłe tuzy odrodzenia śląskiego, uczestniczyli pilnie w pracach „Towarzystwa literacko-słowiańskiego": Szafranek w latach 1842—3, N. Bonczyk w latach 1858—60, K. Damroth 1863—6. Ten ostatni czynny był nadto w „jakimś odrębnym — zdaniem K. Prusa — nieskrystalizowanym jeszcze kole górnośląskim wśród akademików wrocławskich". W każdym razie ktokolwiek ze studiujących na wszechnicy tamtejszej Ślązaków znalazł się w licznym zawsze gronie młodzieży ze wszech stron Polski — wracał do domu uświadomiony i zorientowany. W naszym dziesięcioleciu germanizacyjna misja Wrocławia uległa dalszemu wzmożeniu. Górnoślązak, wyjeżdżający z Opolszczyzny, aby się dać oksięży ć we Wrocławiu, jeśli nie wywiezie z domu mocnej świadomości narodowej, wróci na swoją wieś Niemcem, który potrafi najwyżej powiedzieć kalekim językiem polskie kazanie na wyraźne życzenie parafian.

Ale wróćmy do polskości Dolnego i Średniego Śląska, po której dziś pozostały już tylko dogasające zgliszcza. I nic dziwnego. Nikt przecie nie zadbał, by je rozdmuchać. Nie mogło to być chyba zadaniem ułanów ks. Józefa, gdy się tu, na błoniach Wrocławia uzupełniali w maju 1807 po zwycięskiej bitwie pod Strzygłowem i łączyli się z legionistami Dąbrowskiego. Mogła natomiast i powinna była pomyśleć o tym dyplomacja polska.

Czaty nad Odrą w Trzecim Powstaniu Śląska w maju 1921 r.

Mapka ilustrująca postępy niemczyzny na Śląsku w ostatnich 120-stu latach, wyjęta z dzieła: Peuckert. Schlesische Volkskunde, Leipzig 1928

Z BIEGIEM ODRY

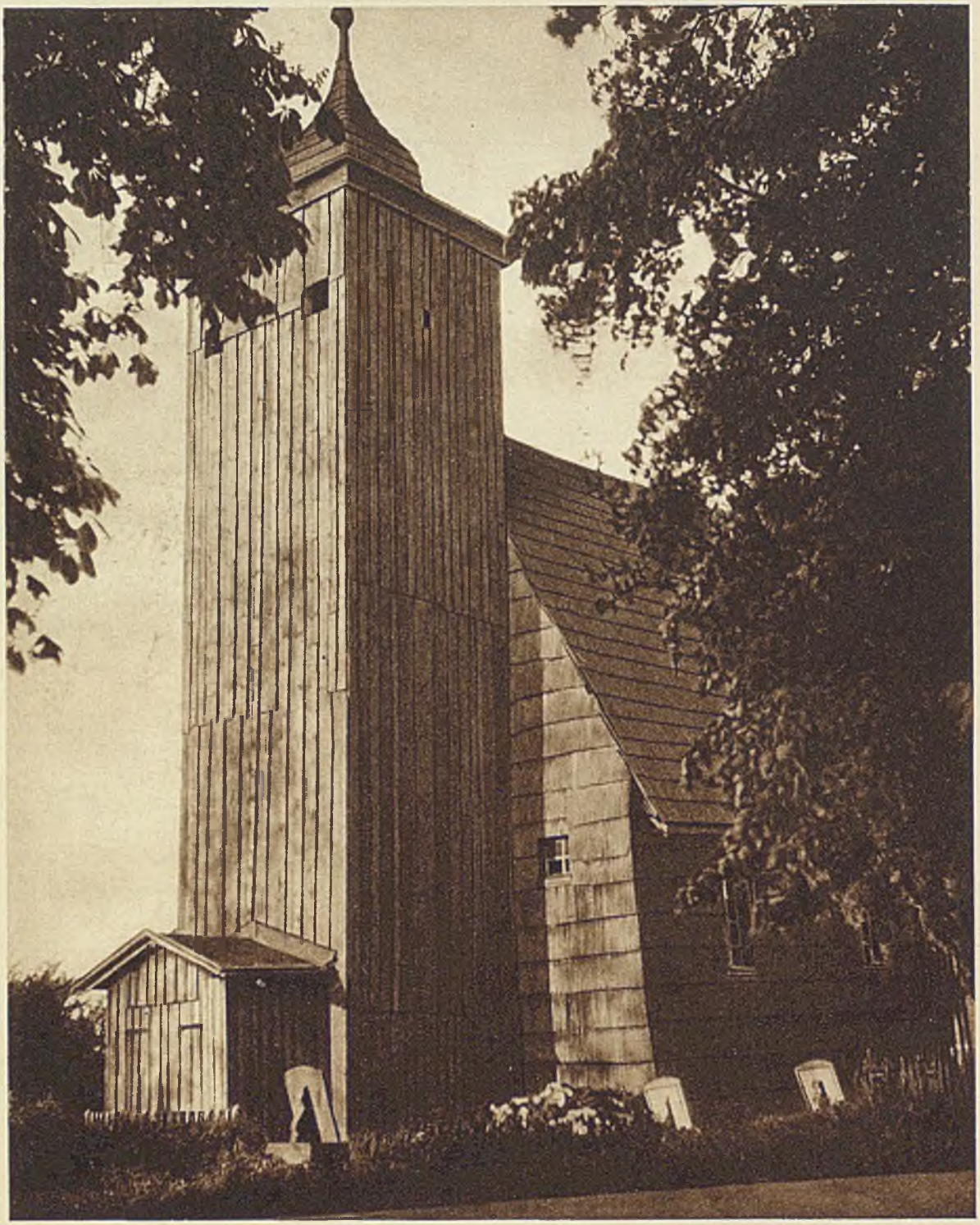

Omawiając udział czynników fizjologicznych w rozwoju dziejów Polski, uzasadnia prof. Władysław Semkowicz szczególną doniosłość i rolę Odry w epoce piastowskiej, kiedy to terytorium państwowe Polski pokrywa się niemal zupełnie dokładnie z obszarem dorzeczy Odry i Wisły do tego stopnia, że i granic Polski szukać trzeba w obrębie zewnętrznych wododziałów obu tych wielkich rzek bałtyckich. Jednolita pod względem etnograficznym i zarazem państwowym Polska piastowska wsparła się na podstawie sieci wodnej Przyodrza i Powiśla i dzięki temu związała ziemie rdzennie polskie w zwartą całość. „Pozbawiona lewobrzeżnych dopływów Odra stała się też zachodnią granicą szczepu lechickiego" — dopiero u schyłku epoki piastowskiej napór ekspansji niemieckiej zmusił Polskę w w. XIV do wycofania się z linii Odry, oparcia granicy zachodniej o wododział Wisły i Warty i poszukania kompensat terytorialnych na Wschodzie.

Odra — zachodnia granica zasiedlenia szczepu lechickiego, rzeka macierzysta, odskocznia i majdan najstarszych poczynań polskich!

Niechże nas prowadzi nad jej brzegi Wincenty Pol, który właśnie (1847) „po łagodnych stokach wysoczyzny śląskiej spływa w Koźlu na dolinę Odry" i widzi „w jej dolinie kraj równy i otwarty szeroko... tu i ówdzie błysły po lewej stronie w przelocie malownicze zakręty Odry wiklinami porosłe, a na niej pierwsze żagle i pierwsze flagi statków, wiejące nadzieją ku morzu, małe dąbrowy i topolowe laski, wiankami na jej porzeczach rzucone... Kraj na całej przestrzeni od Koźla do Opola mało urodzajny, piaszczysty, często sosnowymi lasami porosły. Gospodarstwo jest wzorowe, uprawa ziemi bardzo staranna... lecz roślinność w ogólności biedna".

Wędrowną limuzyną, od wioski do wioseczki jedziemy tym traktem. Towarzyszący mi starowieśniak opolski objaśnia. Tu mamy wicie — koniec chleba a początek wody. Liche piaskowite strony, małe chałupniki tu siedzą,

Rewia świniok6w i koniąt na dziedzińcu

„Czarna Kumtesa" sprzyjaźniona ze swą panią

Duma ogrodów raciborskich na wystawie

Zwyczajna kuchnia wiejska

W gromadzie każda piękną się wyda

Straż ogniowa w Markowicach święci swój sztandar

wszystko biedarstwo. Od czarnych diamentów daleko. Niemce o nas nie dbali. — Więc tu bieda wielka? — Przeca. Taki szpitalok tela ma, co do użycia za mało, a zaś do umarcia za dużo. Musi po bosaku łazić, bo mu więcej nie styknie, jak na jedne buty na rok. — Z czegóż wyżyje? — Do „gór" ciągnie, tam się zawsze robota trafi. Zawsze jakoś przeciśnie. — Trwa bowiem do dziś nazwa, od której początek wzięły Tarnowskie Góry (= kopalnie). Te strony od losu skrzywdzone miał na myśli poeta regionalny: „Śląsko, gniazdo piastowskie! Pilna dłoń twego chłopka w niezbyt żyznej glebie tyle płodzi, że tyje na żarnowym chlebie".

Za Odrą — ciągnął dalej mój objaśniacz — to już się żebracy wracali. Placki na żarnach były im niewsmak, więc uciekali. Stąd przysłowie.

Samochód wyciąga z łatwością 80—100 km/godzin, bo gładzizna szosy idealna. Jeśli się gdzie zdarzy remont szosy, to bocznicę i cały przejazd urządzono wprost luksusowo, co kilkanaście kroków latarnie na bocznych poręczach, ostrzegające samochody, które wekslują na boczny, pomocniczy tor szosy. — Schroń się pieronie, bo ci w rzyć wjadam — woła zirytowany kierowca na jakiegoś nieustępliwego gapia. A potem znów z gołębią dobrocią zaprasza do maszyny piechura, drałującego na termin w miasteczku. I znów do mnie: Teraz jak się na Dobrodzień i na Olesno weźmiemy, będzie inny pieroń: kraina błogosławiona.

Aby ją ogarnąć, przesiądźmy się z limuzyny r. 1935 znów z powrotem do parochodu Wincentego Pola sprzed wieku: „...Zatętnił most... przed Opolem przebyliśmy Odrę i dostaliśmy się na lewy jej brzeg... nagle odmienił się kraj: warstwa bardzo urodzajnej gliny, a nawet czarnoziemi na wielkich przestrzeniach, okrywa lewą połać Odry. W miarę tego zmieniają się lasy i wszystko jest od razu bujniejsze — bory Górnego Śląska znikają powoli, a roślinność poczyna być więcej rozmaitą, stare

Odra w okolicach Góry św. Anny

dęby zasiewają obszerne zielone rozłogi, sady otaczają wioski, a małe dąbrowy i zagajenia brzozowe widać coraz częściej pomiędzy ornymi polami". Szeroki pas tej glinki lessowej, która od praczasu ściągała tu ludy i kazała zasiąść mocno Słowianom.

Po drodze łatwo dojrzeć można różnicę w pejzażu wsi. Są okolnice, są ulicówki i są wsie bezładne. Pierwsze, okolnice, czyli wągrody o zwartym zakolu domów i budynków gospodarskich układają się w podkowę niby małe gródki obronne; drugie, wsie ulicowe z szachownicą pól w różnych kierunkach (typ dominujący w Polsce, na Słowiańszczyźnie połabskiej i w Czechach) i trzecie wreszcie, zasadniczo różne, typy wsi bezładnej o domostwach rozrzuconych bez żadnego porządku. Tubylcom również widne są te różnice: „po lewym brzegu Odry wsie okrągło i gęsto zabudowane, w których zwykle poważny kościół góruje nad przyczajonymi do niego gospodarstwami, jak kokosz nad kurczętami". Inaczej po prawym brzegu: „wsie jakby niedbale porozrzucane po wielkim obszarze, a jednak w pewnych odwiecznych liniach zbudowane, w których chaty i kościoły giną w obfitych „gałęziach", i wreszcie już na południu, w Raciborskiem przeważnie, napotkasz same ulicówki, gdzie tuż przy szosie „stawienia", chałupa przy chałupie ciągną się długim sznurem.

Do środka chałupy wszedłszy, zobaczysz często widowisko przeciekawe: najstarszą postać mieszkalną z najnowszymi szykanami cywilizacji pod jednym dachem. Tradycja odwieczna nakazuje, aby człowiek mieszkał razem z czeladką i bydlęciem. I też mieszka. Wszedłszy pod słomianą strzechę (na czerwoną dachówkę lub łupek kamienny często już zmienioną), zobaczysz prastary rozkład domostwa z świetlicą dla gości, izbą mieszkalną i kuchnią — po czym kurytarzem zaprowadzą cię do obórki, stajni i chlewa. Pod jednym dachem żyją zwierzęta z ludźmi, „konioki" i świnki; tradycji stało się zadość, ale higiena i nowoczesna nauka hodowli zrobiły wszystko, aby i ludziom i zwierzętom było dobrze na jednych śmieciach. Krowy i świnie biorą premie na wystawach, panie domu mają najnowsze udogodnienia gazowe, elektryczne i wielo-

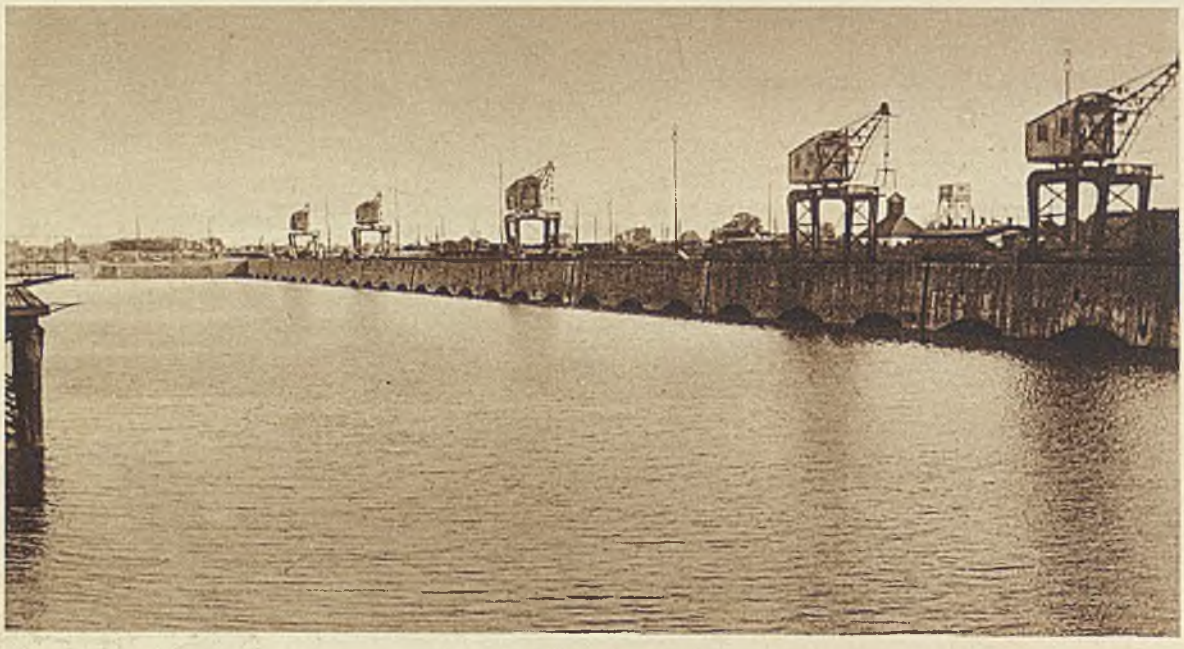

Odra w porcie kozielskim

lampowy odbiornik radiowy. Na stole siodlaczym znajdziesz nieraz polską książkę, Rodziewiczównę, Sienkiewicza („Trylogię czytam chętnie, „Krzyżaków" nie, bo to polityka — oświadczył mi jeden z gospodarzy, „ślązok" nie mieszający się do żadnej ani polskiej ani niemieckiej roboty, bo ani ta ani tamta nie obchodzi go".) Już prędzej sięgnie taki „ślązok" do prasy i powie, przyjechawszy do miasteczka: „proszę o nowinę", tak bowiem po staropolsku nazywa się tu do dziś dnia gazeta i wychodzi pod tytułem „Nowiny Codzienne".

Krowy w oborze, wysoko mleczne, czasem elektrycznie dojone, wołają się prastarymi imionikami: Strokula, Weselina, Sieka, Gwiazdula, Chowana, Szada, ale także Liza. Na dziedzińcu widnieje w każdej większej zagrodzie szopa i stodoła, na której nierzadko „boczoń" na gnieździe. Stodoła ma w środku gumno, po bokach sąsieki, większy i mniejszy. U zamożniejszych „gburów" obowiązkowy jest śpichlerz czyli „sypanie", o ścianach mocnych, z drzewa lub cegieł, jakby na przetrwanie wieków. „Jeszcze by zabrakło coś w opisie rodzinnej chałupy — słowa ks. Kozielka — gdybym nie wspomniał okrążających zagrodę płotów, które są niby granicami „ojczyzny" chłopskiej, bo ojczyzną nazywa to przede wszystkim miejsce, w którym się narodził".

Koło chałup z prawa i z lewa wszędzie sady, sady. Za wsią witają jadącego po obu stronach szosy uśmiechnięte, jasnokore brzozy. Z niczym nieporównana jest ta kąpiel zieleni, w jakiej nurza się oko, bo nie tylko w obszarach, gdzie procent lasu przeważa nad gruntami ornymi, ale wszędzie indziej na lichych piaskowitych ziemiach, gdzie chleba koniec, skąd żebracy wracają — rzeźba krajobrazu wiejskiego ożywiona jest bezlikiem drzew. Zdają też sobie Biało- i Zielono-Ślązacy sprawę z tego swego bogactwa. („Widziałem na Dolnym Śląsku — stwierdza taki dumny ze swego kmieć — wsie, jakby ogołocone z drzew, zdaje się, że tam tylko ogórki i kapusta rację bytu mają. Jakby bezduszne takie wsie! Czemu nasze wioski górnośląskie takie wesołe? Odbierzcie im sady i drzewa, a będą smutne. Trzeba pielęgnować po staremu gałęzie, zwłaszcza wiekowe drzewa".)

Odra w Opolu

Naczelną cechą swoistości krajobrazu jest osiemdziesiątka kościołów drewnianych, wiejskich, o których będzie mowa osobno, tu wspomnijmy o odrębności, zazwyczaj podkreślanej przez Niemców, ostatnio zaś w książce „Erlebtes Grenzland" P. Fischera. Są to krzyże wysokie i męki pańskie na drogach, rozdrożach, u wjazdu do wiosek. Ślemie krzyża zazwyczaj na wysokości 4 m dźwiga pasję również w drzewie rzezaną. Niestety, dawne domowych rzeźbiarzy wytwory zastępuje coraz częściej niefrasobliwy Chrystusik w fabryce odlany. Wiele kapliczek murowanych i słupów maryjnych w barokowej przyozdobie, powstałych na przełomie 17 i 18 wieku, kiedy po stłumieniu reformacji kult Panienki Częstochowskiej z nową siłą wzmógł się na Śląsku.

Starymi traktami jadąc, spotkamy nieraz dawne miejsca popasu kupców i pątników. Co dwie mile mniej więcej bywał zajazd, karczma, oberża. Stare takie karczmisko dożyło do dziś dnia na szlaku Opole—Olesno, kędy jeżdżono do Wielunia i Częstochowy. I jest właśnie o 15 km odległe od Opola.

„Porównaj Boże góry z dołami, niech będzie równiusieńko" — śpiewa pieśń tęsknie, bo Białoślązak jest człowiekiem dołów, nie tęskniącym do Beskidów, a góry lubiącym raczej — pod ziemią. Dlatego niepokoi go Góra Chełmska w powiecie strzeleckim, nazwana później Górą św. Anny. Skąd się to 385-metrowe wzniesienie wzięło? Czy po to — pyta świetny ich epik i pejzażysta — urwałaś się Góro Chełmska w dzień Potopu od Gór Olbrzymich „aby z Twej podstawy wypatrzył Chrobry drogę na zachód do sławy?" Z jej szczytu, gdzie rozsiadł się mocno przybytek odpustowy OO. Franciszkanów, a wieże ich kościoła widne są przy pogodzie w Gliwicach i w Opolu, i nad Małąpanwią i za granicą czeską

O matko Anno
I Matko-Panno
Co nad ludem śląskim czuwacie
Już całe wieki
Wszak swej opieki
Mnie darmo wyglądać nie dacie?

BIBLIOTEKA

Skwer nad Odrą w Raciborzu

Tak modli się liryk śląski Damroth-Lubiński (ten sam, który na długo przed wojną wysławiał piękno polskiego morza). Sześć alei obficie zadrzewionych wiedzie na szczyt góry; obieramy jedną z nich i trudną drogą, po zlodowaciałej śryży, osiągamy dziedziniec, gdzie przed kościołem krzyż z dwujęzycznymi napisami. Po polsku: „A skłoniwszy głowę ducha oddał". Po niemiecku: „Zu Ehren des göttlichen Erlösers anno 1868" i „Consecrirt 1673".

Dwujęzyczni są też ojcowie, przyjmujący dziesiątki tysięcy pątników z całego Śląska. Słuchają polskiej spowiedzi, każą po polsku do polskich kompanij. Dwujęzyczni i koniunkturalni. Czytamy u P. Fischera: „W maju 1921, w czasie walk o Górę św. Anny stał na czele klasztoru franciszkanów opat „kerndeutscher Gesinnung", który też oddawał językowi niemieckiemu wielkie tutaj usługi. Gdy niemieccy bojownicy o wolność zdobyli Górę św. Anny, od razu zafurczała nad klasztorem czarno-biało-czerwona chorągiew z szarotką, na znak radości z wyswobodzenia klasztoru spod nieprawnej władzy powstańców".

Rzucimy teraz okiem na cały bieg olbrzymiej rzeki od jej źródeł za Boguminem aż po ujście w zatokę szczecińską, a zobaczymy u początku i końca dwa potężne przyczółki Polski i Słowiańszczyzny. Pierwszy rozsiadł się mocno już w miejscu, gdzie rzeka zaczyna być spławną, drugi istniał kiedyś, władny i potężny, a dziś już tylko odżywa w rekonstrukcji i wykopalisku. Racibórz na południu, Wołyń pomorski na północy. Racibórz, kiedyś stolica księstwa raciborskiego jest dziś przystanią roboty spółdzielczej, oświatowej i śpiewaczej, o czym jeszcze nieraz usłyszymy. „Strzecha", „Rolnik", „Lutnia", „Bank Ludowy" — to polskie instytucje, w których ogniskuje się życie wiejskiej prowincji. Monografista Śląska z roku 1887 Wł. K. Zieliński, podkreślając polskość miasta i przedmieść, zauważył fakt w miastach śląskich wówczas jeszcze powszechny: „Mieszczaństwo tutejsze również umie po polsku, lecz wstydząc się tego języka, rozmawia nim jedynie tylko ze służbą i z ludem wiejskim, przybywającym na targi".

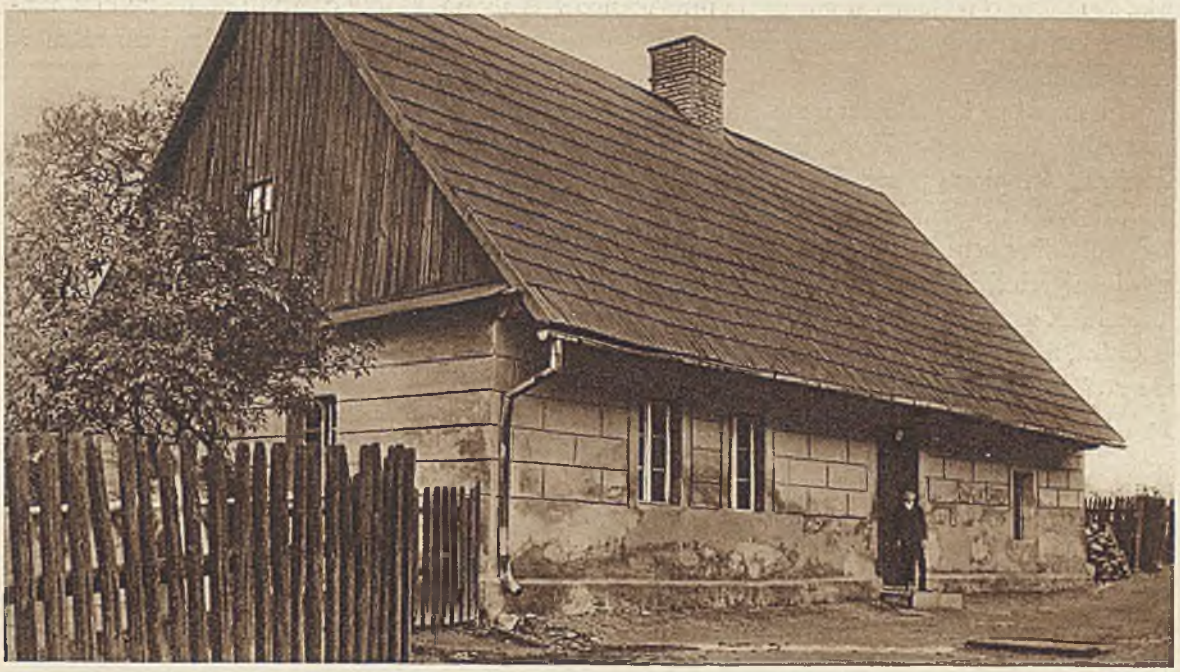

„Ojczyzna" siedlacza od frontu

Siedlacy raciborscy są twardzi, o dobrze osadzonym dziś uświadomieniu narodowym. Opowiadał mi jeden Markowiczanin, jako czytał w historii, że gdy w drugiej wojnie śląskiej stanął mały oddział pruski w Markowicach, dowódca pchnął „wartkiego posła" do Berlina, żeby powiedział że „ w tej okolicy mieszka taki dziki lud, co się smówić s nim nie idzie". I to zostało do dziś. Raciborzanie władają doskonale językiem państwowym, ale upartymi być nie przestali. Obecnie przeżywają duży kryzys w swym przemyśle ogrodniczym, od którego „szołociarze" cierpią bardzo, pocieszając się jednak, że niechno ino polskie seminarium stanie pod dachem, zaraz przyjdzie ożywienie obrotów handlowych. Płynąc Odrą w dół rzeki, na połowie mniej więcej drogi do Wrocławia, staniemy w Opolu. Dziś mieści się tu stolica niemieckiego O/S, jako też siedziba naszego Konsulatu generalnego. Przepędzona z miasta polskość, prześladowana, gdzie popadnie, na ambonie i nawet w niewinnych śpiewnikach — żyje i walczy w organizacjach społecznych, rozbiega się po kraju z drukowanych tu czasopism ludowych.

O kilkaset kilometrów na północ i wieków tyleż ile setek kilometrów, jeśli nie głębiej w przeszłości, leżała u ujścia Odry — Gdynia czasów Mieszka I — Wołyń pomorski. Wykopaliska lat ostatnich, prowadzone przez Muzeum Pomorskie w Szczecinie, rzuciły smugę nowego światła na dzieje Wołynia i rozświty Polski równocześnie. Współczesny Mieszkowi I kronikarz saski Widukind, opowiada, że Mieszko, władca plemienia „Licicavici" zmagał się zwycięsko z „Vuloinami", którym pomagał Wichman, wódz „Redarów". W zepsutej nazwie plemienia dopatrywano się „leszkowiczów", a więc dynastii piastowskiej, ostatnio zaś dr. J. Widajewicz przypuszcza, że to było odrębne plemię słowiańskie, siedzące na północ od ujścia Warty, którego ziemia stanowiła dla Mieszka bazę operacyjną w dążeniu do opanowania Odry. Wojny Mieszka z Wichmanem przypadają na lata 963 i 967. „Vuloini" zaś to niechybnie Wołynianie, których miasto odkopuje się obecnie. Dotychczas wyjrzały spod ziemi resztki osady obronnej, ślady bogatej przystani handlowej, magazyny bursztynu i t. d. Obszar grodu obejmuje 4 km, znale-

ziska świadczą o wysokiej stopie życia mieszkańców Wołynia, którzy czerpali obfite zyski z handlu bursztynem i mogli wznieść się pod względem materialnym wyżej, niż lądowi mieszkańcy grodu opolskiego.

W związku z poszukiwaniami dopiero rozpoczętymi rozjaśnić się może cały szereg zagadek o zaraniu państwa polskiego. Już teraz przypuszczać można, że Wołyń będzie identyczny z legendarną zatopioną przed wiekami Winetą i ze słynnym w sagach skandynawskich a tajemniczym dotychczas Jomsborgiem. Dalsze badania przyniosą niewątpliwie wiele nowego do dziejów Wołynia, portu Polski Mieszkowej, na którego gruzach dopiero później osadzono miasto na prawie niemieckim. I uplastyczni się wielka rola jaką Odra odgrywała w pierwszym wieku istnienia Rzeczypospolitej polskiej.

Odra, nad którą siadły mocno trzy grody: Racibórz, Opole i Wołyń. I łukiem rozpiętym nad stuleciami świadczą.

W Wójtowej Wsi pod Opolem zbierają się do wyjazdu na „żniwniok"

MIASTO, WIEŚ, KOPALNIA

Na piątkowym targu pod figurą w Opolu, gdzie tłumnie zjeżdża polska ludność z wiosek okolicznych

Pawłowiczki (powiat kozielski), osada sprowadzonych z Niemiec ewangelików

Przykładem nieustępliwości plemiennej Opolan może być ich stosunek do kolonizacji niemieckiej, którą regime fryderycjański zaczął intensywnie prowadzić od połowy XVIII stulecia pod wszelkimi postaciami. Aby stworzyć mocną bazę niemczyzny na całym zarówno Dolnym i Średnim, jak Górnym Śląsku, odkomenderował król pruski całe brygady rzemieślników, kupców, fabrykantów, rolników wreszcie, byle ewangelików, byle Niemców. Na Dolnym i Średnim poszło łatwiej, z Opolem najtrudniej, przeto zabieg powtarzano w latach 1742—1806 kilkakrotnie. Do roku 1763 osiedlono na całym Śląsku Pruskim 61.152 kolonistów, od r. 1763—1806 dalsza porcja: 109.695 osadników, tak „iż w pierwszych 65 latach przynależności Śląska do Prus liczba osadników osiągnęła sumę 170.847, nie licząc urzędników Niemców, nasyłanych z głębi Prus, a wrastających w grunt. Osadnictwo nie skończyło się w r. 1806. Z rozwojem przemysłu ciężkiego i z powiększeniem liczby garnizonów, rozbudową administracji politycznej, kolejnictwa i poczty wzrastał przypływ Niemców, co do których nie ma żadnej statystyki". W samym okręgu opolskim założono w ciągu 16 lat (1770—1786) siedemdziesiąt nowych osad wiejskich, do których sprowadzono 16.000 mieszkańców.

Cóż chłop opolski na widok coraz przybierającej fali sąsiedztwa? Rad był im „zaparzyć kłaków", widząc krzywdę swą oczywistą. Niemiec osiadł i teraz na prawie niemieckim: cieszył się protekcją u władz i u dziedzica. Niemiec nie chodził na pańszczyznę. Niemiec zasiadł mocno na najlepszych gruntach. Ale z drugiej strony osobiście nie dawał powodu do zaczepek, korząc się przed tubylcem siedlakiem; gdy był sam, nie czuł za sobą siły. Niemiec jak to Niemiec. Eine Trutznachtigall, słowik zaczepno-odporny. Zobaczmy chociaż kilka osad kolonistów. Najpierw Pawłowiczki czyli Gnadenfeld. W r. 1766 pan von Seydlitz kupił dla swego syna Fryderyka majętność w pow. kozielskim Pawłowiczki, którą Niemcy wówczas nazywali „Pawlowitzki". Postanowiono tam osiedlić rozproszoną po całym Śląsku sektę Braci Czeskich (Herrenhuter), i na znak tej łaskawości reskrypt król. z 12 kwietnia 1780 przechrzcił Pawłowiczki na Gnaden-

Droga leśna w powiecie kozielskim

feld. „To są roztrzesone a zonaczone nowym nazwaniem wysepki, moc ich znajdziecie — objaśnia mnie sąsiad osady pawłowickiej — Niemce nie próżnowali u nas". Na całym Śląsku popularne jest ironiczne powiedzonko: „Tyś mnie katolik z Pawłowiczek".

Dla odmiany zobaczmy inną, dawniejszą i odrębną osadę kolonistów, Szywałd w powiecie gliwickim. W epoce pierwszej kolonizacji na ziemiach polskich klasztor w Rudach sprowadził w r. 1269 osadników z głębi Niemiec i osadził w „pięknym lesie" pod Gliwicami, stąd nazwa: Schönwald. Szywałdzianie popularni są bardzo w całym Śląsku, weszli niemal w przysłowie i zachowali do dziś ciekawy a odrębny strój ludowy. Niemiecka badaczka strojów śląskich E. Grabowska tak opisuje Szywałdzian w r. 1935: „Jakkolwiek żywioł polski otacza ich dokoła, Szywałdzianie pozostali Niemcami aż do dnia dzisiejszego. Uparcie trwali i trwają przy swoim, przepojeni zmysłem wspólnoty, chroniącej ich od obcego wpływu. Jeżeli mimo to spotykamy u nich nazwiska polskie — fakt to bez większego znaczenia, bo nazwisko zostało zniemczone i pamięć o przybyszu zaginęła. Wżenianie się Polaków w ludność Szywałdu miało różne przyczyny, m. i. jak mi mówiono, brak mężczyzn, zmuszający Szywałdzianki do brania mężów skąd się dało. Sprowadzaliśmy ich nawet z Berlina — mówiła mi pani Rother".

Gorzej było w miastach, które dziś owładnięte są w całości przez ludność napływową niemiecką, i tak przeniknięte jej duchem dogłębnie, że wprost uwierzyć trudno, że cały ten nalot germański liczy sobie nie więcej, jak sto lat.

Ostateczna germanizacja miast dokonała się później, niżbyśmy przypuszczali, bo dopiero w pierwszej połowie XIX wieku. Korespondent poznańskiego „Tygodnika Literackiego" z r. 1842 Anielewski, przeszedłszy pieszo „od Opola traktem na Strzelce, Toszek, Pyskowice, Gliwice... Bytom, Dobrodzień, Ozimek na powrót przez Opól do Brzegu" stwierdził, że lud nawet nie wie po większej części, jak się najbliższe miasteczka nazywają po niemiecku, a w tych miastach dostrzegł „język już więcej mieszany: klasa niższa, wyjąwszy przychodniów, mówi

Radzą sobie przy choince o tym, co ich boli, a ze ściany patrzy Karol Miarka, żarliwy bojownik o prawo polskie Śląska

Dom robotniczy w Zabrzu

Boże Ciało w Bytomiu ok. 1909 r.

wyłącznie po polsku... możniejsi obywatele posiadają wprawdzie obydwa języki, lecz i w nich poznasz Polaka, urzędnicy zaś prawie ogółem po niemiecku". Józef Lompa informując prasę warszawską w latach 1850—1860, podawał jeszcze całe wiązanki wiadomości z życia resztek polskiego kupiectwa i mieszczaństwa w Bytomiu, które ongi w kołyskach kutych ze srebra wychowywało swe dzieci i brało się nie na żarty za łby ze swymi proboszczami, o czym taki ślad został w literaturze popularnej, miasta śląskie opisującej:

Kiesi Bytoń pływał w strzybrze
Teraz każdy na nich bibrze
Że farorza utopili
Błogosławieństwo pozbyli.

To była bardzo dawna i ponura historia, o zamordowaniu księży bytomskich w r. 1365, zaświadczona dokumentami pisanymi. W kamieniu natomiast uwieczniono inną zbrodnię z nowszych czasów. Przy ul. Piekary 70 w Bytomiu do niedawna jeszcze znajdowała się tablica z następującym napisem:

18—08/
Matias/Spiera
Tu jest/Zabiety/
Dnia 30/
czerwz/
ca/Roku 1808.

Stało się tak, że owemu Spierze, orzącemu swój zagon, ukradziono konie, wóz i narzędzia rolnicze, po czym jego samego utrupiono. Miejsce zbrodni upamiętniła rodzina zdaje się obeliskiem, z którego tablica znalazła się później na frontonie kamienicy, po czym schowano ją dokładnie w zbiorach bytomskiego Muzeum. W ostatnich też czasach znikły z krajobrazu Bytomia prastare drewniane bramy zagrodowe, ustępując posłusznie wobec prawa urbanizmu, i znikły dwujęzyczne napisy ze sklepów i aptek, pod naciskiem administracji.

W Koźlu do końca 18 wieku utrzymała się w mieście uroczystość ludowa (zaswojona w związku z fałszywą ludową etymologią nazwy

miasta); oprowadzano po mieście kozła przybranego wstążkami i strącano go z wieży koło bramy raciborskiej. Postępującą zagubą Koźla martwił się Lompa już w r. 1862, pisząc do Kraszewskiego: „W Koźlu traci się polski język. Zapomnieli tam, że Koźle król polski założył, kiedy ze Zbigniewem walczył... Potrzeba cierpliwości... mało było, żebym nie był kosturem w koło uderzył". Lepsze natomiast wrażenie uczyniły na nim w tymże czasie Gliwice, gdzie lud mówi „dosyć dobrze po polsku", a tylko napisy na szyldach, polskie obok niemieckich „zrażają ortografią, brzmią bowiem: „Skupienie starego żelaza" — „Sprzedej śkła" — „Tu som rużne tronki do dostania".

Gliwickie „dziewice i żony" mają dobrą markę w historii. Legenda przypisuje im, że czasu wojny 30-letniej uratowały miasto od Szwedów. Już się bowiem niecni Szwedowie „na mury wypinają, tusząc sobie iż panami będą miasta — już krzykają. Aż tu oto niespodziany, na łby leci war jaglany". Ujął tę historię w rymy ks. Stabik, proboszcz michałkowicki, rymopis i literat usilny. W jakim stopniu wersja jest autentyczna, niewiedzieć, motyw obrony za pomocą kaszy gorącej nieraz występuje w literaturze n.p. w „Obronie Sokołowa" wschodniego galicjanina Morgenbessera.

W roku 1847 ujrzał Wincenty Pol w Gliwicach pierwszy raz cud kolei żelaznej, zadowolony z niej w przekonaniu, że „panorama widoków z kolei żelaznej zastąpi czynność fantazji, bo z nich utworzy się w duszy zbiorowy obraz kraju". Natomiast Balzac wcale niekontent był z Gliwic, gdy tędy przejeżdżał w tym samym roku w drodze do Wierzchowni: „Gliwice jest to małe miasteczko, z którego odjeżdża dyliżans wprost do Krakowa. Boże miłosierny! Te okolice usprawiedliwiają najzupełniej myśl owego żołnierza francuskiego, który prowadzony tamtędy, wykrzyknął: „I ci ludzie nazywają to ojczyzną"! Co za gospody! Co za kuchnia! I ten straszliwy sposób podawania! Mięso jest tu tkaniną z grubych sznurów. Myślisz, że jesz, krajesz konopie, które ci

Bytomiacy pod Babią Górą

„W Opolu zegary smutnie biją,
Bo mi odmówili moją miłą!"

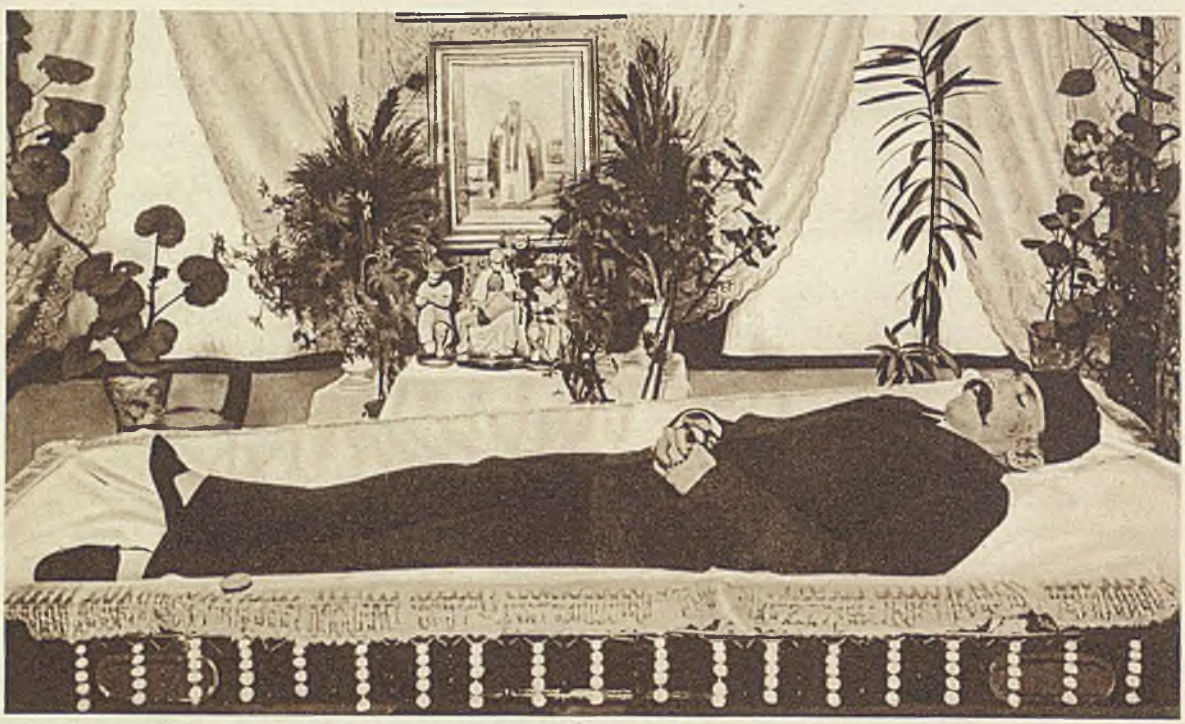

Górnik bytomski na marach

zostają między zębami i w końcu masz w ustach pakiet niestrawnego włókna; ale kosztuje to szalone sumy".

W mieście Opolu w tym czasie było o wiele lepiej. Pod względem aprowizacyjnym rozumie się. Rzeźnicy celowali w przyrządzaniu wieprzowiny i prowadzili nią handel rozległy, a ulicami rozbrzmiewała piosenka: „W Opolu mięso wieprzowe i w kuchni zawsze gotowe". Słyszał ją w r. 1886 jeszcze staranny, niesłusznie zapomniany monografista Śląska „słowem i ołówkiem przedstawionego", Wł. K. Zieliński. Przybył wszakże do miasta już po zachodzie jego polskości („w rządzie, sądzie i szkole nie usłyszysz innego języka, jak tylko niemiecki, napisy wszystkie na znakach sklepowych, nazwy ulic i placów są tylko niemieckie, a mieszczanie głęboko przeświadczeni, że Opole to odwieczne staroniemieckie miasto").

O cały wiek przedtem podróżnik Zimmermann stwierdził stan wprost przeciwny: „Język w mieście jest polski i niemiecki, jednak polski jest dotąd jeszcze językiem panującym". Więc aż stu lat usilnej pracy trzeba było, aby tubylczą polszczyznę wyprzeć na peryferie miasta i do okolicznych wiosek, które okalają stolicę prowincji szerokim pasem swojackiej mowy, pacierza i myśli.

Przypatrzmy się z kolei warunkom w jakich żyje i pracuje wieśniak opolski.

Warunki przyrodzone są bardzo rozmaite. Najlepsze na zachód od Odry, w powiecie prudnickim i raciborskim, ale przede wszystkim w okolicach Głupczyc, Nyssy i Grotkowa, obecnie już zaludnionych przez Niemców. Pewne wyobrażenie da nam wymiar podatku gruntowego oparty na ich szacunku. Jeżeli dochodowość pól ornych w powiecie opolskim przyjmiemy za 100 otrzymamy:

w powiecie głupczyckim	315
„ nyskim	242

w powiecie grotkowskim 238
„ prudnickim 223
„ raciborskim 207

Im dalej na północo-wschód Opola, tym bardziej dochodowość się zmniejsza. I wynosi już:

w powiecie bytomskim 116
„ strzeleckim i gliwickim 96
„ zabrskim 88
„ oleskim 81

Lasy obejmują na Śląsku Opolskim obszar 265 tysięcy ha, t. j. 28% całej powierzchni. Powiaty zachodnie, zniemczone, mają lasów mało (od 3—9%) natomiast poważny odsetek przedstawiają one w innych stronach Opolszczyzny. I tak w samym

powiecie opolskim . . . . . 44·7%
„ oleskim. . . . . 43·4%
„ strzeleckim 37.8%

Lasy te należą jednak do wielkiej własności, w 1/3 części do latyfundiów ordynackich, których obszar powiększył się wydatnie w ciągu XIX wieku kosztem wyzutego z ojcowizny chłopa polskiego. Wszystkie te latyfundia są w ręku niemieckim. I dalej równając ku dołowi nie znajdziemy już niestety Polaków w ziemiaństwie, wśród własności średniej (ostatni wynieśli się po wojnie, odpowiednio odszkodowani przez rząd niemiecki). Dopiero poniżej 20 ha gruntu zaczyna się żywioł polski. Można przyjąć, że prawie wszyscy rolnicy tej kategorii to Polacy. Cyfry statystyczne, określające procent drobnej własności w każdym z powiatów, są zarazem najbliższym sprawdzianem polskiego stanu posiadania nad Odrą. Wynosi on:

w powiecie strzeleckim 47.6%
„ gliwickim . . . . . 51 %
„ raciborskim . . . . . 59·1%
„ kozielskim 52.6%
„ opolskim 76.6%

Siedzą na tych zagrodach dziedzice tej ziemi, poświadczeni z nazwiska od wielu setek lat. („Mych sa som związany, s ziemią na śmierć na życie. Siedzimy na śmieciach ojcowskich

Górnicy bytomscy Wszechnicy Jagiellońskiej w 500 rocznicę (1400—1900)

od setek, setek lat, tukaj, jak wogóle idą nasze wspomnienia".) Kto by wejrzał w przeszłość tych rodów chłopskich, przywarłych od niepamięci do puszcz oleskich, do lessu przyodrzańskiego, rodów zrosłych z wiekową dolą raba niewolnego, znajdzie ich nazwiska w najstarszych dokumentach pisanych. Na mazurach pruskich żyją do dziś nosiciele najstarszych nazwisk polskich Przygoda, Krosta, Zawalich, Białuch, Krupa, nosiciele tylko, bo duchem już niestety często wynarodowieni — na Opolu jest pod tym względem lepiej. Tu stare rody są filarami mowy ojczystej, a w dużej mierze uświadomionymi Polakami. Nazwiska rodów tutejszych, starowieśniacze, też dźwięczą prawiekiem. Są Chrobocze, Sławiki, Rostki, Ćwiki, jest Kudełka, Krzykała, Karaś, Kapuścik, Kotula, Kwoczek, Palica, Wycisk, Zając, że chociaż te tylko uwzględnimy.

Wkorzeniają się w ziemię śląską nie tylko zagrodą swoją i twardym zachodem o zachowanie wierności swoim kilku „jutrom" (tak się na Śląsku nazywa morga ziemi) — ale i niezwykłą rozrodczością. Tuzin przychówku domowego to bynajmniej nie rzadkość w rodzinie wiejskiej. Kłopot z tym jest potem, gdy przyjdzie wszystko podchować i wyżywić. Niedawno w Grabinie na weselu zebrała się u gospodarza Augustyna sama najbliższa rodzina, w ilości 60 osób, „same dzieci i ich dzieci, a wnuków będzie razem 74". W rodzinie Kwoczków dzieci było 13-cioro a suma wnuków wynosi do tej pory 26 osób, u Gomołów 8 synów żyje i chwali Boga po polsku, u Poliwodów było 14-ścioro dzieci, z których żyje 9-cioro, w Markowicach u Gacka było dzieci 18-cioro (12-cioro żyje), ks. prezes Koziołek w Grabinie miał 8 braci, z których trzech dochowało się, patriarcha Lompa przez całe życie z pióra wyżywić musiał 12-cioro drobiazgu.

Ciężej jeszcze niż wieśniakom na wsi układa się życie tym, co „w ćmawych podziemiach spędzają czas"; górnicy Śląska Opolskiego, zajęci w kopalniach węgla, rud cynkowych i ołowiu, zamieszkali w okolicach Bytomia, Gliwic i Zabrza, stanowią znaczną mniejszość ludności.

Gdy na setki tysięcy liczyć można wieśniaka, górników na Śląsku Opolskim tylko na dziesiątki. Podział Górnego Śląska w r. 1922 pozostawił na gruncie Rzeszy 10 kopalń, do których przybyła potem jedenasta („Beuthengrube"), wielka i nowocześnie urządzona. Rząd niemiecki zdołał powiększyć znacznie produkcję tych kopalń (z przedwojennych 11 milionów ton do 19 milionów ton). W czasie najlepszej koniunktury (1924) zatrudniały one 57.000 górników, później cyfra ta spadła do 38.000. Z tych kilkunastu tysięcy, którzy stracili pracę, większość zapewne jej nie odzyska wobec zaprowadzonej mechanizacji w wydobywaniu węgla. W granicach województwa śląskiego rzesza bezrobotnych górników może liczyć na zatrudnienie w licznych przemysłach przetwórczych — po tamtej stronie granicy natomiast nie pozwala polityka rządu niemieckiego na rozwój przemysłu przetwórczego, aby nie sprawiać konkurencji potężnemu przemysłowi Rzeszy. Śląskowi Opolskiemu nie wolno stracić charakteru dostawcy surowca, jak kiedyś Wielkopolska mogła tylko „pyrek" dostarczać państwu — uchodzi mu tylko być powolnym rynkiem zbytu dla produkcji idącej z głębi Niemiec.

Praca przetwórcza wre natomiast w dziedzinie ducha i narodowości. Prowadzą ją na kopalniach inżynierowie i sztygarzy, element rekrutujący się wyłącznie z czynnych germanizatorów, którzy tłumią polskość górnika na każdym kroku. I często odnoszą nad nim zwycięstwo. Nie łatwo bowiem górnikowi oprzeć się woli sztygara, gdy ten zażąda, aby zapisał swe dziecko do niemieckiej szkoły, zabronił mu uczęszczać na kursy języka polskiego, a sam żeby się nie ważył wstąpić do gospody polskiej na zebranie koła śpiewaczego lub przedstawienie teatralne.

Niejedna próba germanizacji powiedzie się pod terrorem przełożonych. Ale nie wytworzy nastroju przychylnego dla niemczyzny. Górnicy bytomscy świadomi są krzywdy, jaka im się dzieje. Bezrobocie jest w śląskim okręgu górniczym większe niż w głębi Niemiec. Mówią o tym

cyfry: Na Śląsku zarobkuje tylko 37.6% ludności, gdy w całej Rzeszy odsetek zarobkujących wynosi blisko 50%! Stopień zamożności nierównie gorszy, niż gdzie indziej. (Wysokość wkładów w Kasach Oszczędności wynosi w całej Rzeszy 201,51 mk na głowę, gdy w okręgu górniczym tylko 104,34 mk. Gdy w większych miastach Niemiec tylko 9% ludności mieszka poniżej normy 2 osób na 1 pokój — w okręgu górniczym bytomskim ilość ta wynosi aż 42%!

Upośledzenie Śląska Opolskiego w stosunku do innych prowincyj Rzeszy znać na każdym kroku. Ani w dziedzinie materialnej, ani w dziedzinie duchowej nie wytwarzają Niemcy atmosfery, która by mogła odciągnąć górnika bytomskiego od jego prawdziwej narodowości. Wzięty w całości stopień uświadomienia narodowego na Śląsku Opolskim rozmaicie się przedstawia. Są dość jeszcze liczne zakąty w różnych powiatach, które się w ogóle nie deklarują. Są wsie, w których nie ma ani Polaków ani Niemców tylko „Ślązoki". Modlić modlą się po polsku, czytać czytają, jeśli coś się trafi, ale palcem nie kiwną, żeby się o swoje prawa upomnieć. Żadna propaganda z zewnątrz nie ma do nich dostępu. Doświadczyli tego i sami Niemcy. Oberverwaltungsrath Küster, czynny w latach 1896—1918 w rejencji opolskiej, biada, że trudno było zazwyczaj założyć bibliotekę ludową, gdyż „Ślązak poza modlitewnikiem i kalendarzem żadnych w ogóle książek nie czytuje, a tym bardziej niemieckich". (sicher auch keine deutsche.) W innych znów okolicach, które szczególnie ucierpiały w czasie 3-go powstania, daje się zauważyć konflikt młodych ze starymi. Co macie z waszy Polski? — mówią dzieci do rodziców. Zawrzyli was, wysmyczyli z domu, okna wybili. Trzebno wartko płacić, żeby nie stracić.

Inteligencji polskiej jest dziś zdziebko, zdziebełko małe. Na setki ją liczyć, nie na tysiące nawet. Przed wojną i przed podziałem Śląska stosunki były lepsze bez porównania. Po podziale dopiero zaczął się exodus. Pielgrzymki całe Opolan ruszyły na stronę polską

Wśród „gałęzi" w Olesnie

Wśród „gałęzi" w Gwoździanach

i tam już ugrzęzły; niektórzy musieli wyjechać skompromitowani w oczach władz niemieckich, wielu jednakże i to dotkliwie za wielu wolało zamienić „życie wytężone“ na swoich śmieciach na „życie ułatwione“ w województwie śląskim.

Exodus ten utoczył wiele krwi organizmowi ziemi Opolskiej. Mimo to nie opuszcza ona rąk. Przykładem służyć jej powinien Lwów, który do połowy XIX stulecia posiadał również bardzo skromny zastęp inteligencji. Gdy z obcego etnicznie zaplecza żadna pomoc przyjść nie mogła, uzupełnił szybko braki zdeklasowaną, rzuconą na bruk miejski warstwą ziemiańską. Na Śląsku Opolskim jest na odwrót: ziemiaństwo i miasta obce, niemieckie, zaplecze rdzennie polskie. Z niego czerpiąc może Opolszczyzna zabliźnić skałbę bolesną i uzupełnić zdziesiątkowaną — dosłownie — warstwę swej inteligencji.

Jak ul wiosenny huczy plac targowy w Opolu od szumnej mowy śląskiej

DWORZYSZCZE I ZAMEK NA PASIECE

Tyle zostało z Zamku Piastowskiego po rozwaleniu w r. 1930

Na jakieś sto lat, a może i dawniej, zanim się w ogóle zaczęła pisać historia polska, wzniesiono na Pasiece grodzisko obronne. Aby się oprzeć mogło złej wodzie i złym ludziom.

Pasieka jest to jedna z dwóch wysp, jakie pozostały na Odrze, przepływającej przez Opole dwiema łachami. Około roku 900 powstało tu wielkie osiedle, zapewne taka *civitas*, jakich dwadzieścia naliczył był już dawniej geograf bawarski w posiadaniu Opolan. Było to, można powiedzieć, miasto w naszym rozumieniu, bo składało się nie tylko z pomieszczeń mieszkalnych, ale i z warsztatów, składów handlowych i wojskowych.

Odkryła je przypadkiem zła wola. Ten sam instynkt niszczący, który w r. 1930 tryumfalnie wywłaszczył ruiny zamku piastowskiego w Opolu, natknął się, przy uprzątaniu gruzów po pracowicie rozwalonym zabytku i kopaniu fundamentów pod gmach rejencji, na dokument-metrykę tej ziemi. Dokument z woli przyrody ocalał w gruncie bagiennym, niby muszka w bursztynie.

Wyjrzało spod ziemi miasto starosłowiańskie, jak owa bajeczna, zatopiona w Bałtyku Wineta. Odznacza je niezwykła symetryczność w budowie. Ulice około dwumetrowej szerokości przecinają się pod kątem prostym, tworząc czworoboki, z których każdy mieści cztery chaty. Wskutek bagnistego, podobnie jak w Biskupinie, gruntu ulice są brukowane deskami, przytwierdzonymi do wbitych w ziemię pilonów. Obok pomieszczeń mieszkalnych można w Pa-

Kaplica Zamkowa w Opolu, której mury i gałęzie ostały się

siece odróżnić wyraźnie budowle o innym przeznaczeniu. Więc oddzielne domostwo dla kupców, coś w rodzaju hali targowej, gdzie przebywali oczekując na pozwolenie handlu po uiszczeniu opłaty składowego, jaką gród opolski ściągał z importerów. Pośrodku grodu wyraźny ślad świątyni („cerkwi" chrześcijańskiej, czy też pogańskiej jeszcze gontyny?) — wykażą badania szczegółowe, przez prehistoryków niemieckich dawno rozpoczęte, lecz dotąd nie opublikowane.

Najcenniejszą, nieoczekiwanie spod ziemi rozkrzyczaną zdobyczą wykopaliska jest zdecydowanie słowiański typ jego chaty. Na czymże polega jej słowiańskość? Chata opolska budowana jest na zrąb z belek, kładzionych poziomo w czworobok (4.40 / 4.40 m), tą samą sztuką ciesielską, jaka od epoki wczesnohistorycznej przetrwała na Śląsku do dziś, a imponuje swym kunsztem w budowie drewnianego kościółka, który z jej wzoru wyrósł i trwa. Materiałem budowlanym była sosna, dąb i brzoza, obrabiane przy pomocy siekier i klinów bez użycia nieznanej jeszcze zdaje się piły. Chata przeważnie jednoizbowa około dwumetrowej wysokości posiada podłogę z grubych desek, jako że grunt jest grząski, a na podłodze zwykle w tym miejscu nieco zwęglonej mieściło się w rogu izby, na pokuciu, palenisko otwarte, ułożone z kamieni. Chata była kurna bez komina, i również bez okien. O życiu jej mieszkańców wiemy stosunkowo dużo. Żywili się jagłami, jęczmieniem, rybą i zwierzyną. Mieszkali pod jednym dachem z chudobą i wraz z nią załatwiali naturalne potrzeby na miejscu, choć są również ślady oddzielnych po-

Reszki chaty słowiańskiej wczesno-historycznej na Pasiece

Palenisko kamienne na środku chaty w Biskupinie w Wielkopolsce

Chata opolska musiała być podobna do swej prababki z Biskupina (2000 lat przed Chr.)

Zamek piastowski w Opolu...

mieszczeń dla większych stad bydlęcych. Sypiali na łóżkach skórami okrytych. Nosili trójkątne, dziś jeszcze u Słowian bałkańskich modne, buty z miękkiej skóry, nawet wymyślne, bo wyszywane kolorową nicią. Potrzeba zdobnictwa przebija wszędzie, nie tylko w przedmiotach zbytku, ale i w codziennych; nogi u łóżek ornamentowane. Przedmioty codziennego użytku świadczą o dość wyrobionej stopie życia i zręczności rękodzielników. Wśród broni zwracają uwagę łuki z drzewa cisowego.

Ciekawe było by porównanie: Opole-Biskupin, już choćby z tego względu, że tu i tam podobne założenie budowy miasta: walka z gruntem wilgotnym i naporem wody. Zaznaczmy, że różnica w czasie jest duża: okrągłych 1500 lat, o które Opole jest młodsze od Biskupina. Na pierwszy rzut oka obserwujemy pewne różnice w sposobie budowy domów (w Biskupinie na łątki, na Pasiece na węgieł). Obywatel biskupiński z przed 2 i pół tysiąca lat był wybredniejszy od Opolanina przed tysiącem lat. Musiał mieć chałupę z przedsionkiem.

Osada na Pasiece istniała do końca XIII wieku, sięgając nieznanymi dziejami swymi głęboko w dobę historyczną. Pewnego dnia Odra prawdopodobnie zniechęciła mieszkańców jakimś wylewem sowitym do dalszych wysiłków, a szczupłość miejsca na wyspie

...tak wyglądał za czasów Jana Kazimierza...

Tak w połowie ubiegłego stulecia...

kazała przenieść się na prawy brzeg Odry. Z „Pasieki" na „Górkę". Tam stanął zamek kasztelański i najstarszy kościół opolski pod wezwaniem św. Wojciecha, o którym legenda mówi, że zbudował w r. 985 pierwszą kaplicę chrześcijańską na Pasiece. I tak wciąż w Opolu krążymy wokół najstarszych postaci i zagadnień wczesno-historycznych.

Za czasów polskich, w początkach 13-go stulecia kasztelania opolska była instytucją potężną, o 60 grodach. Wiemy, że wówczas nad miastem *(oppidum)* panował zamek *(castrum)*, siedziba kasztelanów. I wiemy też, że w r. 1228, z rozkazu ks. Kazimierza Opolskiego, ostrokół drewniany, otaczający kasztelanię na Górze, ustąpił miejsca murowi obronnemu. W fundamentach wieży do dziś istniejącej mieściło się w lochu podziemnym więzienie; niedawno znalezione szkielety ludzkie z resztkami łańcuchów świadczą, że była wieżą kary głodowej. W tej wieży jęczał w okowach sławny wójt krakowski Albert, organizator zamachu stanu przeciw Łokietkowi na rzecz Jana czeskiego, luksemburczyka. Po pięciu latach kaźni (1312—1317) zdołał wykupić się i uszedł do Czech, gdzie mu się zmarło nędznie.

Książę Jan Kropidło, chcąc się czymś przecie upamiętnić grodowi opolskiemu, który zdaje się rzadko miał szczęście gościć go u siebie, zapisał w r. 1421 fundusz wieczysty, iżby

A tak wygląda obecnie!...

Najstarszy kościół w Opolu („Na Górce")

Z obelisku marmurowego ostatniego Piasta opolskiego została tylko tablica na ścianie kościoła

powstawały w Opolu budowle murowane, niesłychanie trwałe, ale też nieforemne i ciężkie, bo każda z nich wsparta być miała o potężny słup narożny dwułokciowej szerokości.

W miarę rozrostu miasta, rozwijającego się i poszerzającego przez całe stulecie czternaste, zachodzi potrzeba nowych przenosin. Siedziba grodu wraca tam, gdzie była przed wiekami. Z Górki na Pasiekę. Podobno w r. 1426 stanął nowy zamek, który miał istnieć równo pięćset lat. Nowy kasztel witał Jagiełłę, jadącego w tym roku do Wrocławia, a nie miał zapewne szczęścia oglądania Konrada Wallenroda, bo wielki mistrz krzyżacki, układający się z Opolczykiem o rozbiór Polski Jagiełłowej, zmarł w r. 1393 w Malborgu na „tak gwałtowną gorączkę, iż ostatnich sakramentów przyjąć nie był w stanie".

Gęsty starodrzew dębowy porastał w stuleciu renesansu wokół nowego zamku na Pasiece. Murowaniec potężny składał się wówczas z korpusu głównego, dwupiętrowego (była tam, wymieniona w inwentarzu współczesnym, „sala wielka", były komnaty sklepione, alkierze itd.); ku południowi wznosił się budynek zwany „izbą ziemską", dalej dom wdowi, przeznaczony dla pań krwi wysokiej, dożywających tu na „wycugu".

W r. 1532 zamknął oczy w nowym zamku Jan Ostatni, książę na Opolu i Raciborzu, z Piastów opolskich ostatni, równie mądry jak bezsilny. Ostatniego z Piastów uczciło Opole odpowiednio. Na środku kościoła parafialnego stanęła tumba pamiątkowa, wielki czworościan

z marmuru; tablica na nim głosiła, jako 27 marca 1532 zmarł książę ostatni: *Deo et hominibus pietate et beneficentia bene meritus.* Z czasem jednak, gdy grobowiec zaczął kłuć oczy niektóre, rozebrano go, marmury wprawiono w posadzkę, tablicę zaś schowano w kącik, w ubocznej kaplicy św. Trójcy. Po Janie Ostatnim zagarnął cesarz Ferdynand zł 600.000 w gotowiźnie, nadto wiele kosztowności oraz 77 wielkich hakownic, 57 żelaznych i mosiężnych hakownic, 260 oszczepów, nawet 14 form do odlewania broni palnej. Po tak dokładnym wyrabowaniu mało kto troszczył się o zamczysko, hetmaniące krajowi; przerzucano bezpańskie murowadło z rąk do rąk. Wazowie polscy — od Zygmunta poczynając — tyle dbali o zamek, co o cały Śląsk. Zostawili Opole na łasce losu, wojny 30-letniej i habsburskich szacherek. Goszczą w fortalicji to cesarscy, to sascy, oblęgają, reperują, znowu rozwalają.

W r. 1645 król polski Władysław IV, otrzymawszy Opole i Racibórz w zastaw od cesarza, pyta o aktualny stan zamczyska. Meldują mu, przesyłając opis i wizerunek, że jest marny: komnata sklepiona uszkodzona bardzo niebezpiecznie, mury wszędzie porysowane, „w izbie, którą zowią ziemską, gdy ją starosta krajowy odnowić pragnął, mur zapadł się w całości, *item* podwoje zamkowe znacznie uszkodzone zwieszają się ku przekopowi".

Przez lat dziesiątek rujnowane zamczysko nie kusiło zdaje się ani Władysława IV ani żony jego Marii Ludwiki Gonzagi, a czas wojen szwedzkich i kozackich nie sprzyjał myślom o remoncie starych budowli. Jak przedstawiała się mieszkalność kasztelu na Pasiece w najgorszym roku Potopu (1655) trudno sprawdzić; Jan Kazimierz schroniwszy się na Śląsk zamieszkał od razu u żony, w niedalekim Głogówku. W Opolu stanęło kwaterą 173 ze świty i rycerstwa. Tu urzędować rozpoczęła kancelaria królewska. Stąd wychodziły pisma państwowe. Do Opola konwokował Jan Kazimierz senatorów i szlachtę na dzień 19 listo-

Ratusz w Opolu z piękną wieżą renesansową

pada 1655 i wraz z prymasem ogłosił uniwersał do wszystkiej szlachty polskiej, aby się gromadzili jeden do drugiego i, nie opuszczając okazji, Szweda gromili. „My tymczasem od przyjaznych monarchów posiłki ściągamy i woysko pieniężne zaciągamy". 18 grudnia w dzień sobotni, w orszaku 300 ludzi, ruszył Jan Kazimierz z Opola w głąb Polski z powrotem.

Orły napoleońskie, gdy je ks. Józef przywiódł na Śląsk, zastały zamek piastowski w odnowionej szacie i nowej służbie. Zagnieździła się tu rejencja prowincji. Ona też w r. 1930 wydała wyrok śmierci. Delikwent stawił czoło mężnie, milion marek kosztowało wykonanie wyroku. A gdy już nie został kamień na kamieniu, wyniknęło spod ziemi świadectwo drewniane.

WŚRÓD PIASTÓW ŚLĄSKICH

Jan Matejko: Konrad Głogowski, syn Henryka Pobożnego († 1274)

U góry: Władysław Herman, Bolesław Krzywy, Bolesław Wysoki na fasadzie zamku w Brzegu

Chętnie podkreślał i mile słyszał Fryderyk, zwany przez Niemców Wielkim, gdy w nim witano nieodrodnego potomka Piastów. Była w tym wdzięczność za ich dążności odśrodkowe, był akt uznania za to, że (jak się wyraża historiografia niemiecka) „Śląsk stał się za ich sprawą klasycznym nieledwie przykładem pokojowej germanizacji przez piastowski dom książęcy". Prof. Geisler ujmuje te zasługi w punkty następujące: 1) zniszczyli związek Śląska z Polską, 2) zniemczyli się zupełnie na dworze cesarskim, 3) politycznie czuli się przynależnymi do Niemiec, 4) otaczali się dworem niemieckim i brali Niemkinie za żony, 5) w przeciwieństwie do Wielkopolski pozostali wiernymi Kościołowi niemieckiemu.

U nas słyszy się coś wręcz przeciwnego: mówimy o piastowskiej dziedzinie, rubieży czy ziemicy, (najczęściej i najgłośniej ci z nas, którzy o dziejach tej ziemicy wcale mało wiedzą), stawiamy tych właśnie mitycznych i mgławicowych Piastów śląskich za wzór patriotyzmu, odporu, świadomości narodowej. Jest to przerzut zupełnie dowolny, równie bezsadny w propagandzie niemieckiej jak polskiej. Nie można Piastom śląskim w średniowieczu czy w renesansie narzucać naszych pojęć i dążeń. I anachronizmem było by mówić tu o odszczepieństwie. Trzeba zważyć, że w owych czasach poczucie świadomości narodowej dopiero zaczynało się wykuwać. Zjednoczenie plemion lechickich w ramach jednego państwa i jednej dynastii dało mu początek, ale nie stało się przez to wytyczną czy nakazem powszechnie obowiązującym. Działał przecie cały szereg czynników odśrodkowych, równie ważnych: kościół, dwór księcia sąsiedniego, silniejszego, cesarz wreszcie, decydując o polityce każdego Piasta śląskiego i zrywając cieniutkie więzy uczuć łączących go z Rzecząpospolitą i wielmożnym kuzynem, zasiadającym na majestacie wawelskim.

Wawel piastowsko-królewski dopuścił się dwóch win wobec Śląska. Usprawiedliwiał je doraźny interes lub różne konieczności polityczne. Zostawiono Śląsk samemu sobie, wyłączając go dobrowolnie poza nawias państwowości polskiej. Pierwszy raz w r. 1138, gdy Bolesław Krzy-

Piastowie śląscy: Henryk Brzeski, Henryk Lubiński, Ludwik Brzeski na fasadzie zamku w Brzegu

wousty, dzieląc Polskę między czterech synów, Śląsk przeznaczył najstarszemu, Władysławowi — drugi raz w r. 1335, gdy Kazimierz Wielki, nie mogąc nieokrzepłego po świeżym zjednoczeniu państwa narażać na niechybną wojnę, zrzekł się w układzie z królem czeskim Janem Księstw śląskich na jego korzyść, kontentując się w zamian rezygnacją Przemyślidów z praw do Korony polskiej. Śląscy krewniacy Piastów wawelskich, ludzie z rzadka tylko o szerszym zasięgu, częściej mali i tępi, czasem źli, tak źli, że ziemia usychała im pod stopami — kierowali się w domowej polityce zagranicznej wedle busoli Polski: mocnej i mocarstwowej lub słabej, miałkiej, nieatrakcyjnej. Brak silnej więzi państwowej forytował politykę rozdrobnień i podziałów. Mnożyli się i drobnili. Wskutek niezwykłej, a na Śląsku zwyczajnej, rozrodczości jedność terytorialna Śląska zanikła w średniowieczu. Nieszczęsny kraj rozpadł się w XIV w. na siedemnaście lilipucich księstewek, często niewiększych od dzisiejszych powiatów, a rzadko sięgających rozmiarami średniego województwa. Prowadziło każde z nich własną, domową politykę, na krótkim toporzysku. Wyniszczano się wzajem w walkach, najazdach i przebiegach wzajemnych. W ciągu krótkiego nieraz czasu zmieniały się granice i szanse jak na szachownicy.

Dla przykładu weźmy księstwo opolskie. W r. 1246 dzięki zręcznej polityce terytorialnej potrafiło ono rozszerzyć swe granice aż do Tyńca pod samym Krakowem — a w pół wieku później (1290) rozpadło się na cztery dzielnice: cieszyńską, bytomską, kozielską, opolską i raciborską, za czym władcy tych państewek automatycznie utracili wszelkie znaczenie.

Usunięci wówczas w cień książęta opolscy nie prędko mieli się podźwignąć. Odczuwali boleśnie skutki przejścia pod obce panowanie, czuli się strasznie rozgoryczeni, gdy ich odsunięto od sukcesji raciborskiej, na czym poniosło klęskę piastowskie prawo dziedziczenia, wzmogli się nieco, odzyskując księstwo kozielsko-bytomskie.

Koleje czterech wieków historii Śląska poznać można z bliska w ogromnym, zbiorowym wysiłkiem mediewalistów polskich opracowanym tomie, wyd. w r. 1933 przez Polską Akademię

Z legendy obrazowej o św. Jadwidze (w. XIV):

Stroje uroczyste dworzan śląskich, m. i. rękawy zwane „psie uszy"

Pisarz dworski z pergaminem i stylusem

Umiejętności pt. „Historia Śląska od najdawniejszych czasów do r. 1400". Tom I i III (1936).

Z pomiędzy indywidualności władczych i umysłowości twórczych, jakie się wysuwają na czoło olbrzymiego zasobu spraw politycznych, wojen, układów i rozbojów, omówionych w tej księdze — wyróżnić trzeba Władysława Opolczyka (1356—1401), za którego rządów Opole doszło do wysokiego stopnia rozkwitu. Władysław Opolczyk, szwagier Karola IV, króla Czech, przezeń popierany, odegrał wybitną rolę w dziejach Polski i Węgier. Znacznie wyrastający ponad poziom przeciętnego Piasta z linii śląskiej, ambitny, zdolny i ruchliwy umiał rozszerzyć Opolszczyznę wielu nabytkami. Młodość spędził na dworze Ludwika węgierskiego, gdy zaś ten wstąpił na tron, dostały się energicznemu Opolczykowi rządy na Rusi Czerwonej, która wiele zyskała wówczas pod względem gospodarczym. Wielkorządca ziemi lwowskiej nie zaniedbywał jednak Odry dla Pełtwi. Na Śląsku stworzył poważną potęgę, która wnet jednak upadła skutkiem ryzykownej polityki Opolczyka w Polsce. Udało mu się pozyskać przyjaciół i lenna wzdłuż całej granicy Rzeczypospolitej. Gdy Polska domagała się energicznie zwrotu posiadłości lennych, Władysław w porozumieniu z Zygmuntem Luksemburskim próbował zamachu na zamek krakowski. Przytrzymano go w. czas i odesłano pod strażą do Jagiełły w Mogile, który darował mu winę z tym, że jego córka poślubi Aleksandra Wigurda, a zięć otrzyma Kujawy i Dobrzyń. Chytry matacz jednakże sprzedał w rok później te ziemie Krzyżakom, na co córka jego „śmiejącą ustą, sercem wesołym i naleganiem pożądliwym przyzwoliła". Gotówkę od Zakonu w kwocie 50.000 dukatów węgierskich przywiózł Opolczykowi nie kto inny, jeno Konrad Wallenrod, któremu wdzięczny „herczog Ladislav von Opul" przedłożył plan jeszcze dalej idący, bo projekt detronizacji Jagiełły i rozbioru Polski, wszelako te zamysły dzięki Grunwaldowi gruntownie spaliły później na panewce.

Bratanek Opolczyka, Jan Kropidło, później biskup Kujawski, („Grapidlo", jak go piszą akta krzyżackie) wdał się w stryjca, bardziej może odeń rozwiązły, a pozbawiony szlachetniejszej kultury duchowej. Prowadził on dość chytrą politykę wobec Jagiełły, Luksemburczyka i Zakonu. W wojnie polsko-krzyżackiej usiłował zachować neutralność, nie deklarując się. Na wypadek akcesu do Krzyżaków obawiał się zemsty Jagiełły (zajmie mu dobra, strąci ze stolicy biskupiej, ogłosi zdrajcą?). Ale i Krzyżacy uczynią podobnież. W rezultacie obwołano go traditorem w obu obozach: pod Malborgiem i u Jagiełły. Gorzej jednak, że tu i tam zarzucano Kropidle różne inne zbrodnie, kradzieże, morderstwa, torturowanie niewinnych ludzi. Najnowsze badania historyczne przyznają mu wszakże, że mężnie odpierał zakusy teutońskie na pomorską część diecezji włocławskiej.

Dzikości Piastom opolskim nie brakło. Niektórzy z nich lubowali się w bestialstwie. Znamienny jest np. Wojciech, książę na Opolu, który użyczając dominikanom w Imielnicy atrybutów władzy sądowej w r. 1361, wylicza dokładnie, (szczegół po szczególe wbrew zwyczajowi przyjętemu w dokumentach): „Klasztor posiadać będzie wszelką władzę i możność sądu, jako to: wieszania, ścinania, kaleczenia, odcinania różnych członków, pozbawiania światła oczu, grzebania żywcem, sądów bożych na miecze, na kije, oraz wszelkich innych rodzajów tortur" (Codex dipl. Silesiae II. 90). Albo gdy w sąsiedztwie Opola dwaj Henrykowie, głogowski i wrocławski, wadzą się o dziedzictwo w końcu XIII wieku. Udało się wreszcie Głogowczykowi podstępem porwać Wrocławczyka. Nie zachował się jednak wobec więźnia „po ludzku — pisze ze zgrozą kronikarz — jak na stryja przystało, lecz jako tyran barbarzyński... Zamknął go bowiem w klatce żelaznej, wąskiej, niskiej, ciasnej. W tymże pudle *(in eo vase)* przecierpiał pełnych sześć miesięcy skurczony, bo ani siedzieć prosto, ani leżeć niesposób mu było". Dopiero wówczas

Posążek św. Jadwigi Śląskiej z Dąbrówki Wielkiej

Jan Matejko: Władysław Opolczyk (1356—1401)

i jego pieczęć majestatowa

zgodził się Henryk wrocławski „dobrowolnie" nie tylko na żądane poprzednio ustępstwa terytorialne, ale dołożył jeszcze Kluczbork, Byczynę, Gorzów, Namysłów i Oleśnicę.

Nie można ryczałtowo nazwać Piastów opolskich już w średniowieczu zgermanizowanymi pod względem mowy i obyczaju. Wielu z nich w ogóle nie znało języka niemieckiego jak np. Ks. Mikołaj Opolski († 1497, por. Script. rer. sil. XII. 136), inni, słabowolni ulegali natarczywym wpływom napływowego kleru klasztornego, który był niemiecki w przeciwieństwie do tubylczego świeckiego.

W ogóle rozwój i fluktuacja pierwotnych stosunków narodowościowych należy do zagadnień słabo dotychczas zbadanych. Nie są wyświetlone zmiany, wprowadzone przez kolonizację niemiecką po napadach tatarskich w ciągu XIII stulecia — „Zdani jesteśmy w tym wypadku — pisze dr. K. Piotrowicz — albo na nic nie warte domysły, albo prace uczonych niemieckich, dla których zagadnienie kolonizacji na prawie niemieckim jest jednoznaczne z imigracją niemiecką na Śląsk do lokowanych osad, którzy szlachtę i duchowieństwo śląskie gotowi są uważać w całości za niemieckie już w XIII wieku", a którzy — dodajmy jeszcze od siebie — zatroskali się bardzo na widok wspaniałych wyczynów rzemiosła polskiego, jakie w wykopaliskach opolskich zadają kłam twierdzeniu, jakoby Niemcy dopiero wprowadzili rzemiosło do Polski!

Tymczasem Śląsk odszedł pod zwierzchnictwo Czech. Ciężki błąd Kazimierza W., uczyniony pod naciskiem chwilowej konieczności, powoli przenikał w świadomość rozumniejszych. Wyraz ich trosce daje ojciec historii polskiej, Jan Długosz, który pod r. 1466 notuje w pełnych uczucia słowach: „Szczęśliwym mienię siebie i współczesnych, bo oczy nasze oglądają ziemice ojczyste w jedną całość połączone. Ale jeszcze szczęśliwszym czułbym się, gdybym za łaską bożą doczekał odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska... Z radością schodziłbym do grobu i słodziej by mi się tam odpoczywało".

Jeszcze jedno. Z imieniem Władysława Opolczyka wiąże się doniosłe w dziejach zbiorowości polskiej zdarzenie, najpamiętniejszy chyba uczynek Piastów śląskich: geneza Jasnej Góry. Zdobywszy jako wielkorządca Rusi zamek w Bełzie, wszedł Opolczyk w posiadanie cennego i cudownego już wtedy obrazu Madonny-Odigitrii, malowanej wedle podania przez św. Łukasza. Gdy przewożono w r. 1382 obraz z Bełza do zamku w Opolu, konie, stanąwszy na wprost Jasnej Góry, nie chciały ruszyć z miejsca. Zniewolony dwukrotnym widzeniem sennym książę zostawił Madonnę w Częstochowie. Zasłynęła cudami. Lud opolski, czczący ją od wieków, pątuje i dziś do Panienki Jasnogórskiej z pewną dumą. Bo to zawsze Swojaczka.

Pątnicy z Opola w drodze do Częstochowy, do Swojej Panienki

POD JEDNYM PRAWEM I JEDNĄ ZWIERZCHNOŚCIĄ Z KORONĄ

„Głowa Wawelska" (dekoracja stropu Sali Poselskiej Zamku Wawelskiego)

I

Wybierając się na objęcie rządów w księstwie głogowskim, wiedział królewicz Zygmunt (jeszcze nie Stary, choć już 36-letni), że Głogów to nie Budzyń ani Kraków. W Budzyniu żyło się altembasowo, na winie węgierskim oraz i tęgiej ambrozji duchowej, w Krakowie dłużące się oczekiwanie na koronę skracał w myncarskiej kamienicy pod Pogonią śpiew i muzyka (Wirowski grał na klawicymbale, brodaty Niemiec śpiewał o minnie czyli o miłości, Rusaki przychodzili z niedźwiedziem), a czułość Kasi Telniczanki dopełniała beztroski. W Głogowie musiało być inaczej. Tu królewicz Zygmunt uzyskał pierwszą możność samodzielnej akcji, miał okazać się władcą i sprawcą. Okazać — również od zewnętrznej strony. Pomnożono więc dwór do 70 osób. Młodzieńcy najprzedniejsi pojadą. Wierni towarzysze i doradcy mądrego Jagiellona. Rafał Leszczyński, Mikołaj Ocieski, a przede wszystkim Szydłowiecki Krzysztof. Pojedzie też Pszonka i nieodłączny kustosz żołądka Jego Królewiczowskiej Mości — Pustota. Powiększono tabor, sprawiono ozdobne proporce dla bębnistów i trębaczy, nową kolebkę wyszykowali kołodzieje krakowscy i 19 maja 1502 r. ruszono w drogę na Olkusz, Żarki, Częstochowę, potem przez Krzepice do Kluczborka, gdzie trzeci z rzędu nocleg u ks. plebana; dziesiątego dnia podróży stanął orszak w stolicy Śląska, we Wrocławiu, skąd już niedaleko do stałej rezydencji w Głogowie.

Skąd i po co znalazł się tam Zygmunt, przedostatni z Jagiellonów?

Księstwo głogowskie należało od czasów Kazimierza Wielkiego wraz z całym Śląskiem do Czech, z chwilą jednak, gdy na tronie czeskim i węgierskim zasiadł Władysław Jagiellończyk, odstąpił je bratu Olbrachtowi w zamian za rezygnację z praw do korony węgierskiej w r. 1491. Olbracht sprawił się fatalnie, jeśli wierzyć niechętnym mu kronikarzom, nie tylko nie nawiązał do dobrej tradycji

Zygmunt I, płaskorzeźba w domu krakowskim, który w r. 1514 był własnością Jana Bonara

Renesansowy portal bramy zamkowej w Toszku

rządów polskich, ale popsuł ją i źle osławił. Mając zatrzymać księstwo głogowskie tylko do czasu objęcia tronu krakowskiego, po wstąpieniu na tron nie chciał wypuścić go z rąk i dopiero w r. 1499 pod naciskiem brata po klęsce wołoskiej odstąpił rząd na Głogowie najmłodszemu bratu, właśnie Zygmuntowi.

Mając teraz do wyboru pomiędzy Opawą a Głogowem, bo oba te księstwa obejmował w zarząd, wybiera Zygmunt po namyśle Głogów. Wygoda osobista, bliskość Krakowa przemawiały za Opawą, racja stanu wskazywała tylko Głogów. Rozumie, że wypada nie tylko koniec położyć niefortunnym poczynaniom obu braci, ale że czas wielki zrehabilitować Jagiellonów i jąć się w stosunku do Śląska naprawy grubego błędu ostatniego Piasta.

Wrocław witał polskiego księcia krwi z radosną wśród mieszkańców czołobitnością. Ks. biskup wrocławski (Jan Rot), dostojnik wpływowy i możny, przysłał w porze obiedniej na gospodę swego kucharza w hołdzie z jakąś bardzo smakowitą potrawą. (I kto wie czy nie z tych czasów datuje się koncept trefnisiowski, znany na dworze polskim:

„ryba na półmisku pa wtedy nakryślę
z łaski księcia bisku- gdy mi wina przyśle".)

Sąsiadów miał Zygmunt tylko trzech. „Kazek" siedział na Cieszynie, Fryderyk na Lignicy i Brzegu, Jan na Opolu. Sam zaś poszerzył swą władzę w latach następnych, bo w maju 1504 zostaje margrabią Dolnych Łużyc, a następnie mianowany przez króla a potwierdzony przez stany „naywyższym haytmanem a sprawcą Górnego i Dolnego Śląska". Od tego czasu przewodniczy sejmom śląskim, zawiera układy z ościennymi państwami, a przede wszystkim dba o uporządkowanie kraju. Stosunki wszędzie opłakane. Zupełny nierząd, podsycany orężnymi zapasami książąt, łupiestwem drapieżnych band, buszujących po kraju bezkarnie, powódź fałszywej lub spodlonej monety, każde bowiem księstwo ma własną mennicę i robi mniej lub więcej szalbiercze interesy.

Poza tym ludność cierpi od straszliwego wyzysku ze strony duchowieństwa, które pobiera czynsze i dziesięciny z niespotykaną gdzie indziej surowością. (W ogóle dziedzice i księża grzbiecą się na Śląsku w sposób, jaki nie byłby do pomyślenia w Rzeczypospolitej!) Domagały się uregulowania stosunki handlowe i celne, a przede wszystkim szło o rehabilitację dobrego imienia polskiego, które w ostatnim dziesięcioleciu w Głogowie mocno było na szwank narażone. Szczególnie wiele tu zawinił starosta królewski, zwany Janem Polakiem, ustanowiony przez Jana Olbrachta, nieprawdopodobny zdzierca i okrutnik (1498), a przed nim jeszcze Jan z Żegania (1488).

Zygmunt, pełen świeżych, szukających ujścia sił, wziął się do roboty z niewidzianą od dawna na stolcach śląskich energią. Miarą zaufania, jakie rządy polskie w czambuł zdobyły na całym Śląsku wrocławskim, może być sąd polubowny, odbyty pod przewodem „Zydka" już w rok później, 24 sierpnia 1503. Przedmiotem sądu był spór dwóch rozjątrzonych od wieku warstw społecznych, kleru i stanów średnich, a zdarzeniem, które zburzyło spokój społeczny, dzika awantura, zakończona wyłamaniem bram miasta Wrocławia w nocy przez pięciu księży, członków kapituły. Nie byle wielmożęta należeli do składu sądu, naznaczonego przez króla czeskiego, bo książę Jan z Żegania i Jan Opolski, i Karol z Ziembicy, i pan z Raciborza. Księża awanturnicy siedzieli w wieży miejskiej wrocławskiej, wielmożni sędziowie stali kwaterą u wielkorządcy Zygmunta w Głogowie, a król czeski rozkazał 21 czerwca 1503 r. miastu, temu Zygmuntowi takie posłuszeństwo oddawać, jakby jemu samemu. Wyrok padł polubowny; księża przymknięci mają być natychmiast zwolnieni, muszą jednak odwołać zarzuty i uroczyście poprzysiąc, że będą

„Najwyższy Haytman a sprawca Górnego i Dolnego Śląska" (1502—1506)

Królowa Bona, gorliwa orędowniczka rewindykacji Śląska

odtąd miastu życzliwi. Władze wrocławskie, na wypadek pozbawienia wolności przestępców stanu duchownego, winne są w przyszłości oddawać ich sądom duchownym. Kapitule zezwala się odtąd utrzymywać poczty zbrojne dla ochrony duchowieństwa od ewentualnych zniewag i wybryków ze strony mieszczan. Tenor wyroku wydanego przez „Zydka" i „Kazka" spotkał się z ogólnym uznaniem, w księgach zapisano, że odznacza go „niezaprzeczona dążność do bezstronności".

To tylko fragment poczynań Zygmuntowych w uporządkowaniu stosunków wzajemnych kleru z ludnością. Mądry rządca położyć musiał koniec gorszącemu stanowi rzeczy, naznaczywszy konieczne rygory obu stronom i ująwszy bezprawie w stan prawny. Sprawa nie była dlań nowością, interesował się nią już w Budzyniu. Zabronił duchowieństwu szafować nad miarę klątwami, które stały się na gruncie śląskim środkiem wymuszenia na opornych płatnikach, ustanowił srogie kary zarówno na bestialskie wymuszanie danin, jak na opieszałość w płaceniu sprawiedliwych czynszów.

Wielkorządca Głogowa jął się dalej spraw handlowych i sprawił, że Głogów zespolony z Koroną zaczął poważnie konkurować z Wrocławiem, jako placówką eksportową. Śląsk począł znowu kwitnąć gospodarczo; ustał fatalny chaos walutowy od chwili, gdy Zygmunt wziął się do bicia uczciwej monety oraz przeprowadził potrzebne ugody w tej skomplikowanej materii. Mieszkańcy Księstwa i nie tylko Księstwa odetchnęli swobodniej, gdy ustała samowola bandytów. Najsrożej dawał się we znaki herszt band zbójeckich Krzysztof von Reysewitz, zwany „Krzysztofem Czarnym". Zorganizowana działalność tego raubrittera, który przez wiele lat obdzierał nie tylko kupców na drogach, ale łupił i napadał jednako zamki i oberże jak chałupy siedlacze.

Tak mógł wyglądać ów Ambroży Skliorz, mieszczanin z Olesna, który w roku 1574 wołał o swoją krzywdę!

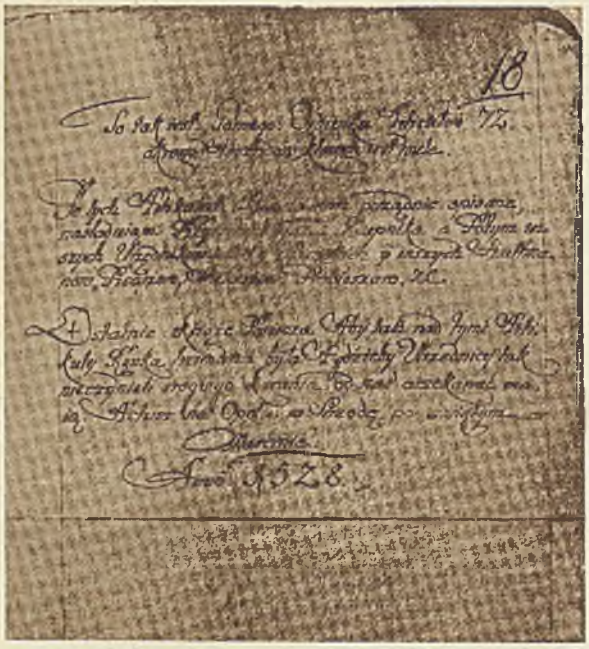

„Crdunek górny" księcia Jana Opolskiego (1528)

zawsze groźny, nigdy niepochwytny — może dać wyobrażenie o owoczesnym stanie bezpieczeństwa publicznego na Śląsku. Zygmunt, który raz omal sam nie stał się łupem 200 zbrojnych, wziął się do usunięcia naczelnej plagi bardzo energicznie i zdziałał wiele, wymógłszy np. na stanach prudnickich zobowiązanie do zaciągu dwustu lekkiej jazdy specjalnie przeznaczonej do tępienia bandytyzmu.

Już za tą ulgę szczególnie zobowiązany był Śląsk królewiczowi polskiemu i dawał temu wyraz kilkakrotny w literaturze humanistycznej. Jeden z poetów, wdzięcznym sercem sławiący po łacinie Orędownika nieszczęsnej krainy, tak się wysławiał (przekład J. M. Ossolińskiego):

Tyś nam wrócił, największy z Jagiellonów, spokój [i bezpieczeństwo.
Tobie winien kupiec, że próżen trwogi może swobodnie [spocząć
Z bogatym towarem, gdzie go albo zmierzch albo upał [słońca dopadnie.
Niewzględny na żadną zacność ani potęgę
Wziąłeś zemstę ze wszystkich potworów krwi naszej [niesytych.
Pan i sługa, dzieliwszy z sobą zbrodnie
Za twoim wyrokiem na jednym haku karę dzielą.
Za ciebie pierwszy raz zadrżał przed haniebnym drze- [wem przemożny złodziej.

Niestety! Zbyt krótko święciła się ta mądra na daleką przyszłość pomyślana praca organizacyjna. Zaledwie cztery lata. Od maja r. 1502 do 4 sierpnia 1506. Ściśle biorąc, pełno-prawne rządy Zygmunta nad Śląskiem trwały jeszcze krócej, bo mniej więcej od września 1504 r. Dowiedziawszy się o chorobie Aleksandra Jagiellończyka, opuścił „najwyższy haytman a sprawca" Głogów, by już nigdy więcej w te strony nie powrócić. 22 grudnia r. 1506 zasiadł na tronie polskim. Ślązacy nie rychło pogodzili się z myślą o utracie tak powszechnie wielbionego administratora. Na sejmie w Głupczycach (styczeń 1507) liczono się z myślą, że król polski nie poniecha funkcyj namiestniczych, wszelako w marcu tego roku poselstwo z Krakowa zawiadomiło stany śląskie, że

król polski składa rządy nad krajem, reflektując jedynie na udział i głos na sejmach książąt śląskich, co mu też zapewniono. Stosunki osobiste pozostały nadal zażyłe. W uroczystym akcie zaślubin Zygmunta I z Boną w r. 1512 uczestniczyli również książęta Bartłomiej ziembicki i Jerzy I brzeski. Opiekuństwo i orędownictwo sprawom śląskim towarzyszyły stale rządom Zygmunta Starego, z jego intencji przejęła je też niezawodnie królowa Bona, której plany (jak z badań najnowszych wynika) zmierzały do zjednoczenia Śląska z Rzecząpospolitą.

Pracę nad rewindykacją Śląska rozpoczęła mądra włoszka już w samym początku swej działalności i zajmywała się żarliwie przez lat dwadzieścia. Pierwsze projekty rewindykacji sięgają roku 1522, w r. 1527 Bona pragnie na ten cel ofiarować swe własne dziedzictwo, w r. 1544 dąży do wymiany Siedmiogrodu za trzy księstwa śląskie: Głogów, Opole, Racibórz. Gdybyż wszyscy Jagiellonowie tak uparcie i systematycznie wysilali się, jak ta spostponowana przez potomnych królowa!

I w społeczeństwie polskim myśl o Śląsku była żywa przez cały złoty wiek. Na sejmie konwokacyjnym r. 1572 w wielkim exposé politycznym dotknął tego zagadnienia Andrzej Ciesielski, podkreślając, że Habsburgowie bezprawnie przywłaszczyli sobie rdzennie polską ziemię. „Im wolno — wołał mówca — bez przeszkód i zatrudnień z naszej strony trzymać bezpiecznie ów niesłusznie zajęty Śląsk, nam zaś nie wolno posiadać bez sporów własnej i dziedzicznej ziemi pruskiej"! (do której Rzesza rościła sobie prawa z tytułu zwierzchnictwa cesarza nad zakonem krzyżackim). W dalszym ciągu Ciesielski ubolewa nad tym, że Jagiełło nie odzyskał ziemi utraconej, bo warunek wysłania 600 kopijników do Czech wydał mu się zbyt ciężkim, oraz kończył

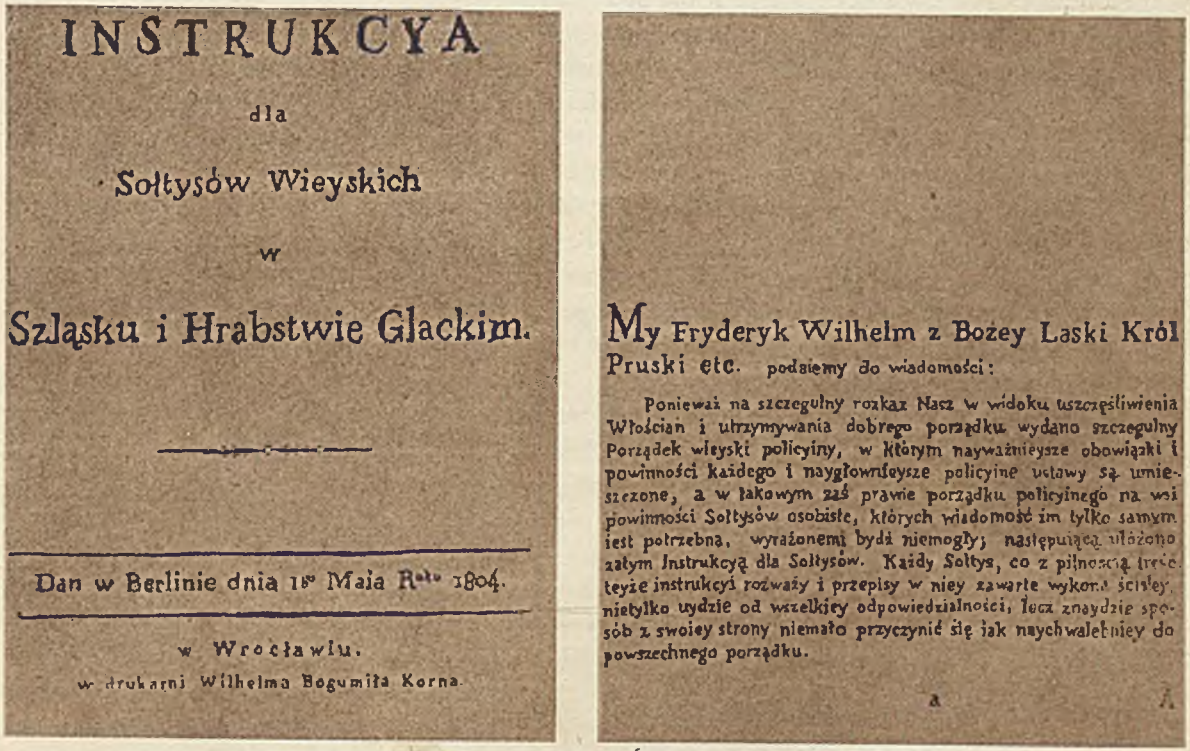

INSTRUKCYA

dla

Sołtysów Wieyskich

w

Szląsku i Hrabstwie Glackim.

Dan w Berlinie dnia 18^go^ Maia R^ku^ 1804.

w Wrocławiu,

w drukarni Wilhelma Bogumiła Korna.

My Fryderyk Wilhelm z Bożey Laski Król Pruski etc. podajemy do wiadomości:

Ponieważ na szczególny rozkaz Nasz w widoku uszczęśliwienia Włościan i utrzymywania dobrego porządku wydano szczegulny Porządek wieyski policyiny, w którym nayważnieysze obowiązki i powinności każdego i naygłownieysze policyine ustawy są umieszczone, a w takowym zaś prawie porządku policyinego na wsi powinności Sołtysów osobiste, których wiadomość im tylko samym iest potrzebna, wyrażonemi bydź niemogły; następującą ułożono zatym Instrukcyą dla Sołtysów. Każdy Sołtys, co z pilnością treść teyże instrukcyi rozważy i przepisy w niey zawarte wykona ściśley, nietylko uydzie od wszelkiey odpowiedzialności, lecz znaydzie sposób z swoiey strony niemało przyczynić się iak naychwalebniey do powszechnego porządku.

Instrukcja dla sołtysów wiejskich na Śląsku i w hrabstwie kładzkim, wydana w języku polskim przez Fryderyka Wilhelma w roku 1804

na usprawiedliwienie Jagiełły: „nasi przodkowie mieli tak słuszną przyczynę domagania się zwrotu Śląska, iż nie chcieli żadnymi pakty, żadnymi warunkami związywać się przy jego odzyskaniu".

Pewną popularność w masach szlacheckich miało hasło śląskie dzięki stanowemu ustrojowi kraju, co by zapewniało szlachcie wpływ na rządy podobny jak w Koronie, handel szedł nadto wzajemnie ożywiony, a ziemia śląska mimo upływu stu lat, błogosławiła wciąż pamięci Zygmunta Starego. Pisał wszakże w r. 1619 kasztelan poznański Łukasz Opaliński do Zygmunta III: „...a cieszy mnie i to, że tak bliskim sam Głogowian sąsiadem będąc, widzę i często słyszę, jak sobie ludzie tameczni smakują jeszcze społeczność oną pierwotną i związek jednych praw, jednej wolności, jednejże zwierzchności z Koroną, jako wdzięcznie przypominają sobie panowanie w księstwie Głogowskim dziada W. Kr. Mości, Zygmunta".

II

Krótko tylko dopełniał przedostatni z Jagiellonów obowiązków ojcowskich wobec Śląska; dłużej i owocniej wychowywała ich alma-mater krakowska. Uczą się w niej Ślązacy żarliwie i z rezultatem. Gdy tylko wytrysło źródło wiedzy pod Wawelem, zaraz w pierwszym poczcie spragnionych staje trzynastka ze Śląska, w czym dwaj Raciborzanie, a po jednym z Gliwic, Bytomia, Grotkowa, i samego Opola.

I odtąd w liście nazwisk rektorów, profesorów, bakałarzy i luminarzy coraz i coraz nawołują się hasła śląskie: Lignica! Gliwice! Racibórz! Lgota! Głogowa! Nysa! Niektórzy z nich w sposób zdecydowany i czynny akcentują swą przynależność lub miłość dla Polski. Taki Jan z Kluczborka wygłasza kazania w r. 1410, sławiące czyn Jagiełły i dziękujące Bogu za pokonanie zakonu, helenista Kasper Ursinus Velius polemizuje w początkach XVI wieku z nienawistnym Polsce poetą niemieckim Janem Hadeliusem, Maciej Franconius z Lignicy pisze hołdownicze epitafium po śmierci Zygmunta Starego (1548), że się na tych trzech przestanie. Z chwilą wybuchu reformacji i rozłamu religijnego na Śląsku ruch cały słabnie, a raczej zwęża się. „Kraków — pisze świetny historyk wszechnicy Jagiellońskiej, Henryk Barycz — który w latach 1480—1525 odegrał tak pierwszorzędną, bezkonkurencyjną niemal rolę w dziejach humanizmu śląskiego,... wybija się obecnie na plan pierwszy jako główna uczelnia wyższa dla katolickiej części Śląska. Znikają więc scholarze z Dolnego Śląska ze Zgorzelca, Lignicy, ubywają poważnie Ślązacy środkowi z Wrocławia, Brzega itd. Natomiast silnie są reprezentowane okolice Nysy, Opola, Raciborza, które nie porzuciły katolicyzmu".

Ciekawa rzecz: epoka renesansu, która na ogół tak wydatnie podwyższyła poziom kulturalny dworów magnackich i niejednego księcia udzielnego zmieniła w mecenasa — mało oddziałała na władców księstewek śląskich. Za kulisy życia obyczajowego zniemczałych książąt śląskich zaprowadzi nas dworzanin i marszałek dworu Henryka XI lignickiego, Hans Schweinichen (1552—1616), autor głośnych pamiętników. Relacja Schweinichena stwierdza, że książęta śląscy z XVI wieku przejęli z ideałów renesansowych tylko powierzchowne ujemne cechy. Spędzali czas na biesiadach i w alkowach, mało dbając o meblowanie głów. Ów Hans von Schweinichen był faktotum i Sanszą księcia lignickiego i wałęsał się z nim po świecie, między in. po Polsce, Henryk XI należał bowiem do kompetujących o koronę polską po wygaśnięciu Jagiellonów. Prawdomówny i szczery, chwilami odrażający tą szczerością jak Casanova, daje Hans obraz dzikości i rozpasania w ówczesnym życiu magnatów i książąt śląskich, obfitującym we wszystkie grzechy główne dość niewybrednej klasy. Najprzemyślniejszy oszust „łotr całą

gębą — charakteryzuje X. Godebski — na usługach człowieka, jak on bez czci i wiary, przejęty jest jednak dla swego pana instynktowną miłością i uwielbieniem". Ukończywszy zaledwie rok dziesiąty, znalazł się chłopak na dworze lignickim, o czym tak wspomina: „W kilka dni po moim przybyciu stara księżna kąpała się, a ja jako chłopiec musiałem jej usługiwać. Wtem wychodzi panna imieniem Katarzyna naga jak drąg i woła, żebym jej przyniósł zimnej wody, co mi się osobliwym zdało, jakożem przedtem nie widział nigdy nagiej kobiety. Już nie wiem jak się to stało, żem ją oblał zimną wodą, wtedy ona poskarżyła księżnej, com jej zrobił, lecz księżna roześmiała się i rzekła: Ten mój Świnka będzie dobry!"

W literaturze humaniści śląscy błyszczą świetnie. Z obfitej drużyny starczy wskazać jednego: Nyssanin Adam Schreter, autor poematu o salinach wielickich. Pisarze ci wyrażają się znakomicie w formie łacińskiej, obowiązkowej, język polski niewiele ma z nich pożytku. Żyje on i kwitnie w literaturze ludowej, bakalarskiej i mieszczańskiej, nieujawnionej dotąd. A żywotności swej i obecności daje nieustannie wyraz w języku urzędowym.

Kiedy w drugim dziesiątku XVI wieku odkryto koło wsi Tarnowice złoża srebra i ołowiu, władca tych ziem ks. Jan Opolski wydał w roku 1528 pierwszą ustawę górniczą, kładącą podwaliny prawne pod nasz ustrój górniczy. Jest rzeczą znamienną i ważną, że ustawa ta, nazwana „Ordunkiem Górnym", zredagowana została w języku polskim; tekst oryginalny dokumentu znajduje się obecnie w państwowym archiwum we Wrocławiu. Ordunek Górny składa się z 72 artykułów, pod względem prawniczym widocznie właściwie rzecz ujmujących, skoro na ich fundamencie wsparła się w nowych czasach pruska ustawa górnicza dla Śląska.

W płynnej, ubarwionej potoczną gwarą, polszczyźnie naznacza ustawodawca „wiele godzin robotnicy w szychtą robić mają, a co też tym co robiąm albo po czemu płacono być ma", „kiedy zapisy czynione będą", dalej „żeby kruszec pięknie płokali a lutrowali", wreszcie najciekawszy, bo stosunków narodowościowych wśród pracowników górnych dotyczący „sterdziesty dziewiąty artikuł". Taki: „Ponieważ na naszych górach niemieczki, czeski y polski lud, gwarcy i robotnicy sąm, narządzujemy, aby bormistrz był takowy, coby obojętną mowę dobrze umiał; do którego bormistrza mająm 4 radni panowie niemieczcy, coby też obie mowy umieli, a jeszcze zaś 4 polacy albo czescy, coby też niemieczkie umieli, przydane być maią. Któryż to bormistrz a rada wszystkie mieyskie sprawy szłyszeć a sprawować ma każdemu sprawiedliwie, złe karać a dobre obroniać".

Czyż trzeba podkreślać wymowę tego aktu, niedawno dopiero ujawnionego? Oto dynastia Piastów, na odchodnem z Opola, przez usta ostatniego swego księcia utwierdza i zabezpiecza prawa górnika polskiego w hutach śląskich. Czyni to na podziw wzorowo. Wielu podsędków i justycjariuszy w Koronie niedołężnie jeszcze władających polskim językiem urzędowym, a zbrojnych w miecze obojętne (= obosieczne), mogło by pójść na naukę do kancelarii ks. Jana Opolskiego, bo jakże staranna i z życia czerpana jest mowa Ordunku.

Nie należy jednak sądzić jakoby stylizacja „Ordunku" w języku polskim była jakimś wyjątkiem czy osobliwością. W owych czasach, przez całe stulecie renesansu i później za rządów habsburskich polszczyzna była nie tylko „mową obojętną", ale i często używanym językiem urzędowym w wielu magistratach, radach miejskich i cechach. Cały szereg na to dowodów i to z różnych okolic. Miasto Woźniki posiada najstarszą na ziemiach polskich księgę miejską, prowadzoną w języku polskim, z roku 1521. Tu należy list polski bormistrza i Rady miejskiej w Tarnowskich Górach, dalej dokument polski wystawiony w Mysłowicach w r. 1582, list polski rzeźników śląskich do krakowskich. Za przykład niech posłuży uchwała rady miejskiej w Kluczborku, w której słownictwie obserwujemy rzadkie naloty czesko-niemieckie (manżolka, erbe):

„Dan w Kruczborgu 18 dnia lipca roku 1587.

My bormistrz a rada miasta Kruczborga Jan Swinka, Marcin Czugk, Andrys Szczypiorek a Matys Erbrig wyznawamy jawnie tymto zapisem, iżeśmy... sławnemu panu Ambrożemu Hoffmanowi, rentmistrzowi a mieszczaninowi tu w Kruczborku, jego manżolce Barbarze, i jego erbom a potomkom dali a darowali sztuczkę placu na ogród wedle skotnicy, którą do Szynwalda jeżdżą... tak jako teraz płotmi zagrodzona jest za życzliwe posługi, któreto tenżeto rentmistrz pospolitemu miastu pokazował i na potomne czasy czynić a pokazować może, którą sztuczkę albo ogród będzie mógł on i potomkowie jego wiecznymi czasy dziedzicznie trzymać, pożywać, zastawić, zaprzedać, zafrymarczyć, a ku swemu i swoich erbów a potomków lepszemu obrócić jako mu się to to najlepiej będzie podobało".

Na dworach Piastów górnośląskich, którzy w wieku poprzednim, bywało, w ogóle nie znali jeszcze języka niemieckiego, w stuleciu renesansu rozmaity panuje obyczaj. Gdzieniegdzie język i obyczaj i kancelaria książęca dotrzymują wiary autochtonom. Tak dzieje się np. na dworze książąt ziembickich w Ziembicach, przezwanych później po niemiecku Münsterberg. Wyszedł ongi na jaw szczęt korespondencji prywatnej i urzędowej tego dworu z pierwszej połowy XVI wieku, odszukany przez prof. Nehringa. Pani na Ziembicach, małżonka ks. Janusza, była Szydłowiecka z domu, z owej słynnej rodziny tyle zasłużonej dla kultury umysłowej i artystycznej. Nie dziw więc, że kuzynki jej piszą listy pięknym, złotopolskim duktem. Ciekawsze, że sam książę-pan wysławia się i wypisuje najpoprawniej (do „urodzonego, nam zwłaszcza miłego" p. A. Przyborowskiego). W tymże języku korespondują z księciem poddani; Gierusza Selingowa, osierociała uboga wdowa wespołek i z dziatkami prosi o nieodwłoczną sprawiedliwość w sprawie z panem Hanusem Gaffronem zu Jannusdorf. Ale Ambroży Skliorz, mieszczanin z Olesna, wysuwa się w r. 1574 na czoło wszystkich korespondentów. Zmartwienia miał imć Skliorz wcale zwyczajne i po wiek wieków jednakie. Na braci swej małżonki uskarża się. A było to tak: „Ich nieboszczyk ociec i małżonki mojej oddał jest, będący na śmiertelnej pościeli — według porządku testamentu obesławszy sąsiady a przysiężne i tudzież po kapłana pisać takowy testament — i oddał i odkazał jest tenż ociec małżonki mojej przytomności tych sąsiadów, aby jej bracia z takowego statku ojczyzny i macierzyzny dali 100 talarów, a wuni na to nic niedbający tego jej nie kcum wydać z takowej ojczyzny i macierzyzny".

Imć Ambroży z Olesna, który tak wymownie rzecz swą wyłuszczył, żałował się już przed panem Piotrem Biskupskim, u którego owi źli bracia żyją w poddaństwie, i przed panem hjetmanem na Kluczborku — wszystko na darmo, użył więc środka ostatecznego: uciekł się „ubogi człowiek ku waszej oświeconej a najjaśniejszej kniżencej miłości, że mi... w tem raczy nie opuszczać, przez najwyższą a świętą sprawiedliwość". Czy mu ją książę Jerzy na Brzegu i Lignicy, przed którego majestat skarga była wniesiona, wymierzył, o tym akta nie mówią, bo i ten chyba cudem jakimś dochował się. A jest znowuż bezcenny, jako jedno jeszcze przedwieczne świadectwo ojczyzny i macierzyzny.

Nowi okupanci, w dwieście lat później, będą musieli, licząc się ze stanem faktycznym, wydawać w języku polskim edykta i patenty przeznaczone dla „Slonska y do niegóż przyłączonego grabstwa Kłockiego". Będzie je wydawał Fryderyk II i wszyscy jego następcy aż po wiosnę ludów. Bezwzględna walka eksterminacyjna z językiem polskim rozpoczęła się po roku 1848 i trwa po dziś dzień.

W JARZMIE HABSBURGÓW

Królowa polska, Ludwika Maria Gonzaga, „Księżna na Opolu i Raciborzu" w latach 1645—1666

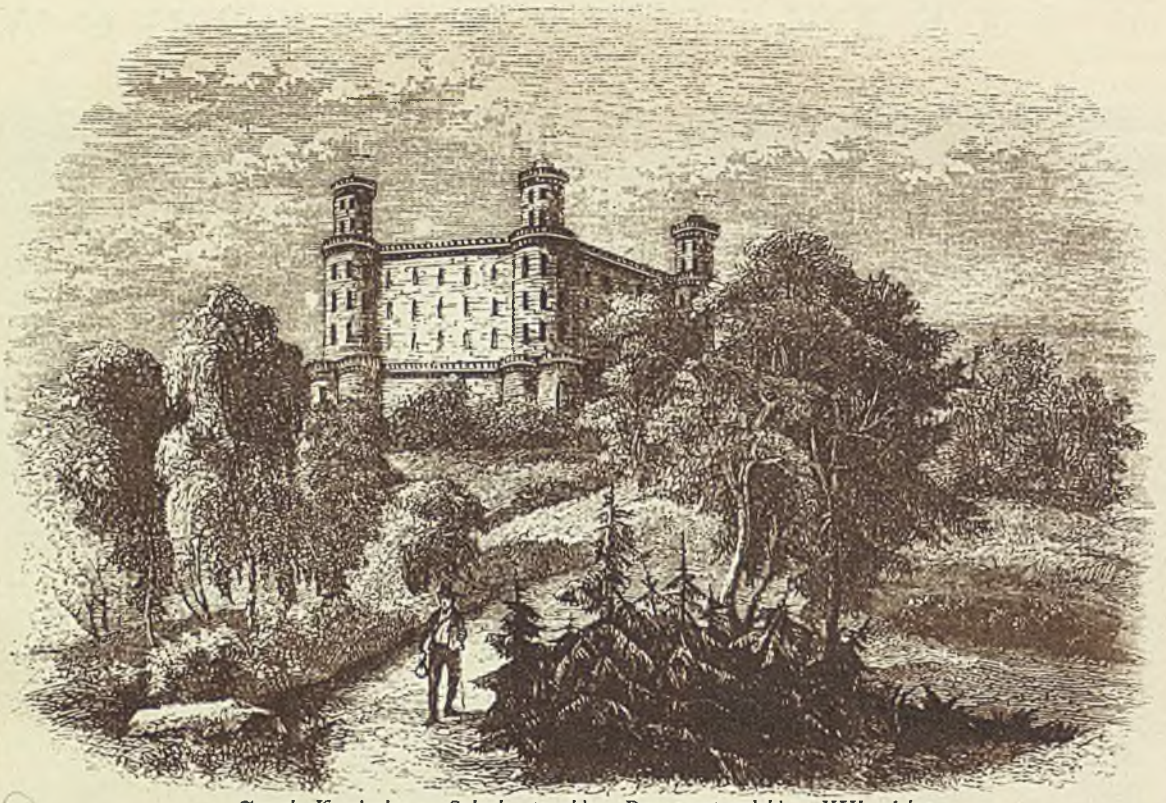

Zamek Kamieniec w Szląsku pruskim. Drzeworyt polski z XIX wieku

W trzecim i czwartym dziesiątku XVI stulecia Habsburgowie sadowią się na ziemiach śląskich mocno i żarłocznie, na przeciąg dwóch wieków. Gdy w r. 1526 Ludwik Jagiellończyk poległ w bitwie z Turkami pod Mohaczem, gdy w r. 1532 zamknął oczy ostatni z Piastów opolskich Jan — zaczęła się najnędzniejsza, zabójcza społecznie, gospodarczo i narodowo epoka w dziejach tej dzielnicy. „Cesarze rzymscy narodu niemieckiego", świadomi niesłychanej wagi Śląska dla potęgi swego imperium, trzymali się go kurczowo, wiedząc, że z chwilą utraty tej ziemi wyrzuceni zostaną jak łupina poza nawias Rzeszy. „Skłonni byli — pisze Władysław Dzięgiel — zastawiać ziemie śląskie za lichych parę tysięcy talarów, skłonni byli płacić nimi posagi swych córek, przekupywać nimi różnych Bethlenów Gaborów, ale zrzec się tych ziem na stałe na rzecz kogokolwiek nie chcieli nigdy. Śląsk można było tylko wziąć Habsburgom, ale dostać go od nich — nigdy". Zaś polityka polska tej epoki nie weszła na drogę właściwą: starała się wielokrotnie wydostać i wytargować od Habsburgów, na fakty dokonane zdobyć się nie umiała. Okazji nadarzało się szereg. Słabość Habsburgów w czasie powstania czeskiego oraz wojny trzydziestoletniej nie została należycie wyzyskana. Każdy apetyt habsburski na koronę polską w dobie wolnej elekcji, każda księżniczka z domu cesarskiego poślubiona królowi polskiemu — dawały sposobność polskiej racji stanu. Zmarnowaną. Nieustające oskomy rakuskie na koronę polską miały tę tylko dobrą stronę, że przypominały ogółowi polskiemu obowiązek wobec Śląska. Okazało się to już w czasie pierwszej elekcji, gdy cesarz Maksymilian II zabiegał o koronę polską dla swego syna Ernesta. Jeden z wyborców wołał wówczas: „Nie chcemy, by nam królował ten, co... sąsiadów naszych, Ślązaków, stanowiących z nami jedno plemię, przez dziwne i niesłychane szykany wycisnął, aż do krwi uciska i dziś jeszcze gnębi!" A inny, zwolennik

kandydatury rakuskiej popiera ją właśnie w imię racji śląskiej: „Śląsko mogłoby się nam do Korony przywrócić... Język nasz im jest zwyczajny, panowie nie są bardzo waleczni, prawieby się nam zeszli, pokoju przywykłym, a k'temu mógłby który z nich królewnę naszą pojąć?" (Pomysł był istotnie bardzo dobry: wydanie Anny Jagiellonki za któregoś z książąt śląskich, ale znowu przegapiony.)

W dobie wojny trzydziestoletniej nie umiał Zygmunt III Waza wyzyskać sytuacji. Kiedy cesarstwo osłabło zupełnie, kiedy Rzeszę ogarnął pożar wojny religijnej, w imię której książęta protestanccy wypowiedzieli posłuszeństwo cesarzowi — mógł był Zygmunt III łatwo rekuperować Śląsk. Ale nie nadawał się w zupełności na wyraziciela polskiej racji stanu. Raczej wprost przeciwnie: wspomagał austriacką, sam mając na widoku tylko interes dynastii Wazów. Gdy w czasie powstania czeskiego stany śląskie błagały przez posłów swoich, aby Polska nie udzielała pomocy znienawidzonemu Wiedniowi, Zygmunt III pospieszył przypomnieć stanom śląskim przysięgę na wierność cesarzowi, sam zaś nie tylko pozwolił wojskom cesarskim na werbunek w granicach Rzeczypospolitej, ale posłał na Węgry hordę Lisowczyków, którzy zadawszy tam klęskę Rakoczemu, zmusili Bethlen Gabora wraz z Czechami do odstąpienia od oblężonego Wiednia. Za tę walną pomoc jakże się cesarz niemiecki odwdzięczył Polsce? Oto nie ona, ale tenże Bethlen Gabor, zaciekły wróg Habsburgów, otrzymał od cesarza księstwa Opole i Racibórz. Jedynym cieniem korzyści, odniesionej przez Zygmunta III było oddanie jego synowi,

Stroje mieszczek śląskich w XVII wieku. Przerys Wincentego Kisielińskiego

„Kaplica" św. Rocha pod Olesnem

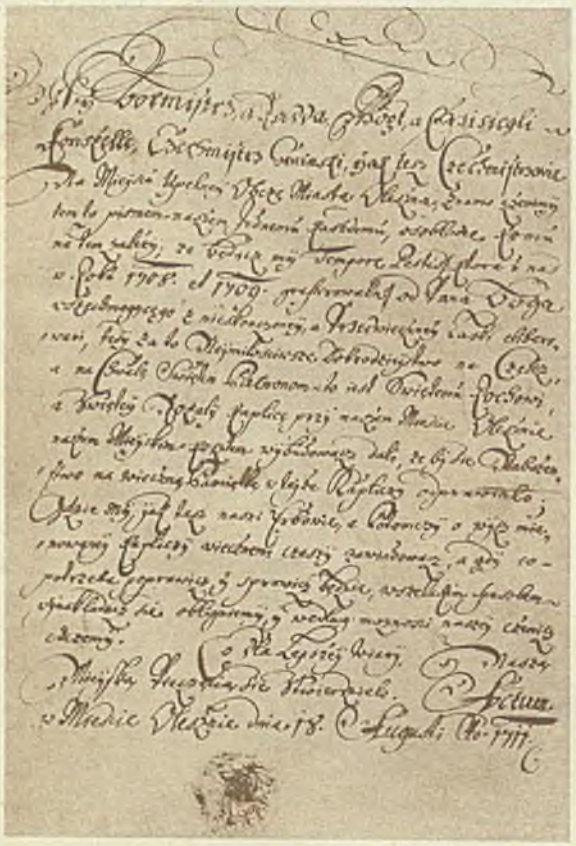

„My bormistrz a Radda... a przysięgli miasta Oleszna będąc tempore pestis, która u nas w roku 1708 a 1709 grassirowała od Pana Boga łaski eliberowani... kaplicę przy naszym mieście Olesznie miejskim kosztem wybudować dali. Actum w mieście Olesznie, dnia 19 Augusti a. 1711".

Akt fundacyjny kaplicy św. Rocha pod Olesnem

Karolowi Ferdynandowi koadiutorii wrocławskiej i umocnienie przez nią tej ostatniej, łączącej Śląsk z Polską pępowiny, jaką była zależność diecezji wrocławskiej od arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.

Gdy Zygmunt III świadomie nic wyzyskał znakomitej koniunktury i mimo zapewnień, że „na Śląsko pilne oko mieć trzeba", usuwał się zręcznie, aby nie być zmuszonym do zajęcia Śląska, syn jego Władysław IV ponawiał kilkakrotnie plany interwencji. Plany były wspaniałe, godne talentu świetnego polityka, ale związane z powszechną pacyfikacją Rzeszy po wojnie 30-letniej i z uporządkowaniem stosunków politycznych w całej Europie. Klęska ich przekreśliła znów możliwość odzyskania Śląska.

Widoki realizacji rozpoczynają się dopiero z chwilą, gdy powstał projekt małżeństwa Władysława IV z córką cesarza Ferdynanda II, Cecylią Renatą. Posłowie Władysława IV nalegali wówczas, aby księżniczka wniosła mu w posagu Opole i Racibórz, od czego się Wiedeń — rzecz jasna — bronił i sprawę przewlekał. Pertraktacje trwały przez lat osiem. Dopiero wówczas zdaje się, gdy Cecylia Renata powiła syna Władysławowi, zgodził się cesarz Ferdynand III na częściową realizację projektu. Na mocy układu, podpisanego na Zamku warszawskim 30 maja 1645 r. przez Władysława IV, oddawał mu cesarz w zastaw księstwa Opolskie i Raciborskie, na lat 50, jako hipoteczne zabezpieczenie następujących sum, dłużnych Polsce przez cesarstwo: a) 500.000 talarów z tytułu zaległych posagów trzech arcyksiężniczek Anny, Konstancji i Cecylii Renaty, b) 50.000 talarów z tytułu renty, należnej Władysławowi IV z dóbr w Czechach, c) 200.000 dukatów pożyczyć się mających koronie cesarskiej przez Władysława IV w ciągu najbliższego roku. Cesarz zastrzegł sobie wyraźnie naczelne zwierzchnictwo na tych ziemiach przez cały czas trwania zastawu. Zastrzegł sobie dalej prawo apelacji w sprawach sądowych, prawo zgody przy mianowaniu naj-

Stary kościol w Gliwicach, który pamięta i żołnierzy Wallensteina i odsieczową husarię Jana III

wyższych urzędników. Duchownym nic wolno było „wnosić z Polski nic nowego"; aby germanizacja kraju mogła się spokojnie rozwijać, zabroniono wprowadzania „nowych zwyczajów i praw". Zakaz budowy nowych a remontu starych fortyfikacyj, zakaz regulacji Odry, dla ochrony Śląska przed jej wylewami, dopełniały całości ciężkiego układu, który pozbawił Polskę istotnych znamion suwerenności w obu księstwach. Natomiast dwór wiedeński przez dwa lata zwlekał z wprowadzeniem układu w życie, tak że dopiero w r. 1647 wojska polskie obsadziły oba księstwa. W tymże roku umiera Władysław IV, więc nowa zmiana naczelnej władzy nad tułaczymi księstwami. Obejmuje ją Jan Kazimierz, zmuszony wkrótce do cesji na rzecz swego brata Karola Ferdynanda, biskupa wrocławskiego. Po tegoż śmierci w r. 1655, znowu krótkie, bo tylko dwumiesięczne rządy Jana Kazimierza, po czym „księżną na Opolu i Raciborzu" zostaje jego małżonka, Ludwika Maria Gonzaga, na której rzecz Jan Kazimierz zrzeka się 9 lipca 1655 na zamku w Głogówku nie tylko obu księstw, ale całego ruchomego i nieruchomego majątku.

Lata zastawu, które mogły księstwom Opola i Raciborza przynieść w rezultacie trwałą i nienaruszalną łączność z Rzecząpospolitą, płyną nadal w atmosferze targów, konszachtów i przebiegów, niewiele mających wspólnego z interesem Rzeczypospolitej i Śląska. Królowa Ludwika Maria, górująca nad małżonkiem energią i obrotnością w interesach, rozpoczęła od razu politykę, dyktowaną wyłącznie jej osobistym interesem politycznym. W przeciwieństwie do Bony Sforzy, która myślała stale jakby Śląsk odzyskać dla Polski, księżniczka z rodu Gonzagów przemyśliwa raczej, jakby się go w sposób najkorzystniejszy dla siebie pozbyć.

Wieża zamkowa w rezydencji Marii Ludwiki w Głogówku (powiat prądnicki)

„Kopalina", staroduwna owczarnia pod Bierdzanami

Figura św. Sebastiana w Opolu z 1680 roku

Dzierżąc już mocno w ręku Opole i Racibórz, rozpoczyna akcję przeciw cesarzowi, pertraktuje po cichu z dworem Ludwika XIV celem przeprowadzenia nowej elekcji za życia Jana Kazimierza.

Oba księstwa służą kolejno jako wabik i atut do rozmaitych celów. W r. 1662 np., zachęca się elektora brandenburskiego, aby je wziął w zamian za zrzeczenie się pretensji do Elbląga. Później wchodzi w rachubę ks. d'Enghien, kandydat do tronu polskiego. Ma on poślubić siostrzenicę królowej Ludwiki Marii, która Opole i Racibórz dostanie w posagu, przez co ułatwi pretendentowi drogę do korony. W obozie pod Lwowem, gdzie przebywał Jan Kazimierz, podpisano 30 VIII. 1663 r. umowę małżeńską, na mocy której „siestrzenica Królowej Imci", księżniczka Anna bawarska, wychodząc za mąż za ks. d'Enghien otrzymuje oba księstwa śląskie, nadto 300.000 liwrów w gotówce oraz 1.000.000 liwrów w klejnotach i kosztownościach. Ponadto Jan Kazimierz zrzeka się dodatkowo swych praw do korony szwedzkiej na rzecz księcia d'Enghien. Mimo, że najprzedniejsi panowie polscy z Krzysztofem Pacem i Jerzym Lubomirskim na czele podpisali tę intercyzę, opinia publiczna w Polsce przyjęła postępek królowej z oburzeniem. Żądano wyjaśnień, jakim prawem rzucono znów na handel szmat odwiecznej ziemi polskiej, z takim trudem odzyskany na razie w formie zastawu? Królowa tłumaczyła się butnie, że wolno jej z Opolem i Raciborzem zrobić, co zechce, są bowiem jej osobistą własnością z tytułu sum, które od niej pożyczyli obaj królewscy małżonkowie Władysław IV i Jan Kazimierz. Rachunek podpisano wszakże bez gospodarza, nie pytając przedtem cesarza, czy w ogóle udzielić zechce księciu d'Enghien inwestytury na oba księstwa. Cesarz zaś postanowił skorzystać z okazji, aby je odebrać z zastawu. Dokonało się to w trzy lata później, wśród nowej kawalkaty konszachtów, intryg, wymuszeń. Za okrągłą sumę 1.200.000 florenów, wypłaconych jako odszkodowanie niedo-

szłemu królowi polskiemu, księciu Henrykowi d'Enghien, skwapliwie i z tryumfem powrócił dom habsburski w posiadanie Śląska Opolskiego. Słabość Rzeczypospolitej oraz krótkowzroczna lub cyniczna po prostu polityka jej sterników w dobie potopu wydały go znowu na lup obczyzny.

Poszturchiwany przez wszystkich kraj — nie kraj właściwie lecz fant z rąk do rąk przechodzący — przeżywa najbardziej ponurą epokę swych dziejów. Nie zaznał — od śmierci ostatniego Piasta na Opolu przez cały wiek następny — błogosławieństwa jednolitej władzy państwowej, która by już przez samą trwałość zapewniała rozwój życiu społecznemu i gospodarczemu, przebył natomiast i sam zapłacił dopusty wojny i niewczasu.

Wojna trzydziestoletnia z lubością pustoszy bezpański kraj, znacząc swą drogę nie tylko pożogą i łupiestwem, lecz i morową zarazą, która sadowi się wraz z panowaniem Habsburgów na stałe w dziedzinach Śląska. Pozbawiona wszelkiej opieki sanitarnej ludność jedyną ucieczkę znajduje w pielgrzymkach do miejsc odpustowych oraz nabożeństwach do św. Rocha, który jest patronem zarazy. I wznosi kościółki drewniane w podzięce za wysłuchanie próśb. Na wzgórzu pod Olesnem wznosi się do dziś taki pomnik wdzięczności, jeden z wielu, przewielu.

Od zarazy, pożogi, biedarstwa uchodzi do Polski bogaty kupiec, ziemianin, zakonnik. Zostaje w domu chłop, zdany na łaskę kondotierów wojny, pozbawiony ostatnich ludzkich praw przez cesarskiego urzędnika, traktowany jak bydło przez właścicieli ziemskich. I sprzedawany jak bydło za polską granicę, na zapłacenie podatków wrocławskiej komorze.

Rząd cesarski zachowuje się obojętnie. Nic czyni nic dla podniesienia kraju z upadku, nie przeciwdziała zarazom, zagubie życia gospodarczego i ruinie. Na rękę mu to nawet. Niech będzie zdziesiątkowana ludność, która w tak olbrzymiej większości jest polską. Nie tylko na wsi, lecz i w miastach. W samym

Siedlacy śląscy przed 600 laty

„Opłakiwanie Chrystusa" z Jodłownika (powiat rybnicki)

mieście Opolu, które jako stolica obcej niemiecko-czeskiej administracji powinno było wynarodowić się szybko, stosunek Polaków do Niemców w połowie XVII stulecia przedstawia się jak 15:3. *Solitudinem facere* — oto hasło Habsburgów, którzy na długo przed reżimem Fryderyka II usilnie i systematycznie pracują nad zniemczeniem Śląska. Germanizuje się administrację komunalną, łamie się polskość kleru wyższego. Element napływowy niemiecki z krajów Rzeszy zajmuje kolejno wszystkie opuszczone i wyludnione w czasie wojny placówki. Idzie to bardzo opornie. Ślązacy bronią się zawsze do ostatka, darząc przybyszów zasłużoną nienawiścią. „Wolą zobaczyć zbliżającego się do nich psa lub diabła, niż Niemca!" — stwierdza w r. 1638 jeden z kanoników wrocławskich. Dusi się konsekwentnie wszelką inicjatywę miejscową na rzecz polskości. Przykładem losy fundacji Felicji z Cieciszowskich Stadnickiej. Z jej zasobnego legatu jezuici z prowincji polskiej zakładają na Śląsku Opolskim szereg szkół i ośrodków religijno-oświatowych, lecz po zaciekłej walce zostają wykończeni i usunięci przez ojców germanizatorów z prowincji czeskiej, szczepiących niemczyznę świadomie w szkole, z ambony i na przedstawieniu teatralnym.

Jeśli stosunkowo łatwo udało się Habsburgom przeciąć związek polityczny Śląska Opolskiego z Rzecząpospolitą, to związek gospodarczy nie dał się unicestwić tak szybko. Dyktowało go zarówno położenie geograficzne, jak struktura ekonomiczna kraju. Stany śląskie raz po raz ostrzegały cesarzy, że jedynie w związku handlowym z Polską rozwijać się może pomyślność ziemi opolskiej i raciborskiej, a rozerwanie naturalnego związku doprowadzić musi do ruiny. Manifestowała się ta dążność niezwykłym i upartym zaufaniem ludności do monety polskiej, objaw towarzyszący bez przerwy od czasów krótkich rządów Zygmunta Starego. Gdy się nie udało rządowi cesarskiemu wyrugować popularności polskich talarów i groszy, nakazał — na całe stulecie przed Fryderykiem! — bić fałszywą monetę polską, aby w ten przymusowy sposób zjednoczyć Śląsk z cesarstwem pod względem gospodarczym.

Nieco zmiany na lepsze w stosunkach gospodarczych (głównie monetarnych) doświadczył Śląsk Opolski w czasie tych krótkich dwudziestu lat przynależności do Polski. Ale nie wiele. Rzeczpospolita była rozprzężona, słaba i niezdolna do wkładów gospodarczych, a każdą próbę organizacji lub przyjścia ludności z pomocą paraliżował natychmiast rząd wiedeński. Mimo to kronikarz niemiecki Lucae stwierdza, że w czasie krótkich rządów polskich kraj śląski się podniósł, odbudował i upiększył.

I z tym większym bólem patrzył, gdy król Jan III przeszedł tylko przez ziemię śląską, bo spieszno mu było na odsiecz znienawidzonym Habsburgom.

JAN III PRZEPRAWIA SIĘ PRZEZ ODRĘ

J. H. Rosen: Jan III służy na Kahlenbergu do mszy, odprawianej przez legata papieskiego

Sztandar rycerstwa pszczyńskiego z roku 1683

Historyczny kościół w Raciborzu, w którym modlił się król Sobieski z rycerstwem polskim, idąc na odsiecz Wiednia

Wieści o „ciężkim wojsku" króla Sobieskiego, który z Krakowa na okazję wiedeńską spieszy, raczej trwogę rozbudziły na Śląsku latem roku 1683-go, niż entuzjazm. I nic dziw. W pamięci ludności żyły jeszcze niedawne dopusty wojny trzydziestoletniej, gościna żołnierzy Wallensteina i szweda, cynicznego rabusia.

Panika szerzyła się niemniejsza niżby przed Turkiem samym albo Tatarem, a uzasadniła ją poniekąd świeża bytność chorągwi marszałka Hieronima Lubomirskiego, które, dążąc również pod Wiedeń i tu się w sztuce wojennej ćwicząc, folgowały sobie do sytości. Jak to zwykle „kupy swawolne" wojska zaciężnego. Dosiewały niepokoju różne znaki niebieskie. W Strzelcach szczególnie. Raz około północy dostrzeżono tam na niebie parę ognistych rycerzy, jeden z włócznią w ręku wyobrażał niemca w pludrach, drugi w kapeluszu z pióropuszem wyglądał jakby na turka.

Kto żył tedy, unosił i zabezpieczał swój dobytek. Uciekały mniszki z Czarnowąsów i Raciborza przerażone, jako że ich klasztory leżały na samej drodze przechodu. Szczególnie husaria litewska miała złą osławę. Obraz cudowny Madonny z Pickar przeniesiono do Opola. Pałace i kościoły szukały schronów dalekich od traktu, złote aparaty, solówki z dukatami z klasztoru w Rudach posłano zawczasu do mieszkania, które miał w Brzegu proboszcz panien czarnowąskich.

Tymczasem na życzenie króla polskiego gromadzono prowiant dla olbrzymiego rojowiska ludzi i zwierząt; samego wojska było około 26.000. Rząd wiedeński umknął zmyślnie od wydatków w tej mierze, obarczając nimi Śląsk. Władze miejscowe wiedziały, że należy uhonorować monarchę, który szedł ratować chrześcijaństwo, a jadła, karmy i napitku przygotować dość, aby żołnierzy od myśli o rabunku powściągnąć. Tym bardziej, że obawiano się, nie tylko inwazji Turków, ale i 60 tysięcy powstańców węgierskich Tököly'ego.

Zaledwie król przekroczył granicę śląską — rankiem 20 sierpnia 1683 r. pod Będzinem — już go śledzić zaczęła prasa, wówczas pierwsze kroki stawiająca, a w związku z nawałnicą turecką szczególnie rozmnożona. Po niemiecku wydawany „Nowo-przybyły Kurier wojenny, który co tydzień opowiada" miał informacje z pierwszej ręki, bo mu ich dostarczał wielmożny Paczyński z Byczyny. A że jeszcze sam król Jegomość dzielił się z małżonką wrażeniami w listach i notatki krótkie rzucał w kalendarzu, no i diaruszów co niemiara spisywali towarzysze

Most, którego wtedy nie było na Odrze

pancerni — więc znamy najdokładniej kalendarium przemarszu. Monarcha prezentował się dostojnie; w karocy przez sześć bułanków ciągnionej, w żupanie niebieskim, złotem przerabianym, usiany cały gwiazdami bajecznych klejnotów. Maharadża z Rusi Czerwonej. W Tarnowskich Górach przyjął wysłannika cesarskiego z nowym lamentem o pośpiech, potem przed obrazem Panienki w Piekarach klęczał, po czym pożegnał Marysieńkę z dziećmi. Wiemy co robił w Gliwicach, do których przez bytomską bramę wśród bijących dzwonów wjechał, a przez kozielską wyjechał, (tu osobliwość niesłychana dla parafii: Arab i Kałmuk, dworzanie królewscy, chrzest przyjmują w kościele!) Z Gliwic pisze król list uspokajający papieża, że już jest w drodze do Wiednia; potem żonę zrozpaczoną jakiegoś Wojtala powstrzymał od śmierci, a potem gościł w Rudach, które się go tak bardzo strachały. (W jednym z tych klasztorów odszukał pruski pułkownik Kleist za czasów Fryderyka II pozłocisty wóz tryumfalny z napisem: *Currus triumphalis Joannis Sobieski Regis Polonorum*, ofiarowany królowi przez Wiedeńczyków i jako wotum złożony w klasztorze. Kleist przerobił wóz na kazalnicę i umieścił ją w drewnianym kościele w Prusach Wschodnich).

Groza przechodu zmieniła się rychło w radość powszechną. Przemarsz odbywał się w spokoju. Świadom, że jego żołnierze nie tylko Turka głodni są, ale i wszelkiego dobra po drodze, Jan III zaraz u wstępu w Tarnowskich Górach dla dobrego przykładu kazał obwiesić czterech żołnierzy za rabunek, iżby Rzędzianom i Kiemliczom ślinka odeszła.

Raźnie szli i z humorem, widząc serdeczność nie tylko w słowach. Imć pan podstoli Mikołaj na Djakowcach Djakowski „natenczas w pokoju u króla służący“ nie mógł się dość nawychwalać śląskich pożytków w swym diariuszu: „Prowianty dla nas obfite nagotowane tam były i magazyny założone. Co cztery mile przy każdym magazynie była budowana szopa pełna owsów, chleba, bydeł, baranów — sian stertami, piwa beczkami, do tego przy każdej szopie po kilka tysięcy bryk na rozwożenie prowiantów... Taka była prowiantu tego sufficjencja, że musieliśmy po połowie prawie na każdem miejscu zostawiać“. A król sam w liście do Marysieńki przytwierdzi krótko a z uciechą: „aleć tu dotąd nie trzeba było pieniędzy, bo wszędy prowianty bardzo dobrze dawano“. Biwakowano zazwyczaj w oddzielnych obozach dla propagandy i zaimponowania zarówno komisarzom cesarskim jak szlachcie śląskiej. Bo lud garnął się sercem do husarii i jej wodza.

Dzień w Raciborzu minął bardzo przyjemnie. Pan namiestnik śląsko-raciborski graf

Racibórz dzisiejszy, siedziba spółdzielni polskich: „Bank Ludowy", „Rolnik" i „Strzecha"

Rozbarski synek w stroju narodowym

z Oppersdorfu podejmował króla na zamku imieniem kamery cesarskiej („grzeczny bardzo, prześcigał się w uprzejmościach"), grafini zaś sprowadziła dam najmniej trzydzieści m. i. panny Zierotin-Zierotińskie i hrabinę von Prażmo. Przed obiadem zasiadł król do modnego wówczas lombra z wymienionymi, a wstał od kart z dysgustem. „Najstarsza jakaś i najszpetniejsza ograła mnie" — wyznaje w liście do żony. I jeszcze trochę tam plotkuje, że grzeczna jest grafini bardzo, że ma „dwie czyli trzy córki", z których najstarsza, ruchawa, rozwodzi się z mężem, panem von Prażmo, za to młodsza jest pannicą jeszcze nadobną. Zaraz po sutej kolacji, pożegnawszy owych dam najmniej trzydzieści z najszpetniejszą na czele, wyjechał konno ze sztabem o milę za Racibórz do Krzanowic, gdzie rozbito mu namioty paradne, ale pewnie i oka nie zmrużył, bo z pierwszych kurów zapianiem rozpocząć się miała przeprawa przez rzekę zgromadzonego na Kobylich Polach wojska polskiego.

Nie mamy bliższych szczegółów o tech-

Tak się dziś noszą druhny z Raciborza, pra-pra-prawnuczki tych, co hołd niosły Janowi III

nicznej stronie tej przeprawy przez Odrę. Zdaje się, że przygotowania raciborskie nie dały tyle powodu do uciechy, co prowianty i co późniejsza przeprawa przez Dunaj pod Tuln, o której pisze Djakowski: „Tam mostyśmy na czaykach robione zastali, a tak porządne te mosty były, że dwiema liniami wozy po nich szły". Osiemnaście godzin trwała przeprawa przez Odrę, od rozświtów dnia 23 sierpnia 1683 r., aż do następnego zmroku. Po przeprawie korpus odsieczowy podzielił się na dwa ramiona, aby „ostatecznego dnia miesiąca Augusta, nie wstępując w September" stanąć u Dunaju, jak obiecywał sobie Wódz.

Z dumą podkręcać musiał wąsa, obserwując już nie życzliwą, ale entuzjastyczną postawę mieszczanina i chłopa polskiego na Śląsku. „Lud tu niewymownie dobry y błogosławi nam, kray cudownie wesoły" — tak się wyrażał. Aż kłopotliwe były te hołdy: „Codzień się jako do ślubu ubierać muszę i jak pan młody wyjeżdżać z kawalkatą". A sobie zanotował dla pamięci w kalendarzu: „Szliśmy kraiem cudownie pienknym — żyz-

„Nadeszedł mnie frasuneczek,
Odeszedł mnie kochaneczek"

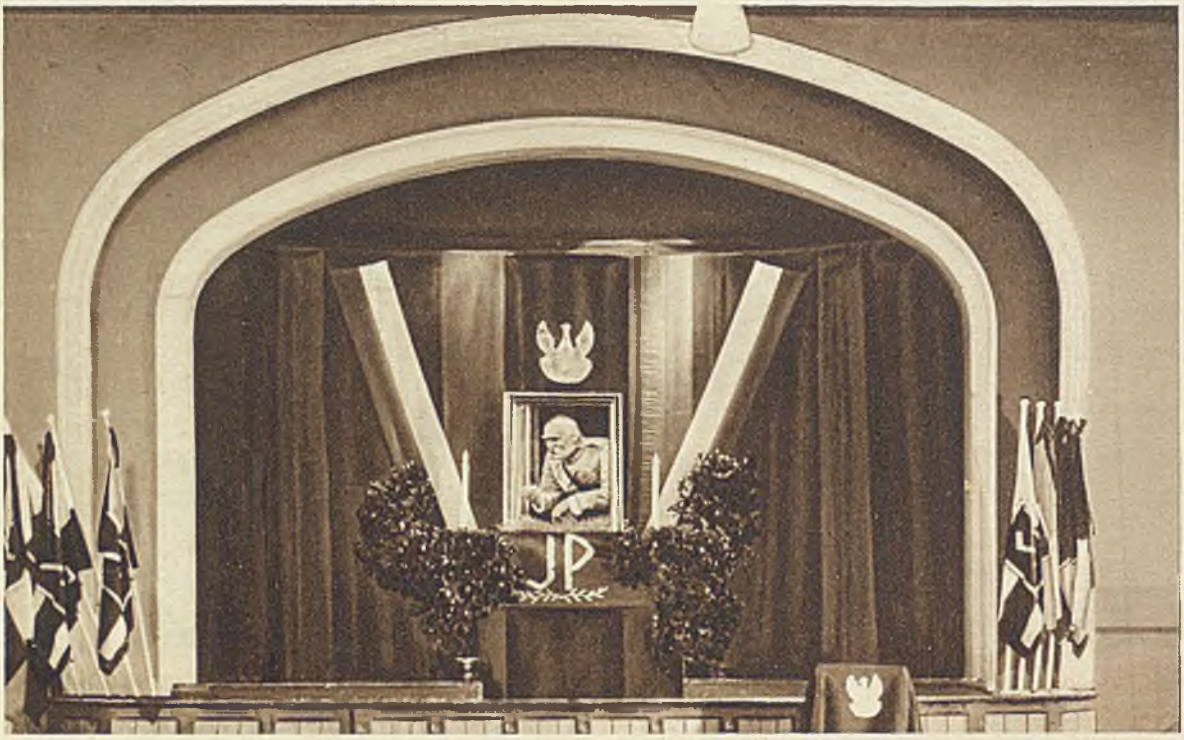

Z Akademii żałobnej w Raciborzu w maju 1935

nym nadzwyczai — kopy genstsze niżeli gwiazdy". Nigdy jeszcze żadnego monarchy nie witała ludność obcego państwa w tak jaskrawym hołdzie, jak poddani cesarscy króla polskiego! — woła współczesny Francuz, d'Alerac.

Skończyło się wszystko jak uciął, w obszarach czeskich. Z Prostkowa za Ołomuńcem pisze już król wcale inaczej: „Lud tutaj nie tak polityczny (= uprzejmy), wszystko arcydrogo a i sprzedawać nie chcieli".

Zaczął wtedy może szarpać wąsa.

Gdy się przez Odrę przeprawił naszły go wątpliwości, czy dobry wybór uczynił idąc z Niemcami przeciw Turcji; czy nie lepiej było pójść z Ludwikiem XIV przeciw Wiedniowi?

Czy nie lepiej, mimo wiatry przeciwne, odwrócić koło polityki polskiej o 180 stopni, zmieniając kierunek ze Wschodu na Zachód. Podjąć i zrealizować plany Władysława IV — z Dzikich Pól wziąć kurs na Bałtyk! — przypomnieć Prusy Wschodnie! — przypomnieć Śląsk!

Bo przecież temu ludowi „niewymownie dobremu i błogosławiącemu" same się krzywdy ze strony Rzeczypospolitej dostawały od wieków. Nie mógł nie wspomnieć jak bardzo marnotrawnymi ojcami tej krainy byli jego poprzednicy. I żaden z nich starego błędu Kazimierza Wielkiego naprawić nie umiał.

A czy jemu będzie pisana naprawa?

Nie w porę iście wypadła ta wiedeńska okazja, odwlekając, a może przekreślając gorącą właśnie sposobność śląską.

Niedawno w roku 1675 zamknął oczy najostatniejszy z Piastów śląskich, Jerzy Wilhelm, książę na Brzegu i Lignicy. A w tym samym roku Ludwik XIV, uwikłany w wojnę z habsbur-

skim i brandenburskim sąsiadem Rzeczypospolitej, zobowiązał się w traktacie jaworowskim poprzeć Polskę w razie ataku ze strony Austrii, zachęcał natomiast Jana III do akcji przeciw Austrii, w szczególności do dywersji wojskowej na Śląsku lub na Węgrzech. *Les conquêtes et les fruits de la guerre servirent pour les Polonais.* Polsce przypadły by zdobycze i korzyści tej wojny (20 listopada 1676). Zniweczyła plan zarówno obawa przed półksiężycem, jednako groźnym Polsce i Austrii, jako też silne w kraju stronnictwo rakuskie.

Wkrótce potem sama Austria skłonna była przez chwilę do przehandlowania Śląska na rzecz Polski. Aby za żadną cenę nie wpuścić na Śląsk elektora brandenburskiego, który wystąpił również z pretensjami do spadku po ostatnim z Piastów — dwór wiedeński zgłosił w r. 1679 na ręce posła polskiego St. Radziwiłła ochotę oddania Polsce dziedzictwa piastowskiego pod pewnymi warunkami. Więcej niż Jan III paliła się do tych kombinacyj królowa Marysieńka, kuszona przez Austrię obietnicą oddania księstwa Brzegu i Lignicy jej ojcu, margrabiemu d'Arquien.

Oblężenie Wiednia w r. 1683 przerwało znów te austriackie obiecki-podniecki.

Uradowani widokiem wspaniałego króla Ślązacy nie mieli więc powodu do uciechy ani z tego, że Sobieski Wiedniowi ciągnął z odsieczą, ani że Turków rozgromił, i że się w ogóle z Rakusem kumał. Łysa była dla nich ta okazja wiedeńska. Bo się znowu odwlec miała niepilna nikomu sprawa powrotu Śląska w granicę państwa polskiego.

Nie sposób było postawić ją twardo i jasno nawet wówczas, gdy po przesławnej wiktorii r. 1683 zrozumiał Sobieski, wódz równie świetny jak słaby polityk i miękki władca, marną korzyść harców z półksiężycem dla pięknych oczów Wiednia.

Sprawa śląska wracała nieraz w krąg dyskusji, ale zawsze, jak stale dotąd, w mizernej, bagatelnej, niegodnej formie. Kończyło się podobnie, jak w lecie r. 1687: na podróży Marii Kazimiery do Cieplic śląskich pod Lignicą. Podróż odbyta zrazu inkognito zmieniła się w hołd ludu wrocławskiego na cześć królowej Polski i wzbudziła wiele niepokoju na dworze cesarsko-habsburskim, który pragnąc zmyślnie ubezpieczyć wybawcę chrześcijaństwa od pokus francuskich, rzuca myśl małżeństwa królewicza Jakuba Sobieskiego z siostrą cesarzowej. Pokrachano się w czasie pertraktacyj, gdy przyszło zabezpieczyć przyszłość młodej parze. Jan III zaraz o Śląsku pomyślał, proponując ze swej strony kupno księstw na Śląsku, „w kraju, który przez swe sąsiedztwo z Polską jest stale w stanie jakby zależności od Rzeczypospolitej". Rezydent cesarski w Polsce, godząc się w zasadzie na tę koncepcję, wykluczył wszakże od razu z dyskusji księstwa opolskie i raciborskie, które właśnie Jan III miał na myśli. Może i lepiej zresztą, że Jakub Sobieski, osobnik (wiadomo) nie ciekawy, osiadł po ślubie aż w Olawie jako czasowy pan tego księstwa. Przy swej niezaradności życiowej, pod wścibskim nadzorem Austriaków, nie umiał tam podjąć żadnej akcji, korzystnej już nie dla Polski i Śląska, ale nawet dla rodziny Sobieskich.

W dwieście lat później krakowskie uroczystości ku czci Sobieskiego wywarły tak wielkie wrażenie na zasłużonym działaczu śląskim Juliuszu Ligoniu, że ułożył cały poemat: „Obronę Wiednia". Twardosłową w wyrazie, ale poczciwą w intencji: „By także Śląsko coś swego miało i w tej pamiątce też udział brało! By nie myślano, że my Ślązacy nie mamy uczuć, tak jak Polacy".

Pamięć przechodu armii odsieczowej przez Śląsk żyje do dziś. Nie tylko żyje, ale odnawia się zielonym liściem co roku i pachnie odurzająco w lipcowe noce. Bo znaczą ją drzewa, lipy właśnie. Nie wiem, czy jest gdzie w Polsce drugi szlak historyczny tak umajony, udokumentowany starodrzewiem, jak ta droga husarii z Tarnowskich Gór do Raciborza.

Kroniki klasztorne Franciszkanów w Gliwicach wspominają, że stanąwszy tam gospodą — na oczach tłumu ludności okolicznej, która przybyła na jego powitanie — Jan III zasadził własnoręcznie u wejścia do kościoła kilka lip. Podobno dwie, jedną dla siebie, drugą dla królewicza; tradycja pomnożyła ilość lip do czternastu, co się wydaje przesadzone, choćby ze względu na czas potrzebny do wysadzenia tylu drzew. Obie lipy pod opieką dostojnej tradycji dotrwały naszych czasów; dopiero w r. 1929 ostra zima grubszą z lip królewskich zniszczyła z ogromnym żalem ludności okolicznej, która wierzy do dziś, że Sobieskie lipy chroniły kościół i okolice od pioruna, pożaru i docisku wszelkiego.

Ciżba chudoty śląskiej, przypatrująca się w Gliwicach, jak wielki wojownik zmienia się w orędownika drzew, rozniosła wieść po całym kraju. Za czym cały kraj wziął się do sadzenia lip. Najpierw wszędzie po drodze, którą szło wojsko, gdzie król zatrzymywał się, rozmawiał, nocował. W Rudach, w Makoszowach, w Wilczy Górnej, w Szamowicach, w Ochojcu, w Raciborzu. A potem Śląsk cały zapełnił się drzewami Sobieskiego. Liczą ich dziś kilkadziesiąt. Dzięki nim żyje na Śląsku tradycja wiktorii Sobieskiego, wkorzeniona, zielona i szumna, jak mocne drzewo.

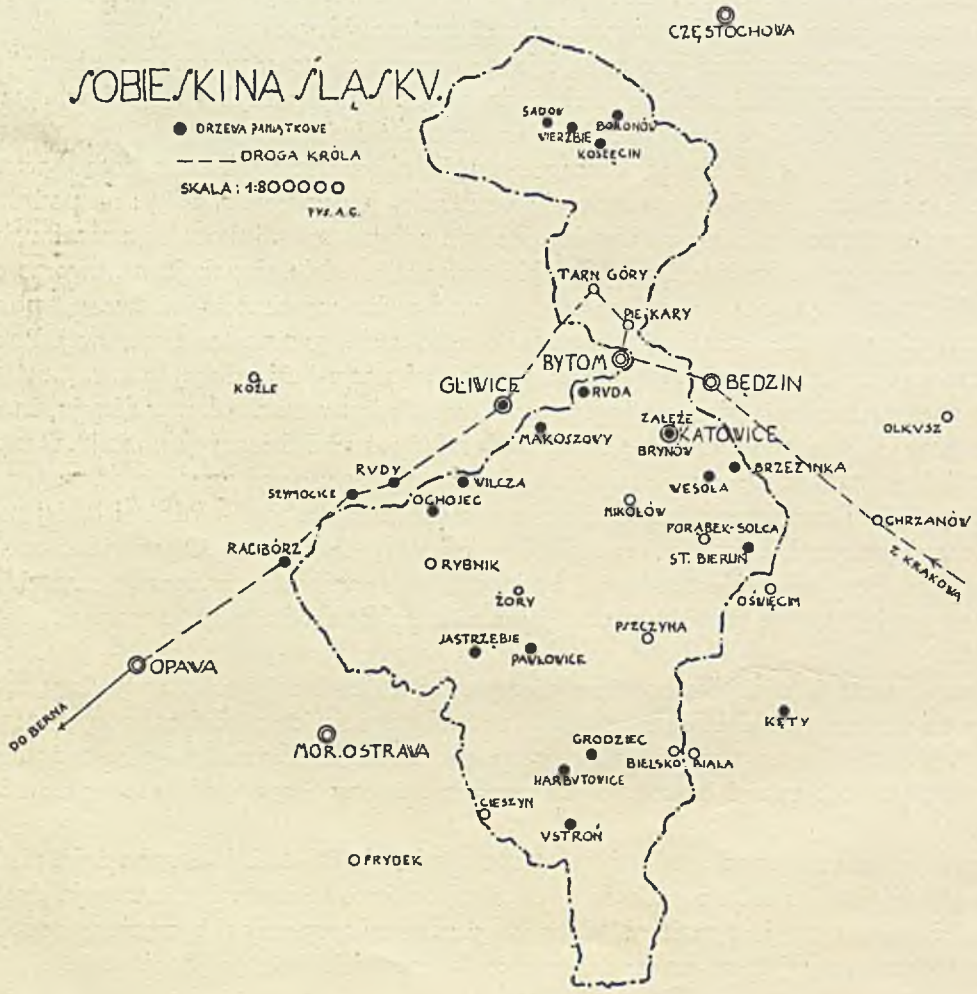

JAK SIĘ WNIEMCZYLI EWANGELICY POLSCY?

Pod Byczyną, która w wieku XVII była ogniskiem polskiego protestantyzmu, wziął w r. 1588 Jan Zamoyski arcyks. Maksymiliana do niewoli

Gdy po burzliwych a nietrwałych tryumfach reformacji Rzeczpospolita powróciła na łono katolicyzmu, wrócił i Śląsk Opolski z nią razem. W „szczyrej wierze ewanjelickiej" wytrwały tylko południowe i północne okraje. W Cieszyńskiem i Mysłowickiem na południu, w Kluczborskiem i Byczyńskiem na północy. Silne oparcie mieli innowiercy nadal w samym Wrocławiu, oraz w księstwach brzeskim, oławskim, oleśnickim i na całym Dolnym Śląsku.

Ciężki to był moment dziejów. Pozostając wiernym reformacji ujrzał się Ślązak-ewangelik samotnym i na siebie samego zdanym. I w kościele również czyhać nań miało widmo germanizacji. Do tej pory innowiercy śląscy, przeważnie luteranie, świadomi pomocy i oddźwięku w granicach Rzeczpospolitej, potrafili istnieć o własnych siłach. Wydawali spomiędzy siebie własnych prezbiterów i autorów kazań (Konrad Negius z Namysłowa spisuje po polsku „Contiones in Evangelia Dominicalia" już w r. 1577, bliżej nieznany Jan z Woźnik walczy piórem z Mikołajem Rejem).

Stać ich nawet było na posyłanie duchownych swoich do Sandomierza, Tylży, Gdańska. Teraz, w XVII stuleciu, nie ma do kogo wyciągnąć bratniej ręki ani w Krakowie, ani w Poznaniu. Doba reakcji jezuickiej od czasów Zygmunta III powiedziała im: nie masz to wiary jak w naszym znaku. Nie będziemy was uważać za Polaków, jeśli nie pozbędziecie się mrzonek o kościele narodowym i języku polskim w kościele. Gdy wygnani z kraju poszli na tułaczkę arianie, przyschnąć musiała również zielona dotychczas i bujna gałąź ariaństwa śląskiego. (Jerzy Szoman z Raciborza, Jan Licinius z Namysłowa, Tomasz Pisecki z Martowic, Szymon Pistorius z Opola i in.). Zostały tylko najdalsze, północno-wschodnie kresy wschodnie Rzeczypospolitej, innowiercy litewscy, którzy również wytrwali. I oto zaczyna się kolaboracja tych dalekich współbraci z dwóch dorzeczy: Odry i Niemna. Na gruncie nowej wiary Kluczborek, Byczyna, Brzeg, Namysłów kumają się z Kiejdanami, Wilnem, Brześciem Litewskim.

Łukiem stamtąd siężnym spada na Śląsk drukowana pociecha religijna i rada gorliwa, choć tylko w części uznawana, bo są różnice w konfesji. Wyrazem i symbolem łączności kresów śląskich z wileńskimi jest świetny pisarz moralista Adam Gdacjusz (1615—1688). Fararz w Kluczborku, urodzony na Śląsku, a wychowany i wyświęcony na pastora w Wilnie, ogłosił z górą dwadzieścia dzieł religijno-moralnych, przeciekawych pod względem obyczajowym. Na czele tych dzieł stoi: „Postilla popularis, to jest kazania na ewanjelije święte... spisane przez X. Jadama Gdacjusza, sługę słowa bożego w Kluczborku" (Leszno 1650). Stylista żwawy i barwny, powodzenie swe zawdzięczał niepomału gwarowemu kolorytowi swego języka, wprowadziwszy w obieg ogólno-polski zwroty i wyrazy na Śląsku tylko zwyczajne. Zdaniem jego wyrazy w ogóle są jako pieniądze „jedne wyśmienite i polerowane, drugie zasię podłe, proste i uszom ludzkim, a zwłaszcza, jako pismo mówi, uszom świerzbiącym, niesmaczne..." Na przykład: „Biadakać jest to słowo u nas Ślęzaków pospolite, u Polaków zasię dobrych nie jest in usu, bo co mówiemy „biadakać", to Polak mówi „biadać". Albo u Ślązaka: na sądzie bożym nie „obstoją złośnicy", u Polaka zaś: złośnicy „nie ostoją się". Wybiadakał też Gdacjusz w zadziwiającym na swój czas wywodzie prawo Śląska do swoistych odmian w mowie, chociażby ktoś się na jej różnice patrzył lekceważąco:

„A zwłaszcza naszy wasserpolowie nadęci
Niech pierwej polskie autory czytają z chęci
I tak słów mych nie będą tradukować dumnie
A też ich szczekanie są błahoważne u mnie!

Od Gdacjusza rozpoczyna się szereg pisarzy, których nie brakło w XVII i XVIII wieku wśród sług słowa Bożego na Śląsku ewangelickim. Wśród czynniejszych byli: Jan Kapusta

z Byczyny, piszący się Herbiniusem (ur. 1627), Jan Muthman, Ludwik Zasadius, Daniel Nagło i Jan Chuć.

Ten tak niedaleki a tak zapomniany przez Polskę Kluczborek oddaje różnowiercom polskim przysługę w ciężkiej dla nich chwili. W r. 1658 tzw. Bracia Polscy stracili już nie tylko nadzieję odzyskania swobód wyznaniowych w granicach Rzeczypospolitej, ale wydalono ich z kraju, rozkazując w przeciągu trzech lat wyprzedać się z majętności, ile-że w przeciwnym razie „bez żadnej odwłoki" będą na gardle karani. Wynieśli się wówczas potępieni nieszczęśliwcy do Siedmiogrodu, do Prus Wschodnich i na Śląsk. Owóż tedy w Kluczborku 17 czerwca 1661 r. odbył się synod, na którym ułożono odzew do chrześcijan całego świata z błaganiem o pomoc i opiekę. Najwybitniejsi z arian polskich: Szlichtyngi, Morsztynowie, Przypkowscy, Taszyccy i in. podpisali ten apel. Cóż im, przepędzonym, pomóc mogli tubylcy, sami siedzący jak mysz pod miotłą we władzy Habsburgów? Zyskali przynajmniej poparcie moralne. I tym gorliwiej krzątali się naokół swych dwóch trosk łącznych, a tak ściśle związanych z rytuałem protestanckim: około kancjonału i postylli (= księgi rozmyślań duchowych po ewangelii). Centralą drukarską tej literatury staje się Brzeg, skąd (aż do połowy XIX wieku) iść będą na cały śląski kraj potrzebne dla zborów i wiernych wydawnictwa.

Rozpoczyna je „Doskonały Kancjonał Polski" (w Brzegu 1673 roku) wydany „za pilnem Xięży wrocławskiej i staraniem i doglądowaniem". Praca pięciu żarliwych prezbiterów, którzy w tomie o tysiącu z górą stronicach zgromadzili 647 pieśni do użytku wiernych, aby wygodzić tym Ślązakom, o których wiadomo, że „dwojim językiem to jest niemieckim i polskim Służbę Pańską odprawować zwykli i dotąd odprawują".

Wzruszająca jest przedmowa; z podziwem i czcią mówią tam autorzy o „przyległej Koronie Polskiej, którą szczodrobliwość górna

Jerzy Badura, ostatni pastor polski

Nowiny.

Pismo tygodniowe dla ludu ewangielickiego.

I jego tygodnik

Widok Międzyborza pod Wrocławiem, gdzie pracowali pastorzy polscy Fiedler i Badura Ostatni († 1912)

nauczycielami i rymopisami znacznymi obdarzyła". Z sześciuset pieśni na wszelkie okoliczności obrzędowe posłuchajmy chociażby jednej. Naczelna „Pieśń-modlitwa":

Wszechmocny Mocarzu, Boże miłosierny!
przecz-że wżdy poganin, zguby naszej chciwy,
górę biorąc, straszny ma światu być wszędzie?
dokądże urągać krześcijaństwu będzie?

— — — — — — — — — — — — — —

Czyż niedość, że bachmat tatarski Podole
wzdłuż i wszerz zmierzywszy, samo pole
z ludu, bydła, wiosek i miast obnażone
z popiołem pomieszał, dymem przykurzone?
Czyż niedość, że Turczyn szable obosiecznej
dobywszy na rzeź, wyniósł się bezpieczny?

— — — — — — — — — — — — —

W innym miejscu mieszczanin brzeski czy siedlak olawski modlił się w te słowa: „Strzeż Panie Ojczyzny naszej, niech się z Twej obrony cieszy" albo jeśli chciał, to miał w śpiewniku drukowany jeszcze dokładniejszy sens westchnienia: *Strzeż Panie Korony Polskiej, niech się z Twej obrony cieszy.*

W tym samym czasie arianie polscy powtarzali za Janem Stoińskim, autorem „Modlitw Nabożnych" (1633): „Daj Boże, aby żył nasz król w sławie między wszystkimi narody i królmi tego świata... Imię jego niech straszne będzie wszystkim nieprzyjaciołom jego... Ty mu sam dodawaj rady zdrowej, która by się zgadzała z wolą Twą i dobrem tej Rzpltej..." Wywdzięka, jaką król Jegomość okazał innowiercom za tak żarliwy patriotyzm, nie była szczególnie wielka. Bo arian wygnano w najdalsze zagranice, a tych śląskich luteranów pozostawiono na pastwę złej doli.

Wśród luterańskich duchownych i pisarzów XVII wieku na okrajach śląskich pierwsze miejsce zajmuje zapomniany do niedawna zupełnie Jerzy Bock (1621—1690), archidiakon oleśnicki, z Komorzna pod Byczyną rodem. Z domu rodzinnego i samej tylko szkoły miejskiej w Byczynie wyniósł on tak dobre przygotowanie literackie, że go zaliczyć trzeba do rzędu celniejszych stylistów siedemnastowiecza. Świadczy o tym znakomity, przez Bocka dokonany przekład „Agendy Oleśnickiej" (1664); był to modlitewnik dla wiernych nie tylko językowo, ale i duchowo spolszczony, jak stwierdza wydawca pism Bocka (Katowice, 1936) Winc. Ogrodziński. Wielką to musiało być rewelacją na całą okolicę, gdy wielebny archidiakon z okazji wesela swego szwagra z wdową Marią Szarą w Wałczynie wystąpił z poematem pt. „Nauka domowa" i takowy w Oleśnicy w r. 1670 imprymować dał. W żartobliwe rymy ujął był to, co prozą w kazaniach jego słyszeli: o cnocie żywota małżeńskiego, której, gdy brak „miłość

O baranie,

który dawał się strzydz i latem i zimą.

(Ciąg dalszy.)

Udobruchała się pani gospodyni. Była to starusika bardzo zacna i gospodarna; a była ona rodzoną siostrą księdza plebana. Lubiła u bogatych gospodarze się upominać. Ale wszystko co przyszło do śpiżarni to poszło znów między biednych. Żaden biedak nie odszedł z plebanii głodny; każdy dostał kąsek strawy. Każdy nieszczęśliwy został pocieszony i obdarowany.

Ksiądz pleban miał taką samą naturę; był to łagodny staruszek, miłosierny i serdeczny. Chociaż parafia była bogata, on żył skromnie, a wszystko co mu zbywało, albo rozdawał biednym, albo też przeznaczał na upiększenie kościoła.

Łukasz Wilk i Wojciech Baran z sieni weszli do pokoju. W pokoju było czysto, cicho i skromnie. Ksiądz pleban, powitawszy ich mile, rzecze:

— A co powiecie, moi drodzy? Po co was Pan Bóg sprowadził?

Wilk skłonił się jeszcze raz i rzekł:

— Po radę, proszę łaski dobrodzieja.

— A o co chodzi?

Leci w tej chwili mały, żółty pieseł, który dotychczas warczał pod krzesełkiem, wyskoczył się na środek i zaczął ujadać z całej mocy: Hau-hau-hau!

Ksiądz odwrócił się, uderzył go chustką i zawołał:

— A pójdziesz! Figiel!

Pieseł uciekł do kąta, a Łukasz wstawszy Wojciecha Barana, tak przemówił:

— Proszę wielmożnego dobrodzieja, jego najstarszy syn, Franek, staje do losu, a młodszy nie ma jeszcze ośmnastu lat. On sam ma już lat pięćdziesiąt ośm....

Ksiądz przerwał mowę Łukaszowi:

— No, to syn wolny od wojska! Służyć mu wyłączenie.

Pieseł wybiegł znów na środek i zaczął ujadać cienkim głosem: Hau-hau-hau!

Ksiądz odpędził go chustką i zaczął tłómaczyć, że Franek jest naprawdę wolny i że nie trzeba nikomu nic płacić.

Wojciech Baran odrzekł: że to mu się nie zdaje, że on się boi o syna, że co darmo to nie warto, i że jeśli co ma być mocno zrobione, to musi być dobrze zapłacone.

Ksiądz tłómaczył, że to tylko dawni wójci wpoili to przekonanie, i że jest to skutek wyzysku, jakiemu kmiotek dawniej podlegał.

Ksiądz pleban mówił pięknie, wpadł w wielki zapał, i zdaje się, że mówiłby bardzo długo, gdyby jego słów nie przerwał pieseł, który wysunął się znowu na środek i darł się z całej mocy: Hau-hau-hau!

Ksiądz obrócił się, tupnął nogą, machnął chustką i zawołał:

— A pójdziesz! Figiel!

Pieseł schował się, a ksiądz tak przemówił:

— Mój Łukaszu, czego on na ciebie tak ujada? To pewno na twoją drewnianą nogę...

Łukasz podrapał się w głowę, skłonił się i odpowiedział:

— E, to chyba nie, bo jemu drewno nie dziwota. Proszę dobrodzieju, on musiał poznać, że ja jestem „Wilk...“ Dlatego szczeka!...

Proboszcz z początku nie mógł się zmiarkować, a potem śmiał się, aż za boki się trzymał.

— Filut z ciebie mój Łukaszu — mówił. — Nie grzech być wesołym. Pan Bóg dał ci zdrowie i myśl szczęśliwą.... Dzięki Najwyższemu!

Obaj gospodarze podziękowali księdzu plebanowi za dobrą radę i wyszli.

Prawdę mówiąc, to wypadałoby im udać się zaraz do urzędu gminnego; ale wiedzieli, że wójt z pisarzem pojechali na śledztwo sądowe, na sam kraniec gminy, gdzie czteroletnie dziecko zostawione w izbie bez dozoru, spaliło się na śmierć. Dziś pojechali a wrócą dopiero jutro pod wieczór.

Felieton „Nowin dla ludu ewangelickiego“ z roku 1891

tył podaje“ i „aniołowie z domu ustępują“. I niczym Bartosz Paprocki, przed stu laty w Starej Polsce, taką reprymendę dawał nowej szwagrowej:

Gdy pracujesz, a śliczna twarz u ciebie przecie
Dalej słyniesz robotą, niż krasą na świecie.
Rychlej męża przyciągniesz do siebie robotą,
Niż owa, co na głowie nosi tkankę złotą.

Potrzeba polskich kancjonałów dla ludu śląskiego musiała być w wieku Potopu nagląca, skoro wydawano je w wielu środowiskach. Między innymi krzątał się ruchliwy działacz i organizator na gruncie Byczyny, Jan Kośny, rektor szkoły tamtejszej. Pieśni zebrane przez rodzinę Kośnego opracował ostatecznie i pięknie przepisał w r. 1699 Daniel Ducius. Kancjonał byczyński, sposobiony obecnie do druku, mieści wiele ciekawości z życia, z obyczajów, z folkloru Byczyny siedemnastowiecznej.

Ponadto pamiętać trzeba, że w zborach protestantów podwrocławskich żyło na codzień słowo Jana Kochanowskiego. Śpiewali bowiem psalmy z jego „Psałterzem“ (1579) w ręku. A język Jana z Czarnolasu, już wówczas nieco obcy i staroświecki ludziom krakowskim czy warszawskim, na Śląsku mimo upływu stu i dwustu lat był językiem potocznym. Podobnie jak gotycka, jagiellońsko-renesansowa czcionka będzie dla nich, aż po ostatni dech polskości w 19 stuleciu, najczytelniejszym, domowym krojem druku. Kochanowski krzepił ich w ławce kościelnej, a Samuel Dambrowski, luteranin wileński, którego „Postillę chrześcijańską“ (1620) kilkakrotnie przedrukowują, dopomagał przy rozmyślaniach niedzielnych w domu.

I tak dotrwali czasów Fryderyka II. Zdziwił się nieco i skrzywił na wieść, że w ogóle jeszcze istnieją. Nakazał ich przeto wniemczyć *(eindeutschen)*, gniewny bardzo na proboszczów, którzy śmią w ogóle w r. 1762 nie znać języka niemieckiego.

Obecność polskich kaznodziejów ewangelickich na Średnim Śląsku stwierdzają nawet oficjalni opisywacze tej ziemi pod koniec XVIII stulecia. Jeden z nich F. Zimmermann zadowolony, że polskość cofa się tu widocznie, wymienia przecież pięciu kaznodziejów polsko-ewangelickich, czynnych kolejno w Brzegu, czternastu zaś w ostatnim stuleciu w Olawie. Nazwiska ich w większości niemieckie, częścią rdzennie śląskie. A więc obok Rettigów, Grasmanów i Gürathów jest Blida, Wichura, Boroń, Sarganek, Gborek, Jan Czyrbok itp.

Najszybciej skruszył się stan posiadania polskiego w samym Wrocławiu. W r. 1673 było jeszcze pięciu pastorów, odprawiających w czterech zborach protestanckich Wrocławia polską służbę pańską. W sto lat później pozostał już tylko jeden ks. Paweł Twardy († 1807) u św. Krzysztofa, a po następnych stu latach nie było już ani jednego.

Prowincja trzymała się dłużej i mocniej. I dała o sobie głośno znać w chwili, gdy już było bardzo źle, w połowie ubiegłego stulecia. Liczono wówczas w całym Śląsku 100—120 tysięcy ewangelików, „żądających nabożeństw w polskim nie w niemieckim języku. Mają oni przeszło 40 kościołów, przy nich z 40 księży, a powiaty kluczborski, namysłowski i sycowski w większej części przez nich zamieszkałe". W okolicach tych księża protestanccy „mają zwykle dwie gminy, niemiecką i polską, najczęściej liczniejszą daleko jak pierwsza — do drugiej bowiem (polskiej) należą po największej części włościanie — a zatem w dwóch językach nabożeństwo odprawiać muszą". Bagatelizowanie usilne i chytre polskich włościan ewangelickich w tych powiatach zmusiło ich do wytoczenia skargi przez synod prowincjonalny protestantów śląskich w dniu 5 grudnia 1844 r. we Wrocławiu. Głos zabrał polski pastor z Międzyborza Robert Fiedler: „Dobro tych braci moich w Chrystusie szczepu słowiańskiego mając na uwadze wnoszę o większe odtąd uwzględnienie ich potrzeb religijnych i kościelnych, a to pod trojakim względem: 1) co do obsadzenia probostw, 2) co do ścieśnienia nabożeństw, 3) co do opatrzenia szkół".

Fiedler nie jest politykiem ani bojowcem. Człowiek spokojny, mający jedynie na widoku sumienne pełnienie obowiązków pasterskich, zżyma się, opowiadając na synodzie, że władze nie tylko patrzą przez palce na plebana, nie rozumiejącego swych parafian, ale go jeszcze namawiają, aby się po polsku nie uczył, bo przeszkodzi szybkiemu zniemczeniu gminy. Inni znów pastorzy tak kaleczą język i plotą takie nonsensy, że nieraz musi ksiądz katolicki przemawiać na ślubie czy pogrzebie w imieniu milczącego pastora. Tacy właśnie pastorzy najchętniej kasują i ścieśniają nabożeństwa. Żądał tedy Fiedler ścisłego egzaminowania kandydatów.

„Nawet wtenczas — wywodził — kiedy tylko mała część gminy jest polską, nie wolno zaniechać nabożeństwa polskiego ani całkiem jej odejmować sposobności zbudowania się w świątyni pańskiej... Bo jedynie mowa ojczysta przemówić może do serca".

Synod wrocławski z r. 1844 nie tylko „powszechnie przyjął" naglące wnioski gorliwego pasterza gminy międzyborskiej, ale jeszcze „rozprzestrzenił" ostatnią ich część, dotyczącą kwalifikacyj nauczycieli, wyrażając życzenie *„dass polnische Kinder auch förmlich polnischen Unterricht erhalten möchten"* (aby dzieciom polskim także w języku polskim dawano nauki).

Trochę dziwny musi się wydać ten aplauz, z jakim wnioski Fiedlera przyjęto na synodzie, jeśli zważymy, że szlachetny presbyter był raczej odosobniony. Nie słychać przynajmniej, aby któryś z owych wspomnianych czterdziestu pastorów wstępował w jego ślady. Zdaje się, że dość obojętnie przyglądali się postępom wniemczania polskich gmin ewangelickich. Dał temu

wyraz i sam Fiedler w sześć lat później, gdy zdając w „Szkole Polskiej“ (1850, II. 367—70) sprawę ze swych dążeń w Międzyborzu, kończył z melancholią: „To było moiem ciągłym zadaniem w tym tutejszym nieznanym zakątku świata; żałuję tylko, że tak sam tu stoję“. Osamotniony nie ustał w pracy i nie zacieśnił się do swego Międzyborza. Dalej usiłował. Ogłosił po polsku dla kolegów kapłanów „Vademecum pastorale“ po polsku, ułożył „kazania na wszystkie święta roku kościelnego“, ratował pieśni Dolno-ślązaków od zaguby, opisywał właściwości ich gwary, nareszcie przystąpił do nowego „poprawieńszego“ wydania kancjonału, ongiś, przed dwustu prawie laty przez pilną Xiężę wrocławską w Brzegu drukowanego. Był to już 20-ty z rzędu przedruk ulubionego pieśnioksiągu. Fiedler uzupełnił zbiór swymi przekładami. A podpisując przedmowę 8 marca 1859 w Międzyborzu, może miał świadomość, że już nikt po nim nie tknie się takiej roboty.

Po Fiedlerze, zmarłym ok. r. 1886, objął probostwo w Międzyborzu w r. 1883 pastor Jerzy Badura i mimo zawziętych prześladowań wytrwał na stanowisku przez lat prawie trzydzieści († 1912). Badura czynny był wielostronnie jako kaznodzieja, wydawca i pisarz, oraz pierwszy redaktor „Nowin Śląskich“, drukowanych szwabachą, bo tym najkresowszym Polakom, podobnie jak do dziś Mazurom pruskim, latynka nie była zwyczajną. Już po kilku miesiącach zmuszony był zrzec się redakcji, pismem zajął się jego założyciel i wydawca mecenas Alfons Parczewski z Kalisza, który ratunek zagrożonego ewangelizmu na Średnim Śląsku wziął sobie za cel życia. Za sprawą Parczewskiego przeznaczono znaczniejsze sumy na te cele z legatu gen. Aleksandrowicza, zmarłego w Petersburgu. Pastor Badura, zacieśniony przez rząd do spraw czysto kościelnych, walczył dalej uparcie z konsystorzem ewangelickim, domagającym się zniesienia nabożeństw polskich, i złamać się nie dał. Konsystorz uległ ostatecznie,

Alfons Parczewski z Kalisza zawziął się, aby nie dać zginąć ewangelikom śląskim

„Oto, łaskawy Czytelniku, masz stary swój kancjonał w całości, który wsród trudów ciężkiego urzędu z radością wypracowałem“ (ks. Robert Fiedler w r. 1859)

oświadczając, że póki życia Badury, pozostanie w Międzyborzu *status quo*. Świadkiem ostatnich chwil Badury był Wojciech Korfanty, który pisze: „Kazał sobie Badura przywołać swego następcę, pastora Kurzawę, zniemczonego syna rodziców polskich i na łożu śmiertelnym, z potem na czole, odebrał od niego przyrzeczenie, że nie zniesie nabożeństw polskich. Niemiec wzruszony dał to przyrzeczenie ...choremu twarz się rozjaśniła... Był on ostoją polskości wśród protestantów polskich. Sam jedyny przez lat dziesiątki jak olbrzym nadludzki stawiał skutecznie groble i tamy przeciw zalewowi niemczyzny. Rząd, konsystorz, jego właśni konfratrzy, policjanci i żandarmi wciąż mu te tamy burzyli, ale on je budował na nowo, niezmordowanie, nawet na łożu śmiertelnym".

Nazwiska Fiedlera i Badury godzi się spamiętać. Byli to dwaj ostatni tragicznie wierni siewcy słowa bożego wśród innowierców polskich na Średnim i Dolnym Śląsku. Gdy tych opiekunów nie stało, pozostali sami, na łup nieuchronny obczyźnie. Ze wszystkich Ślązaków najbardziej chyba osieroceni. Proszę zważyć: od współbraci katolickiej dzieliła ich przepaść nie do zasypania, a też liczyć nie mogli na pomoc Macierzy, tamtym dostępną. Pisze o tym z bólem Parczewski († 1933): „We wschodniej połaci Śląska ku północy, ponad granicą poznańską było jeszcze w drugiej połowie XIX wieku dużo wsi polskiej. Niestety, w Poznaniu nie było zrozumienia tych spraw, bo chodziło o ludność — ewangielicką! Nastąpiło przeto znaczne zwężenie polskiego obszaru językowego".

Pozostał jedyny opiekun i pocieszyciel tonących: psałterz Jana Kochanowskiego. Szwabachą drukowany i wyśmiewany przez nowych panów zboru, nawoływał ich do wytrwania w mowie ojców. Z każdym rokiem mniej słuchany, za każdym chłopiną, co go na mogiłki nieśli, trwożnie patrzący. Ten psałterz do dziś dnia tam pewnie leży, ciśnięty na półkę zakrystii. Lecz nikt już zeń nie śpiewa i nikt głośno nie powtarza: „Powstań o Panie, wieczny w gniewie Twoim, przeciw złych ludzi niepobożnej radzie. A powstań z pomstą, jakąś prawem swojem opisał!"

Plebania rz.-kat. niemiecka i kościół w Międzyborzu

KLASZTORY WALCZĄ

Obłóczyny księżniczki Ofki, córki Przemka Raciborskiego, fundatora klasztoru, odbyły się w Raciborzu w kwietniu 1313 roku. Upamiętnił tę chwilę nieznany malarz z XVII wieku

Ej, w Raciborzu w klasztorze
Śpiewają panienki na chórze
I rzykają paciorki drobne
Aby im dał Pan Bóg wszystko dobre. —

Ej, przyszedł ci anieliczek pod drzwi:
Klasztorna panno otwórz mi.
Ona wstała, otworzyła
Anieliczka do celi wpuściła.

To początek pieśni, a koniec zwyczajny. Po tygodniu wygnali anielika wraz z panienką z klasztoru wen, za uczynki, bardzo dosadnie opisane w pieśni. Dziwna rzecz, że pieśń ludowa wybrała sobie klasztor dominikanek raciborskich, o którym historia dość niewiele ma do powiedzenia. Sprawa to pono również nieczysta. Szatan strawił siłą ognia pergaminy klasztorne w Raciborzu dlatego, abyśmy jak najmniej mogli wiedzieć o dziejach świątobliwej Ofki, założycielki zgromadzenia i przez wiele lat pustelnicy.

Dokładniej znamy historię, rozwój organizacyjny i działalność dwóch innych konwentów panieńskich na Śląsku w Trzebnicy i Czarnowąsach pod Opolem. W pierwszym, przez św. Jadwigę założonym, chwaliły Boga cysterski w białych habitach, w drugim norbertanki, białe, ale z czarnym welonem. Jedna tylko strona z życia tych klasztorów zajmie nas tutaj. Chwile walki o język i rząd polski, tu i tam w podobnych okolicznościach uporczywie toczonej.

Chociaż św. Jadwiga po polsku nie umiała, religijny lud śląski przejął się gorliwie jej kultem, który przeszedł nawet w legendę. Do dziś dnia, jak rycerze pod Pisaną Skałą w Tatrach, śpi w Sroczej Górze pod Bytomiem, w Czantorii w Cieszyńskiem i indziej wojsko św. Jadwigi, a konie rycerzy pasą się w marmurowych żłobach. Aż do początków XVI wieku następczyniami jej na urzędzie księni trzebnickiej bywały zniemczone Piastówny. A pod ich rządem ulegały często procesowi germanizacji tubylcze szlachcianki śląskie. Z wiekiem XVI wzmaga się ciąg pielgrzymek z Polski do grobu patronki, a w ślad za nimi ciąg panienek do nowicjatu. Z wybuchem reformacji dopływ Niemek zmniejsza się wydatnie, nie słabnie natomiast wzgardliwa niechęć rządu klasztornego przeciw Polkom. Miarą stosunków panujących w ówczesnej Trzebnicy może być list współczesny z trzeciego dziesiątka XVI wieku (ok. r. 1525) do ks. Jana na Ziembicy i Oleśnicy. Ten książę, ożeniony z Krystyną Szydłowiecką, posiadał był dawne, dziedziczne prawa wglądu i opieki nad klasztorem. Do niego też zwracają się trzej bracia Stegowscy z zażaleniem. Posłuchajmy oryginalnej stylizacji tego listu, jednego z pięknych i dawnych pomników naszej epistulografii:

„Miłościwe Najjaśniejsze Księże Wielmożne — uniżone nasze zasługi do wielmożny łaski W. M. Książęcy miłosci pilnie a pilnie zalecamy.

Przyjachaliśmy tu przed osobą najaśniejszą a wielmożną W. M. Ks. M. krzywdy nasze i żałobę czyniąc na teraźniejszą Ksienią trzebnicką, od który nas potkała nieleda zelżywość bez wszelaki przyczyny do złego dania, iż ona siostrę naszą uczciwą, po którąśmy tak prędko nie mogli zjachać dla trudności swych, która z dzieciństwa swego uchowała się w klasztorze przy nieboszczycy ciotce naszej, która się to siostra nasza zabawiela była na mały czas przy szlachetnym panu Kanclerzu trzebnickim. Zakazała mu jej chować, wygnać ją rozkazała, rzeczy jej chciała wyrzucać za nią z Trzebnicy.

A tak prosimy i żądamy Wiel. i Naj. W. M. Ks. M., abyśmy tego przyczynę wiedzieć mogli i sprawiedliwość mogli otrzymać: dla który przyczyny nasz poczciwy naród polski tak lekko poważała i poważa? mało na tem mając, co od niej naszą poczciwą ciotkę nieboszczycę potykało niesłusznie, czego nam nigdy nie dowiedzie świadkami, gdy tedy czas będzie, o który czas prosimy W. M. Księżnej Mości, aby nam był naznaczony do sprawiedliwości!

Ponieważ szie nam daljeko przyjeżdżać, nic tedy nie wątpiemy o łasce i sprawiedliwości W. M. Ks. Miełości, że to otrzymamy.

Zacze my wszyscy Pana Boga prosić chcemy za Wielmożną a Najaśniejszą osobą W.M.Ks. Miełości i wiecznymi czasy służyć.

Z tem powtóre służby nasze uniżone do W. a N. Ks. Miełości zalecamy.

Nanizsi słudzy naszego W. a W. Książęcia

Jan Stegowski, Wojciech Stegowski, Bartosz Stegowski".

Czy i jak książę oleśnicki uchronił siostrę uczciwą od szykany — nie wiemy, spotkamy go natomiast nieraz jeszcze biorącego udział w walkach mniszek polskich z niemieckimi, rozpalających się przez całe następne stulecia przy każdym wyborze ksieni. Wyborami kierował zasadniczo opat z Lubiąża jako „pater immediatus" klasztoru trzebnickiego, ale wtrącał zawsze swe trzy grosze książę oleśnicki, a obaj liczyć się musieli z wolą cesarza rzymskiego w Wiedniu. Skomplikowała się sprawa jeszcze, gdy książę oleśnicki, przyjąwszy protestantyzm, nie przestał uważać się nadal za zwierzchnika klasztoru. A sytuację żywiołu niemieckiego, władnego dotąd bezwzględnie, poderwała gruntownie reformacja. Niemieckie kandydatki do stolca i pastorału ksieni coraz mniej mogą być brane w rachubę, bo albo już sheretyczały, albo silnie sprzyjają nowinkom. Wśród dziewic Bogu poświęconych Polki mają bezwzględną większość zarówno ilościową jak — co ważniejsze — moralną. Daje się to zauważyć po śmierci niemieckiej opacichy Margarety II († 1589). Książę oleśnicki i opat lubiąski zabiegają o głosy polskie dla swej kandydatki, ale napróżno. Polki mówią, że słuchać chcą wyłącznie Ducha św. i wybierają rodaczkę Annę Jemiołowską.

Polka na stolcu od wieków niemieckim! — Jemiołowska na siedzisku Piastowskim! — prosta szlachcianka w sobolach i insygniach ksieńskiej władzy! Nie mógł na to zezwolić cesarz rzymski we Wiedniu; tedy przyganiwszy opatowi ostro brak energii, unieważnił cały wybór. Cesarz Rudolf II nie lubił protestantów bardzo, ale Polaków jeszcze więcej. Od czasu

Św. Jadwiga z bucikami, których nienoszeniem umartwiała się

Dostojnik z dworu św. Jadwigi

fatalnego a nawet skandalicznego wyniku niedawnej bitwy pod Byczyną, i od rozwiania się aspektów habsburskich na tron polski, Rudolf nie potrzebował już udawać sympatii dla Polaków. Naznacza więc komisję nadzwyczajną, która ma przeforsować wybór ksieni Niemki, opat zaś niech zabiega o zwiększenie niemieckiego pogłowia w nowicjacie panien trzebnickich. Tknięty niemile tonem pisma cesarskiego, książę oleśnicki sprzymierza się z opatem i polską większością przeciw cesarzowi i remonstrują razem. Jemiołowska jest wprawdzie „eine Polcke", ale od lat 50 żyje w zakonie i włada równie polskim jak niemieckim, osoba spokojna. Należy ją zostawić. Biskup wrocławski próbuje pośredniczyć między najjaśniejszym Wiedniem a przewielebną Trzebnicą. I udało mu się. Jemiołowska zostaje na urzędzie, ale już po 2 latach umiera, ze zgryzot jakoby i docinków od Niemek pokrzywdzonych, zaś wieść uparta mówi, że nie bez przyczyny stało się to ze strony siostrzyc kuchennych.

Teraz książę na Oleśnicy, chociaż innowierca, wziął forytować polską kandydatkę, przeoryszę Barbarę Wtorkowską, zaś opat z Lubiąża rad był widzieć pod kołpakiem ksieńskim zrazu s. zakrystiankę Ewę Proskowską, potem s. szafarkę Beatę Szlachcińską. Niemki wystawiły Helenę Kettner i Sabinę Nass, bojownicę tak namiętną, że ją Pallas Teutoniae nazwać można.

Nowy, zacieklejszy niż poprzednio spór o kompetencję. Książę na Oleśnicy ostro wyprasza sobie, by Wiedeń mieszał się w jego atrybucje i oskarża przed obliczem cesarskim Niemki, sycące waśń i mącące wodę w konwencie. Cesarz obstaje przy prawie decyzji, która jemu wyłącznie przysługuje. Zakonnice polskie kołaczą do króla Zygmunta III w Warszawie. Niestety, historyk niemiecki klasztoru, Wuttke, skąpi bliższych wiadomości o tym orędownictwie. Cesarz, zirytowany, oświadcza, że po wieczne czasy *(zu ewigen Zeiten)* nie może być mowy o dopuszczaniu Polek do godności naczelnej w Trzebnicy, a równocześnie siostry niemki przeciągają księcia oleśnickiego na swoją stronę, obiecując bezsporne uznanie jego prawa patronatu.

Przez ten czas w Trzebnicy rządzi triumwirat: Wtorkowska-Szlachcińska-Proskowska. Bałagan rośnie. Rozkaz cesarski: poszukać natychmiast gdziekolwiek w innym klasztorze kandydatkę Niemkę, byle przyzwoitą i o silnej ręce. *(Zur Cavirung böser consequens, welcher sich hiervor von der gewesenen Pollnischen Abbatissin zugetragen und vorlauffen)*. Z urny wychodzi tymczasem jadowita intrygantka Sabina Nass i wbrew przyrzeczeniu zaczyna odrazu wojnę z księciem, odmawiając jego urzędnikom prawa wstępu i wglądu w życie rozpuszczonych klasztornic. Wskutek tego książę na Oleśnicy znów przerzuca się na stronę fakcji polskiej. Nowe awantury. Polki upominają się wytrwale o swe prawo głosu i obecności w rządach klasztoru, do czego nie dopuszcza absolutny reżim Sabiny Nass. Proszą cesarza tylko o sprawiedliwość, o nic więcej. Mają dowody, że Sabina jest czarownicą, ona to próbowała otruć Jemiołowską. Wkrótce potem (1602) ksieni Sabina pada ofiarą morowej zarazy, pustoszącej Śląsk. W następnej elekcji — wbrew wyraźnej woli cesarza i bez udziału jego komisarzy — Polka osiąga znowu większość głosów, Barbara Wtorkowska, lecz i ta po roku umiera. (Dziwny w ogóle ten pomorek na ksienie w Trzebnicy!)

Tym razem cesarz umywa ręce od Trzebnicy, a książę oleśnicki dla odmiany bierze stronę mniejszości niemieckiej, i naciska na wybór Marii von Luck, równie wrogiej Polkom jak nieboszczka Nass. Gdy Niemki za poparciem opata z Lubiąża wygrały dzięki jakimś sztuczkom, zakonnice polskie podniosły taki tumult, że nowa ksieni aż do cesarza i do biskupa wołać musiała wkońcu o odsiecz. Ale cesarz nie usłuchał, ani biskup, bo już wiadome było, że ksieni von Luck sama sieje najwięcej złego; gospodyni niesumienna do cynizmu, trwoniąca dobro klasztorne z rozmysłu. Bo w głębi duszy już przystała do nowowierczyń i realizuje nakaz Lutrowy: „Niszczcie klasztory i równajcie je z ziemią! Nie trzeba mnichów. Albowiem jedna to rzecz, czyli kto

Widok Trzebnicy, wedle sztychu XVIII-wiecznego, w dziele F. Zimmermanna

Błogosławiona Ofka z Raciborza w „kaplicy polskiej" przy kościele parafialnym

Norbertanka z Czarnowąsów w białym habicie z czarnym welonem. Obraz z prezbiterium kościoła klasztornego

powie Bogu: będę przez żywot cały obrażał, czyli powie: będę chował ubóstwo i czystość. Jednakie to śluby. Niszczcie klasztory!"

Na wiosnę r. 1610 ksieni von Luck zameldowała panu na Oleśnicy, że się odmnisza i występuje z klasztoru, a prosi go jako współwyznawcę o opiekę, bo wychodzi za mąż za leśniczego klasztoru. Osława była iście haniebna. Następczyni na urzędzie św. Jadwigi złamała śluby zakonne! Cokolwiek myślał dawniej cesarz wiedeński o polskich klasztornicach, teraz urosły od razu w jego opinii jako orędownice wiary katolickiej. Niemek uciekło dotąd cztery z trzebnickiej klauzury, z Polek zaś żadna nie dała się skusić nowinkom. A książę dalej, mimo fatalny casus cynicznej opacichy, zabiegał o pastorał dla nowej niemkini. Pomimo to wybrano Elżbietę Piotrowską, zatwierdzoną przez cesarza. Zaczęły się dziwne a bardzo zawzięte kontredanse między księciem i konwentem, który mu stanowczo wypowiedział posłuszeństwo. Cesarz zajęty wojną 30-letnią przestał w ogóle zwracać uwagę na Trzebnicę. Rząd klasztoru zostawał odtąd w polskich rękach przez wiek cały. W czasie wojny, wśród jej pożarów, rabunków i kwaterunków trzy razy cysterski trzebnickie uciekały do Polski, gdzie sobie żyły i używały na swobodzie. I nie łatwo przyszło im potem wrócić w karby reguły i cnoty. Zawsze jednak świadomie i mocno walczyły o swą narodowość. Z powodzeniem tym pewniejszym, gdy na stolicy biskupiej w Wrocławiu zasiadł brat króla Zygmunta III Karol Ferdynand.

Ksieni Dorota Bnińska (1654—1661) i Jadwiga Bieniewska († 1674) dają dobry przykład zapobiegliwości o klasztor i rzutkiej organizacji. Bnińska powiększa posiadłości trzebnickie kupnem wsi Brzezie, nadaje statut młynarzom i piwowarom dóbr klasztornych. Bieniewska odbudowuje spalone czasu wojny folwarki, oczyszcza finanse, w r. 1663 uchodzi z całym konwentem przed Turkami w granice Polski. W okresie 1610—1705 rządzi Trzebnicą sześć ksień narodowości polskiej,

a tylko jedna niemka. Jeszcze w r. 1709 daje się odczuwać wpływ i wola mniszek polskich w Trzebnicy. Potem zamilka.

Czarnowąsy to zupełnie co innego niż Trzebnica. Tam dostęp mają przede wszystkim córy możnych panów, tu każdą szlachciankę w habit wezmą. Tam dostatek magnacki — tu walka o chleb wskutek fatalnego rozwłóczenia pierwszych zapisów. Natomiast rodzaj walki w wieku buntów i reformacji bardzo podobny. Te same instancje: cesarz, książę, proboszcz. I podobny tenor skarg zanoszonych przez bezradnych opatów. Pisze jeden z nich w wieku XVI, przerażony, że z urny wychodzi Polka:

„Wybrały sobie przeoryszę (Dorotę Kościewską), która rok cały w kościele nie była. Złożyłem ją z urzędu i muszę Waszej Wielebności prawdę wyznać, że tak długo nie będzie jedności w wieczności, póki nikczemny naród polski nie zostanie z korzeniami wypleniony z klasztoru w Czarnowąsach *(bis das heillose Polnische Volk aus dem Kloster Tscharnowans ...mit Grund und Wurzeln ausgerottet worden...)*. Przewodzą buntowi dwie siostry, bardzo czelne i ambitne (nie chcą brać do kuchni jarzyn, które urzędny biskupi im śle), obstaje za nimi brat Paweł. Intencją i dążeniem polskich mniszek jest mieć polskiego proboszcza, podżega je proboszcz ze Strzelna oraz kilku Polaków, którzy chełpią się, że za nimi oręduje król polski" (grudzień 1594).

Czarnowąsy uboższe były od Trzebnicy też i dlatego, że je wciąż bezwstydnie łupią. *Cuius regio eius... devastatio* można by powiedzieć. Łupią książęta opolscy, łupi król czeski, a cesarz jeszcze sobie upraszcza sprawę. Tonąc ciągle w kłopotach pieniężnych, zabiera mniszkom domenę po domenie, a wreszcie rozkazuje w r. 1572 oszacować dobra klasztoru i sprzedać jak swoją własność. Szczęściem część dało się odzyskać. To jest ten sam cesarz, co i w Trzebnicy, Rudolf II. Od roku 1625 jest i ten sam biskup na stolcu wrocławskim. Polski książę krwi. Ma to swoje dobre

Renesansowi opaci klasztorni,

według rysunków piórkiem w Kronice Mogilskiej 1505

Klasztor w Czarnowąsach (½ godziny od Opola)

i złe strony. Dobre, ponieważ broni narodowego stanu posiadania klasztornic czarnowąskich, złe, bo rozluźniona karność śmielej podnosi głowę. Już ostatni z Piastów opolskich Jan (1497—1532) użalał się papieżowi w r. 1524 na nieprawość, przechodzącą w jego krainie wszelkie granice. Że prałaci nic nie robią, tylko zgarniają pieniądze w swych majątkach, że żyją w rozpuście, że zakonnicy opuszczają klasztory i oddają się niepohamowanej przez nikogo rozwiązłości. Więc i w Czarnowąsach diabeł psocił bez miary. Był to Boruta w kontuszu, a niemieckie opaty chciały go koniecznie przebrać we frak z ogonem. Mrużąc oko, próbowali niby to restytuować karność zakonną, a drugą ręką konsekwentnie przykręcali śrubę germanizacji.

Ale siostry bronią się. Piszą więc do papieża z błaganiem, aby zniósł upokarzającą klasztor zależność od opactwa św. Wincentego w Wrocławiu, a władzę w Czarnowąsach oddał biskupowi. W r. 1642 zarząd konwentu przechodzi w ręce neutralne komisarzy Andrzeja Horzyńskiego, dziekana w Opolu, i Aleksadra Convasiusa, paulina-eremity z Częstochowy. W r. 1643 Szwedzi palą budynki i rozpędzają „*gubernium mirabilium virginum Polonarum*". Do restytucji karności po dopustach wojny 30-letniej zabiera się znowu człowiek najnieodpowiedniejszy, nasłany z Niemiec, opat Bruno Lindner, słowa po polsku nie umiejący. Wybuchają najostrzejsze awantury i skandale. Herr Abt każe zamurowywać drzwi w refektarzu, na co siostry reagują, zabierając narzędzia mularzom i kowalom, a proboszcza obrzucają wyzwiskami. Dwom braciom, przysłanym dla pertraktacji, oświadczyły, że Polska potrafi się upomnieć o ich krzywdę. Sprawa zaognia się dalej i wreszcie czarnowąskie panny oddają się pod opiekę królowej Marii Ludwiki, dzierżącej wówczas księstwo opolskie w zastawie. W jej imieniu bada sprawę graf Fels, za czym przychodzi do nowej wizytacji biskupiej z dziekanem Iwanickim z Opola na czele. Rezultat dla Lindnera bardzo smętny; stwierdzono, że gospodarował fatalnie, rządzić klasztorem nie

Upaństwowione Norbertanki prowadzą dziś internat dla dziewcząt

umiał, nie znając języka, siostry traktował jak swe niewolnice, z których dozwalał szydzić pachołkom klasztornym i sołtysowi. A więc wielebny Lindner został usunięty i długo potem upraszał, by mu choć 300 guldenów zaopatrzenia dano na dalszą drogę życia.

Władze norbertańskie widząc, że nie dadzą rady żywiołowi polskiemu, podejmują od końca XVII w. powolną, ale bardzo pedantyczną agitację, aby jak najwięcej Niemek ściągnąć do nowicjatu. Może dziewczyna nie mieć posagu i nawet być źle urodzona, byle by była muzykalna. Mieszczaństwo wrocławskie dopomaga. W roku 1751 liczą w Czarnowąsach już tylko 13 szlachcianek na 30 mniszek, w r. 1802 na 29 już tylko dwie legitymują się ze szlachectwa. Sekularyzacja zakonów w r. 1810 oddaje i Czarnowąsy na własność rządowi niemieckiemu.

Dziś Polką w kościele w Czarnowąsach jest chyba tylko ta mniszka w obrazie na prawej ścianie prezbyterium. A do stóp wiszącej niedaleko Madonny Częstochowskiej płyną z urzędu same pacierze niemieckie. Lud polski ukradkiem tylko pomodli się czasem do swej Panienki w mowie, którą Ona codzień słyszy na Jasnej Górze.

Zwiedziwszy kościół, poszedłem po języki na wieś. Cichcem, oglądając się nieufnie, odpowiadali Czarnowąszanie na me pytania, żeby nie mówić głośno. Dopiero przy drewnianej kaplicy na cmentarzu, która bliższa im jest niż ten nienawistny murowaniec, rozgadali się. Zasiedliśmy w gospodzie. Pan Pinder podał jadłospis: *Arrende Czarnowanz.* Olśnił mnie ten dźwięk przypomnieniem Jana Kasprowicza, który wszak w Opolu do gimnazjum chodził i wyleciał zeń za głośne mówienie po polsku. A do Czarnowąsów, wiadomo, robił częste wycieczki. Więc czy nie od wspomnienia tej właśnie „harendy“ poszła potem nazwa siedziby jego pod Tatrami?

NA POWITANIE NOWEJ WŁADZY

Karykatura z „Kocyndra" bytomskiego w okresie plebiscytu (1920)

Gdy od roku 1742 począwszy Fryderyk II rozpoczął „podnosić“ ten zapomniany od ludzi kraj i ratować go dla cywilizacji niemieckiej — trwało wówczas Śląsko w stanie pierwotnym i barbarzyńskim. Eksploratorzy, wysłani z Berlina na opisanie i wymierzenie świeżo okupowanej krainy nad Odrą, nie znajdują słów dość mocnych na wyrażenie nędzy duchowej Ślązaka, który nie tylko głosu ludzkiego czyli niemieckiego nie pojmuje, ale stroi się w sukmany dziwaczne, dziwacznie też, bo zgoła inaczej od Niemca śpiewa i tańczy, po odpustach wałęsa się, ochlapus przekażony o szpotawym pysku. A jeszcze twierdzi, że mu się krzywda dzieje, wedle pańszczyzny. I co gorsza, bez entuzjazmu patrzy na sąsiadów, jakimi go król uszczęśliwił. (Przyjechało po wojnie siedmioletniej tych sąsiadów wielu, nawet za wielu. Statystyka uczy, że w ciągu lat kilkunastu liczba wsi na Śląsku skoczyła po wojnie 7-letniej z 4743 na 4970, a więc o dobre dwie setki osad kolonistów, nasłanych dla ucywilizowania kraju). Bez entuzjazmu, ale i bez nienawiści. Raczej z ironią. Jeden ze sprawozdawców niemieckich, opisujących dziwności ludu nowo odkrytego, mówi: „Ślązak chętnie mędrkuje, ma dużo swoistego dowcipu, w niektórych okolicach nawet skłonny jest do satyry. Trwa mocno przy obyczaju swych dziadów. Dobrotliwy i chętny, chętniejszy nawet i bardziej ochoczy niż wielu Niemców. Ci, szczególnie na Dolnym Śląsku, słyną z niegrzeczności i dumy, od której Polak jest wolny“. (Geographisches Magazin, Dessau 1784. III 105).

Dobrotliwy i chętny, nikomu niekrzyw, siedlak śląski z nastaniem okupacji pruskiej ujrzał się sam nad przepaścią swego skromnego o minimalnym rozpięciu potrzeb bytu. Wzrosły ceny zboża, a w ślad za nimi większa własność zaczęła mu odbierać ziemię ojców, zakuwając go równocześnie w jeszcze cięższe jarzmo pańszczyzny i bydlęcego poddaństwa.

Miarą ciężkich stosunków poddańczych na dawnym Śląsku, kiedy to chłop wraz z całą rodziną, niby zwierzę pociągowe, był *mancipium* swego pana, może być taka pieśń błagalna, zanotowana w Dziersznie, w pow. gliwickim:

Wróć mi panie żonę — Będę trzy dni młócił
Zapłacę ci za nią — Byleś mi ją panie wrócił
Będę sieczkę rzezał
Byś mi panie z nią nie leżał.

Dziedzice śląscy nie odbiegali od reguły, tym chyba różniąc się od podobnej kasty w Polsce i w Niemczech, że byli jeszcze gorsi. Nie mamy dotychczas studiów naukowych, obrazujących układ stosunków na Śląsku przed wiekiem XIX pod względem narodowościowym, w szczególności brak danych, jak i kiedy niemczyła się średnia własność ziemska. Nie daje odpowiedzi na to pytanie historyk „stu lat śląskiej historii agrarnej“ J. Ziekursch, notuje tylko szczegół znamienny: tym się panowie śląscy różnią od sąsiadów w Polsce i Niemczech, że przeważnie przebywają poza swą włością i granicami kraju. Jedna czwarta właścicieli ziemskich w ogóle na Śląsk nie zaglądała. W okręgu głupczyckim na 80 właścicieli ziemskich 38 przesiadywało stale za granicą, a tylko 27 widywano w domu. W latach 1778/79 liczono zaledwie 5 albo 6 osób ze stanu szlacheckiego w dworach pow. strzeleckiego i opolskiego. Poza tym cała władza dominialna spoczywała w ręku urzędnych i „festerów“ czyli leśniczych. Poziom umysłowy tubylczego ziemiaństwa był nieprawdopodobnie niski. „Fatalne jest — skarży się oberprezydent Opola w r. 1765 — że tak niewielu ludzi nawet między szlachtą umie pisać i z pisanego czytać“. Ale i o nich pomyślała epoka rokokowych świecidełek. Magnaci i nie-magnaci urządzali ogrody, stajnie *en rocaille*, kupowali srebrzyste półszorki dla koni, wznosili poetyczne ruiny, sztuczne jeziora i inne zabaweczki za wzorem Berlina i Warszawy. Wysoko pod względem kulturalnym

stać musiał wówczas dwór książąt wirtemberskich w Pokoju (Carlsruhe) pod Opolem, sądząc z współczesnego opisu Regehly'ego w Norymberdze w r. 1799. Miarą ambicji artystycznych i mecenasowskich tej rezydencji może być fakt, że intendanturę muzyczną w Pokoju sprawował znakomity kompozytor Carl Maria Weber, dyrygujący m. i. utworami ks. Eugeniusza Wirtemberskiego. Wiadomo też, że wśród strzyżonych błędników Pokojowego parku wydumał Weber swą rozgłośną operę: „Wolnego Strzelca" (Freischütz).

W ziemiaństwie polskiego pochodzenia na główny plan wysunęła się rodzina Gaszynów. Przybyli z niedaleka, z Gaszynka pod Wieluniem, gdzie przodek ich, osiadły później na Śląsku, Mikołaj był rejentem około r. 1450. Gaszynowie pod opieką cesarzy szybko zbaronieli, pisząc się z czasem panami na Olesnic, Woźnikach, Żyrowej, Cerekwicy (Neukirch), Bożanowicach, Kożuchowie (Freistadt) i Kietrzu. Odznaczała ich często duża siła fizyczna, jako też najczęściej wielka rozrzutność, sławiona w wieści gminnej. O jednym opowiadano, że urządzał sannę w lecie, wysypując drogi solą, o innym, że na każdej dłoni jednego trębacza utrzymał. Z poczuciem narodowym Gaszynów bywało rozmaicie. Czasami który z nich przypomniał sobie polskość też. Historię rodu w sposób dowolnie poetycki opowiedział Bonczyk w poemacie „Góra Chełmska". Gaszynowie bowiem opiekowali się specjalnie tym miejscem w XVII i XVIII wieku i zmienili je w słynne miejsce odpustowe. Nawiązując do proroctwa: „Jak ostatni z Gaszynów umrze tu w klasztorze, spełni się dla tej góry przeznaczenie Boże" — Bonczyk wymyślił taką bajędę z ostatnim członkiem rodu, ale też nie zyskał czytelników, bo ślązacy nie chcieli brać do rąk wierszy, opartych na zmyśleniu.

Z innych ziemian opolsko-śląskich można by wymienić rodziny Zborowskich, Ziemięckich, Mleczków. Ci ostatni ze swych mnogich wiosek tak dalece nic wydobyć nie umieli, że zanim poszli z torbami czyli zanim się „sgos-

KROLEWSK
PRUSKI
PATENT
Dla
Przyszłego
PORZĄDKU
CONTRYBU-
CYINEGO
Na dziedzicznym
XIĘSTWIE SLĄSKU
Y
Do niegoż przyłączonym
GRABSTWIE KŁOCKIM.
D. d. z Pocdamu 23. April. 1743.
W Wrocławiu, u Jana Jakuba Korna, Bibliopole.

MY FRYDERYK, z Bożey Łaski Krol Pruski, Margrabja Brandenburski, Swiętego Państwa Rzymskiego Arcy-Podkomorzy, y Elektor, Samowładny y naywyższy Xiąże na Sląsku, Xiąże Samowładny Arausyoneński, Neucheleński y Walenski, iako y na Grabstwie Kłockim, Xiąże Geldryński, Magdeburski, Kliwski, Juliacki, Berski, Szczeciński, Pomorski, Kassubski, Wandalski, Megapolitański y Krośneński, Burgrabia Norymberski, Xiąże Halberstadzki, Mindeński, Kamięcki, Wendeński, Szwerzyński, Raceburski, Ost-Fryslandski, y Meurski, Grof Hohencolleredski, Rupiński, Marchycki, Ravensberski, Hohnsteyneński, Tekleburski, Szwerzyński, Liński, Bytski y Lerdamski, Pan na Ravensteynie, tiem Rostockiey, Stargardskiey, Lauenburskiey, Bytowskiey, Arleyskiey y Bredskiey, &c. &c.

Z Abiegaiąc nieustannie z Krolewskiey Łaski y oyeowskiey o tiemie opieki holo prawdziwego tiem y Powinacyi Naszych dobra y sukcessow, z ołobliwey ku samowładnemu Xięstwu Naszemu Sląsku Laski y oyeowskiey pieczy, obiąwszy, day Boże na zawsze! Szczęśliwie Rządy Nasze, na to przede wszystkimi rzeczami obroćiliśmy Myśli y Pieczołowanie Nasze, iako ono huboć przy tak mało nie po wszystkiey Europie w obdal zamierzonych *Conjunkturach*, ustawicznie iednak nic tylko w bezpieczeństwie y pokoju pożądanym zachować, ale też ieszcze w więtszych y obściey kwitnących postawić sukcessach. Z ktorey przyczyny ku temu Miłościwie nakierowaliśmy Myśl Nasze, żeby wszystkie owe Podatki, ktore wierni Nasi Szmowie, Mazowie y Poddani podług praw przyrodzonych y Boskich iako y podług kraiu ostrzeżnego porządkow na bezpieczeństwo y dobro pospolite dawać powinni, nimacz nie obrzekły się, iedno ustawicznie na dopięcie tego tiemi pożytecznego zamysłu.

Ponieważ Nam zaś zaraz na początku to zrozumieć przyszło, że pospolite tiemie potrzeby dozęd przeciw wszelkiey fluktuacyi, bo na ławne Szmowy y Poddanych iednych przed drugimi zniszczenie nie społecznymi nosiły się

A 2 rami-

Ale podatki ściągał Fryderyk II w języku polskim!

Na dziedzińcu „Gospody Polskiej“ w Bytomiu

Przed kościołem św. Sebastiana w Opolu

podarowali“, wóz drzewa posyłano do miasta, by zakupić chleba, całe gospodarstwo składało się z 50 chartów, które wciąż wyły, bo im żreć nie dawano.

Wśród niemieckich posiadaczy latyfundiów wymienić należy jako korzystny wyjątek ród hr. Oppersdorfów. Zjednali oni sobie, jak już wiemy, przychylność króla Jana III i uzyskali wówczas indygenat polski. Poczucie obywatelskie i płynące zeń obowiązki społeczne stały się tradycją domową Oppersdorfów, której nie sprzeniewierzyli się w czasach „świszczącego bicza hakaty“, okazując zrozumienie dla potrzeb ludności polskiej i broniąc jej praw przed forum Izby panów i sejmu pruskiego.

Dominia były na Śląsku rozmaitego rodzaju: dziedziczne dobra rycerskie, dalej lenna biskupie i królewskie, ponadto w powiatach nyskim i grotkowskim istniały sołtysostwa w liczbie 65, pełnoprawne, z władzą sądu, sprawujące patronat nad kościołem i szkołą. Lud cały żył w trojakim poddaństwie. Nie miał prawa własności nawet gruntu dziedzicznego, nie mógł opuścić wsi bez zezwolenia dworu i sądzony był przez dziedzica lub jego zastępcę.

Procent ludności bezrolnej był bardzo znaczny. W latach osiemdziesiątych stulecia Fryderyka II liczono 42.000 chałupników oraz „wycużników“, często jeszcze zdolnych do pracy, żyjących z renty, a dorabiających dniówkami. Równie liczny był proletariat kobiecy. Około 33.000 bab, komornic, prząśniczek, handlarek i robotnic. Żyło to w nieopisanej nędzy i prymitywiźmie. Parobcy i dziewczęta sypiali razem w stajniach i stodołach, więc dzieci przychodziło na świat więcej niż gdzieindziej. Za zwolnienie dziewcząt od powinności służebnej, za pozwolenie na zawarcie małżeństwa, dwory żądały wysokich opłat, co wzmagało stan zadłużenia chłopa u dziedzica.

Proletariat śląski ujawniał wszakże pierwszorzędne walory. Już w naszych czasach pisał

von der Goltz, że wśród robotników rolnych reprezentuje ta sfera element najinteligentniejszy, pilny i oszczędny, a równie wysoko stoi pod względem gospodarczym, jak moralnym.

Fatalny stan zadłużenia chłopów w dominiach zmusił wreszcie rząd pruski do wejrzenia w stosunki. Edykt królewski z r. 1754 stanął wyraźnie przeciw chłopom a po stronie zniemczonego lub niemczejącego ziemiaństwa. Pozwolono właścicielom dziedzicznych dóbr rycerskich zajmować zadłużone gospodarstwa chłopskie pod warunkiem osadzania 2—3 zagrodników na kilku morgach oraz przejęcia zaległych podatków. Szlachta zyskiwała więc najtańszym kosztem i ziemię i nowe bataliony ludzkiego bydła roboczego. Świadom swej krzywdy chłop śląski spojrzał, jak zawsze w ciągu wieków, za mur graniczny. I stosunki w Rzeczypospolitej, choć wiele pozostawiające do życzenia, wydały mu się rajem. Nie tylko bezrolni ale i siedlacy, zagrożeni usankcjonowanym przez nowych władców wywłaszczeniem, zaczęli masowo uciekać do Polski, jak do ziemi obiecanej.

A cały lud poplul w garście, uszykował kłonice, gotów do walki o zagrodę ojców. Zaczęły się rozruchy. Początek dały powiaty: raciborski, pszczyński, bytomski i toszecko-gliwicki. Na hasło z Raciborza zaprzestano robót pańszczyźnianych, odmówiono wszelkich świadczeń, organizując się po lasach. Był to rok 1766. Przewodził powstańcom krawczyk. A śmieli się jeszcze ci niepiśmienni ludzie powoływać na jakieś pisane prawa! Na patent pańszczyźniany cesarza Ferdynanda z r. 1562, na prawo oleskie, które przeprowadziło pomiary katastralne jeszcze przed zbawienną erą pruską. Landrat z Toszka von Sack wyjechał do buntowników na czele szwadronu huzarów i, jak stwierdzają jego rodacy, koledzy na urzędzie, „strzelał do ludzi, jak dzikus". Po krwawym uspokojeniu dziedzice odetchnęli i wkrótce zaczęli używać śmielej niż dotychczas. Jeden okazał tyle gorliwości, że własnonożnie deptał po leżących na ziemi niewolnikach i każdemu po 150 batów przyłożył. Powszechną też była kaźń pędzenia czasem wsi całych przez rózgi („praszczęta"), tradycyjny w całej środkowej Europie sposób na opornych chłopów. Ponadto „śpiczasty osieł", kara zwana w Polsce kobylnicą.

Wieść o rewolucji francuskiej, oraz żywsze, bo zza ściany, odgłosy Konstytucji 3-go Maja poruszyły znowu wieś śląską. Panowie niemieccy, chcąc przeciwdziałać fatalnemu wpływowi pątników na spokój wśród pańszczyźniaków, wymogli, że władze pruskie zakazały pielgrzymek do Polski. Nic zdołało to wszakże zatrzymać procesu uświadomienia. Chłopi śląscy rejestrowali pilnie każdą nową krzywdę, zadaną im przez srogiego pana, lub jego urzędnych, zaczęli też odbywać tajne masówki po lasach w Kluczborskiem i Oleskiem, gdzie nawoływano do samoobrony. Władze pruskie stanęły bezsilne. Szwadrony huzarów nic zaradzić nie mogły wrzeniu, ogarniającemu wieś za wsią. Udało się wreszcie schwycić rzekomego herszta. Gospodarz z Imielnicy, nazwiskiem Marek, miał gdzieś wyrazić się, że jeśli gmina nie dostanie lepszego drzewa opałowego, to im damy takiej mięty, co im pójdzie w pięty. Jak we Francji. Minister prowincji śląskiej, hr. Hoym, dowiedziawszy się o tym, wezwał general-lejtnanta von Mannsteina w Opolu rozkazał mu natychmiast ująć nieboraka, i w dniu jarmarku w Opolu 17 marca 1794 r. przepędzić go na placu targowym przez praszczęta, a po dwóch dniach, gdy już będzie „transportfähig", odwieźć do wsi rodzinnej w pow. strzeleckim. Rozkaz wykonano, krwawy strzęp biedaka wędrował od wsi do wsi dla odstraszającego przykładu.

Ale i rózgi, coraz szczodrzej rozdzielane, nie pomogły wobec świeżych wieści z odradzającej się Rzeczypospolitej: o Naczelniku w sukmanie, o przysiędze krakowskiej, o manifeście połanieckim. Lud śląski nie chciał już i słyszeć o jakichś drobnych ustępstwach, domagał się zmiany zasadniczej. Czynił to widocznie wcale energicznie i solidarnie — Ziekursch skąpi o tym szczegółów — skoro „wojska wszystkich rodzajów broni", ściągnięte z całej prowincji, rzucono do

tłumienia powstania, trwającego przez kilka lat. W r. 1795—1797 akcja powstańców, opanowana i powściągliwa, mimo rozpaczy ograniczała się do bojkotu niesprawiedliwej pańszczyzny, a do odwetu i zbrojnych napadów na dwory niemieckie tylko tam, gdzie dwór przemocą wybierał robotnika ze wsi. Dochodziło jednakże do wrogiej postawy wobec wojska, drągi, siekiery i cepy nieraz bywały w robocie przy odbijaniu przywódców. W r. 1799 zwyż 50 gmin w powiatach toszeckim i bytomskim zorganizowanych porzuciło pracę na łanach dworskich (słowa „strajk" jeszcze wówczas nie znano) i stawiało zbrojny opór załogom wojskowym. Nie pomagały praszczęta, które król Fryderyk Wilhelm III rozkazał dozować stale, okresowo i sumarycznie. Ile zaś było słusznej racji w żądaniach nieszczęsnych rabów śląskich, świadczy stanowisko ministra hr. Hoyma, który 5 czerwca 1799 r. pisał do stanów bytomskich: „...Jeżeli mamy rzecz rozważać bezstronnie, to musicie panowie podzielić moje zdanie, że (buntu) należało się spodziewać. Ucisk, w jakim trwają dotychczas poddani, jest zbyt wielki, gdyż wieśniak, odrabiający sześć dni pańszczyzny tygodniowo, nie nadoła przy największej pilności utrzymać siebie i swą rodzinę... eksplozja była więc wcześniej czy później nieunikniona". Jest to ten sam Graf Hoym, który swą energiczną dłoń wywłaszczyciela da poznać i odczuć na stanowisku gubernatora tzw. Prus Południowych.

Wrzenie trwało dalej, w najbardziej uciśnionych okolicach, w Kluczborskiem, Oleskiem i Sycowskiem opór to słabnął, to przygasał, ale nie prędko ustał. W ostatnim powiecie wojsko wysłane w r. 1800 na wieś poturbowało i poraniło ciężko wielu mieszkańców, ale o tych starciach bardzo nieścisłe ogłoszono dotąd wiadomości. Przewlekanie sprawy i sprytna agitacja od góry pozwoliła utrwalić się legendzie podobnej do galicyjskich bredni o dobrotliwym cesarzu i mazowieckich o opiekuńczym batiuszce w Petersburgu. Więc i chłopi śląscy uwierzyli, że król pruski „przaja" im łaskawie, i nawet wydał był już dawno edykt, uwłaszczający chłopów i zapewniający wieczyste dziedzictwo, pismo na pergaminie złocistymi literami, z trójkolorową pieczęcią: czerwoną, żółtą i czarną. Niestety, panowie schowali pismo we dworze, dalej krzywdzą chłopa i tyją z potu pańszczyźnianego. W istocie ani król, ani szlachta nie zamierzali niczego zmieniać, ufając, że chłopi uspokoją się sami.

Dopiero pod naciskiem klęski w wojnach napoleońskich zdecydował się Berlin na próbę rozwiązania sprawy. Próbę połowiczną, która dolała jeszcze oliwy do ognia. Edyktem październikowym króla pruskiego z r. 1807 zniesiono poddaństwo osobiste na Śląsku polskim. Z chwilą uwolnienia włościan w Księstwie Warszawskim utrzymywanie dalszej zależności osobistej nie dało się pomyśleć. Przestał więc obowiązywać przymus służby we dworze i mógł chłop odtąd zmieniać miejsce pobytu, nie oglądając się na zezwolenie pana i nie płacąc za to.

Sprawa najważniejsza, pańszczyźniana, pozostała nadal w zawieszeniu. Jakby na kpiny rząd zniósł pańszczyznę w całych Prusiech, z wyłączeniem jedynie Górnego Śląska. Była to zemsta na nieszczęsnym rabie za to, że przez trzy pokolenia śmiał opierać się i ujawniać wolę obrony. Z cynicznym spokojem obwieszczono mieszkańcom najmłodszej prowincji pruskiej, że zmiany na lepsze oczekiwać mogą dopiero wówczas, gdy się panowie porozumieją z chłopami i ustalą wysokość odszkodowania w pieniądzach, zbożu lub ziemi.

Odpowiedzią na te kpiny biurokratów było nowe powstanie ludu, uwieńczone trwalszym, niż dotychczasowe, porozumieniem się pokrzywdzonych. 81 wiosek polskiego Śląska zredagowały memoriał w języku polskim, opatrzony pieczęciami gmin i podpisami sołtysów.

Podniecenie, podsycane wypadkami kampanii napoleońskiej, a głównie przemarszem wojsk polskich, nie osłabło. Nieuświadomiony jeszcze narodowo, tym mocniej obstawał chłop śląski przy swych żądaniach społecznych. „Prędzej się porąbać damy w kawały, niż na pańskie robić pójdziemy" — oświadczają król.-ces. komisarzowi z Brzegu w r. 1811.

W tymże roku 1811 król pruski zdecydował się ostatecznie i wydał edykt, uwalniający chłopów od robocizny. Edykt ten jednak nierychło wszedł w życie. Zniemczeni panowie śląscy teraz dopiero wyzyskali legendę ludową i naprawdę schowali edykt królewski do szuflady. Dziedzice, dzierżawcy i księża „smówili się" pary z ust o nim nie puścić. Pisarzy, układających chłopom petycje o zniesienie tego, co już zniosła ustawa, karano więzieniem. Nowe demonstracje i rozruchy w Zabrzu, Mikulczycach, Tworkowie. I nowe szwadrony po wsiach. („Trem te remtem husarze do wsi jadą nagle, Tam do licha, chłop mówi, to będzie po diable").

Ruch wyzwoleńczy chłopski miał niewątpliwie wielu własnych bardów i pieśniarzy. Na wsi śląskiej nie obejdzie się bez tego. Jak dotąd wyszła na jaw tylko jedna pieśń, osnuta na tle wypadków w Tworkowie kole Raciborza. Tyrteusz wiejski wzywa tam: „Pójdźmy bracia, pójdźmy tam, brońmy Tworkowików, Wyrwiemy ich z pazurów pańskich namiestników". Po czym uderza w akordy wesołości po zwycięstwie:

Hejda, hejda, skaczmy se, skaczmy sobie śmiele
Doczkaliśmy się wolności, chociaż za lat wiele.
Hejda, hejda muzyczko, grajże nam wesoło
Sami wolni panowie idą sobie w koło!

Ustępując wreszcie pod naporem wojska:

Potem wszyscy pospołu w las się obrócili
Tam za Odrą na zdrowie skórze swojej pili
Baby chłopów spłukanych z galot zezuwają
Że mało sprawili, na to trochę łają.
Tak się wojna skończyła, wojna kożuchowa
Jak ostatni tchórz umrze, zacznie się zaś nowa!

Pełne wyzwolenie z troistej (osobistej, gruntowej i sądowej) niewoli dał ludowi śląskiemu dopiero rok 1848. Nie dał natomiast, bo dać nie chciał upustu — jego rozbudzonej świadomości polskiej. Gdy zaś przymus szkolny i konieczność kazały się Ślązakowi uczyć niemieckiego, doznał uczucia tego, co harnaś tatrzański, w dyby przez cesarskich zakuwany. Jeszcze w ostatnich dziesiątkach XIX w. powtarzano sobie taką pełną wymowy radę: „Kto chce po niemiecku się nauczyć to musi, kiedy jest ciężki mróz, na klamkę język położyć a potem ostro zerwać: gdy język się krwią zaleje — umie po niemiecku".

Okrężne Związku Polaków w Niemczech

HEJ, HEJ, ŻOŁNIERZE!

Sztab I Powstania Śląskiego na wiosnę roku 1919

Wydział Sokoła w Bytomiu z r. 1898

„Marsz kozaków tu przez wieś baczę doskonale, jak dziś pamiętam: nagle do mieszkania wpada kozak, istotny żebrak, a miał głód nielada, bo biegał jak wariat, w wszystkie kąty wglądał, kusać! kusać! wołając". Znalazłszy, wziął, najadł się, potem nakarmił zgłodniałe dziecko, i wrócił bić Francuza. Ale nie tylko kozaków oglądał ojciec Bonczyka. Zobaczył i tych, którzy przyszli z pieśnią: „Hej, hej, żołnierze, serca nasze radość bierze". Niewiada tylko, czy ich poznał od razu, bo znaków polskich nie widziała ziemia śląska od króla Jana III. A te dzisiejsze tak samo jak tamte, zawczorajsze, nie po Śląsk przyszły, lecz przechodziły tylko przez Śląsk z odsieczą, tym razem Napoleonowi. Napoleon zaś myślał zwrócić Śląsk, ale znowuż — Austrii. O wywołaniu ruchu zbrojnego, który samorzutnie buchnął na Pomorzu i w Wielkopolsce, tu i marzyć jeszcze niesposób było. Natomiast Niemcy zorganizowali na Śląsku swoją partyzantkę i jej wypadów na teren Wielkopolski obawiał się dalekosiężny gen. J. H. Dąbrowski, czuwający nad insurekcją tej dzielnicy.

„Należy żałować — pisze historyk wojskowości naszej Janusz Staszewski — iż nie pozostawiono na Śląsku żadnej większej jednostki bojowej, przy ukazaniu się bowiem większych oddziałów polskich łatwo dało by się wywołać powstanie". A dane były. Porucznik Trembecki, patrolujący z początkiem roku 1807 z rozkazu dowódcy krakowskiego pospolitego ruszenia, raportował spod Koźla o „zaufaniu obywateli niektórych" oraz o „radosnych okrzykach pospólstwa", które, witając wojsko polskie jako wybawców, błagało o pomoc przeciw komendom pruskim w Bytomiu i Gliwicach, biorącym ich gwałtem w szeregi, i zakuwających w łańcuszki. Porucznik Trembecki zapewnił mieszkańców, „iż przez nasze wkroczenie w Śląsk chcemy obywatelom prawdziwą spokojność przynieść i ich ubezpieczyć od wszelkich pruskich gwałtowności, gdyż ten kraj nie jest po Odrę pruski tylko polski". Niestety, siły polskie były zbyt szczupłe, aby się mogły pokusić o obsadzenie kraju i działania ofensywne. Autochtoni zaś

Przedwojenni Sokoli z Bytomia poświęcili swój sztandar w czasie wycieczki „zagranicą" do Czernej pod Krzeszowicami

śląscy nie byli wcale tak tępi i barbarzyńscy, jak się obcym zdawało. Z pewnością Norbert Bonczyk nie wymyślił sobie doskonałego typu rzędziochy i polityczki: — „A mnie wojna nie dziwna — wspomina Stara Leśna w Miechowicach — znałam Kutuzowa, znałam Poniatowskiego, a to dzielna głowa! Ale zginął we Sroce! A więc moiściewy..."

A więc moiściewy, nawet i ta garstka załogi ruszyła wkrótce do Prus Wschodnich na pomoc gen. Zajączkowi, na Śląsku zostały tylko formacje o charakterze partyzanckim. Sprawiły się one najfatalniej, głównie dzięki zabijace, który zwał się ks. Jan Sułkowski z Bielska. Nawiązując do haniebnych tradycyj przeszłości, sformował sobie pułk huzarów, a właściwie watahę rabusiów, przypominających owe zaciężne kupy H. Lubomirskiego, co to nękały Śląsk w r. 1683.

Sułkowski, pozostający na żołdzie francuskim, a taktycznie i organizacyjnie pod komendą polską, w 150 koni przekroczył 9 kwietnia 1807 granicę, zajął Mikołów i Gliwice i nuże łupić mieszkańców. Ponieważ ks. Hieronim Bonaparte zabronił zbrojnych napadów, Sułkowski udał, że to jego napadnięto i podzieliwszy swój oddział na dwie grupy rozpoczął walkę sam z sobą. Prusacy, przeniknąwszy zawczasu zamysły księcia-bandyty, przypuścili w odpowiedniej chwili atak z fortecy Koźle i zlikwidowali go. Sułkowski w gorącej chwili zrzuca mundur, kryje się w jakiejś chałupie pod łóżkiem i ucieka do Księstwa Warsz., skąd próbuje szczęścia na nowo.

Lud śląski obserwował jednak wypadki dość trzeźwo, oceniał je raczej na wesoło, oddzielając ziarno od plewy. Tradycja w Miechowicach przechowała pamięć o tym, jak to „głodne wilki syberyjskie" szły przez Śląsk na Francuza, a car Aleksy z sztabem nocował na Szkarotce pod Miechowicami. Wioska owa ucierpiała wówczas wiele. Spłonął bowiem („z potrzeb wojny, czy też dla zabawy?") dach na świątyńce drewnianej. Wypadek ten wywołał nawet doniosłe skutki w historii świata. Cóż bowiem czynią na wieść o tym, wedle słów Bonczyka, walczące państwa Europy?

Myśliwi bytomscy przed 35-ciu laty niewiele chyba różnili się od dzisiejszych

„Pierwsze więc starania
Były mocarzów w Wiedniu: cesarza Franciszka
Cara Aleksandra, Wilhelma braciszka
Czemprędzej zrobić pokój, aby Miechowice
Mogły znów pokryć kościół".

Epizody w rodzaju Sułkowskiego kazały przeciwstawiać swawolę obecną karnej postawie żołnierzy Jana III, ale była ona epizodem bez znaczenia większego wobec wypadków na Dolnym Śląsku, gdzie Prusacy sformowali wcześnie swoją podgryzającą Francuzów partyzantkę. Walczyła z nią utworzona w tym celu grupa gen. Lefebvre-Desnouettes, osłaniająca Wrocław. Gdy w wyniku walki oddział jego został doszczętnie i krwawo rozbity, uratowało sytuację 400 szabel ułanów polskich. Odnieśli oni zwycięstwo pod Strzygłowem (Striegau) z początkiem maja 1807 r. W ataku wspomagała ich świadomość, że „słyszą polską mowę wśród ludu, polskim oddychają powietrzem i są u siebie". Należy wspomnieć nazwiska dowódców: kapitanowie Fijałkowski i Starzyński, grosmajor Świderski. Na sygnał alarmu, otrąbionego przez gen. Lefebvre, w siedem minut stanęli gotowi do odmarszu. Wytężającą akcję uwieńczył sukces. ...„Ani pierwszy szwadron huzarów tabaczkowych — mówi uczestnik walk, Dobiecki — ani drugi pięknych dragonów w błękitnych mundurach z różowymi wyłogami, ani na koniec trzeci, bośniaków, tak jak ułani w lance uzbrojonych — natarcia Polaków wytrzymać nie mogli... Przeszli ułani przez pokonaną, rzucającą broń kolumnę piechoty, kołąc opierających się, dając pardon jeńcom zabranym; ale gdy już ją wyminęli, Prusacy chwytali znowu za karabiny i strzelali w plecy ułanom... Owocem tego zwycięstwa było 12 sztuk armat, tyleż wozów amunicyjnych, 4000 jeńców... oraz uwolnienie dwóch batalionów saskich, którzy dniem wprzódy

Wycieczka z Opola na szczycie Pilska w Beskidach

broń rzuciwszy, zabranymi zostali... Ks. Anhalt-Pless rączości swego konia winien był ocalenie, rozprawa ta trwała krócej, niż czasu na jej opowiadanie potrzeba. Niemcy sami w piśmie periodycznym we Wrocławiu „Vertraute Briefe" oddali sprawiedliwość męstwu Polaków... Wypadek był szczególny — kończy relację Dobiecki — aby 300 jeźdźców pięciotysięczny korpus pokonało. Korzyści stąd niemałe wynikły, bo załogi twierdz: Nyssy, Kładzka, Koźla skłonniejsze były do rychłego poddania". Szczególność owa nie zdziwi nas jednak, gdy dowiemy się, że to były szable „najdzielniejsze z dzielnych", te same, które błysną wkrótce w Samosierze.

Na razie jednak odpoczywają i uzupełniają się we Wrocławiu, do którego weszły *tambour battant* 13 maja, po stuczternastu dniach marszu, przez bramę Oławską, gdzie się równocześnie znalazła i piechota legii polsko-włoskiej. Napoleon przeznacza Wrocław na punkt zborny dla uzupełnienia zaciągu. Znalazły się więc razem szczątki legionów pod wodzą gen. Grabińskiego i 8400 rekrutów z ogółu 15.000 wybranego w obszarach już wyzwolonych. „W ten więc sposób — stwierdza historyk — na ziemi śląskiej odrodził się ten oddział wojska polskiego, który był przez dłuższy czas jedyną i żywą reprezentacją Państwa Polskiego". Żołnierz polski, komenderowany przez mjr. Klickiego i pułk. Konopkę, zachowywał się w stolicy Śląska wedle zgodnych relacyj współczesnych wzorowo, w międzyczasie biorąc udział przy blokadzie Ząbkowic (Frankenstein), w oblężeniu Kładzka, gdzie młody rekrut wziął chrzest ognia. Po zawarciu pokoju tylżyckiego walki ustały, ułani polscy stanęli jeszcze do przeglądu przed ks. Hieronimem Bonapartem, oraz defilowali przed Cesarzem, wracającym przez Wrocław z Tylży do Paryża.

Drużyna palanta w powiecie opolskim

Zlot młodzieży w Warszawie

Delegacja Opolan na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego

Jeszcze wspomnieć wypada o roli pogranicza śląskiego w r. 1809, czasu wojny polsko-austriackiej. W twierdzach nadodrzańskich pozostały jeszcze garnizony francusko-polskie, które mogły zaważyć na rozpoczynającej się kampanii Austrii z Francją i jej sprzymierzeńcami. Austriacy usiłowali uzyskać wówczas zbrojną pomoc Prus za cenę ziem polskich c. k. orężem zdobyć się mających albo drogą prowokacji. Oczekiwano, aby chociaż mały oddział polski przeszedł granicę Śląska z bronią w ręku, wówczas gen. Götzen mógłby wkroczyć do Księstwa w obronie zgwałconej neutralności. Rachuby zawiodły, gdy Austriacy wzięli porządnie w skórę. W twierdzy Zygmuntowskiego Głogowa ułani nasi stali załogą jeszcze w r. 1811.

Odegrał więc Śląsk w wojnach napoleońskich nieostatnią rolę, cenniejszą wszakże była okoliczność, że znowu i kilkakrotnie przypomniała się jego sprawa sumieniu naszej dyplomacji, która w ograniczonej swej możności niewiele zdziałać mogła. Wyrazem polskiej racji stanu czasu tego będzie głos znakomitego statysty, Hugona Kołłątaja, który, znając teren — (tu wszakże pisał przed laty swą księgę o Ustawie Majowej) — wołał w r. 1808: „Interes nowej polityki wymaga tego, ażeby oba narody (t. j. polski i niemiecki) zostały w całości, jak ich sama natura rozdzieliła. Kraje Germanii jako sąsiedzkie Francji, zostać mogą pod konstytucją federacyjną... kraje polskie, jako przeznaczone służyć za przedmurze całemu zachodniemu Imperium, powinne zostać pod berłem jednego króla... Na szczęście wszystkie kraje po prawym brzegu Odry leżące są słowiańskie: Szlązacy począwszy od źródła Odry aż po granice Brandenburgii mówią po polsku".

Rząd Księstwa Warszawskiego nie spuszczał z oka Śląska i zamierzał włączyć go w granice przyszłej Polski. Nie brak na to dowodów. 28 stycznia 1807 pisał Napoleon do ks. Hieronima: „Dałem polecenie rządowi (warszawskiemu), aby nie czynił żadnej wyprawy na

Śląsk, przez Ciebie zajmowany". Myślał o zamianie „obu Galicyj" (Starej i Nowej) za obszar Śląska Pruskiego. Wiedeń, będąc chwiejny, nie odpowiadał na propozycję. Z wiosną roku 1807 już Cesarz miał inne plany, dalekie jednak zawsze od tego, by dopuścić do ziemi śląskiej prawowitych jej gospodarzy. Gdy w kwietniu r. 1807 zarządzono nowy pobór rekruta do wojska polskiego, generał Męciński doradzał wówczas ks. Józefowi „podciągnięcie do obowiązków powstania kraju po Odrę" — Ks. Józef wiedząc, że na to się nie zgodzi Napoleon, odrzec musiał krótko, rad nie rad: „projekt ten nie jest w swoim miejscu i czasie..."

Miesiące wielkiego strachu, po szeregu lat spokojnych, przeżyła znów administracja pruska, gdy doszły na Śląsk pierwsze wieści o nocy listopadowej. Doszły nierychło, pocztą pantoflową. Dopiero w 5 dni po wybuchu „oberzollinspektor" w Mysłowicach wysłał pierwszy, odpowiednio przerażony raport do Wrocławia o tym, że 16 podchorążych i 8 studentów rozpoczęło rewolucję w Warszawie.

Odtąd z dnia na dzień spodziewano się wojsk polskich nad Odrą. Żandarmi i ochotnicy obsadzili zaraz granicę. Popłoch szerzyli Kozacy, składający w popłochu broń w ręce pruskich posterunków granicznych. Gdy Rząd Narodowy zakazał wywozu za granicę Królestwa, na rynkach śląskich dał się odczuć od razu brak żywności. Zrazu na ucho, potem coraz głośniej opowiadano sobie o szwadronach kawalerii polskiej, która idzie od Kalisza. Świadkowie jakoby naoczni widzieli ułanów polskich, rozbrajających „grenzjägrów" pod Olesnem. I opowiadali: od Częstochowy przez Praszkę ciągnie groźny mściciel, generał Bem na czele swej artylerii...

Nareszcie po upadku Warszawy, we wrześniu 1831, zaczął znów Wrocław oddychać swobodniej.

Lud śląski jeszcze się był nie przebudził. Dowiodły tego wypadki roku 1846. Na emigracji paryskiej powstał w związku z likwidacją rzeczypospolitej krakowskiej projekt, bardzo interesujący pod względem wojskowym. Spiskowcy, na których czele stali Edward Dembowski, Leon Kapliński, M. A. Fredro, umyślili wywołać na Śląsku powstanie, które by zagrodziło wojskom pruskim drogę do Krakowa. Bo nawet ten mikroskopijny strzępek państwowości krakowskiej miał swoją cenę dla ówczesnej Polski. Jako emisariusz wyjechał w tym celu na Śląsk Poznańczyk Franciszek Antoniewicz. Konferował z górnikami w Gliwicach, Tarnowskich Górach i Bytomiu. Planowano wszcząć rozruch o charakterze religijnym, antysekciarskim i uzupełnić go później hasłami narodowymi. (W planie Lud. Mierosławskiego punktem zbornym miało być miasto Toszek). Niestety! Misja zaczęła się i skończyła na Śląsku, w twierdzy głogowskiej, w której zamknięto Antoniewicza na całe życie, uwolnił go jednak wkrótce rok 1848.

Wycieczka ze Śląska Opolskiego w hołdzie przed Belwederem

GAZETY
SLĄSKIE,
DLA LUDU POSPOLITEGO.

KARTKA II.

za Miesiąca Lutego, 1790.

BIBLIOTEKA JAGIELLONICA

Sposob doświadczony na ſparzenie.

Kmiotka pewna uwarzywszy bryię, poſtawiła ią w miſie na ziemię. Wyszedszy z kuchni nadeszło małeńiey dziecię, a wpadszy nagie do bryi, ſtrasznie ſię ſparzyło.

Na krzyk matki przybiegła ſąsiada a tę iey poradę dała: aby na tych miaſt w Kurniku świeżego miękiego kurzyńca, [gnoiu kurzego] nabrała, a w niesolonym maśle ſmażyła, ale wszyſtkiemu ieno raz wywrzeć dała, potym wszyſtko przez chuſtę lnianą przeciśnąwszy, tą maścią ſparzeline pomazała.

To gdy matka uczyniła, dziecię iey za kilka dni wygoiło ſię.

Tym ſamym śrzodkiem, gorzelnik, ktory ſobie obie nogi wrzącą gorzałką ſparzył, ſię wygoił.

Inny ſposob doświadczony.

Weźm krochmalu modrego(mączki modrey) zgotuy iako do bielezny potrzebuią, a kiedy oſtygł, naszmaruy nim chuſtę lnianą a na ſparzelinę położ, a poty powtarzay nakładanie świeżego plaſtru, poki ſię plaſtr ieszcze rozgrzeie, a ſparzony gorączke czuie, plaſtr on bowiem wszyſtkę wyciąga gorączkę. Skorę zaś, wyschłą i pomarszczoną, częſto a tak długo oleiem iaiecznym napuszczać trzeba, aże ſię nowa ſkora pokaże, a ſtara powoli odpaduie. Młodą ſkorkę rzadką maścią z wodki rożaney i bleywasu od czasu do czasu namaczać pożyteczna, aby ſię ſkora nie popukała.

Sparzywszy ſobie palce albo ręce, wrzuć garść popiołu do ſklanki albo garnuszka, przyley tyle octu (kwaśnego) tęgiego, aże ſię bryią gęſtą ſtanie, a wraz do niey palce, albo przytoż do członka ſparzonego a zawiąż. Boleści wnet uſtaną, a twarda pozoſtała ſkora, za kilka dni ſama ſię odłupi.

Prze-

Na rok przed Ustawą Majową, która zajęła się sprawą „ludu pospolitego“, wychodziło na Śląsku pierwsze w Polsce pismo dla ludu!

KOLEBKA I GŁÓD

I

Dwukrotnie, pierwszy raz, gdy się jeszcze nikomu nie śniło, bo w r. 1790, drugi raz wyprzedzając poczynania innych dzielnic, stanęła na Śląsku kolebka polskiej prasy ludowej. Pierwsza próba doszła nas w strzępku jeszcze mniejszym, niż najstarsze inkunabuły z początków drukarstwa polskiego. Bo tylko „kartka druga za miesiąca lutego" z czasopisma p.t. „Gazety Śląskie dla ludu pospolitego" z r. 1790. „Miejsce druku niepodane — pisze odkrywca tego klejnotu, K. Dobrowolski w swych (wyśmienicie wyczerpujących) „uwagach wstępnych o piśmiennictwie polskiem na Śląsku" — lecz germanizmy i waluta wskazują na Śląsk niemiecki. Pismo to zawierało rady gospodarcze, dotyczące obory, chowu bydła, leczenia zarazy bydlęcej, z kolei wskazówki lekarskie (sposób na sparzenie, uwagi o epidemiach) nadto ostrzeżenia przed gusłami i zabobonami". Nowsze badania wykazały, że pismo wychodziło we Wrocławiu.

Fakt zaszczytny, niewątpliwie dobrze świadczący i o poziomie umysłowym, i o potrzebach Ślązaka już w XVIII wieku, kiedy chłopi w Rzeczyspopolitej spali jeszcze w najlepsze. Nie należy jednak przeceniać jego roli w rozwoju uświadomienia narodowego. Mogły przecie pisma takie doskonale wychowywać mówiących po polsku Prusaków. Rząd pruski, rozumiejąc znaczenie prasy w języku polskim, rozpoczął też od r. 1812 wydawać „Dziennik Urzędowy" w Pszczynie. Gdy zaś powstała w r. 1816 regencja królewska w Opolu, podjęto z jej ramienia wydawanie raz w tygodniu pod tym tytułem ukazów rządowych w polskim tłumaczeniu. Pan radca konsystorialny Richter, człowiek sprawiedliwy i poczciwy, trudnił się tym procederem aż do r. 1838. Od r. 1841 atoli poniechano innowacji. Ujął się wtedy za polskimi ogłoszeniami ustaw Carl von Koschützky, Ślązak i Niemiec z dziada pradziada, bogaty ordynat witkowicki w powiecie tarnogórskim, a wywodzący się z Roszkowic pod Byczyną. Dziwny ten człowiek nie tylko rozmiłował się w swym polskim szlachectwie i łuku srebrnym, upiętym w czerwonym polu, którym się pieczętował, nie tylko wrócił do polskości, ale zawziął się w robocie. Gdy mu oberprezydent opolski dał nijaką odpowiedź, zażądał na sejmiku prowincjonalnym, aby dziennik urzędowy drukowany był nadal po polsku; odmówiono znów, dopiero gdy Kosicki zaapelował do tronu, ukazały się w r. 1850 dwa numery polskiej edycji. Była to uwertura do wieloletniej pracy społecznej Kosickiego. Zakładał towarzystwa, nie zrażał się, organizował. Sam nigdy do biegłości w polszczyźnie nie doszedłszy, wydawał później w Bytomiu przy pomocy Lompy i dzielnego równie nauczyciela z Bytomia, Emanuela Smolki „Poradnik dla ludu górnośląskiego" (1851—1853), dwutygodnik bity w nakładzie 3000 egz. i rozsyłany zrazu bezpłatnie gminom wiejskim. Ziemianie uważali Kosickiego za donkiszota, on zaś sam zawziął się, by choć w części zagłuszyć świst krwawego bata, jakim przez wieki chłostali jego bracia szlachcice potulnego kmiotka.

Mnie zaś przypomina Karol Kosicki innego kresowca zachodniego, cudem przypadku wróconego ojczyźnie. Nazywał się aż do lat męskich Adalbert von Winkler, i bardzo późno doszedł ten Mazur pruski, że jest Wojciechem Kętrzyńskim, za czym przez długie dziesiątki lat pracował nad dziejami kresów zachodnich, jak żuraw czujny, tkwiąc na stolcu dyrektorskim w Ossolineum.

Ale odbiegliśmy od tematu. Chodziło o fundament, rzucony na Śląsku pod rozwój prasy ludowej polskiej w ogóle. Stało się to na sześć lat przed „wiosną ludów", niosącą na przeciąg kilku miesięcy wolność prasie dwóch zaborów — w r. 1842. Wydawcą i redaktorem był ewangelicki nauczyciel z Karłowic pod Brzegiem, Krystian Schemmel, który przybywszy jako nauczyciel do Pszczyny, obrany został tamże burmistrzem, i jako taki rozpoczął wydawać gazetę

polską. Pismo poświęcone głównie sprawom rolniczym, redagowane „w stylu dla włościańskiego ludu zrozumiałym“, ukazywało się przez cztery lata. „Dziś nam nie wiadomo — pisze J. Kudera w broszurze o dziennikarstwie śląskim — co spowodowało Schemmla do tego, że po czterech latach w r. 1846 zaniechał dalszego wydawania tygodnika, i chociażbyśmy przytoczyli zwykłe przyczyny, które spowodowały upadek innych gazet, jako to małą liczbę abonentów, brak funduszów potrzebnych, niechęć czytelników, nieporozumienie pomiędzy wydawcą a czytelnikiem, toby to było tylko domysłem“.

Powód upadku był jeszcze inny, bardzo prosty. Nie było komu czytać, ludzie umierali z głodu i zarazy. Trzy kolejno po sobie następujące lata nieurodzaju kazały chłopu śląskiemu żywić się koniczyną, lebiodą i korą z drzew, ograniczona możność zarobków zwęziła się znacznie. Wraz z upadkiem Rzeczypospolitej krakowskiej (1846) przestały istnieć, wskutek wprowadzenia ceł granicznych, setki przędzalni, dostarczających płótno do Krakowa, fatalny stan dróg utrudniał zarobek furmankami, dwór zaś wyzyskiwał niewiele mniej niż dawniej. Stara kuma Ślązaków, zaraza morowa („morawka“) mogła liczyć na wielkie powodzenie, tym więcej, że opilstwo rosło. Na 980.000 ludności wypadało rocznie — wedle statystyki u antropologa Virchowa — 12 ½ miliona litrów wódki. Wojna krzyżowa przeciw pijaństwu, podjęta w r. 1844 przez polskiego franciszkanina St. Brzozowskiego, polepszyła sprawę na krótko. 40 tysięcy chłopów i bab w samym powiecie bytomskim złożyło ślub wstrzemięźliwości i kontentowało się skąpymi racjami zgniłych kartofli. Już od roku 1845 zabroniono gazetom w Niemczech wspominać, że Śląskowi Górnemu grozi głód. W połowie r. 1847 zaraza wybuchła od razu z natężeniem, wobec którego bledną siedemnastowieczne opisy moru. W zasięgu zarazy stanęła od razu cała Opolszczyzna, niby dom w płomieniach. Obok ziemi pszczyńskiej

Stare domostwo pod Kluczborkiem

Pieśń

O Swiętym ROCHU Patronie od Marowego Powietrza.

Żawitay Rochu od nas pożądany
Całemu światu za Patrana dany
Z Krolow Francuskich ieſteś urodzony
Bądz pochwalony.

Gdyś Maryą Pannę Rozańcem pośdrawiał
Od nieyeś wiedkiey pociechy dosnawał
Przyczyń się Rochu za nas grzesznikami
Twemi prośbami.

Kochany w Bogu wielce Rochu Swięty
Ktoryś że zaslug ieſt do Nieba wzięty
Uproś nam zdrowie uzagniewanego
Boga naszego.

A gdy ty ieszcze będąc tu na ziemi
Słynąłeś zawsze Cudami sławnemi
Zeć sam Bog z Nieba Anioła swoiego
Zesłał takiego.

i rybnickiej najsrożej hulał tyfus głodowy w Raciborskiem, Głupczyckiem i Kozielskiem. Pastwą padło ogółem 50.000 osób. Rząd zezwolił na masowe procesje, półobłąkany z głodu i przerażenia tłum oblegał kościoły, poświęcone sędziwemu patronowi tych spraw św. Rochowi i śpiewał najsmutniejszą ze swych regionalnych pieśni religijnych:

Zawitaj Rochu od nas pożądany
Całemu światu za patrona dany
Uproś nam zdrowie u zagniewanego
Boga naszego.

W niektórych miejscach wielka kara padła
Gdy na tych ludzi ta morawka spadła
O Rochu święty, my się uciekamy
Do Twej obrony.

Rząd naciskany oświadczył otwarcie przez usta oberprezydenta Opola, że nie zamierza przeciwdziałać żywiołowi. Dopiero w styczniu 1848 pojawiły się w gazetach pierwsze wieści o „febrze nerwowej". 27 stycznia 1848 pisała „Schlesische Zeitung": „Całe domy i rodziny wymarły. Gromady żebraków i żebrzących dzieci wałęsają się w rozpaczy. Pracować nikt nie chce... Musimy i tak umierać... Matka kładzie swe dziecię na cmentarzu, by zmarło, a drugie wsuwa pod lód..."

Miarą złośliwości epidemii może być liczba ofiar wśród lekarzy: 33 się zaraziło, 5 zmarło; gdy zaś w Raciborzu połowa lekarzy zachorowała, rząd zakazał wysyłać lekarzy na Górny Śląsk. Prasa niemiecka uderzyła wreszcie w ton humanitarny: „Dziwimy się, że stan taki — wołała „Schlesische Zeitung" — zatajono przed nami, co przecież mieszkamy w odległości tylko kilku godzin. Wiadomości codzienne wydają się nam tak obce i niespodziane, jakby z Chin lub Japonii. A przecie lud ten, co od lat cierpi głód, a od miesięcy umiera, mieszka zaledwie o małą dobę od przedmieść naszych... Dlaczego nie zastosowano żadnych środków"?

Pomoc przyszła już na cmentarzysko, na którym tylko dzięki niezwykłemu odporowi i rozrodczości Ślązaków zalęgło się nowe życie. W całych Niemczech potworzyły się komitety ratunkowe. „I Królestwo Polskie — wspomina wdzięcznie Opolanin — nie pozwoliło braciom swym ginąć z głodu. Z najdalszych okolic przywożono żywność i odzież".

W marcu 1848 wysłała wreszcie ludność Śląska protest na ręce króla Prus, oskarżając biurokrację o świadome zabójstwo 40.000 obywateli państwa. Zdaje się, że nie stało już czasu na rozpatrzenie tego oskarżenia, bo cały Zachód Europy stał w ogniu *anni confusionis*.

II

Berlińskie zgromadzenie narodowe, pierwsze sejmy pruskie z nowych wyborów, to były ośrodki, z których jak przez megafon rozgłosiła się sprawa śląska po Europie.

Jeden z pierwszych posłów na sejm pruski w r. 1848 został wedle wyrażenia Niemców, unieśmiertelniony przez Bismarcka, który pisał o nim w swych wspomnieniach (II. 154) oraz tak mówił na posiedzeniu Landtagu 28 stycznia r. 1886: „A weźmy Górny Śląsk, jakże się tam żywioł polski poszerzył! Za moich młodych lat nie było tam prawie dążeń polskich. Pierwsze przeżycie moje tego rodzaju, zawdzięczam klerowi. Wówczas w izbie posłów ja siedziałem tam (wskazuje na prawicę), a tu (wskazuje na lewicę) siedział ksiądz, nazwiskiem Szafranek; siedział a raczej z reguły stał, przyrzekł on był bowiem swej władzy przełożonej, że nigdy nie usiądzie na lewicy, nie przyrzekał natomiast że nie będzie stał na lewicy i nie będzie za nią głosował (wesołość). I mogło posiedzenie trwać sześć godzin, Szafranek stał wytrwale jak posąg, co nieraz podziwiałem. Tak się objawiła pierwszy raz polskość Górnego Śląska". Bismarck nie mylił się. Ks. Józef Szafranek (1809—1874), rodem z Gościęcina w Kozielskiem, ujawnił przy boku Kosickiego, Lompy i Smolki, wiele ruchliwości w życiu organizacyjnym, działając też jako długoletni fararz bytomski wiele na gruncie tego powiatu. W roku

wiosny ludów stał się najruchliwszym ambasadorem Śląska w stolicy Prus. Szczegółowo omawiają historycy niemieccy (A. Lattermann, Lucia Kusche) petycję, jaką Szafranek złożył berlińskiemu zgromadzeniu narodowemu 24 sierpnia 1848 r. w dwunastu jednobrzmiących egzemplarzach. Wystosowało ją 500.000 mówiących po polsku Górnoślązaków od Raciborza po Olesno. Żądano po dyskusji na wiecu w Bytomiu: 1) nauki polskiej w szkole powszechnej, 2) równouprawnienia polszczyzny w administracji i sądach, 3) nauki języka polskiego w gimnazjach i seminariach, aby urzędnicy mogli władać językiem ludności, 4) ustawowego zapewnienia, że nieznajomość języka niemieckiego nie może być przeszkodą w zdobyciu mandatu i in. Szafranek był rzecznikiem tej sprawy na sejmie, który naturalnie odrzucił nagłość wniosku. Wybierany posłem jeszcze dwukrotnie, wstąpił w r. 1849 Szafranek wraz z posłem z Olesna Gorzołką do frakcji polskiej w sejmie i dał niedwuznaczny wyraz swej przynależności narodowej. Historyczka niemiecka pani Ilse Schwidetzky stara się osłabić doniosłość tego aktu uwagą, że szło tu nie o łączność polityczną, lecz tylko o zdobycie 16 podpisów posłów wielkopolskich, które razem z czterema śląskimi umożliwiły ponowne wniesienie stale odrzucanego wniosku. Przeczy temu poglądowi pani Ilse Schwidetzky cała działalność Szafranka. Akces pierwszego posła śląskiego do frakcji polskiej pozostawał bowiem w zgodzie z całokształtem zapatrywań i poczynań człowieka, który, jak się w swych pamiętnikach szyderczo wyraża Bismarck, „nie potrzebował wcale wstawać do wygłaszania swych antyniemieckich przemówień".

Jak wszędzie tak i na Śląsku Opolskim zniesienie cenzury ożywiło na krótki przeciąg czasu ruch wydawniczy i prasowy. Powstało w ciągu roku 1848 kilka pism rozmaitych. „Dziennik Górnośląski" wychodził w środy i soboty od początku czerwca 1848 r. „Niby to radykalny" w istocie „dość grzeczny i spokojny". Na jesieni zaczął wychodzić w Oleśnie

Rok 1935: Przed kościołem w Opolu

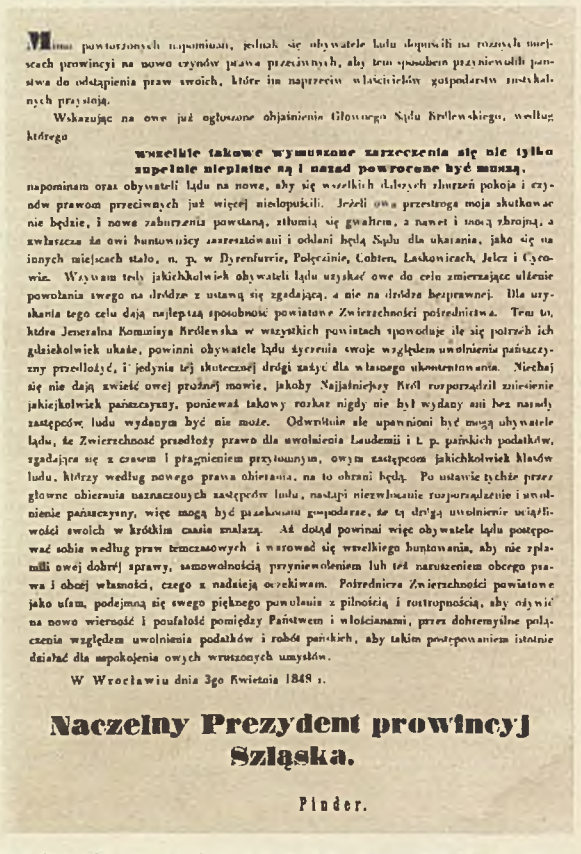

Mimo powtórzonych napomnień, jednak się obywatele ludu zbuntowali na rozmaitych miejscach prowincyi na nowo czynów prawa przeciwnych, aby tym sposobem przyniewolili państwa do odstąpienia praw swoich, które im naprzeciw właścicielów gospodarstw rustykalnych przysługują.

Wskazując na owe już ogłoszone objaśnienia Głównego Sądu Królewskiego, według którego

wszelkie takowe wymuszone zarzeczenia się nie tylko zupełnie nieważne są i nazad powrócone być muszą,

napominam oraz obywateli ludu na nowe, aby się wszelkich dalszych zburzeń pokoju i czynów prawom przeciwnych już więcej nie dopuścili. Jeżeli owa przestroga moja skutkować nie będzie, i nowe zaburzenia powstaną, stłumią się gwałtem, a nawet i mocą zbrojną, a zwłaszcza że owi buntownicy zaaresztowani i oddani będą Sądu dla ukarania, jako się na innych miejscach stało, n. p. w Dyrenfurcie, Połczinie, Cobten, Laskowicach, Jelcz i Cycowie. Wzywam tedy jakichkolwiek obywateli ludu użyskać owe do celu zmierzające ulżenie powołania swego na drodze z ustawą się zgadzającą, a nie na drodze bezprawnej. Dla uzyskania tego celu dają najlepszą sposobność powiatowe Zwierzchności pośrednictwa. Tam to, która Jeneralna Kommisya Królewska w wszystkich powiatach spowoduje ile się potrzeb ich gdziekolwiek ukaże, powinni obywatele ludu życzenia swoje względem uwolnienia pańszczyzny przedłożyć, i jedynie tej skutecznej drogi zażyć dla własnego ukontentowania. Niechaj się nie dają zwieść owej próżnej mowie, jakoby Najjaśniejszy Król rozporządził zniesienie jakiejkolwiek pańszczyzny, ponieważ takowy rozkaz nigdy nie był wydany ani też narody zastępców ludu wydanym być nie może. Odwrotnie ale upewnieni być mogą obywatele ludu, że Zwierzchność przedłoży prawo dla uwolnienia Laudemii i t. p. pańskich podatków, zgadzające się z czasem i pragnieniem przytomnym, owym zastępcom jakichkolwiek klasów ludu, którzy według nowego prawa obierania, na to do obrani będą. Po ustawie tychże przez głowne obierania naznaczonych zastępców ludu, nastąpi niezwłoczne rozporządzenie i uwolnienie pańszczyzny, więc mogą być przekonani gospodarze, że tą drogą uwolnienie ułatwiłości swoich w krótkim czasie znalazą. Aż dotąd powinni więc obywatele ludu postępować sobie według praw tymczasowych i warować się wszelkiego buntowania, aby nie zplamili owej dobrej sprawy, samowolnością przyniewoleniem lub też naruszeniem obcego prawa i obcej własności, czego z nadzieją oczekiwam. Pośrednicy Zwierzchności powiatowe jako ufam, podejmą się swego pięknego powołania z pilnością i rostropnością, aby ożywić na nowo wierność i poufałość pomiędzy Państwem i włościanami, przez dobrotliwe połączenia względem uwolnienia podatków i robót pańskich, aby takim postępowaniem istotnie działać dla uspokojenia owych wzruszonych umysłów.

W Wrocławiu dnia 3go Kwietnia 1848 r.

Naczelny Prezydent prowincyj Szląska.

Pinder.

Rząd pruski ostrzega jakichkolwiek *obywateli* ludu *śląskiego*

„Telegraf", tygodnik dla polepszenia, wyćwiczenia i wynauczania ludu", założony i popychany w pocie czoła przez Lompę. Dla zwalczania zbyt radykalnych i odśrodkowych „wpływów" minimalnie zresztą wpływowego „Dziennika Górnośląskiego" zrywa się równie do nietrwałego lotu „Tygodnik Katolicki", podpisywany przez bardzo zasłużonego księdza Ficka, w rzeczywistości kierowany przez jezuitę ks. Peterka. „Tygodnik — słowa współczesne — wyłącznie religii oddany, pozostawał w dawnej kolei polsko-katolickich na Śląsku usiłowań. On także mówił, choć rzadziej, o Polsce, ale przede wszystkim wyszukiwał w dziejach przykładów cnoty i pobożności". Efemerydą okazała się również „Gazeta polska dla ludu wiejskiego", wydawana raz na tydzień z polecenia rządu. Najdłużej, bo do roku 1852 wytrwał wznowiony „Tygodnik Górnośląski" wspomnianego Schemmla.

Na samej wsi śląskiej, słaniającej się z głodu i wyczerpania, echo wiosny ludów było raczej słabiutkie. Może nigdzie indziej nie trafiły hasła rewolucji na grunt bardziej apatyczny. Nie wszędzie co prawda, bo hasło powszechnej wolności tu i ówdzie podburzyło głodny wciąż lud do wrogich wystąpień przeciw dworom, szczególnie w Kluczborskiem, a wszędzie z pacyfikacją wojskową, której metody pozostały te same. Na ogół jednak usłuchano potulnie rozkazu rządu. Regencja opolska zaleciła stanowczo, co następuje: „Wszystkie gminy mają natychmiast odbyć gromadę w dowód swego wiernego przywiązania do króla i rządu; mają się podpisać na przyłączonych adresach w obecności władz miejscowych i w celu dalszego przesłania złożyć adresy u władz miejscowych". Mało na tym! W dalszym ciągu nakazywały jeszcze władze, jak ma wieś myśleć i czego pragnąć: „Włościanie pragną porządku i spokojności, włościanie pragną poszanowania prawa i będą w razie potrzeby musieli tego dowieść owym miastom rewolucyjnym, które teraz cały kraj buntują. Że wszyscy właściciele dóbr, księża i nauczyciele nazwiska swe podpiszą, rozumie się samo przez się".

Jak dalece chłop śląski nie dorósł jeszcze do zrozumienia swobód, przyniesionych przez rewolucję, świadczy zdarzenie, zapisane u Bonczyka. Do jego Miechowic przyjechał poseł, którego do sejmu wybrali. Gdy tenże poseł — Winkler mu było — rozmawiał bardzo mile z chłopami, Walek, pokojowy dworski, kłaniając się wskazuje

> Na wór wielki w przysionku: otóż nowe prawa
> Przywiózł ludziom Jegomość! — a to była trawa
> Morska do pańskich matrac, jak później słyszano,
> Lecz wonczas całą gębą wieść tę przyjmowano.

Rewolucja pod komendą landrata i amtowych „rozumiejąca się sama przez się", powiodła się. Wieś spełniła, co jej polecono. Ucichły powoli burzące spokój krajowy głosy, powiędły towarzystwa i organizacje, zamilkła prasa polska. Przez lat piętnaście 1853—1868, nie było na apatycznym Śląsku prasy polskiej w ogóle, *geschweige denn ein polnisches politischnationales Blatt.*

A mimo to rok 48 nie minął dla Śląska bez korzyści. Najważniejszą zapewne była ta, że przyczynił się do rozwoju i petryfikacji zjawiska, któremu na imię: Lompa.

Nabożeństwo majowe w domu górnika (obraz olejny St. Ligonia)

L O M P A

O rok starszy od Mickiewicza, a zmarły w dwa miesiące po wybuchu powstania styczniowego, ogarnął Józef Lompa całą epokę swym życiem, a dla Śląska stanowi też epokę.

Stało się podobnie jak na drugim krańcu ziemi polskiej, w Kutkorzu nad Pełtwią. Tam ekonomczuk Kamiński, natknąwszy się na stos ksiąg, zwożonych do lamusa dworskiego po konfiskacie klasztorów, poczuł w sobie wolę do pracy nad ospałą polskością i nie odwiodły go od tej myśli bolesne plagi, otrzymywane na każdej lekcji od niemieckiego nauczyciela. W Olesnie znowuż synek kramarza zasmakował w r. 1806 w starych księgach, zrzucanych na stertę przez posługaczy klasztoru. I też do śmierci nie zaprzestał tej służby.

Obaj byli dla swych dzielnic wybawicielami. Kamiński twórca teatru polskiego na Rusi czerwonej, Lompa instygator odrodzenia Śląska. J. N. Kamiński miał jednak robotę ułatwioną. Starczyło mu odrzucić ospałą powłokę, aby buchnął żar zainteresowania, starczyło pchnąć przymknięte ledwo drzwi do Księstwa Warszawskiego i Królestwa. Lompa zaś rodził się na roli, ugorującej i zachwaszczonej od wielu wieków. Do współpracy nie miał nikogo. I nie mógł się jak tamten budziciel lwowski powoływać na autorytet Polski. Imię to miało na Śląsku kredyt zły, a raczej nie miało go wcale. Górnoślązak obejmował tym mianem tylko odarciuchów z pogranicznych wiosek Kongresówki i traktował ich nieledwie ze wzgardą, przezywając mianem „połysów". Lompa zrazu był sam z tą swoją polskością. Don Kiszot. Bo czyż krajanom jego tak źle teraz pod rządami pruskimi? Poddaństwo chłopów zniesiono, na razie nikt ludowi śląskiemu nie bronił jeszcze mowy czy modlitwy w polskim języku. Przeciwnie nawet. Rząd w stosunkach z ludnością używał języka polskiego, nie reformując jeszcze stosunków w szkole i w kościele. Rozumiano, że jak długo lud śląski trwać będzie w stanie biernej, biologicznej niejako polszczyzny, nie grozi niemieckiemu stanowi posiadania żadne niebezpieczeństwo. Stąd akcja usilna, aby Ślązaków odosobnić, ile można, od wpływów „zagranicy" (szczególnie krakowskiej i warszawskiej), bo inaczej mogą zacząć bruździć.

Organista i wieloletni „skólny" czyli nauczyciel ludowy w Lubszy pierwszy instynktem odczuł, że czas już przyszedł ostatni.

Trzecie wici płoną.

Uważał się za lampę, której światło ma rozproszyć mroki uświadomienia polskiego w ludzie śląskim, która „nie zgasła choć skąpo oleju jej dodawano". (Widział w swym nazwisku błędnie *a* pochylone podobnie, jak w postaciach Gorzołka lub Poloczek. Tymczasem wyraz Lompa pochodzi raczej, zdaniem lingwistów, od „lump" = zuchwalec, utracjusz). I też był takim syn kramarza, podejmujący zuchwale walkę skazaną z góry, zdawać się mogło, na niepowodzenie.

Pierwszą ostrogę do rozpoczęcia pracy społecznej dał Lompie już pobyt w seminarium nauczycielskim we Wrocławiu od r. 1815, gdzie nauczyciele, zakazując uczniom rozmawiać po polsku, wyjaśniali, że to szwargot niegodzien ludzi cywilizowanych i niezdolny do stworzenia literatury. Smyk „oburzony potwarzą" poszedł do antykwarzy, nabył przysłowia Maksymiliana Fredry i przekład Fenelonowskiego Telemaka. Pisze sam o tym:

„Jednego razu przechodząc się po ogrodzie, czytałem Telemaka. Zbliża się ks. dyrektór.

— Cóż mój syn czyta?

— Telemaka.

— Co! Czy znasz dobrze po francusku?

— Ja czytam po polsku.

Patriarcha Lompa u schyłku życia

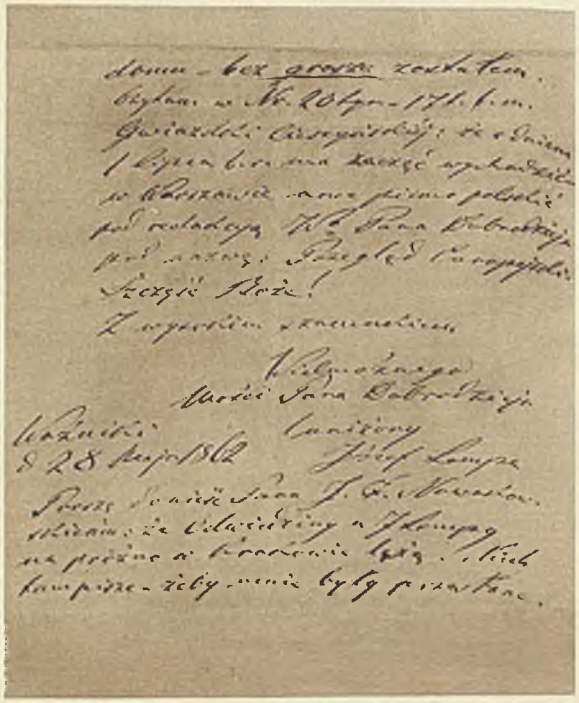

List Józefa Lompy do J. I. Kraszewskiego

Stara szkoła w Lubszy. Warsztat jego pracy

Zadumił się wielce, zwłaszcza, że wtedy dzieło to nie było jeszcze na niemieckie przetłumaczone. To było początkiem do gorliwego polubienia języka polskiego".

Wcześnie już, bo od roku 1822, zaczyna Lompa szukać łączności z Ojczyzną, którą mur niewiedzy i obojętności wiekami oddzielał od zbiorowości śląskiej. Wyjeżdża do Krakowa, gdzie usiłuje daremnie dostać się na uniwersytet, („niech mi Pan poradzi jak ojciec synowi, co czynić, aby się to najgorętsze marzenie spełniło!" — pisze do Bandtkiego w roku 1821), potem do Poznania, z czasem do Warszawy po zasiłki duchowe dla siebie, a później i pomoc materialną dla swych imprez wydawniczych. W robocie ujawnia od razu dużo poczucia rzeczywistości. Działa powoli, z ostrożną systematycznością. Wie, że nie można wysuwać od razu zbyt wielu wymagań, by podejrzliwych, konserwatywnych i zaskorupionych w swych zagrodach rodaków nie spłoszyć.

Zaczął od programu minimalnego: zachęca do czytania po polsku. Wydając w roku 1848 „Przewodnik do rachunków pamięciowych dla nauczycieli elementarnych jako też dla własnego ćwiczenia się", tak się usprawiedliwia:

Kurs języka polskiego w Wierzchu (pow. prądnicki), rok 1935

„Niejeden mi może zarzuci: na co ta praca, kiedy podobnych dzieł w języku niemieckim jest bez liku, kiedy prowadząc naukę rachunków, nauczyciel zarazem w niemiecki język wprawia dzieci, co przecież ma być głównym zadaniem nauczyciela według myśli rządu. Na to odpowiada się: Książki w języku polskim nam koniecznie są potrzebne. Lubo wielu nauczycieli bez książek takich obejść się tu może, wszakże wielu innych, nie obeznanych dobrze z językiem polskim, zwłaszcza takowych, którzy w seminariach nauczycielskich niemieckich nie mieli sposobności do wykształcenia się w języku polskim, jak sobie tuszę, znajdą w dziełku niniejszym pożądaną pomoc".

Rozbudziwszy potrzebę, nawet żądzę czytania, Lompa sam ją zaspokajać musi. I tu dopiero rozbłyska niesamowita energia, zaradczość i upór tego człowieka, który, niby olbrzym z baśni śląskiej, sam jeden dźwiga ciężar na swych barach. Przez ten najgorszy czas po depresji roku 1848. Prowadzi propagandę, pisze dla Śląska i o Śląsku. I woła o pomoc. Wypada mu robić wszystko: dostarczać prymitywnej strawy straganom i felietonów propagandowych, dostosowanych do poziomu prasy warszawskiej. Układa podręczniki

Fragment wystawy Tygodnia Książki Polskiej na Opolu

Autobus Tow. Przyjaciół Teatru Pol. w Katowicach dwa razy w miesiącu odbywa tournée po Śląsku Opolskim

szkolne i dydaktyczne, kleci broszurki o uprawie chmielu i zakładaniu „żywych, samorodnych płotów". Wydaje śpiewniki i przewodniki po miejscach odpustowych i wzory kaligraficzne. Zbiera przysłowia, podania ludowe i pieśni, bada przeszłość miast i osiedli, odpisuje dokumenty historyczne, sposobi do druku stare kroniki.

A równocześnie tłumaczy. Jedną ręką czarodziejskie bajędy o Meluzynie i Gryzeldzie, — które w latach 1850-tych pod każdą strzechą znalazłeś i które dzięki temu nabrały dziś cech swoistego niby wątku śląskiego, — drugą ręką powiastki ks. Schmidta, Nieritza i Marbacha dla dzieci, lub znowuż księgę o pszczelnictwie Dzierzonia, bolejąc, że ten Dzierzoń chociaż Polak drukuje po niemiecku.

Pod wpływem budzicielskiej działalności Lompy zaczął się w latach 1840—1860 żywy ruch w prowincjonalnych drukareńkach Śląska Opolskiego, poprzestających dotychczas na wydawaniu pieśni odpustowych. Zawzięty pisarz, redaktor, wydawca daje im ciągle zarabiać, podżega do inicjatywy, do konkurencji małe i senne oficynki w Opolu, Koźlu, Olesnie i Gliwicach, z których każda tłoczy teraz po kilka z jego broszurek.

Z roku na rok niemal rozwinęła się chętka czytania po wsiach. Korespondent lwowskiej „Biblioteki Ossolińskich" (1847 z. IV) (Wincenty Pol?) omawiając niewysoki zresztą jarmarczno-dewocyjny poziom tego popytu, dodaje ciekawą informację: „Źle się wyraziłem mówiąc, że lud kupuje i czyta, gdyż obyczajem miejscowym pożycza lud tylko na zastaw książeczki w księgarniach pomniejszych miasteczek, przybywając na tygodniowe targi. Tej okoliczności należy przypisać, że się literatura stała przystępną dla ludu!" — Wynika stąd, że obok innych pierwszyzn Śląsk dał też początek wypożyczalniom ludowym!

Ponadto miał Lompa jeszcze ambicje poetyckie. Od nich zaczynał i do nich zawsze wracał. W roku 1841 w drukarni E. Raabego w Opolu pojawił się zeszyt pierwszy „Zbioru wierszy" Józefa Lompy. Żalił się tam:

Czemu wiersze moje nie są znane,
Skąd pochodzi, że niedrukowane?
Żem nie jest znany, co jest przyczyna,
Czy na Śląsk, czy na stan spada wina?
Szkoda, że papieru tyle psuję
Że tak wiele piszę i rymuję,
Szkoda, że swobodny czas mój trawię
Silę się, a plonu nie obaczę.
Smętnie brzmią mej lutni struny
Ciernie tylko rodzą me zagony.

Twórczość poetycka Lompy wikłała nieraz linię jego pracy propagandowej i osłabiała zapał gorliwca. Niepowodzenia autorskie, gdy zwracał się o wydanie swych utworów do księgarzy warszawskich czy krakowskich, zapisywał na konto całego Śląska. Nie chcą mnie drukować, a więc nie chcą nic wiedzieć o Śląsku; tak sobie tłumaczył gorzko każdą klęskę osobistą. Choć z drugiej strony świadom był artystycznej niepotęgi swych wierszy („niewiele w nich poezji, ale zanadto dobrej chęci i szczerej dążności mojej").

Cała produkcja piśmiennicza „pielgrzyma z Lubopola", zestawiona starannie przez jego świetnego biografa K. Prusa, obejmuje około stu pozycyj. Niektóre druki jego, zaczytane doszczętnie, należą do nieosiągalnych wręcz białych kruków, wiele rzeczy w rękopisie. Do dziś nie straciły wartości prace etnograficzne. Samouk rozumiał doskonale wagę badania ginącej wiedzy ludu. Nie tylko zbierał i zapisywał systematycznie wątki, legendy i zwyczaje śląskie, ale uznawał nawet potrzebę badań gwarowych. Etnograf niemiecki K. Weinhold, nie raz z usług Lompy korzystający, podkreśla umiejętność i sumienność jego poszukiwań, które w części tylko dochowane oczekują obecnie na wydanie przez Polską Akademię Umiejętności. Gromadząc materiały do historii miast Śląska Opolskiego (Opole, Koźle, Gliwice, Bytom), zdołał ocalić

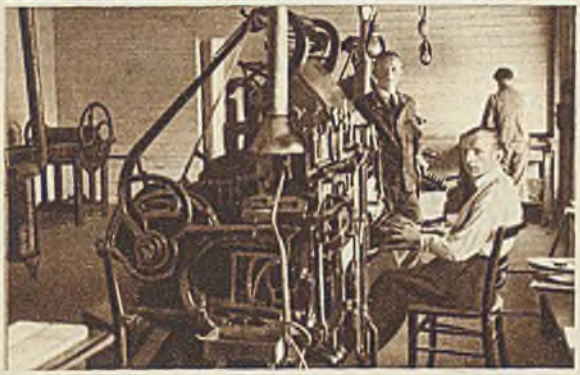

W zecerni „NOWIN CODZIENNYCH“ w Opolu

Spółdzielnia „Rolnik“ pracuje w Dobrodzieniu

od zagłady wiele wypisów z ksiąg miejskich i parafialnych, wartościowych do dziś, choć często podanych w bezkrytyczny, kronikarski sposób. Nie stracił też wartości „Krótki rys jeografii Śląska dla nauki początkowej“ (Głogówek 1847), przynosi bowiem polskie nazwy miejscowości ze źródeł i tradycji czerpane.

Równie żarliwą, jak ta domowa praca, była służba propagandowa Lompy na zewnątrz. Pracował bez tchu nie tylko nad tym, by polskość w Ślązakach odnowić, lecz by wciąż przypominać Polsce obowiązki niespełnione. Zasypywał prasę korespondencjami, bombardował listami wybitnych działaczy (Kraszewskiego, Libelta), śledził, prostował, kołatał, uzupełniał. Niezawsze udolnie, często bez skutku. Bolała go nierówność zainteresowań i krzywda, jaką nieświadomie (już wówczas w połowie XIX stulecia!) czyniło społeczeństwo polskie całości Śląska, darząc chwilowym zapałem niektóre tylko jego regiony. („W Cieszynie wzmaga się na nowo założona czytelnia dla ludu pospolitego, tylko my pólscy pruscy Szlązacy w letargu zostajemy!“ — pisał do Kraszewskiego w r. 1861). „Dlaczegóż w Poznaniu nas Górnoślązaków lekce poważają i nami gardzą? Dobra chęć za uczynek obstawa!“ — żalił się gorzko K. Libeltowi, o tyle niesłusznie, bo w Poznaniu starano się równomiernie obdzielać pomocą Cieszyn i Opole i Bytom. I dodawał proroczo: „Pokaże się za czasem, że kamień, który odrzucili, stał się kamieniem węgielnym“.

Życie zbiegło mu na ciężkich, męczeńskich chwilami utarczkach o chleb dla siebie i dwanaściorga dzieci. W miarę, jak schodziło ziarno rzucane z takim trudem w nierychliwą glebę, wzmagał się odpór. Władze nie ustawały w szykanach. Pozbawiano go kolejno posad, usuwano możliwości egzystencji, skazywano na kary administracyjne. „Przy chudobnym kominie w troskach zagrzebany, bytu lepszego nadzieją nie otulony“ nie poddał się jednak. Dążnością władz było, by go za każdą cenę usunąć z terenu. Już w r. 1848 kuszono go

korzystną posadą nauczyciela w seminarium nauczycielskim w Poznaniu. Nie przyjął, wolał nędzną wegetację byle wśród najbliższych, bardziej opuszczonych i opieki potrzebujących. Rozumiał ważność placówki. Był wszakże ambasadorem zapomnianego, najopuszczeńszego zakraju i jego praw narodowych bronić mu wypadło przed światem. Heroiczna była ta służba, pełna wyrzeczeń. Bezdomnego prześladowano, tropiono i karano dotkliwie za zbrodnie wyjazdów do Krakowa i Warszawy, za pisaninę i zabiegi, za samozwańczą reprezentację państwa, wykreślonego na dobre z mapy świata.

Protestował, żeby wszyscy słyszeli: „Nie wierzcie, jak obłudni Niemcy twierdzą, że mowa nasza całkiem zepsuta, jest tylko niezrozumiałym żargonem!“

I stwierdzał: „wszystko, co się polskim nazywa, jako najgorsze kacerstwo znienawidzone i pogardzane bywa“.

Swoich zaklinał: „Człowiek bez narodowości prawie jak ciało bez kości“, więc żeby „żywioł naszej polskiej młodzieży nie był nazbyt giermanizmem tłumiony, ale owszem obudzany“.

A w ostatnim roku życia (1862), nad grobem już stojąc, pisał z Woźnik do Kraszewskiego: „Codziennie przechodzą u nas kompanie do Częstochowy, śpiewając hymny na cześć Marii. Witam ich i żegnam, proszę ich, żeby o lepszy byt Polski Boga błagali. Szkoda, że pieśni „Boże coś Polskę“ nie znają!“.

Tak wołał na odchodnym pracownik, którego cała działalność była jednym, cichszym lub głośniejszym krzykiem o jedności sprawy śląskiej ze sprawą polską. A rozpoczęta była tylko po to, aby zadać w żywe oczy kłam księdzu dyrektorowi, który ongi w Wrocławiu szydził z barbarzyńskich, do życia niezdolnych „poltonów“. Na palcach u jednej ręki zliczyć współtowarzyszy Lompy w robocie budzicielskiej. Należał do nich w pierwszym rzędzie ks. J. A. Ficek (1790—1862). Wspominany już wyżej jako redaktor „Tygodnika Katolic-

Na odpuście „przy Magdalence“ spotykają się znajomi i krewni z obu stron granicy

Święto sportowe na Śląsku Opolskim w Zabrzu 1935 r. Wymarsz drużyn na boisko

Otwarcie gimnazjum polskiego w Bytomiu

kiego", rozwijał później energiczną akcję religijno-wydawniczą przy pomocy drukarza Heneczka, oraz — co ważniejsze — dawał w swym domu oparcie księżom i misjonarzom z Krakowa, którego był wychowankiem. „Przezornym nauczycielem nauczycieli" nazwano go przeto. Zasłynął też jako porywający kaznodzieja („z nienasyconym upragnieniem każdy rad go słuchał").

Patriarcha z Olesna, człowiek upartej woli i niezapomnianej zasługi, był organistą z zawodu.

Nie starczyło mu łaski talentu, aby stać się takim geniuszem, jak ten organista z Milhuzy, co zwał się Jan Sebastian Bach, albo chociażby ten, co na swych rejestrach „Halkę" wyśpiewał w Wilnie — ale za to pierwszy dąć począł w miechy śląskie i za życia jeszcze dosłuchał się oddźwięków uświadomienia.

Lompa, który dążył, aby polską była nie tylko ta księga ostateczna, zmarłym do trumny pod głowę kładziona, ale by polską ostała się żywa twarz przyszłych śląskich pokoleń.

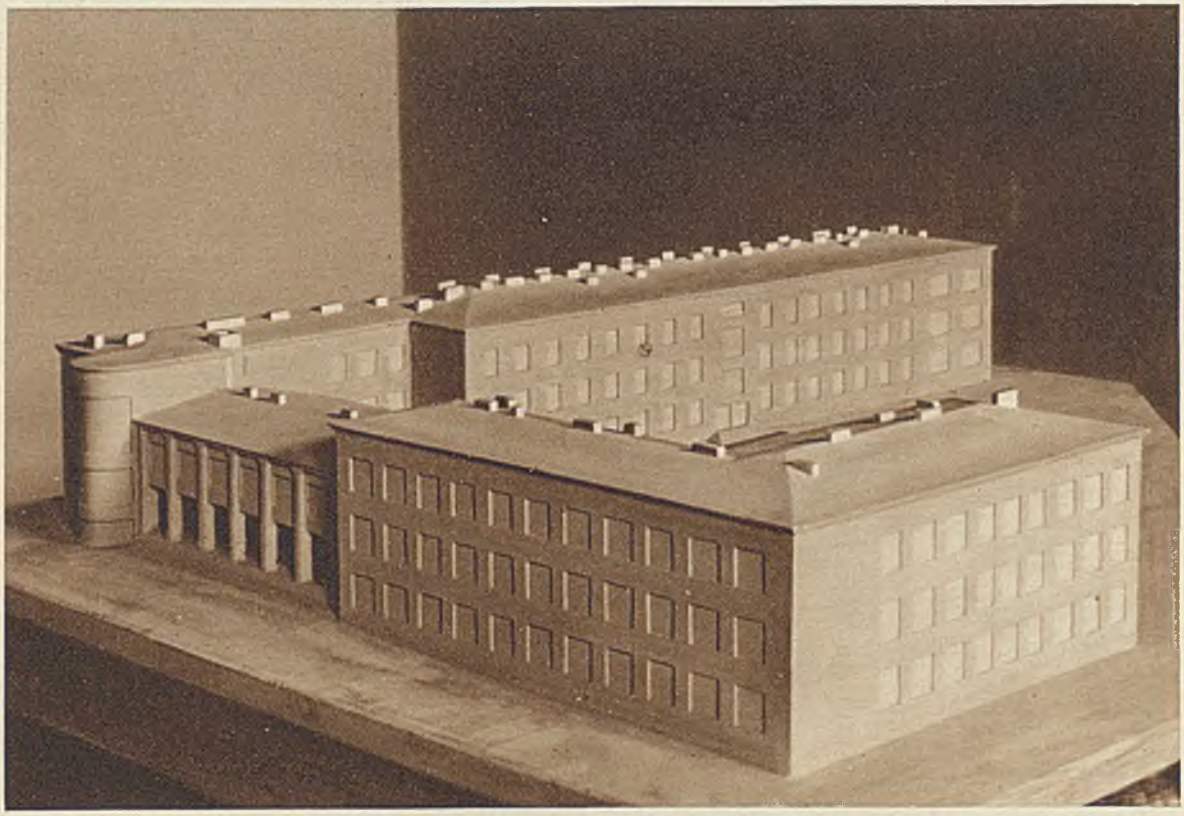

Model liceum żeńskiego w Raciborzu, które znajduje się w budowie od kilku lat, a którego dokończenie wstrzymały władze pruskie

JAN DZIERŻOŃ, KOPERNIK ULA

Ks. Dr Jan Dzierżoń (†1906) na emeryturze swej światowej sławy

Kiedy Szymon Jasiek z Żegania, natrudziwszy się uczciwie, ułożył a raczej przerobił pierwszy elementarz dla szkół śląskich po polsku (1775), powiedzieli mu, że robota dobra, ale nie uchodzi, aby Jasiek był autorem. Więc się dał przerobić na Jaeschkego i jako taki już na wieki z tą swoją pierwszyzną został.

Piątko i Wódka inaczej. Wyciągnąwszy ze wsi pod Kluczborkiem do miasta i spanoszywszy się, spostrzegli, że nie tylko kamuzolę na surdut zmienić trzeba, ale i nazwisko zonaczyć. I tak z poczciwego Piątki zrobił się pisarz znakomity i gizd napastliwy Gustaw Freytag, a z Wódki mniej głośny, ale dla wniemczenia Śląska bardzo zasłużony historyk — Wuttke.

Jan Dzierżoń w tejże okolicy co oni, w Łowkowicach pod Kluczborkiem urodził się 16 stycznia 1811, z Szymona i Marii z Jantosiów. Do miasta nie poszedł z pewnej bardzo prostej przyczyny. Oto w mieście nie ma uli i pszczół, a czyż może w ogóle istnieć życie poza pasieką? Ul był Dzierżoniowi najmilszym kumplem, z pszczołami odbywał nieustanne „siudowajki". Aż z nich wreszcie wyrosła nieśmiertelność bartnika. Jeśli Chopina nazywamy Kopernikiem fortepianu, wypada tego Ślązaka nazwać Kopernikiem ula i pierwszym odkrywcą jego tajemnic. Wiadomo, ile apidologia zawdzięcza Dzierżoniowi. Postawił pierwszy tezę i dowiódł partenogenezy czyli dzieworództwa pszczół, oznaczył pierwszy rolę matki, robotnic i trutniów, odkrył i palcem pokazał piękno lotu godowego w słońce, co później Maeterlinck w swej „La Vie des abeilles" (1901) na język poezji ludzkiej wyłoży. Niemniej ważne były wynalazki praktyczne Dzierżonia, budowa ula rozbieralnego itp. Kopernik uruchomił ziemię, Jan Dzierżoń uruchomił ul, przez wynalezienie „snozów" czyli listewek, do których odtąd pszczoły plastry przyczepiają. Ruchomość tych snóżek, możność ich przenoszenia wraz z plastrem z jednego ula do drugiego dokonała kolosalnego przewrotu w pszczelarstwie i całym gospodarstwie pasieką. Wynalazki te wzbogaciły wkrótce biedaczynę-bartnika — „księciem pszczół na Katowicach przy Brzegu" nazywano Dzierżonia w prasie niemieckiej, gdyż już w roku 1843 posiadał 400 pni pszczół u siebie i w wioskach okolicznych.

Jaka szkoda, jaka nieprzepłacona szkoda dla kultury polskiej, że wielki, samorodny badacz nie spisał swych zdobyczy w tym języku, w jakim je swoim krajanom rozpowiadał. Tym staroślaskim językiem bartniczym. Cóżby za cuda były. Taki chociażby lot godowy w kształcie staroślaskiej „bojki" zawarty!

Pierwsze rewelacyjne wyniki swych badań ogłasza Dzierżoń w r. 1848 w Brzegu w dziele p. t. „Theorie und Praxis des neuen Bienenfreundes". Po tym pierwszym występie w języku niemieckim odtąd cała jego półwiekowa działalność miała się odbywać pod skrzydłami języka i nauki naszego zachodniego sąsiada.

Gdy zaś świat cały zaczął się interesować odkryciem Dzierżonia, można sobie wyobrazić, jaki żal poczuli do swego rodaka Ślązacy już uświadomieni narodowo, a przede wszystkim ich wódz Lompa. Zabierając się do przekładu owego „Bienenfreunda", użalał się on tymi słowy w „Szkole Polskiej" (1850 II. s. 201): „Dzierżoń mówi po polsku. Dlaczego swej książki w języku polskim nie wydał? To mię dziwi. Skoro jest w tym języku dobrze wprawny, była by praca jego oryginalną w polskim języku, a nie tłumaczeniem".

Dlaczego? Dziś na to pytanie łatwiej odpowiedzieć. Dzierżoń nie pisał po polsku chociażby z uwagi na terminologię zawodową. Znał tylko swoją domową, śląską, której się naturalnie wstydził jako prostackiej. Wiedział, że za murem granicy, w Królestwie, istnieje inna, ale mniej mu niezawodnie znana od niemieckiej, z którą miał ciągle w literaturze fachowej do czynienia. Nie pisał wreszcie po polsku, dla świętego spokoju. Żeby się nie narażać na szykany administracji pruskiej. Nie każdy Ślązak był przecie Lompą, gotowym na docisk prześladowań i mę-

Popiersie Jana Dzierżonia w Związku Pszczelarskim w Krakowie

Ule z wyobrażeniem księdza, zakonnika i zakonnicy w jednej z wsi klasztornych na Śląsku

czeńską szarpaczkę z przeciwnikami swoimi i obcymi. Pisząc po niemiecku został bartnik z pod Kluczborka zaliczony nawet przez francuzów (np. Maeterlincka) do luminarzy niemieckiej apidologii i postawiony w jednym rzędzie z Berlepschem, Pollmannem, czy Voglem.

Tymczasem rzekomo niemiecki luminarz był Polakiem z czysto polskiej rodziny. Do 10 roku życia nie umiał ani słowa po niemiecku, uczęszczając do polskiej szkoły w Łowkowicach, w pow. kluczborskim, a gdy musiał chodzić do gimnazjum niemieckiego, był zmuszony przejść przedtem w Byczynie kurs języka niemieckiego. Następnie, jako proboszcz w Katowicach pod Brzegiem (Karlsmarkt) wygłaszał kazania w języku polskim, mówił i korespondował tylko po polsku. Nazwiska jego zresztą żaden Niemiec nie potrafi poprawnie wymówić, mimo że odgryzł mu miękką końcówkę.

„Gdy nie tak dawno temu dyrektor Instytutu pszczelarskiego w Dahlem pod Berlinem, prof. Armbruster, chciał nazwać jedną z ulic przy Instytucie nazwiskiem ks. Dzierżonia, magistrat berliński sprzeciwił się temu, wydając opinię, że nazwisko to brzmi po polsku, co nie przeszkadzało zresztą całej prasie niemieckiej rozpisywać się szeroko w 125-lecie urodzin ks. Dzierżonia, o nim jako o rdzennym Niemcu!...“ (I. K. C. 2. IV. 36).

Osobiście Dzierżoń nie tylko nie zapierał się swej narodowości, ale nieraz dawał temu wyraz w korespondencji. Spuścizna po tym sławionym pisarzu „niemieckim“ świadczy o żywym kontakcie Dzierżonia z działaczami polskimi na Śląsku i poza jego granicami. Są dowody, że korespondował z Lompą (1858), z K. Miarką (1864), najbardziej wszakże znamienny wydaje się list twórcy Muzeum Narodowego w Rapperswylu, Władysława hr. Platera z r. 1878. Posłuchajmy, co pisze Plater do Dzierżonia, zapraszając starego bartnika do współpracy i ofiarności dla Muzeum: „Ksiądz Dobrodziej położyłeś zasługi w dziedzinie naukowej i zrządzisz zarządowi muzealnemu przyjemność, popierając jego prace

i usiłowanie, oraz przesyłając swój portret i to, coś dotąd ogłosił w swej zajmującej specjalności. Tylko powodowani solidarnością i ofiarnością możemy przechować w spuściźnie duchowe skarby narodu naszego i pracować skutecznie nad jego odrodzeniem".

Sam fakt, że Dzierżoń pomyślał o nawiązaniu stosunków z instytucją rapperswylską jest chyba dość wymowny. Poza pasieką nic go więcej, jak już wiemy, nie obchodziło. Żył z pszczołami, o których wyrażał się, jak o istotach rozumnych: postanowiły tak, wymyśliły to, tak chciały, tak zaradziły sobie. Tą swoją starowieśniaczą mową z życia rojów czerpaną zwrócił uwagę starzec już bardzo sędziwy, gdy w r. 1895 przybył na zjazd pszczelarzy do Lipska. Korespondent „Kuriera Warszawskiego" pisze: „Znać, że się pośród ulów, brzęku pszczół i woni miodu jak we własnym domu czuje. Na ustach dobroduszny uśmiech, czupryna bujna jeszcze, siwe bokobrody, czoło szerokie, sklepiste, oczy zmrużone nieco, twarz pogodna jasna. Coś niespożycie żywotnego jest w tym blisko 90-letnim człowieku. Winszującym rękę ściska, głową trzęsie, na polskie pozdrowienie ze Szląska odpowiada, w oczy bystro i głęboko patrzy, a gdy pozna, żeś swojak z ducha, że się Bożym dziełem zadziwować umiesz, a przyrodę kochasz, wnet w pamięci to lub owo o pszczołach swoich wyszuka, powie słowo jakieś tak mocne i proste, a ważne, że ci na samo dno duszy pada, jak złota ciężka kropla lipcowego miodu".

Trudność w swym długim życiu miał jedną, ale bardzo zasadniczą. Apidolog zapamiętały mało nadawał się na księdza, którym mu losy być kazały. Skoro nie chciał się dla miłości ula spanoszyć i wypadło na wsi siedzieć, cóż mu zostawało jak nie seminarium w Wrocławiu? Pociechy wszakże wielkiej z tego fararza nie było. Świata poza pasieką nie widząc, szczebrzuszył często-gęsto w swych urzędowych obowiązkach; z królową w ulu zawsze łatwiej się dogadał, niźli z kurią biskupią. Dobrotliwy i przepilny w swoim miodnym fachu, z władzami prowadził wojny. W roku 1868 doszło nawet do wielkiej awantury w następujących okolicznościach: Na imieniny do proboszcza w sąsiednich Bąkowicach zjechało wielu księży wraz z Dzierżoniem, kolegą solenizanta z ławy szkolnej. Kiedy sobie już dobrze podchmielono, wszczęła się dyskusja na temat wielce aktualny w związku z Soborem Watykańskim: nieomylności papieża. Dzierżoń obstawał mocno przeciw (nieogłoszonemu jeszcze) dogmatowi, twierdząc, że jedynie Ojciec, który jest w niebiesiech, nieomylnym być może. Po denuncjacji któregoś z obecnych, biskup wrocławski, ks. dr Förster wzywa pszczelarza, aby się wytłumaczył. Dzierżoń zuchwale tłumaczy się w ...liście otwartym, ogłoszonym w gazetach, po czym pismem z dnia 28 XII 1868 r. rezygnuje z probostwa! Biskup przyjął rezygnację, polecając heretykowi dalszą *„Pastoration der Gemeinde"*. Dzierżoń nabrał wówczas sympatii do staro-katolików i miał nawet wstąpić do ich sekty. Granice swego bartnego księstwa nierad opuszczał, wyjeżdżając chyba tylko na zjazdy pszczelarzy. Za pracę naukową i doświadczalną nazbierał odznaczeń i orderów bez miary, został doktorem honorowym uniwersytetu w Monachium, członkiem wiedeńskiej Akademii Umiejętności, brakło tylko odznaczeń akademickich polskich. I tu musieliśmy dać dowód obojętności dla Śląska. Przez lat 49 do śmierci (26 października 1906) władał, niepodległy na swej pasiece. Pod koniec życia, w skutku usilnych starań kleru, nawrócił się. Do narodowości wracać nie potrzebował, Polakiem być nie przestał. Jak Conrad.

HOMER ŚLĄSKA ZIELONEGO

Pośmiertny portret ks. Norberta Bonczyka. Malował Czesław Kuryatto

Już na pierwszym roku okazało się, że Norbert Bonczyk, słuchacz teologii we Wrocławiu odbiega od tradycyjnego typu Ślązaka, co poszedł na księdza. Chłopak zdolny, i wszystkiego ciekaw, słucha wykładów lingwistycznych i literackich, ponadto, rzecz również u kolegów jego rzadka, bierze czynny udział w pracach Towarzystwa Literacko-słowiańskiego i uświadamia się. A raczej pogłębia w pracy nad sobą, którą już w Miechowicach rozpoczął jego nauczyciel, rektor i organista, Bieniek. Początki domowe ma również niezłe: ojciec, urzędny na „grubie" Marii pod Bytomiem, rozpowiada dziwy o czasach napoleońskich, o księciu Józefie, co zginął we Sroce (tak Elsterę nazywali), matka zamiłowana w muzyce rozwija tkliwość w synalu. Dopusty roku 1848, roku głodu i haseł wolnościowych odczuwa Bonczyk na własnej skórze, mając wówczas lat dziesięć skończonych.

Gdy patriarcha Lompa dogasał w goryczy i niepewności o jutro Śląska, Bonczyk, świeżo wyksiężony, odprawiał swe prymicje w rodzinnych Miechowicach pod Bytomiem. Do samego Bytomia wkrótce naznaczony, zostaje tam aż do śmierci (18 lutego 1893) czynny jako kapelan (tak na Śląsku zowią wikarego), zawiadowca parafii, wreszcie fararz czyli proboszcz. Do dłuższych wylotów poza granice grzędy i parafii należy chyba tylko dwumiesięczne więzienie w r. 1872, którego nabawił się za swą postawę w czasie „Kulturkampfu" Bismarcka. Poza tym nie dał się poznać szerzej. Mało kto poza Śląskiem wiedział o nim, że istnieje i pisze. Na Śląsku bowiem rzecz to zwyczajna, że fararze pisują, rymami nawet.

O całą jedną generację młodszy od Lompy jest też Bonczyk jego antytezą jako człowiek, działacz i typ psychiczny. I jako artysta przede wszystkim. Tamten staruch nie ustawał w agitacji. Wołał a wołał, pisał, zaklinał, upraszał. Dobrotliwy był, miękki i łatwy. Bonczyk ponury nieufny, zamknięty, ostrożny. Niechętny do przyjaźni, wywnętrzeń, serdeczności. Lompa z kim się dało korespondował, gdzie się udało, drukował, odnosił tryumfy, porażki. Bonczyk podobno do śmierci nie czytał jedynej o sobie i to przepochlebnej recenzji w Starej Polsce.

Od dziecka pisywał wiele. Po polsku z równą biegłością jak po niemiecku. Już w r. 1860 zasłynął we Wrocławiu jako zręczny tłumacz pieśni Schillera, być też może, że w tym czasie zetknął się, jak przypuszczają jego biografowie, z Adamem Asnykiem. Ale o szerszy rozgłos swej pracy poetyckiej nie zadbał. Nie dowiedział się, co jest warta. Może z obawy przed gorzkimi doświadczeniami starego Lompy? W zwyczaju to było, że fararze śląscy piszą i drukują, więc się nikt zbytnio nie zaciekawił, gdy w r. 1879 ukazała się w Bytomiu wierszowana opowieść Bonczyka pod tytułem normalnym, mało pociągającym: „Stary Kościół Miechowski". A już do reszty mógł odstraszyć niefortunny podtytuł: „obrazek obyczajów wiejskich w narzeczu śląskim".

Czytelnik skromnej książki mógł był sprawdzić od razu, że utwór pisany jest w 98 procentach literacką polszczyzną (szkoda nawet, że nie w narzeczu!) Jedynym odstępstwem są wyrazy obce uchu naszemu tylko dlatego, że wyszły z obiegu przed... trzystu laty, oraz nieliczne, milutkie zresztą nazwy regionalne i wreszcie najrzadsze (mniej częste niżby się czekało) germanizmy.

Atoli takich śmiałków-czytelników brakło. Uwierzono na słowo, że Bonczyk to jeszcze jeden ludowy, gwarowy gawędziarz. Wyjątek stanowił J. I. Kraszewski, który przeczytawszy, zdumiał się z zachwytu: „Ależ to kawał rudy, w której złoto przyświeca! — Żaden najkunsztowniejszy poemat nowy, cudnie rymowany, wycacany, wypieszczony, wyperfumowany, wydiamentowany nie zrobił na nas tego wrażenia, co te śląskie obrazki Bonczyka". (Biesiada Literacka marzec 1879).

Bajeczka, na której osnuto poemat, błaha i krótka. Na miejscu starego kościoła w Miechowicach ma stanąć nowy, większy i piękniejszy. W tym związku wypada ruszyć nieboszczyków z grobu i przetransportować ich na nowy cmentarz. Władze, przewidując opór ludności, usiłują,

na rozkaz oberprezydenta z Opola załatwić się z tym cichcem w nocy. Dochodzi jednak do ugody i gromada przenosi cmentarz sama.

Autor nie martwił się ubóstwem tego wątku, tyle miał wszakże ważnych i najważniejszych rzeczy do opowiedzenia o swoich Miechowicach. Starczyło zupełnie na fundament epopei. Tyle nowin radosnych z zimy i lata, z wiosny, pasieki i sadu. O chłopcach leśnych, jak wyrabiają „ślaczki", czyli łapki na ptactwo śpiewające, o chłopcach szkólnych, jako płatają figle panu rektorowi, o pracy kowala i kopidoła czyli grabarza, organisty, fararzowej gospodyni, o pieskach, wróblach i ludziach dawno pomarłych, którzy spali by dalej w swych mogiłkach, gdyby nie intruz, który „nas chce tu znieważyć i z kości naszych przodków cukier sobie warzyć".

A potem „myśl co jeszcze została na cmentarzu przy zmarłych, natychmiast wraca do młyna, skoro tylko żarna swój hymn zanuciły".

I do lasu wybiega, gdzie wysokochne jodły bodą obłoki, a sam lasek „świeżym powietrzem, chłódkiem i wonnością rychlej podobno leczy niż lekarz biegłością". I do ludzi wraca.

Cóż za typy wśród siedlaków Bonczyka! Jeden, Podeszwa, człek chudy, wysoki, już się z fajką narodził, drugi chrapie niczym piła traciarska, inny jest tak mały, że żona, budząc go rano do pracy, musi grabiami szukać męża w łóżku.

Szczęśliwy, że „go pies nie ukąsił ani gospodyni", wraca fararz z pola, przechodzi koło karczmy, gdzie żyd pobiera dziesięciny po każdym weselu, chrzcinach i pogrzebie; wstępuje do szkoły, synki miechowickie piszą sztyftami na tabulkach, pan rektor Bieniek każe Łukaszczykowi przystąpić ze wskazówką ku mapie i rzuca znagła pytanie: — Pokaż Śląska granice!

Łukaszczyk aż sapie
Pod ciężarem swych nauk i rzekł: Śląsk graniczy
Kole okna za Wrocław; to naród rolniczy;
Kole pieca jest Polska, a tu kole ziemi
Rzeka Bałtyk...
Tu coś gwizdło, coś jęknło; już Łukaszczyk siedzi
Czy się ręka rektora jeszcze dźwignie? śledzi...

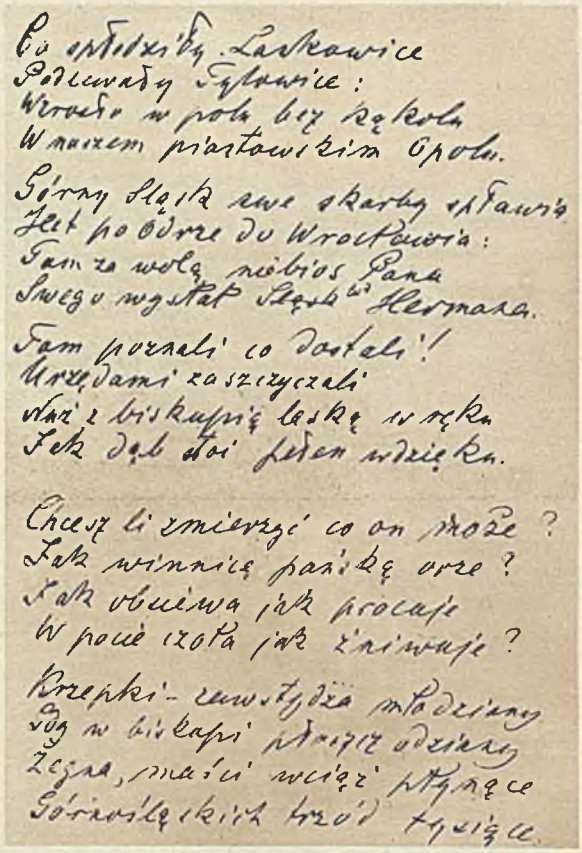

Autograf wiersza Bonczyka

Zjawiska przyrody maluje poeta z lubością, „bierze pięty na ramię i gna ku nim jak wicher rozpięty". Oto burza w lesie:

Oj znam ja leśnych burzy huki
Gdy Bóg drzewom rozkaże w dowód swej wszechmocy
Kłaniać się aż do ziemi. Jęczą, wyją; z procy
Trąb powietrznych ciskane jako deszcz padają
Wierzchy, konary, kłody; jak z armat strzelają
Łamiące się aż do pnia sosny; tam z korzeniem
Wyrwane świerki walą ciężaru brzemieniem
Swych sąsiadów o ziemię. Łoskot, trzask, jęk, szumy
Głoszą, że Bóg mścicielem najmocniejszej dumy.

Podziwiamy siłę wyrazu u tego wsiowego poety i świeżość i naiwność, a równocześnie biegłość, z jaką włada słowem i porównaniem.

A jeszcze więcej dziwno, że w czasach, gdy Polska chętnie czytała wiersze, nikt nie zwrócił uwagi na Bonczyka, który wszakże w epoce Asnyka i Konopnickiej i Gomulickiego miał prawo do szerszego ogłosu! Ludzie chwytani u niego zawsze w momencie starannie i szczegółowo zaznaczonym. Widzimy tedy, jak jejmość Niewiadomska

kaszlała głęboko
Jakby zdrowia szukała gdzieś w płucach zbolałych.
Włóczy się po komórce; na lędźwiach zwiędniałych
Obwiesiła łaszątko niby to spódnicę
Na głowie zamotówkę, u plec płociennicę
Sięgającą do kostek, tak swą dychawicę
I kaszel i paciorki niosła do kościoła.

Albo opis rozmowy z upiorem, którą we śnie prowadzi Ciura. Oszczędnością słowa, jego plastyką i odpowiedzialnością przewyższa tu Bonczyk niejednego z poetów sobie współczesnych, a już romantyków słabszego lotu bije o całą długość. Zaznaczyć przecież trzeba, że romantykiem nie jest. Dla folkloru zrozumienia nie ma, wystrzega się wzmianek o wierzeniach, zabobonach, baśniach. W kraju, który za jego czasów jeszcze przecież dyszy baśnią! Świadczy to o silnej postawie racjonalisty. Jako rodzone dziecko epoki pozytywizmu Bonczyk lekceważył „wiedzę ludu" i wstydził się o niej wspominać. I ani myślał kontynuować pracy rozpoczętej przez niestrudzonego patriarchę i łowcę tradycyj ludowych i romantyka Lompę. Bonczyk jest klasykiem, w najlepszym, panatadeuszowym gatunku.

Humor poety, pogodne umiłowanie przyrody, rozmach epicki, wszystko to jest Mickiewiczowskie. Nie tylko trzynastozgłoskowiec. Przez cały czas lektury tych ośmiu ksiąg z życia wsi podbytomskiej znajdujemy się nie tylko w zasięgu wzruszeń typu panatadeuszowego, ale stąpamy wciąż po tropach poematu. Wedle wzorów mickiewiczowskich zachodzi słońce w tej śląskiej epopei i pola się zielenią i ludzie się znoją. Duktem arcywzoru włada Bonczyk i sprawnie i swobodnie. Bywa, że po prostu kalkuje sytuacje, przeinaczając zręcznie osoby i teren. Ci chłopi ze Śląska Opolskiego mówią językiem szlachty nowogródzkiej, żyją nieomal pod jej batutą. I nie jest to bynajmniej zmyślenie czy sublimacja poetycka. Bo i dziś jeszcze, gdy zajdziesz pod dach domostwa gospodarza śląskiego, choćby to było na samym okraju obszaru językowego, na ostatnich krańcach żywiołu, osaczonego ze wszech stron przez mowę obcą i obyczaj, powita cię najpierw uśmiech, potem szlachecki pokręt wąsa i uciecha radego gościom gospodarza, a potem swobodne, proste pytanie: no i cóż tam słychać kochanku? W „Starym Kościele Miechowskim" umiał to Bonczyk przytwierdzić, z życia czerpiąc, bez licencji poetyckiej.

Dom rodzinny poety w Miechowicach pod Bytomiem w r. 1900

Że to w ogóle Ślązak kresowy potrafi, że czyni ze smakiem, kunsztem i poczuciem języka — mamy najlepszą legitymację jego talentu. I gruntownej, rdzennej polskości poematu. Z „Pana Tadeusza" urodził się cały ten epos, jego pszczoły i wiatraki, jego porównania, sytuacje i humor. Z tą różnicą, że nie pan Wojski objaśnia sekrety nieba gwiaździstego, lecz pan młynarz:

Ludzie cóż myślicie!...
Ty więc gwiazdy obwiniasz? Błądzisz przyjacielu.
Gwiazdy nie los jednego lecz, sądzę, na celu
Mają szczęście wszech ludzi.
Widzisz jasność ową
Wiodącą od północy w stronę południową,
Co jak mleko rozlane na niebie się szarzy?
Zwykle ją mleczną drogą zwią przodkowie starzy.

W kilkunastu jeszcze miejscach nawiązuje Bonczyk wprost do ostatniego zajazdu na Litwie. Dumny bardzo, że go stać na to, i pokorny bardzo, bo nie wie, czy sprostał. Warto wszakże otworzyć księgę V jego poematu i porównać z „Wojskiego o gwiazdach gadaniem" w księdze VIII, aby naocznie stwierdzić, jak miejsce nowogródzkich podań o astronomii zajęły bliźnie im przywiarki śląskie. Ani gorsze od nich ani uboższe, bo jedne i drugie są przekazami tego samego polskiego folkłoru!

Ta śląska recepcja „Pana Tadeusza" ma podwójne znaczenie. Raz jako udatna wariacja na temat Mickiewicza. Wariacja mająca swój własny styl, tak jak go mają Lisztowskie wariacje na temat Chopina lub hafty Noskowskiego na motywach Moniuszkowskich. Lecz większa jeszcze druga doniosłość „Starego Kościoła Miechowskiego". Tkwi ona w tym, że zalążek epicki, zaniesiony wiatrem dalekim z Soplicowa hen na południo-zachód, na ziemię bytomską, nie tylko zakiełkował, ale rozkwitnął. Żywo, barwnie i swojo.

„U szyi korale niezmiernej wartości, Zaiste Rozbarczanka równa się jejmości"

„Tu obok żony Joanny, córek Marianny, Rozalii, Konstanty, Tekli, spoczywają zwłoki Walentego Bontzek, przez dziewięćdziesiąt lat stałego Miechowic obywatela“ (1800 † 1890) ojca poety

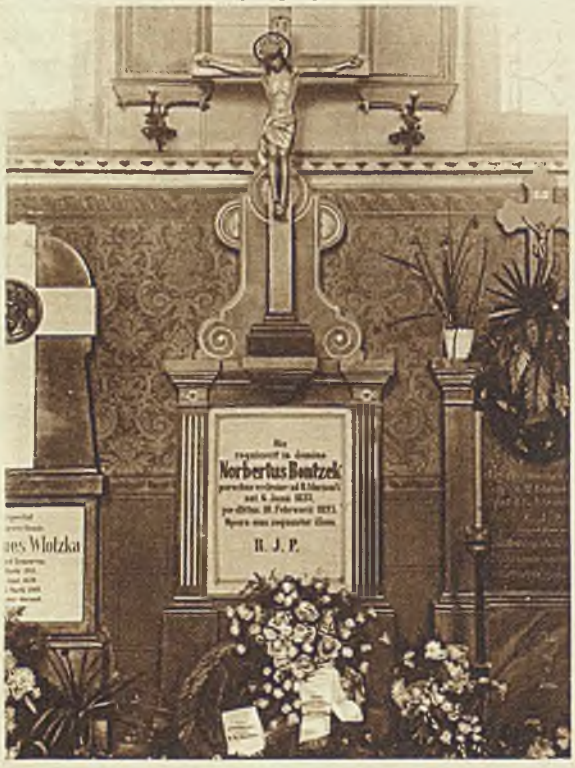

„Dzieła jego podążą za nim“ napisano — i słusznie — na łacińskim nagrobku Bonczyka w katakumbach w Bytomiu. U stóp polskie napisy na wieńcach

Ruralista przekonany i zagorzały, chwalca sielskiego żywota i wszech jego pożytków, odnosi się Bonczyk tym niechętniej do miast zniemczałych i nowomodnych form przemysłu. Górnictwo za jego czasów dopiero zaczyna się na Śląsku w nowoczesnej, maszynowej postaci. Z rzadka słychać o „grubach“ i „szychtmajstrach“ i „oberstajgerach“. O górnikach pisze jeszcze po staroświecku, nie znając nowej gwary tego zawodu:

Górnik, gdy w podziemnej skale
Natrafił gniazdo kruszca, widzi skarby, ale
Zazdrosnym otoczone kamieniem; obmaca
Z której strony skuteczną będzie świdra praca.
Już zawiertał proch w same wnętrzności opoki
Już wsunął źdźbło zdradzieckie w skał otwór głęboki
Już zatlił źdźbło, już słucha: tu gruch, grzmot, błyskanie
Dym, kamieni grad, stępli i okap łamanie
Potem cisza — a kamień dotąd niezachwiany
Leży u stóp górnika już rozćwiartowany.

Zdaniem poety-tradycjonalisty nowa postać przemysłu nie wyjdzie na dobre wiosce śląskiej. Nie dlatego, iżby „nowych machin siły“ miały w czymś ludziom szkodzić, ale przeto, iż wraz z nimi przyjdą na wieś „ludzie nie naszej wiary: majstry, urzędniki, dyrektory, ferwaltery“ i inne „kulturniki“. Z nimi zaś nastają u nas owe „dziwne szkoły, w których się młódź przerabia na niemieckie woły“. Dlatego postrachem Miechowic stał się Wuli, taki właśnie produkt nowomodnych sposobów pracy. „I dotąd jako przykład słynie, pił i gnił aż się upiekł na kotłach w maszynie“.

Źle się stało dla twórczości Bonczyka, że zapalonemu do pracy poetyckiej debiutantowi nie udzielił nikt zachęty, a co ważniejsza nie zwrócił uwagi na braki w kompozycji poematu, na zupełną nieświadomość poety w tym kierunku. Nieczytany i nieznany w ogóle poza Śląskiem minął bez echa w swojej epoce, a przecież winien był być wliczony w poczet poetów polskich, wśród których mu się dobre i nieostatnie miejsce należy.

Bonczyk nie zachęcany przez nikogo i przez nikogo poza Śląskiem nie czytywany, pisywał raczej dorywczo. W wolnych chwilach od fararzowskiej mitręgi. W czasie pobytu u wód, w celi więziennej. Ostrożny, nieufny, skryty pracował podobno w końcu żywota nad trzecim najlepszym swym dziełem, które wraz z resztą rękopisów spalił przed śmiercią. Zapewne w przystępie goryczy, że mijają niezauważone.

Niewątpliwie stać go było na więcej. Brakło zachęty do pracy, do wysiłku. Kropił swoje tysiące rymów tak sobie, *prima vista*, niedbały o całość, kompozycję, układ. Zrażony milczeniem, jakie osnuło „Stary Kościół Miechowski", wystąpił po raz drugi już tylko pod pseudonimem. Jako „ks. Norbert z Bytomia" ogłosił w r. 1878 poemat p. t. „Góra Chełmska", utwór nawiązujący do „walki kulturnej" Bismarcka, która na Śląsku szczególnie zagrażała żywiołowi polskiemu. Jest to szczegółowy, trochę rozwlekły i utykający opis odpustu na Górze Chełmskiej, obecnie zwanej Górą św. Anny. Pod naporem akcji rządu Bismarcka, który po zwycięstwie roku 1870 jął usuwać resztki polszczyzny, tułające się jeszcze w administracji, i nałożył kagańce ambonom polskim i urzędom parafialnym — Bonczyk wychodzi z impasu i akcentuje bardzo dobitnie nierozerwalność narodową Śląska z resztą Polski.

A wybrał ową górę pątniczą dlatego, że ona „piastowskich ziem stróż wieczysty" widzi roje pątników z całej Polski: „od Odry przybrzegów, od wód Wisły, od Tatrów niebotycznych śniegów, gdzie smutne Morskie Oko, halicką przeszłość pamiętając, żąda by jaśniała napowrót". Jak przedtem na szarych okolicznościach wiejskich, tak teraz na kanwie historii klasztoru ponaszywał tysiące perełek spostrzeżeń doskonałego obserwatora, samorodnego epika, chętnie przy tym z wzorów korzystającego.

Szkoda tylko, że brak poematowi czynnej postawy i wyraźnego protestu przeciw polityce Bismarcka. Nie leżało to jednak w naturze poety, który i tu również jest bardzo sympatyczny. Zdrowy chłopski rozum i celny instynkt artysty chroni go od skrajnej, przesadnej gorliwości czy bigotyzmu, którego oczekiwać by można, wiedząc, że autor jest księdzem i pisze gwoli zbudowania owieczek.

O jutro narodowe Śląska swego troszcząc się, powiada: „Ziemio, dokąd swój język kochasz, bądź spokojna!" Mógł się też w tym spokoju umacniać. Proroctwa Niemców jakoś nie kwapiły się sprawdzać. Prorokował przecie w roku 1820 pan radca Benda z Opola: „Pewny jestem, że nie trzeba więcej, niż pół wieku, aby w tej niemieckiej prowincji zupełnie wygubić *(vertilgen)* język polski". Choć się to jakoś niebardzo spełniało, inny prorok w r. 1844 (prof. Wuttke) pocieszał się widokiem słowiaństwa „umierającego w tym silnie rozwiniętym niemieckim kraju". I Bismarck nie poradził, choć groził, że zdepcze buńczucznie podniesioną „*slavisches Kariatidenhaupt*," nie tylko nad Odrą, ale nad Notecią i Wartą.

Norbert Bonczyk zrobił swoje. Jako poeta dokonał czynu mocnego. Dał wyraz polskości nadodrzańskiego Śląska, pierwszy narodowy artysta i rapsod tej ziemi, wystąpił w chwili, kiedy nazbyt skwapliwe dzwony mocnego sąsiada już grały radosny hymn pogrzebowy nad jej polskością.

Trzy wydania „Kościoła Miechowskiego" zaczytane doszczętnie i coraz odnawiane były i są młodzieży opolskiej elementarzem i lekcją polskiego przeszkolenia.

I to jeszcze wiedzieć należy: nie ma nad ten poemat zwierciadła, w którym by się słoneczna dusza Ślązaka opolskiego lepiej przejrzeć mogła!

PO ROZBUDZENIU RENESANS

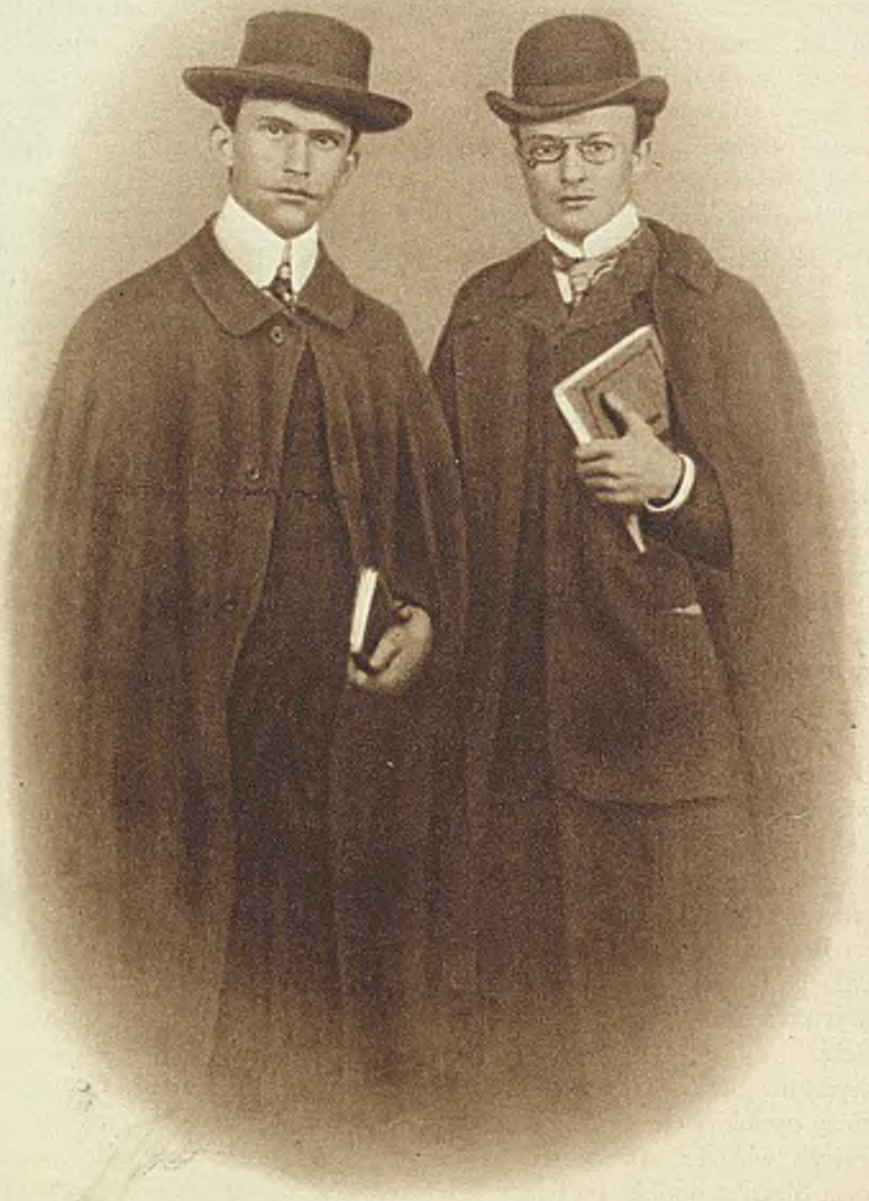

Dwaj filareci śląscy („Elsowie") po wyjściu z więzienia w Gliwicach w r. 1906

Dotychczas były podorywki. Orka planowa, szerzej zakreślona przypada na ósmy i dziewiąty dziesiątek ubiegłego stulecia. Do rozbudzenia Opolszczyzny przyczynia się dobry przykład Śląska Cieszyńskiego, (gdzie praca organizacyjna i oświatowa pod egidą Pawła Stalmacha już wtedy daje świetne wyniki), oraz „Kulturkampf". Walka, wypowiedziana katolicyzmowi przez Bismarcka, zmobilizowała księży śląskich do obrony praw języka polskiego w kościele. Wąziutki dotychczas nurt pracy ludowej wzbiera i zyskuje na sile rosnącej aż po wojnę światową. „Katolik", podniesiony w latach siedemdziesiątych przez Karola Miarkę do wyżyn organu wpływowego i poczytnego, zdobywa wkrótce sześć tysięcy odbiorców; Miarka umie wykorzystać nastrój ludu, niezadowolonego z ograniczeń w szkole i kościele, ludu, który już przejrzał i rozumie, że zabierają mu największe dobro: szkołę polską. Pod redakcją Adama Napieralskiego stał się z czasem „Katolik" najpotężniejszym organem polskiej prasy ludowej.

Pismo to i liczne, efemeryczne jego odgałęzienia, sterowane bądź to przez tubylców, bądź przez księży wielkopolskich, opierają się jeszcze na zasadach niemiecko-katolickiego centrum, stojąc z dala od polskiej racji stanu. Ideologia ich była w tym stopniu międzynarodowa, co walczący po przeciwnej stronie barykady początkowy socjalizm. Pierwsi jego pionierzy na gruncie polskim przystąpili do pracy właśnie na Śląsku, wykorzystując chęć czytania ujawnioną przez chłopa i robotnika.

W szeregach młodzieży socjalistycznej, która jęła się agitacji w hutach i na wioskach, uważając dziewiczy teren śląski jako pole doświadczalne do dalszej akcji na całym obszarze Rzpltej — spotykamy głośne później nazwiska Stanisława Grabskiego, Ignacego Daszyńskiego, a przede wszystkim Jana Kasprowicza.

Niedopuszczony, jak już wiemy, do matury w Raciborzu, uzyskał ją w Poznaniu, a znalazłszy się później na uniwersytecie we Wrocławiu opłacił więzieniem żarliwą pracę nad uświadomieniem mas robotniczych. W czasie tych studiów pisywał artykuły o sprawach śląskich do petersburskiego „Kraju" (w latach 1885—6) jako Piotr Huta i do „Przeglądu Społecznego" jako Franciszek Szyba. Bił w nich na trwogę: „Na tym terenie rozgrywa się walka plemienna, która nie wiadomo jeszcze jak się skończy" wobec „dziedzicznego braku własnej woli" i „poddawaniu się wpływom silniejszym" u tej małej garstki inteligencji, która mimo ciężkich warunków wychodzi z łona ludu. W energicznych słowach atakował Kasprowicz polakożerców w sutannie, usiłujących na miejsce „rubasznego" języka tubylców wprowadzić „gładką, ucywilizowaną szprachę niemiecką".

Obok Jana Kasprowicza, Stanisława Grabskiego i Ignacego Daszyńskiego, dał się wówczas poznać na Śląsku 24-letni entuzjasta, pełen wówczas zapału do pracy społecznej, później rozgłośny pisarz — Stanisław Przybyszewski. Nie był on, jak sam wyznaje, socjalistą, czuł wszakże potrzebę walki z konserwatywno-katolickim ruchem ludowym. W połowie r. 1892 powołano go na stanowisko redaktora „Gazety Robotniczej" w Katowicach, gdzie pozostał do października 1893. „W Poznańskim — pisał wówczas w liście — nie opłaci się agitacji prowadzić. Tym ważniejszy Śląsk. Olbrzymie centra robotnicze, w przyszłości połączenie robotników śląskich z westfalskimi, a co jest bardzo ważne to możność oddziaływania ze Śląska na Królestwo!... Śląska w żaden sposób teraz puścić nie można, przeciwnie: trzeba ze wszystkich stron i wszystkimi siłami działać!"

Gazeta Przybyszewskiego zwalczała bardzo namiętnie kler „jedyną potęgę, z którą się na Śląsku liczyć należy", poza tym stanowisko jej dość niezdecydowane mogło zasłużyć na pochwałę zarówno międzynarodówki, (uważającej z Engelsem, że niepodległość Polski potrzebna jest robotnikom Europy) jak i P.P.S., której zaczątki dopiero się formowały.

Nikła w rezultatach praca socjalistów, a potężna działalność „Katolika“ rozbudzała ludzi, ale nie wychowywała ich na obywateli polskich. Brakowi temu zaradziły „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“.

„Nowiny Raciborskie“, pierwsze pismo polskie na południo-zachodzie Śląska, założone w r. 1889 przez dra J. Rostka, dało początek tak dziś bujnemu tam życiu organizacyjnemu. Wieloletni i zasłużony (obok D. Królikowskiego) redaktor „Nowin“ J. K. Maćkowski, autor poczytnej w swoim czasie nowcli „Modlitwa za Bismarcka“ opłacił śmiały, wyraźnie narodowy program pisma kilkakrotnym więzieniem w twierdzy. Długi szereg lat spędził za biurkiem redakcyjnym inny wielkopolanin, również więzień stanu, Bronisław Koraszewski. Obdarzony wybitnym talentem organizacyjnym osiadł w stolicy rejencji w Opolu, założył tam w r. 1890 drukarnię, skąd wyszła w świat śląski „Gazeta Opolska“; pismo zyskawszy z czasem spory wpływ na opinię publiczną, było zawsze solą w oku rejencji policji i cenzury, szykanującej redakcję na każdym kroku. Red. Koraszewski, człek niezłomnej woli i twardego karku, był przez lat 30-ci czujnym opiekunem wszystkich spraw śląskich. Niemcy nazywali go królem polskiego Śląska, podobnie jak ks. Wawrzyniak panował w owym czasie w Wielkopolsce.

Trudno wyliczyć wszystkie nazwiska Ślązaków czynnych na przełomie dwóch stuleci w pracy społecznej i narodowej na Białym i Zielonym Śląsku. O jednym wszakże nie wspomnieć nie można. O szczerym poecie tego czasu. Krzywda się stała Bonczykowi-epikowi i krzywda Konstantemu Damrothowi, który zaliczony być winien do rzędu wybitnych liryków tej epoki. Urodzony w r. 1841 w Lublińcu, kończył gimnazjum w Opolu, gdzie później jako ksiądz pracował na wielu stanowiskach (m. i. dyrektor seminarium nauczycielskiego w Opolu i Proskowie). Przedwcześnie bo już w r. 1895 zabrała go gruźlica. W obawie prześladowań pisywał pod pseudonimem

Numer okazowy podwójnej objętości!

:ok I. Gliwice dnia 1 kwietnia 1903 r. Nr. 1.

ISKRA

:YGODNIK LUDOWY

'oświęcony Sprawie Wstrzemięźliwości

i Wychowania Narodowego.

'od redakcją JOACHIMA SOECYSA.

Redakcja i Administracja: Gliwice na Górnym Śląsku Kozielskie Targowisko 3. Naprzeciw kościoła św. Piotra i Pawła ul. Mikołowska 26.

Wszelkie listy należy adresować imiennie: *Joachim Soecys, Nicolaistr. 26, Gleiwitz. Oberschlesien. Preussen.*

Prenumeratorzy galicyjscy i amerykańscy raczą przesyłać przedpłatę wprost na ręce agenta generalnego: Edward Rybarz, ul. Batorego 1/III w Krakowie.

Pod tymże adresem należy przesyłać wszelkie ofiary pieniężne na cele wydawnictwa z Galicji, Królestwa Polskiego, emigracji i Ameryki.

SŁOWO WSTĘPNE.

Rok przeszło mija, odkąd nasze grono blizko ze sobą obcujących wiernych przyjaciół, walczących o niepodległość ducha w narodzie rozpoczęło w górniczym okręgu Zabrze swą działalność społeczną, przez wydawnictwo »Gazety Polskiej«. Po sześciu miesiącach ciężkich zapasów, zostaliśmy zmuszeni chwilową przemocą przeciwnika do ustąpienia z pola walki. Nie była to oczywiście, tylko tak zwana koncentracja wstecz, dla skupienia sił i powrotu z nowymi szeregami.

Nie byliśmy przygotowani do takiej zaciętości przeciwnika. W ciągu sześciu miesięcy wydawania »Gazety Polskiej«, trzydzieści dwa procesy i tysiące marek różnych strat, chwilowo nas pozbawiły sił i zapasów. Więc na jesieni zeszłego roku, zawiesiliśmy »Gazetę Polską«, przez nas wydawaną, zapowiadając już wówczas, że rychło z tego przymusowego letargu zimowego zmartwychwstaniemy.

Dotrzymujemy słowa.

Z wiosną, w sam dzień 1 go kwietnia, budzimy się ze snu i omdlenia ciężkiemi ranami spowodowanego. Jak często bywa na wojnie, zmieniamy taktykę.

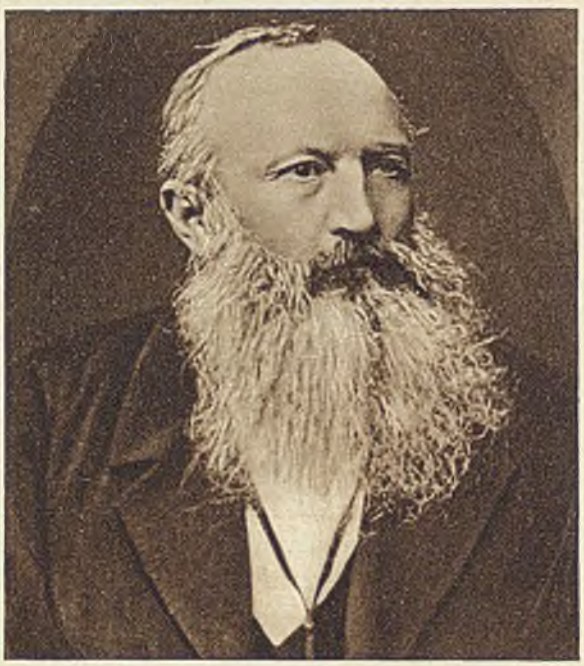

Karol Miarka (1824—1882), redaktor, pisarz, przodownik

Adam Napieralski (1861—1928), redaktor „Katolika"

Bronisław Koraszewski (1864–1924), red. „Gazety Opolskiej"

W. Lutosławski w gronie swych uczniów śląskich w 1905 r.

Czesława Lubińskiego. Najcelniejszy zbiór wierszy ukazał się w r. 1892: „Z niwy śląskiej". Równy talentem Bonczykowi przewyższa go Damroth gorącym usposobieniem patriotycznym, ogarniającym całość Ojczyzny; w drobnych lirykach z podróży po Polsce ujmuje wrażenia Warszawy i Krakowa, zdobywając się na silniejsze akcenty w opisie np. grobów Piastów śląskich lub Kartuz. W czasie dłuższego pobytu w Kościerzynie na Kaszubach zapoznał się z morzem, uległ jego urokowi, stworzył ciekawy cykl wierszy „Baltica" i pomnożył krąg nielicznych przed wojną marynistów w poezji.

Ostatnich dwadzieścia lat starego wieku i czasy przedwojnia, to era renesansu Śląska. Rozmach i pęd, plony dorodne na wielu polach. Kwitnie czytelnictwo, organizacja, śpiew, życie społeczne. Aktywny bilans w dziale wydawniczym, w bankach, w spółdzielniach. Śląskowi Opolskiemu przypada znów rola, jaką od wieków piastuje w geografii (widzieliśmy ją na rysunku u Nechaya). Staje się punktem środkowym. Patronuje i rozpoczyna. Rzuca hasła. Z Bytomia rozchodzi się „Katolik", tu działa centrala roboty gospodarczej Napieralskiego. W Gliwicach, w Raciborzu, w Opolu, wszędzie wre; górnik staje pierwszy do pracy nad samouświadomieniem.

Na bliższe omówienie zasługuje wszczęty w zaraniu nowego stulecia ruch filarecki. Przyniósł tę ideję na Śląsk znany filozof i propagator odrodzenia narodowego Wincenty Lutosławski. Rozpoczęto od okręgu górniczego w Zabrzu. Ośrodkiem organizacji była księgarnia, założona w Gliwicach przez Joachima Sołtysa. Niestrudzony agitator narodowy i działacz, przełamawszy trudności początkowe, zdobył w r. 1903 na wiosnę ważną odskocznię. Stał się nią tygodnik ludowy „Iskra", założony w Gliwicach przez grono ludzi „walczących o niepodległość ducha w narodzie" i uważających, że „kto wewnętrznie wyzwolony, ten i niepodległość zyska". Odważnie, nie licząc się ze zbyt trudną dla pry-

mitywizmu duszy śląskiej ideologią trzech wieszczów, rozpoczęto działalność. Powstała i zyskała dużą popularność organizacja dwustopniowa, filaretów i elsów. „Filareci — objaśniał program — schodzą się regularnie w celu kształcenia się w duchu narodowym przez czytanie dzieł wieszczów naszych itd. Elsowie czynią to samo, ale związani są ponadto ślubami poczwórnej wstrzemięźliwości: od trunków, tytoniu, kart i rozpusty. Nie wszyscy mogą być elsami, ale każdy może być filaretem, kto pojął doniosłość dalszego kształcenia się". Idea czystego i wstrzemięźliwego życia, nieraz krzewiona przez związki religijne i wybitnych księży (jak Ficek i inni), wsparła się tym razem na fundamencie haseł Mickiewiczowskich. Z „Trzecią Częścią Dziadów" poszli towarzysze Lutosławskiego i Sołtysa w lud górniczy. Pismo umiało od razu nawiązać bezpośredni kontakt z czytelnikiem, w czym zawsze celował Lutosławski. Oto słowa świeżo obudzonego górnika w Zabrzu: „O, nie mam nadziei, żebym ja mógł naszą Ojczyznę ocaloną widzieć, ale mam nadzieję, że powstaną polscy synowie i wywalczą sobie vaterland, bo i ja się stawiam pod jego wolę, a niech mnie wybiorą, aby i ja mógł być mularzem polskiego tronu". („Iskra" 1903 s. 247).

Wśród współpracowników żywo redagowanego tygodnika widnieją nazwiska: Maryli Wolskiej, znanej poetki młodopolskiej, Kornela Makuszyńskiego, który przyjeżdżał z odczytami, Heleny Sołtysowej, Edwarda Rybarza, Jana Przybyły i w. i.

W prześladowaniu ruchu filareckiego i tajnych poczynań Sołtysa i tow. policja pruska szła ramię w ramię z rosyjską. Po roku obserwacji udało się unieszkodliwić Sołtysa i wsadzić go do Cytadeli warszawskiej. Ruch mimo to nie zamarł i szerzył się. Epilogiem jego był proces elsów gliwickich w listopadzie 1905 r., kiedy to sąd pruski skazał na sześć lat więzienia i karę pieniężną 23 robotników za kształcenie się prywatne w historii i literaturze polskiej, za śpie-

Redakcja i personel „Katolika" w Bytomiu około roku 1905

wanie pieśni narodowych i należenie do kółek abstynenckich. W tej czysto oświatowej robocie dopatrzył się prokurator znamion zdrady stanu.

Na osobną wzmiankę zasługuje prowadzona z wielką energią działalność organizacyjna i budzicielska Wojciecha Korfantego, który bronił praw Śląska i wołał o jego krzywdzie, nie lękając się prześladowań, a walka, jaką wypowiedział mu kardynał Kopp, zwany „krzyżakiem w purpurze", rozsławiła w całej Polsce imię młodego działacza. Z trybuny parlamentarnej, z łamów prasy, na wiecach i zebraniach słychać w pierwszym dziesiątku XX stulecia głos działacza, któremu przedwojenne pokolenie wiele zawdzięcza. Jest jakiś rys niewątpliwie tragiczny, że człowiek tak zasłużony, wpływowy i omnipotentny w dobie niewoli, że wódz, który pokolenie swoje zaprawił i przygotował do walki o wyzwolenie, rozminął się z duszą ludu śląskiego, gdy ta chwila nadeszła. W trzecim powstaniu rozeszły się drogi wodza i żołnierzy.

Owoce usiłowań, podejmowanych coraz i coraz w trójkącie Bytom—Racibórz—Opole, rozzłocą się jak dojrzałe jabłka i staną przykładem, gdy nadejdą lata powstań i plebiscytu i gdy po wielkiej wojnie zabłyśnie „cud odnalezienia". Pisze o tym jeden z istotnych i konsekwentnych po dziś dzień sprawców cudu, człowiek, który pod przyłbicą Borelowskiego kierował trzecim powstaniem Śląskim, a jako wojewoda dr Michał Grażyński jest opatrznościowym mężem całego Śląska. Pisze tak: „Przez wiele wieków był lud śląski odcięty niemal od wszelkiej łączności z resztą narodu polskiego. Na ziemi tej zginęła z czasem tradycja książąt piastowskich i wspomnienia rycerskich czasów tak dalece, że nawet w pieśni ludowej nie przechował się jej ślad. Jedynym widomym znakiem polskości był piękny, zamknięty w archaicznych formach język... Od zachodu szedł nieubłaganie nacisk niemiecki, tępiący polskość wszelkimi możliwymi środkami. Pod jego naporem cofał się lud polski aż na przedpole Opola. Zdawało się, że pozbawiony zupełnie warstwy inteligencji, nie mający kontaktu z wpływami kultury ogólnonarodowej, ulegnie w tej walce. Tymczasem stało się przeciwnie. Właśnie w momencie największego nacisku, pod koniec XIX i w początkach XX wieku dokonuje się proces, który ja nazywam misterium instynktu narodowego. Z szarej, jednolitej masy ludowej wydobywają się na powierzchnię działacze o nieszlacheckich ale prostych i tak twardo brzmiących nazwiskach, jak twardy jest ten lud — działacze, którzy z głębi jego duszy wydobywają poczucie narodowe. I tak wśród największego ucisku ze strony państwa niemieckiego idzie coraz potężniejszy, coraz bardziej bojowo nastrojony ruch... kończący się ostatecznie w najpiękniejszej manifestacji ducha polskiego: w trzech powstaniach śląskich, najbardziej ludowych ruchach zbrojnych w Polsce!"

Na 6 lat więzienia i 265 marek kary

skazał sąd pruski w Gliwicach na Górnym Śląsku w dniu 21 listopada 1905 r. 23 robotników za kształcenie się prywatne w historyi i literaturze polskiej, za śpiewanie pieśni narodowych i należenie do kółek abstynenckich. Pracę tą uznał prokurator za wrogą państwu pruskiemu, mianowicie, że miała ona na celu oderwanie Śląska od Prus i wytoczył robotnikom tym proces o „tajne związki" — jednemu nawet, szewcowi Janowi Wyciskowi o zdradę Stanu.

Skazani powyższym barbarzyńskim wyrokiem są przeważnie żonaci, to też rodzinom ich grozi nędza i głód. Jako bracia Polacy pragniemy im pomódz, prosimy przeto o najskromniejsze nawet ofiary dla tych nieszczęśliwych.

Komitet:

Wojnarowie. Czerniewscy. Marya Siedlecka. Leonard Skiciński
Tadeusz Tabaczyński. Szczęsny Turowski. Jan Przybyła.

PLEBISCYT I TRZECIE POWSTANIE

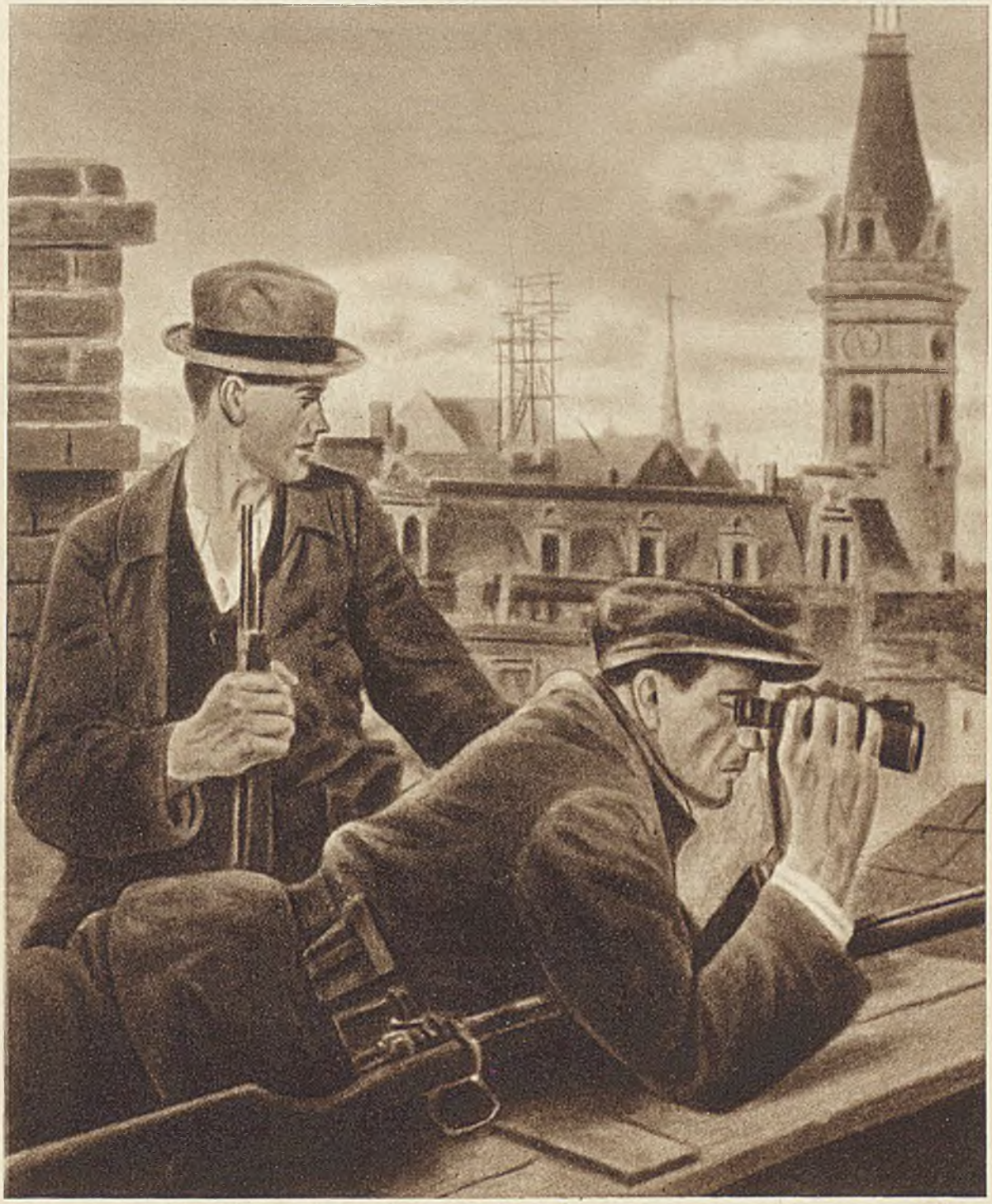

Stanisław Ligoń: Powstańcy śląscy na dachu hotelu „Lomnitz" w Bytomiu

Na dachu hotelu „Lomnitz" w Bytomiu urzędował polski Komisariat plebiscytowy

Upomnieć się o zwrot całego Śląska było jednym z pierwszych kroków Polski, zbudzonej do nowego życia państwowego. Na konferencji pokojowej w Paryżu w r. 1919 delegacja nasza w nocie Romana Dmowskiego z 28. II. 1919 zażądała zwrotu całej regencji opolskiej rezygnując jedynie z czterech, zniemczonych już powiatów zachodnich (Nyssa, Grotków, Niemodlin, połowa Prądnika), oraz rewindykując powiaty namysłowski, sycowski i wschodnią połowę Milina z regencji wrocławskiej. W sumie: 12.000 km² z 2,100.000 mieszkańców, w czym 67% Polaków według oficjalnej statystyki pruskiej z r. 1910.

Teza polska jednak nie tylko nie znalazła poparcia w Radzie Najwyższej, ale doprowadziła do silnych zaognień między Francją i Anglią, w której imieniu Lloyd George, związany umową i wspólnotą interesu z Niemcami, występował zaciekle przeciw Polsce, przechylając opinię większości Konferencji ku sugestiom niemieckim. Niemcy zaś, wyzyskując zręcznie ignorancję większości delegatów, którzy, bywało, nie umieli odróżnić Śląska od Cylicji — dowodzili najspokojniej w swym kontr-memoriale, że: 1) na Śląsku „nie ma w ogóle żadnych wspomnień ani tradycyj polskich", 2) „od roku 1163 ziemia ta utraciła wszelki kontakt z Polską", 3) język Górnoślązaków nie jest językiem polskim.

Rada Najwyższa — nie mając czasu ani ochoty na szczegółową debatę w tak zajątrzonej sprawie — zgodziła się chętnie na projekt plebiscytu, wysunięty przez Lloyd George'a, mimo słusznych wątpliwości szlachetnego ideologa prezydenta Stanów Zjednoczonych A. P. Wilsona, który kwestionował obiektywny i sprawiedliwy wynik plebiscytu w kraju, gdzie tylko uboga ludność jest w większości polską, a warstwy posiadające, a więc decydujące: fabrykant i dziedzic, inżynier kopalniany i urzędnik są narodowości niemieckiej. Ale nie tylko tę niewąt-

W Redakcji „Kocyndra", wydawanego w czasie plebiscytu w Bytomiu (r. 1920)

pliwą fortę wyzyskali Niemcy w czasie długich przygotowań do plebiscytu. Sprowadzili ponadto około 200.000 „emigrantów", ludzi, których ze Śląskiem łączył albo sam fakt urodzenia, albo, co częściej, fałszywa legitymacja. Dlatego chcąc zyskać obraz woli rdzennej ludności należy owych „emigrantów" wyłączyć z obrazu statystycznego. Poniżej podamy, dla unaocznienia sytuacji, cyfry jedne i drugie:

Nazwa powiatu	Wszystkie głosy				Głosy samej tylko ludności rdzennej (bez „emigrantów")			
	za Polską	%	za Niemcami	%	za Polską	%	za Niemcami	%
1) Bytom	62.965	59,1	43.646	40,9	62.183	62,9	36.606	37,1
2) Gliwice	27.206	57,5	20.103	42,5	26.690	63,3	15.460	36,7
3) Strzelce	23.033	50,7	22.389	49,3	22.283	58,6	15.730	41,4
4) Zabrze	43.319	48,9	45.282	51,1	42.518	52,8	38.075	47,2
5) Racibórz	18.478	41,3	26.280	58,7	17.967	48,4	19.167	51,6
6) Olesno	11.147	31,8	23.861	68,2	10.849	42,0	14.992	58,0
7) Opole	24.717	30,5	56.226	69,5	24.431	38,8	38.523	61,2
8) Koźle	12.193	25,1	36.417	74,9	11.860	29,9	27.787	70,1
9) Prudnik	4.495	11,9	33.203	88,1	4.405	16,7	21.902	83,3
10) Kluczborek	1.786	4,0	43.332	96,0	1.750	6,5	25.097	93,5
11) Głupczyce	256	0,4	64.461	99,6	251	0,6	41.766	99,4
12) Miasto Bytom	10.102	25,3	29.889	74,7	9.551	27,7	24.928	72,3
13) Miasto Gliwice	8.559	21,1	32.022	78,9	7.947	23,1	26.514	76,9
14) Miasto Racibórz	2.219	9,0	22.306	91,0	2.175	11,7	16.475	88,3
15) Miasto Opole	1.111	5,2	20.800	94,8	1.089	6,6	15.336	93,4

Wynik plebiscytu, mimo całego nacisku i terroru, nie dał więc wyników oczekiwanych przez rząd niemiecki. Trzy powiaty opolszczyzny, dziś do Trzeciej Rzeszy należące, (Bytom, Gliwice, Strzelce), tak mocno opowiedziały się przy Polsce, że nawet głosy „emigrantów" nie zdołały odebrać im większości, w czterech zaś większość polska znalazła swój wyraz w głosach tubylczej, rdzennej ludności.

Wynik plebiscytu, odbytego w dniu 20 marca 1921, nastrój przezeń wywołany zarówno na gruncie Opolszczyzny, gdzie w mieście Opolu rezydowała komisja międzysojusznicza, jak i na paryskim bruku — nie wróżył niczego dobrego dla Polski. Rada ambasadorów zajęła stanowisko wyczekujące, komisja aliancka w Opolu nie zdołała się uzgodnić w swej opinii, słowem groził krzywdzący i niesprawiedliwy podział terenów plebiscytowych. Sprostować i utwierdzić wyniki głosowania, uratować cały polski Śląsk dla Rzeczypospolitej, oprzeć jej południowo zachodnie granice o brzegi Odry — mogło tylko *bracchium militare*. Plebiscyt z karabinem w ręku. Tak zrodziła się idea trzeciego powstania, które miało zrealizować zamiary i wysiłki dwóch nieudanych, poprzednich z sierpnia 1919 i sierpnia 1920 r.

W tych trzech powstaniach śląskich, będących wyłącznym dziełem chłopa i robotnika, zawdzięczał — wedle trafnej obserwacji wojewody Grażyńskiego — nowy, nieznany dotychczas ton w dziejach tradycji polskiej. Ruchy wyzwoleńcze polskie w XIX stuleciu były wyłącznie przedsięwzięciem szlachty, która marzyła tylko o wciągnięciu chłopa i robotnika. Śląsk pierwszy spełnił te marzenia. Nie w r. 1846 i nie w 1863, nie nawet w r. 1905, ale dopiero w r. 1919—1921 rozpłonął w najstarszej dziedzinie szczepu polskiego pierwszy zbrojny ruch ludowy, podjęty przez jedyną warstwę społeczną, która wytrwawszy tu przy polskości, teraz upomnieć się o nią postanowiła. Upór, z jakim Ślązak po trzykroć powracał do walki zbrojnej o swoje,

Alfons Zgrzebniok z Dziergowic (powiat Koźle), jeden z organizatorów 3-go powstania

Misja koalicyjna w Błotnicy (pow. strzelecki) w maju 1920 r., z gen. Le Rond na czele

„Mundek", 15-letni kurier sztabów powstańczych

Pogrzeb majora francuskiego, zamordowanego w Bytomiu

przyrównali sami Niemcy do działania „wody zaskórnej", tak bowiem przyrodzony, żywiołowy i ciągły był cały ten odruch.

Lecz jak od wieków brakło sobie-pańskiemu ludowi przodowników, którzy często albo nierychliwi bywali, albo zniemczeni, tak i w chwili decydującego zrywu setki tysięcy ochotników nie miały kierownictwa. Oficer był rzadkością w pospole najgorliwszej ochoty. Stąd konieczność uzupełnienia w „Starej Polsce" kadr oficerskich, które przybyły na końcową fazę przygotowań, na sam moment walki zbrojnej, podjętej przez samego Ślązaka pod nakazem plemiennego instynktu. O rdzenności ruchu świadczą też arcy-śląskie nazwiska i osoby jego organizatorów i dowódców.

3-cie powstanie śląskie, rozpoczęte i dowodzone przez Polską Organizację Wojskową, zdane było na własne siły, w całym tego słowa znaczeniu. Bo nie tylko z wrogiem frontowym i okupantem czekała je rozprawa. Trzeba się było jeszcze porać na każdym kroku z niechętnym Komisariatem Plebiscytowym, który w osobie Wojciecha Korfantego był zwolennikiem jedynie zbrojnej demonstracji, a nie planowej walki zbrojnej. Trzeba się było liczyć z postawą Komisji Międzysojuszniczej, której oddziały wojskowe, po całym Śląsku rozrzucone, paraliżowały często z bronią w ręku poczynania powstańców.

Wreszcie w nocy z 2-go na 3-ci Maja wyleciały mosty kolejowe na liniach kolejowych, łączących Rzeszę Niemiecką ze Śląskiem. Pożar ruchu zbrojnego buchnął równocześnie w całym kraju, zdobywając w ciągu kilku następnych dni cały jego teren aż po Odrę.

Zadaniem dowództwa, które objął Borelowski-Grażyński, było a) zniszczyć, gdzie się da, organizacje wojskowe niemieckie, b) opanować możliwie najwięcej terenu i węzłów komunikacyjnych. Do celów najbliższych należało: opanowanie Gliwic (z węzłem kolejowym Łabęty), Raciborza, Koźla (z węzłem kolejowym Kędzierzyn), Strzelec po czym zajęcie stolicy regencji Opola.

Kurier powstańców w służbie łączności

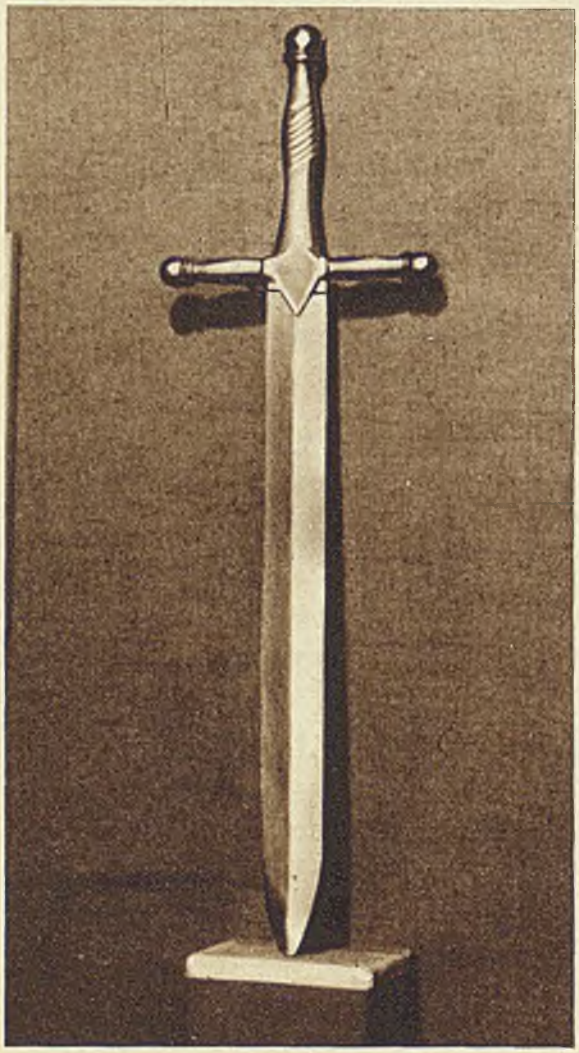

Szczerbiec, ofiarowany kadetom Lwowa przez Śląsk

Chcąc uniknąć za wszelką cenę starć z oddziałami Koalicji, powstańcy odstąpili od przygotowanego ataku na Katowice, Bytom i Gliwice; kontentując się ich „cernowaniem". W dniu 9 maja wzięto Kędzierzyn, oparto się mocno o brzeg Odry i zajęto port w Koźlu. Impet natarcia przeszedł oczekiwania. Żołnierz śląski rozwinął tak wspaniałego ducha ofensywy, że można było liczyć się z realizacją planu operacyjnego w całości. Powstanie rozwinęło się w ogromny front bojowy na terenie dzisiejszego Śląska Opolskiego. Centralne zadanie spełniała tu grupa „Wschód", na której czele stali Hauke-Grzesik, obecny Marszałek Sejmu Śląskiego, jako dowódca i Dr Michał Borelowski-Grażyński, obecny wojewoda śląski, jako szef sztabu. Sam powiat opolski, powąchawszy już prochu w 2-gim powstaniu, gdzie drobne grupki jego zuchów-rolników walczyły pod Kosorowicami, Ozimkiem i Krasiejowem, teraz występuje w zorganizowanej sile 2 baonów; biorą szturmem Ozimek, potem idą na Dobrodzień, walczą ciężko pod Kadłubem, pod Staniszczem i Zębowicami.

Powstańcy z Gliwic i Toszka, wystawiwszy 12 kompanij bojowych w sile około 2 tysięcy ludzi, wzięli w ataku kolonię niemiecką Szywałd, zdobyli miasteczko Pyskowice (zatykając tam na ratuszu po raz pierwszy od wieków sztandar polski); walczyli krwawo o Łabęty, o Toszek i wściekli stanęli u bram Gliwic, których zająć im nie dozwolono.

Punkt ciężkości wszystkich operacyj opierał się o Górę św. Anny i miasteczko W. Kamień w powiecie strzeleckim, jako bazy operacyjne do sforsowania Odry. Działała tu grupa Północ, w której obrębie toczyły się uporczywe walki o przyczółek mostowy pod Gogolinem i o posiadanie samej Góry św. Anny. Te strony były widownią najkrwawszych starć, wzdłuż szosy Gogolin—Strzelce, na rozstaju dróg z Olesna do Gorzowa wokół starożytnego kościółka św. Anny, a wreszcie pod Zębowicami, gdzie padło przeszło 150 zabitych.

Nagle, w dniu 10 maja, obiegł wszystkie

fronty bitewne, prące bez wytchnienia naprzód i żądne dalszej walki, niefortunny i niespodziewany rozkaz zawieszenia broni, rozkaz, który zmroził i zdemoralizował powstańców, polecając im opuścić tak ważne i tak krwawo zdobyte punkty strategiczne: port w Koźlu, Górę św. Anny, Gogolin i Olesno. Tylko niezwykła dyscyplina i karność młodego żołnierza śląskiego sprawiły, że cofnął się posłusznie na krzywdzącą linię demarkacyjną i nie rozpoczął akcji na własną rękę w chwili, gdy mu kazano walki zaprzestać.

Tymczasem Niemcy, wyzyskawszy okres zawieszenia broni, dokonali celowych przesunięć i mogli osiągnąć pewne sukcesy frontowe w ataku podjętym od Gogolina i Chrapkowic.

Ponowny rozkaz zawieszenia broni (27 maja 1921) zakończył definitywnie akcję zbrojną na Śląsku. Decyzja wróciła na zielone stoły dyplomatów, którzy ogromną połać Opolszczyzny z milionową blisko ludnością polską odstąpili Rzeszy Niemieckiej.

Żołnierz śląski, kończąc walkę o utwierdzenie granic Rzeczypospolitej, wracał do domu z przeświadczeniem, że jego czyn zbrojny zaważył. Bez trzeciego powstania podział Śląska wypadł by jeszcze bardziej krzywdząco!

Papież Pius XI, jako Nuncjusz papieski Achilles Ratti, przybył w Niedzielę Wielkanocną 1920 roku do Opola

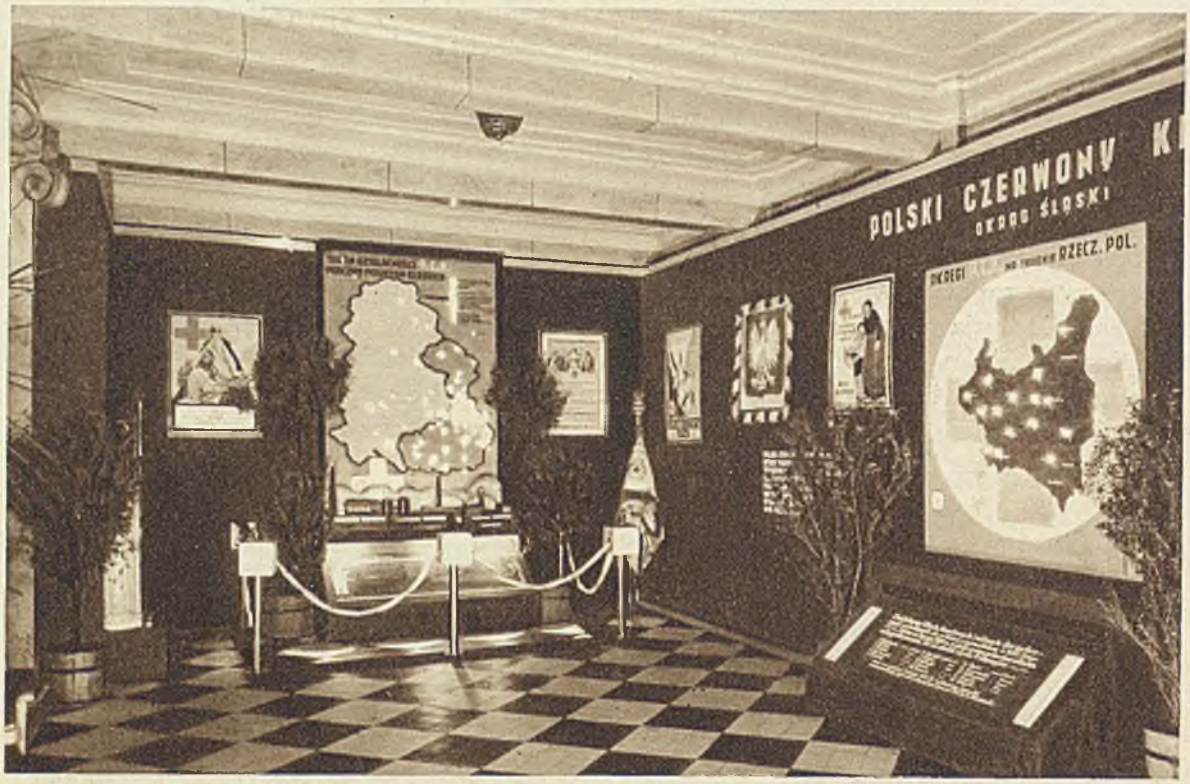
POLSKI CZERWONY
OKRĘG ŚLĄSKI
RZECZ. POL.

TYP RASOWY I PSYCHICZNY

Wybitną odrębność typu Ślązaka zauważono już dawniej, nie umiano jednak wyjaśnić nawet zasadniczych kwestyj, a więc na jakim podłożu kształtowała się ta odrębność i jakie pokrewieństwa wykazuje? Uczony niemiecki R. Virchow już przed 50 laty (1885) zbadawszy na zasadzie wyników przeprowadzonej ankiety pigmentację, barwę skóry, oczu i włosów mieszkańców Śląska, stwierdził, że z dwóch zasadniczo występujących tu typów, jasnego i ciemnego, typ ciemny uwydatnia się na Śląsku o wiele silniej, niż u ludności Niemiec środkowych, i — co ciekawsze — że zjawisko ciemnej pigmentacji występuje zespołowo szczególnie wzdłuż brzegów Odry, a słabnie, gdy się od nich oddalać lub posuwać ku północy. Znaczy to, że ten typ ciemny tu miał swe źródło i stąd się rozprzestrzeniał w głąb jasnowłosych, niebieskookich Niemiec w prastarych czasach, kiedy woda była jedyną arterią komunikacyjną. Typ jasny dominuje. Ludwik Krzywicki stwierdził na Śląsku, w porównaniu ze strukturą sąsiedniej Małopolski zachodniej, większą ilość oczu siwych i piwnych oraz włosów jasnych i skóry białej. Tenże sam antropolog polski poszedł w r. 1912 dalej od Virchowa, ustalając, że cały Śląsk, zarówno cieszyński jak pruski wraz z powiatem będzińskim Kongresówki, tworzy jakby jedną zwartą dzielnicę antropologiczną, wyodrębniającą się wyraźnie od Wielkopolski; różnice między Śląskiem a Poznańskiem są większe nawet, niż różnice między tym ostatnim a Brandenburgią, jakkolwiek Śląsk poddany był wcześniej gruntowniejszej germanizacji.

Uczeni niemieccy uważają obecnie Śląsk za integralną pod względem antropologicznym część Niemiec z przeważającym elementem nordyckim. Południowa granica Śląska jest ich zdaniem granicą rasy nordycznej, która dochodzi tu do 45%, gdy przymieszka rasy dynarskiej osiąga zaledwie 15%. Sprzeczności w wynikach badań niemieckich wykazuje w swej ostatniej rozprawie o strukturze rasowej Śląska prof. Czekanowski. I stawia

„Ojciec Polak, matka Polka i we mnie krew polska płynie — Niech się do mnie wróg nie zbliża, bo jak mucha zginie!“

„Póki młoda to ją czesz, Jak dorośnie to jej strzeż!“

Stefania Halina Szczepaniak, urodzona w r. 1925 w Opolu, o której imiona chrzestne stoczono zaciętą walkę z urzędem metrykalnym

Zielony wianuszek na lewej ręce, to oznaka uroczystości „Rocznika", gdy dziecko pierwszy rok życia ukończy

tezy druzgoczące: a) Ślązacy pod względem antropologicznym nawiązują najściślej do ludności południowo-zachodniej Małopolski, b) najliczniej reprezentowany jest wśród nich element laponoidalny, później dopiero nordyczny. Wyjaśnia ponadto zasadniczo, c) że sama obecność jasnowłosego elementu niczego nie dowodzi, bo nic ma nic wspólnego z reliktami po dawnych germanach ani z kolonizacją niemiecką. Albowiem „przyniosła go przede wszystkim kolonizacja słowiańska, wdzierając się na teren bardzo archaicznej prowincji antropologicznej, obejmującej Karpaty zachodnie, Sudety i sięgającej daleko w głąb Niemiec południowych. Z prowincji tej pochodzili i osadnicy niemieccy i dlatego mogli się oni zaznaczyć na Śląsku w postaci przymieszki elementu nordycznego".

Dotychczasowym próbom syntezy brakło jednak fundamentu, jaki jedynie dać mogą szczegółowe i systematyczne pomiary oraz zebranie obiektywnego materiału na miejscu. Rozpoczęto je dopiero w czasach ostatnich, równocześnie niemal po obu stronach granicy. W powiecie pszczyńskim przystąpił do studiów Zakład Antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, na Śląsku Opolskim podjęli pracę antropologowie z Wrocławia w powiecie strzeleckim, z Lipska zaś w powiecie głupczyckim. Niedawno ogłoszono niemiecką relację z tych pomiarów. Wybrano w tym celu ośrodek leżący na uboczu z dala od wielkich centrów przemysłowych, od traktów komunikacyjnych — zabitą deskami wieś Pilcz, w powiecie głupczyckim, pod samą granicą czeską, niedaleko Opawy. Zamożni jej mieszkańcy, przywarci od wielu pokoleń do swego osiedla, utrzymują czystość wiejskiej rasy, żeniąc się zasadniczo w obrębie swej wioski, aby jak najmniej gruntu utracić na rzecz przybysza. Na podstawie ksiąg parafialnych wykazuje antropolog niemiecki, że od lat trzystu niewiele się zmieniło pod tym względem. Gdy w sierpniu r. 1683 szła tędy przez Sudzice, Ściborowice do Ołomuńca odsieczowa husaria

Sobieskiego i im przypadło to zaszczytne uznanie, jakie Jan III Ślązakom wyraził: „lud tu niewymownie dobry i błogosławi nam", ówcześni Pilczanie niewątpliwie wówczas słowa po niemiecku nie umieli, tak jak dziś nie umieją po polsku. Z radością konstatuje to dr. Rudolf Grau, który w czasopiśmie „Der Oberschlesier" (1934 z. 1 i 4) zdaje sprawę z pomiarów antropologicznych w tej wsi. Wykazały one, z mniejszą już uciechą, że Pilczanie reprezentują w swych istotnych cechach typ rasowy dynarski, znamienny jak wiadomo dla południo-wschodu Europy, dla Zadniestrza, Karpat i Zachodnich Bałkanów. Osobnicy typu dynarskiego odznaczają się wzrostem wysokim, krótką głową, włosami ciemnymi, w oczach wykazują całą skalę jasnych odcieni, rysy mają ostre i wyraziste, a grubsze niż u nordyków.

Otóż trzy cechy zasadnicze kwalifikują Pilczan jako typowych przedstawicieli rasy dynarskiej: a) wzrost wysoki (przeciętna wysokość mężczyzn 170,7 cm, kobiet 158,7 cm), b) krótkogłowość. T. zw. wskaźnik główny czaszki czyli stosunek największej szerokości do największej długości wynosi 84,7% każe więc zaliczyć Pilczan do wybitnych krótkogłowców (u długogłowców stosunek ten nie może przekraczać 75%), c) ciemna barwa włosów. Wśród Pilczan naliczono 34,3% blondynów wobec 65,6% brunetów, podobnie u kobiet blondynki są w mniejszości (44,8% blondynek). Okazuje się więc, że u mieszkańców Pilcza przeważa typ dynarski podobnie jak u górali cieszyńskich i Wiślan. Jedyne odstępstwo od typu dynarskiego wykazuje u Pilczan barwa oczu „zadziwiająco podobna do oczu ludności północno-niemieckiej". Tak upragnione bowiem niebieskie oczy znalazła ekspedycja u 63,7% mężczyzn i u 57,2% kobiet w Pilczy. Ten jeden szczegół odrębny pozwala antropologowi niemieckiemu stwierdzić w Pilczy „wybitną mieszaninę rasy dynarsko-nordyckiej", jakkolwiek na innym miejscu przyznać musi, że typ pilczański

Trzy gracje spod Olesna w stroju odświętnym

Druhny raciborskie urzędują

W Zabrzu już od dawna noszą się po miejsku

wykazuje najistotniejsze cechy dynarskie, jak płaską potylicę, wybitny, garbaty nos, kości jarzmowe wydatne, rosłą postać itd. Jak widać antropolog operuje pojęciem mieszaniny w tym sensie, jak językoznawcy mówią o „mieszanym niemiecko-polskim“ języku ludu śląskiego.

W chwili obecnej badania nad składem rasowym ludności Śląska są dopiero w powijakach, zarówno w polskiej, jak niemieckiej nauce. Istnieją różne prognozy antropologiczne na przyszłość. Do szczegółowego określenia struktury antropologicznej Śląska jeszcze bardzo daleko. Czy jednak, wobec zasadniczo rozbieżnych stanowisk antropologów polskich i niemieckich, dojdzie kiedy do uzgodnienia zapatrywań — to rzecz wątpliwa.

II

Jeśli o typ psychiczny Opolanina chodzi, musimy go od razu wyodrębnić od Ślązaków Czarnych, górników, hutników. Dziecko pól przyodrzańskich, puszcz oleskich, żyznej glinki raciborskiej i piachów za Odrą będzie się w tym mniej więcej stopniu różnić od ludności okręgów przemysłowych, jak różni się ludność nizinna od górali beskidzkich.

Można powiedzieć: Ślązak opolski — i w ogóle rolniczy — stanowi pomost między Polakiem wschodnim a zachodnim, wykazuje bowiem cechy raz z jednym, raz z drugim wspólne, dorzucając nadto pewne swoiste właściwości.

Z pozoru łatwy, uprzejmy i chętny, w gruncie — jak każdy wieśniak — zamknięty, podejrzliwy, oskorupiony przeciw wszelkim obcym wpływom. Realny i żwawy, pomiata fajtłapami („Kto nie kurzy i nie sznupie, tyn się równa kurzej d....). Inne przysłowia, wyrażają niechęć do pustego gadulstwa: „Za pierdoły nie będą woły ino za pieniądze“. Do rozmaitych obietnic („obiecki — pod niecki, obietnica — niepewnica“). Postęp w rolnictwie, zdobycze kultury materialnej interesują siedlaka śląskiego może nawet więcej, niż chłopa

Typowa postać fararza (= proboszcza wiejskiego)

Swarny rolnik z powiatu opolskiego

Trzeci Maj w Bytomiu w r. 1920

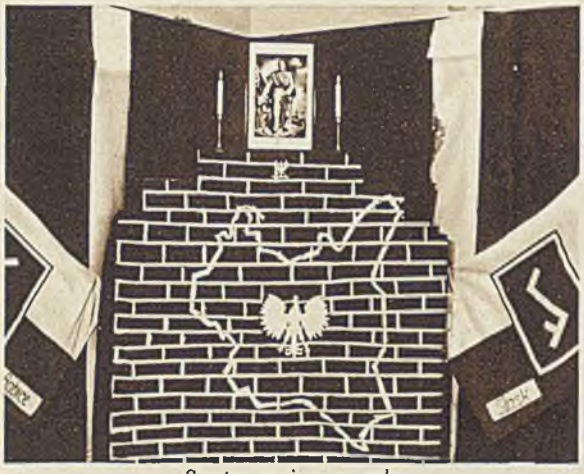

Smutny maj 1935 roku

Wesoły maj każdy, gdy się wycieczka do Polski zdarzy!

poznańskiego. Od tamtego wszakże ma mniej instynktu karności w usposobieniu i wcale nie łatwo go pochwycić w łapkę organizacji. Nie da na sobie drew rąbać.

Udzielny jest, mówi sam o sobie. Czyli niepodległy i opalisadowany, z ostrożna z nim pertraktuj, jak z księciem udzielnym. Ale jest jeszcze drugie znaczenie wyrazu, dosłowne. Udzielność = ochota do usług, chętne udzielanie się. Na Śląsku wyraża się ona przede wszystkim w cnocie gościnności, której chyba nigdzie w Polsce nie znajdziesz pod dachem wieśniaczym w takim nasileniu!

Wybitny liryk śląski, gimnazjasta ongiś opolski, Konstanty Damroth, tak ujmuje tę typową dla każdego Ślązaka cechę:

Nikt nie pyta: Ktoś ty taki?
Ale każdy pragnie ciebie
Mieć swym gościem i pod strzechę
Szczerze zaprasza do siebie.

Nikt nie pyta: Dokąd idziesz?
Skąd przychodzisz? Lecz przynosi
Na co dom się zdobyć może,
I do koła mile prosi.

Nikt nie pyta: Kiedy pójdziesz?
Owszem zostań, będą radzi.
Gdy ich żegnasz, mówią szczerze:
Niech cię Bóg znów tu sprowadzi.

Obcemu noclegu odmówić nie wolno pod grozą narażenia się na wzgardę powszechną. To tradycja odwieczna. A spróbuj wstąpić pod dach siedlaczej zagrody — ściany się rozszerzają, jak we dworze staroszlacheckim. Czujesz od razu, że ten autochton opolski nie w swoim imieniu tylko gości cię, reprezentuje on wszystkie nie istniejące już stany: pana, który się wyniósł ze Śląska, mieszczanina, który zniemczał. I z uśmiechem wychodzi gościowi naprzeciw w imieniu całej swojej, zdanej na bitkę śmiertelną, ziemi.

Na wizytę u pewnego dzielnego kmiecia już mało zostało mi czasu. Proszę tedy z góry pana domu o wybaczenie.

— Dziękuja wam za nawiedzka — odpowiada — musicie jechać, no dycki trudno, ale co moja powie, nie wiem.

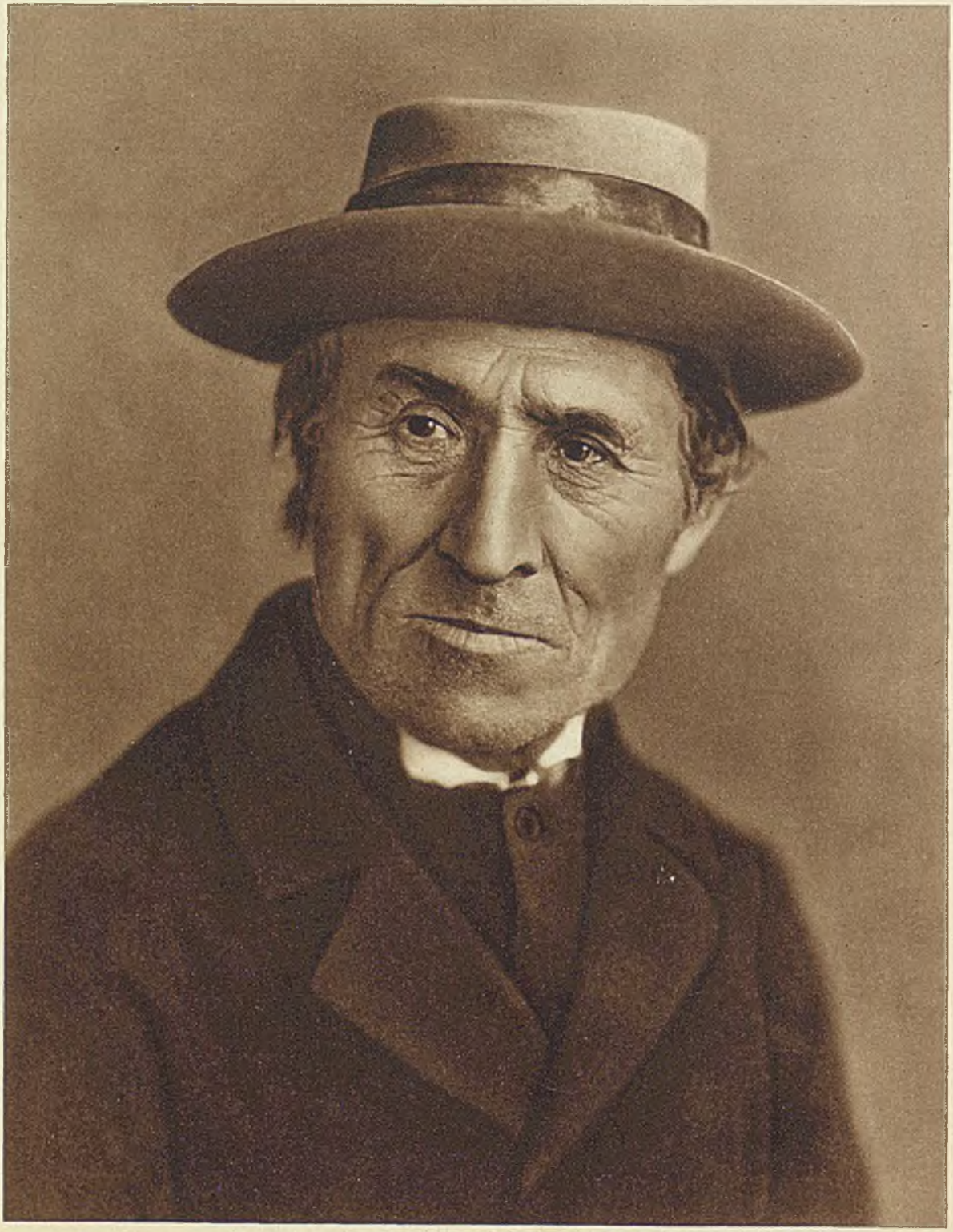

Staruszek liczący sobie siła i mało roków z okolic Raciborza

Za chwilę staje w drzwiach „moja“ z poczęstunkiem. Wino, kieliszki na tacy.

— Tego wstydu mi przeca nie uczynicie, żeby nic wypić, nic zakąsić, nie pogwarzyć.

Nie uczyniliśmy, zostaliśmy, bo i jakże inaczej?

W ogóle odznacza ich jakiś skoczniejszy stosunek do życia. Od braci Wielkopolan różnią się dość widocznie rodzajem wesołości. Przenika ich, mało rzec, pogoda, ale wprost żądza pogody, pasja rozniecania wesołości, której wszędzie szukają, a która często znajduje wyraz w pogoni za dowcipem. Mają też doskonałe zrozumienie dowcipu, groteski, pointy, żartu. Coś jak górale podhalańscy. Od humoru aż skrzy się w folklorze, w pieśni, w baśni siedlackiej. Wesołemu temperamentowi dają upust przy gorzale, obficie, obficiej niż gdzieindziej płynącej. Do bójki skorzy już po kilku kieliszkach.

A dopiero w tańcu! Chyba nigdzie na wsi polskiej nie cieszy się dziś mazur i krakowiak taką popularnością; nie tylko tanga, ale „waloszki“ w kąt zapędza przy ochocie.

Wiekami trwał na Śląsku obyczaj wesołego, często improwizowanego przyśpiewu w tańcu lub przy kielichu. Zwały się te produkcje przy biesiadzie *pieśniami frantowskimi*, bo frantem musiał być ten, co śpiewał. W przeciwieństwie do pieśni poważnej, religijnej — śpiewka frantowska była treści światowej, szelmowskiej. Badania naukowe stwierdzają, że właśnie stąd ze Śląska szły one w szeroki świat. I pewnie nie jest rzeczą przypadku, że najdawniejszym wesołym piosenkarzem polskim był franciszkanin Mikołaj z Koźla, głośny w epoce Grunwaldu kaznodzieja przeciw husytom. Wśród żaków, śpiewających pod wiechą, miały śpiewki światowe *(cantilenae mundanae)* Mikołaja z Koźla równie wiele powodzenia. Treść śpiewanek była tak dalece swawolna, że biskup wrocławski widział się zmuszonym zakazać ich w osobnym edykcie. Jeden z dochowanych do dziś utworków Mikołaja z Koźla zaczyna się od słów:

Chcym na pannu żałować
nie chciałaś mi trochy dać
memu koni owsa

a po całym szeregu dość dobitnych i zgrabnie niedwuznacznych zwrotek, zamazanych pobożną ręką w rękopisie z lat 1416—1423, kończy się tak:

Mnisz-li panno, bych był ślep
uderzę ja kijem w kierz
wyżenu zajęce.

Zważcie se to czytelnicy. Jeszcze nie było na świecie drukowanej literatury polskiej, a już ludzie z Koźla opolskiego rodem rozśpiewywali Polskę na wesoło! I wcale do dziś tonu tego nie zapomnieli. Badania J. Krzyżanowskiego wykazują, że ta sama topika pieśniarska, podobne obrazy i rytmika oraz zgrabność dowcipu przetrwały w ludowej pieśni śląskiej do naszych czasów.

Jeszcze w niedawnych pokoleniach „śpiwania wielkie frantowskie“ należały do obyczaju świątecznego. Stara Szymonowa z Michałkowic (Tomanka Szymona żona) opowiadała około r. 1870, jakie to huczne działy się za jej młodości biesiady zwane „siudowajki“ na św. Szczepana, z takich frantowskich konceptów i śpiewanek słynne. Pochopne bywały, że hej!

Moc i siła dawnego pochopu przygasło, znalazłszy się w zębatym kole praktyk administracyjnych, pod nadzorem amtowego i szucmana na wiosce. A gasnąć zaczęło już wtedy, gdy jeszcze młodzi byli dziadowie dzisiejszego pokolenia. Jeden taki skarży się w tych samych Michałkowicach pod Bytomiem: „Teraz wesela przez kartki z policyje nie wolno!“ Pół twardego (= ta-

lara) daj! Taki czas teraz smutny, niewesoły, ale tyż i lud desperacny, bo wiedzą, iże strofa ich nie minie. Sądy są, mają być sprawiedliwie, ale...“ machnął ręką i urwał.

Improwizują nie tylko w śpiewie przy kielichu. Lubią rymować, mają w ogóle pociąg do pisania. Niemal w każdej wsi znajdzie się śmiałek, którego bierze chętka. Iluż proboszczów ludowych śląskich imało się pióra w ciągu wieków. Ciekawi Opolan twórczość sceniczna. Układają sobie komedie obyczajowe, pisują wiersze okolicznościowe, nie dbając zbytnio, co się później z tym stanie. Teatr w Opolu nieraz wystawia regionalne dialogi, a gdyby rozwinąć więcej inicjatywy i zachęty, twórczość ta wzniosła by się na wyższy poziom i mogła stać użyteczną całej Polsce, tak przecież ubogiej w literaturę ludową. Teatr Katowicki, odwiedzający stale Opolan, niechby pomyślał o tym!

* * *

Ale to wszystko już dziś nie to, co było.

Jak na Śląsku wrocławskim pod Brzegiem czy Lignicą zostały li tylko paździerze polskości w mowie starych ludzi i miną z ich śmiercią — tak na Opolu, gdzie narodowość trwa i przetrwa, tleją już tylko zgliszcza dawnego temperamentu białych Ślązaków. Za to, jak się trafi dobry egzemplarz jasnego typu, to jest czego słuchać i czemu się dziwować. Szczebiot za dziesięciu, facecjonista za stu. Palca przed gębę nie kładzie.

Rok 1926, marzec. Komisja mieszana w Katowicach zawalona stosem protestów. 69 gmin Śląska Opolskiego zakłada je z powodu niezatwierdzenia przez rząd niemiecki sołtysów i ławników, którzy wyszli z ostatnich wyborów komunalnych. Dwa lata toczył się spór o kompetencję, aż wreszcie zapadła decyzja, że miarodajnym arbitrem jest komisja mieszana w Katowicach. Stu czterech świadków przesłuchano w maju 1927 roku przed komisją oraz samych zdyskwalifikowanych, a przez to bardzo na honorze dotkniętych kmieci śląskich. Najwięcej chyba kłopotu było wówczas ze starym Śledzioną, którego spotkał despekt szczególnie nieoczekiwany: przez dobrych 36 lat bywał sołtysem i kościelnym w tym Kamieniu, gdzie się to św. Jacek rodził ze świętą Bronisławką, aż dopiero w 1924 uradziły mędrce, że się nawet na ławnika nie nadaje. Pojechał tedy zapytać: jakim prawem?

Odwiedziłem staruszka w lutym zeszłego roku na jego gospodarstwie w Kamieniu i pytam, jak to było.

— „A było — powiada. — Jauch pojechał do Katowic do tej Komisji i widza, że oni dycki po niemiecku rządzą. Dźwignąłech zaraz palca, że niby nie rozumiem, bo tylko po polsku rządzić poradzę“.

Porozumiewano się tedy przez tłumacza. Pierwszy ze świadków słuchanych zeznał, że gdy do głosowania przyjeżdżali emigranci z Niemiec, („Ślązacy“ na prędce sfabrykowani), Śledziona krzyczał do nich: „Wy pierony, was na lipam wsadzić, petrolejem oblać i spalić“. Argument oskarżenia: człowiek, który się tak wyraża o Niemcach, ławnikiem być nie może.

— Odarciuch! kręcigłówka! — żachnął się Śledziona. — Jakże to! Przeca nie o wszystkich Niemcach mówiłech, ino o fałszywych Ślązakach.

Teraz świadek Kasiura, rzeźnik i karczmarz z Kamienia, staje butnie na dowód, że Śledziona nie poradzi na sołtysa, bo jest kłótnik, sprzyka i zbyte.

Hm, a tyle lat bywał sołtysem.

— Ano, piznął mie w pysk!

— Ile razy? — pyta Śledziona butnego świadka.

— Raz — mówi Kasiura.

— Nieprawda! — Śledziona z dumą — jauch go piznął trzi razy w pysk!

I na dowód przedkłada papiórek, skazujący go na 72 marki „śtrafu“ za trzykrotne spoliczkowanie karczmarza.

Komisja uśmiała się bardzo, ale jakoś nie chciała utwierdzić mnie w ławnictwie. I wymyśliła co insze. Powiadają, żem już za stary. Nie wytrzymałech i ciskam:

— Jakże to? Rajchsprezydent Hindenburg taki stary, co ma osiem i siedemdziesiąt roków a jest rajchsprezydentem, a ja pięć siedemdziesiąt roków stary to już i ławnikiem być nie moga, pierona!?

Na takie *dictum* nie miał już pan przewodniczący nic do powiedzenia, restytuował Śledzionę na urząd ławnika, a ta jego obrona przed obliczem komisji mieszanej głośna była na Śląsku i dowiodła, że nie wymarł jeszcze do szczętu ród frantów na Opolu.

„Rodzeństwo“ Bożków i Sławików na niedzielnej „Wiesiadzie“ w Markowicach pod Raciborzem w r. 1911

T U R U, T U R U, T U R U, I Ł A !

Ruiny starego zamku w Toszku, spowite baśniową omroczą pejzażu

Niedawno jeszcze istniał tu świat, jakiego już dziś nie ma. Podobnie jak w Tatrach. Gdy je w epoce romantyzmu odwiedzał, żyjąc na halach i w szałasach między juhasami, pierwszy reprezentant nowoczesności, Seweryn Goszczyński, stanął porażony i olśniony pierwotną, do niczego niepodobną wspaniałością bajecznego świata. „Ależbo wówczas ziemio staroświecka! — wołał urzeczony — dzisiejsze dziwy dziwami nie były, grały widomie niewidome siły. I pilnowały człowieka od dziecka, w powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą".

Dawny, nietknięty jeszcze traktorem cywilizacji, Śląsk był zapewne pod tym względem podobny pierwotnemu Podhalu. I jaka szkoda, że Józef Lompa z Olesna nie miał w sobie czujnej duszy poety, nie urodził się artystą. Bo za jego czasów żyła jeszcze w całej okazałości dawna baśń i powieść ludowa, wygasały resztki wątków mitycznych i wiedzy tajemnej, zanim bita droga i kolej, drukowana książka i szkoła zmiotły to doszczętnie z powierzchni życia. Lompa chociaż nie wiedział jak chwytać czary mijającego czasu — zrobił przecież wiele. Z pedanterią i systematycznością etnografa u Niemców szkolonego, nie tylko wiele podań ocalił od zguby, ale również zaznaczył tło, nakreślił przynajmniej kontury atmosfery, umożliwiającej życie baśniom.

Bo wówczas wieś śląska dyszała mitami w czasie prządek wieczornych przy łuczywie, bo wędrowali po wsiach baśniarze, których wskazuje palcem i miejsca wylicza, kędy strumień ich natchnienia przepływał. „Może nigdy w życiu — pisze z zachwytem — nie usłyszę już tak przepysznego opowiadacza bajek, jak ten Basoń, młynarz z Woźnik, którego raz tylko niestety słyszałem. Deklamował on tak pięknie swe opowieści jakby je z książki czytał". Matka Lompy pochodziła z miasteczka Dobrodzień, które w początkach ubiegłego stulecia jeszcze słynęło jako miejsce popasu furmanów i bryk, kursujących z Gdańska na Wschód, poprzez Lipsk, Kraków i Lwów. Dobrodzień był więc punktem przechodnim rozmaitych baśni, legend i klechd, chętnie przez podróżnych rozpowiadanych. Jak w epoce wypraw krzyżowych wędrowała tędy i osiadała baśń rozmaita. („Dobrą pamięć i chętkę do opowieści zawdzięczam opowiadaniom mej matusi, których zawsze pilnie słuchałem").

Zbiór podań śląskich, gromadzonych przez Lompę, nie został dotychczas ogłoszony w całości. Znamy za to plon pracy jego następcy, który w siódmym dziesiątku XIX stulecia zeszedł pieszo cały bez mała obszar Śląska pruskiego, szczególną uwagę poświęcając powiatom po tamtej stronie dzisiejszej granicy. Nie był to etnograf, lecz językoznawca, Łucjan Malinowski. Nie folklor studiował, lecz cechy językowe. Lecz gdy zetknął się z nieprzebranym skarbcem powieści ludowej, zdumiał się i zaczął zapisywać. Z zapisek urosła księga bogata, tryskająca rozmaitością legend i podań, bajek, żartów i powieści moralnych. Udało mu się napotkać z ostatnich gawędziarzy Szymona Tomanka, który gdy się rozopowiadał, stawały przed słuchaczami czasy nie dzisiejsze, wyciągnął na słowo Marcina Lizonia, żołnierza napoleońskiego w Michałkowicach pod Bytomiem; staruch już na przypiecku siedział u swych dzieci i opowiedział przybyszowi kilka bajek, „noszących na sobie cechy głębokiej starożytności".

Dowodem autentyczności wątków folklorystycznych śląskich jest też ich bałamutność. Ostatni baśniarze starodawnego Śląska już często objąć nie byli w stanie sensu „baśniczki" odwiecznej, strzępy z niej zostawały połatane, w których ledwie rozpoznać można różnorodne motywy-przybłędy, swoiście czasem w ciekawy sposób interpolowane.

Bogactwo w tych reliktach, przez Lompę i Malinowskiego uchwyconych, jest wielkie, chociaż dotąd jeszcze szczegółowo nie rozpatrzone. I rzecz znamienna: Najsilniej domaga się ono głosu i upamiętnienia na kresach ostatnich, wszędzie tam, gdzie się obszar językowy kończy: w Kluczborskiem, w Głupczyckiem, w wielu pogranicznych okolicach powiatów: racibor-

„Dobrodzień był punktem przechodnim rozmaitych baśni, legend i klechd...“

Rynek w Olesnie, skąd rozeszło się wiele książek, drukowanych tu przez J. Lompę

Choć mało już po wsiach kołowrotków...

skiego, kozielskiego, gliwickiego, oleskiego. Stamtąd przede wszystkim pochodzą najciekawsze teksty baśniowe.

Surowy jeszcze, nie sklasyfikowany dotychczas naukowo materiał, ujawnia wybitną rozmaitość. Śląsk był od wieków bramą przechodnią, przez którą wędrowały pieśni, wątki, motywy. Kiedyś istniał tu „trójkąt trzech cesarzy“, dziś mamy „trójkąt trzech republik“ pod wsią Olzą, a od średniowiecza trwa trójkąt trzech folklorów. Polski, czeski i niemiecki folklor graniczą tu tak, jak graniczą te trzy państwa u bram Śląska.

Jedne opowieści nawiązują do motywów w całej Polsce jednakowo popularnych. Znaleźć je nie tylko w zbiorze Oskara Kolberga, ale w balladach Mickiewicza, a nawet w „Banialuce“ Morstina lub „Żywotach“ Piotra Skargi. Można natknąć się dalej na przybyszów z rozmaitych bliskich i dalekich stron świata: od „Tysiąca i Jednej Nocy“ poczynając, poprzez byliny rosyjskie, motywy serbskie i węgierskie, a na bajkach niemieckich Grimma skończywszy. Jak się przedstawia oryginalna twórczość ludu śląskiego na polu baśni, czy do wszechświatowego skarbca wątków wniósł on również swe własne wartości?

Wyborny znawca dawnej kultury polskiej, Wł. Nehring, tak odpowiada na to pytanie (1897): „Możliwe bardzo, że lud górnośląski musiał z bogatych wątków baśniowych, z którymi się stykał, nowe, swe własne utworzyć. Chętka do opowieści daje się tam zauważyć wszędzie, szczególnie po skończonej pracy lub zimą przy kądzieli. Nie tylko powtarzają wątki zasłyszane, ale ciekawią słuchaczy własnymi zmyśleniami. Brak wprawdzie w wielu opowieściach śląskich uchwytnego zabarwienia i podkładu lokalnego. Jest natomiast coś więcej: pewien ton czy tchnienie zasadnicze, które jako *haut goût* określić można: bohaterowie baśni śląskiej pochodzą z reguły z niższych, poddanych warstw ludowych, wiodą życie wiejskie, poprzestają na małym, ubierają się skromnie, są nawet czołobitni. Odznacza

ich dalej instynkt posłuszeństwa wobec panów dziedziców i pewien — *last not least* — zmysł militarny. Jako najwyższe marzenie, w złotych snach nawet, pojawia się stopień oficera lub samego generała, można jednak przypuszczać, że ten ostatni motyw wykształcił się dopiero pod panowaniem pruskim. W podaniach za to i legendach koloryt lokalny występuje obficie, stanowiąc ich konieczność do pewnego stopnia".

Nie ulega wątpliwości, że stosunek Śląska do folkloru germańskiego jest dość luźny. „Niemiecki Śląsk — stwierdził niedawno etnolog W. E. Peuckert — przejął z wierzeń słowiańskich niezbyt wiele. Chyba tylko podania o pięknej Hannele, którą dziki „wasserman" oswobodził, dalej motywy skarg żałosnych, motywy zmory i śmierci".

Szczątki dawnej demonologii ludowej nie są dziś w folklorze śląskim obfitsze, niż w reszcie Polski, lecz często uderzają oryginalnością. Jak wszędzie, tak i tu złe duchy jawią się nocą w postaci czarnych, ziejących ogniem psów, są też strzygi, skrzaty i zmory. Są „żytnie baby", krzywdzące żniwiarzy w polu, i są złośliwe, krwiożercze boginki godziny południowej: przypolnice. Diabeł cieszy się w ogóle dużym respektem, a przysłowie radzi, że bezpieczniej mu dwie świeczki zapalić niż jedną Panu Bogu. Wcielony jest zły duch w każdego kota domowego, który po siedmiu latach opuszcza chlebodawcę i wraca do piekła. W czasie wielkiego postu obowiązane są wszystkie koty uczestniczyć w szatańskim balu, odbywanym w chacie wiejskiej na odludziu.

Pokutujący duch człowieka, co sobie nieprawnie przywłaszczył grunt sąsiada, nazywa się świecek. Od całej gromady polskich i słowiańskich topielców śląski utopiec różni się strojem obowiązkowym, zazwyczaj bowiem w czerwonej czapeczce na głowie wabi przechodniów do topieli. Nie zawsze pojawia się w postaci ludzkiej, bo czasem wygląda też jakby lalka na wodzie albo złocisty wóz, czerwona kaczka, konik lub nawet gołąb.

...w zimowe wieczory ożywa po wioskach baśń...

w ucieczce przed żarówką Edisona, przylega do starych strzech...

i drewnianych kapliczek. Ale i stamtąd ją pędzą...

Utopiec odznacza się bezlitosną srogością i dlatego zdaniem etnografów niemieckich jest raczej wytworem wyobraźni słowiańskiej niż germańskiej. Natomiast nie ulega wątpliwości niemiecka metryka baby-jagi, która mieszka w domku z piernika i dokarmia rodzynkami złapane w lesie dzieci przed ich pożarciem. W gwarze śląskiej nazywa się ona jędzona.

Matysek, znany w całej Polsce z przysłowia, na Śląsku jawi się nieraz jako baśniowy pogromca niesamowitych mocy. Gruchlik zuchowaty, nie boi się diabłów w piekle i nieraz w spórkę z nimi idzie i poradzi „ożeżyć" po pysku. Cała długa historia opowiada, jak ów Matysek służył siedem lat u diabła za „kuczera" i zdołał go wreszcie wystrychnąć na dudka. Jest i inna postać wesołego pogromcy, groteskowa. Jako trzeci z rzędu a głupi syn ubogiego chłopa na podgrodziu książęcym, zyskuje on sprzymierzeńca w cud-szczupaku, który leży na piasku i z wdzięczności dla Matyska spełnia później, niby pierścień bajeczny, każde jego życzenie. Gdy zaś, drzystoń niepoprawny, napłatał jakichś psich figlów córce królewskiej, przyszła nareszcie kryska na Matyska, musiał z nią pójść do ołtarza.

Pierony śląskie w baśniach są tak obrotne, że nawet umieją się dostać na sabat czarownic i może dlatego folklor powiatu głupczyckiego lepiej od innych zna te sprawy. Był bowiem taki jeden spryciarz, który podpatrzył, jak czarownica-karczmarka pizła trzy razy, wzięła maść z jarmarii, „puściła koszulę ze siebie i pomazała tą maścią ziły na karku a pod pażami", otworzyła okno, siadła na ożóg i po wymówionych słowach zaklęcia: „fik z okna! niczego się nie dotkna!" poleciała na ożogu równo z lasem. Powtórzywszy wszystko to samo, poleciał spryciarz za nią. Znalazł się wkrótce na wielkiej sali wśród bardzo pięknej muzyki. Wielkie kłębo kobiet i mężczyzn. Wyczyniają „dziwne ceremonie", po czym obstępują wielką taflę, na której moc złotych kielichów z winem. Nakoniec ustawiają się w dwa rzędy, wedle płci swojej, podchodzi do nich pachołek, mający w klinie (= fartuchu) pełno „manszestrowych mycek". Są to zarówno czapki-niewidki, jak czapki-samolotki. Każda z nich wydźwiga swego posiadacza do góry i unosi do domu.

Sposób na poznanie czarownicy jest ten sam, co w reszcie Polski, skomplikowany ale niezawodny: należy wziąć sękatą deskę do kościoła i przez dziurę po sęku rozejrzeć się po kościele w czasie, gdy ksiądz podnosi monstrancję. Z diabłem musisz inaczej. Od wieków wiadomo na Śląsku, że trzeba spętać go powrozem z łyka lipowego, zerwać go nie zdoła, dlatego mści się, łamiąc w czasie wielkich burz stare, nienawistne mu drzewa, a lipy najchętniej.

Ulubionym wątkiem są podania o olbrzymach oraz człeko-zwierzach. Giganci śląscy to zapewne krewni owych „dziewięćsiłów", o których tajemniczo trwożnie i urywkowo opowiadali nasi pisarze renesansowi (np. Łukasz Górnicki). W baśni śląskiej, w Raciborskiem i Kozielskiem, występują zazwyczaj w trójkę, bywają srodzy i okrutni, dybią na życie uwięzionej w zamku „pryncesy", z reguły unicestwia ich młodziutki bohater, raz będzie nim odważny myśliwczyk, żywiciel starej matki, indziej biedny owczarek, któremu udało się zdobyć „pałający miecz", zakopany pod grubym dębem.

Albo: pewien gospodarz, z klechdy pod Opolem opowiadanej, miał trzydziestu jeden synów, którzy wszyscy musieli świnie paść. I poszli w świat szukać sobie teścia, który by miał trzydzieści córek, najstarszy syn bowiem w domu został przy ojcu. Zabłąkawszy się w lesie trafili do pałacu olbrzyma, mającego akurat tyleż córek na wydaniu. Pokonali go zmyślnym podstępem, gdy im chciał głowy poucinać i pożenili się szczęśliwie.

Córka królewska Natulia (w Ligocie pod Kluczborkiem) spotyka niedźwiedzia pod drzewem czar-jabłoni i odtąd musi, z nakazu baśni, iskać go i strzyc nożyczkami, a czyni to bez strachu, bo był „prync" zaklęty w tej niedźwiedziej skórze. Nić sympatii człowieka z drapież-

cem dzikim i groźnym, przewija się często, trwa bajeczna, jak w bylinach ruskich symbioza, w rezultacie pożyteczna lub romansem zakończona. Wstydliwym zresztą. Bez detalów.

W Michałkowicach niedźwiedź zakochał się w babie, wdzięczny za wyjęcie bolesnego gwoździska z łapy. Owocem romansu był mocarny niedźwiedzio-człowiek, który każdego zabić poradził i wcale się nie bał kudłatego ojczulka.

Inna znów kobieta skamraciła się z lwem i w trzy ćwierci roku urodziła lwiego synka. W jaskini, przyciśniętej olbrzymim kamieniem, przebywała z tym synalem przez 6 lat, samowtór w puszczy leśnej. Młody gigant, dowiedziawszy się wreszcie, że stary lew to jego „tacik", chwycił go w skok za badyle i rozerwał. Później góry rozwalał, sosny wyrywał z korzeniami. Na widok ponad ludzkiej siły wyrwidęba, ojciec jego ludzki idzie do księdza po radę, co robić z tym chłopcem niezwykłym. Ksiądz myślał, myślał i wymyślił, żeby lwi synek poszedł do piekła po pieniądze. Do piekła nie doszedłszy, na ziemi diabłów znalazł, porozpędzał ich żelaznym drągiem, a po wielu przygodach zapewnił rodzicom byt dostatni. „Jeżeli żyją, to się dobrze mają, jeśli umarli, to już nie będą chleba żarli. Dziurka w nosie, skończyło się". Tak Franciszek Król w Kujawach od Małych Strzeleczek w powiecie kozielskim bajkę ową kończył.

Znany powszechnie motyw szklanej góry znajdujemy w oryginalnej odmianie w powiecie opolskim. Bohaterem-zwycięzcą jest młody rzeźnik, który puścił się w świat, bo mu się „ostudziło" u majstra. W wielkim lesie napotyka lwa, orła i mrówkę, które go proszą, by dobił i sprawił upolowanego przez nich wolu i sprawiedliwie rozdzielił. Z wdzięczności za tę przysługę lew daje mu kilka włosów swej sierści, orzeł pióro, a mała mrówka jedną łapkę. I oto rzeźnik pokonał dlatego wszystkie przeszkody w drodze do zaczarowanej królewny, gdyż orłowe pióro wyposażyło go w moc lotów podniebnych, łapka

Przed kościołem św. Sebastiana w Opolu

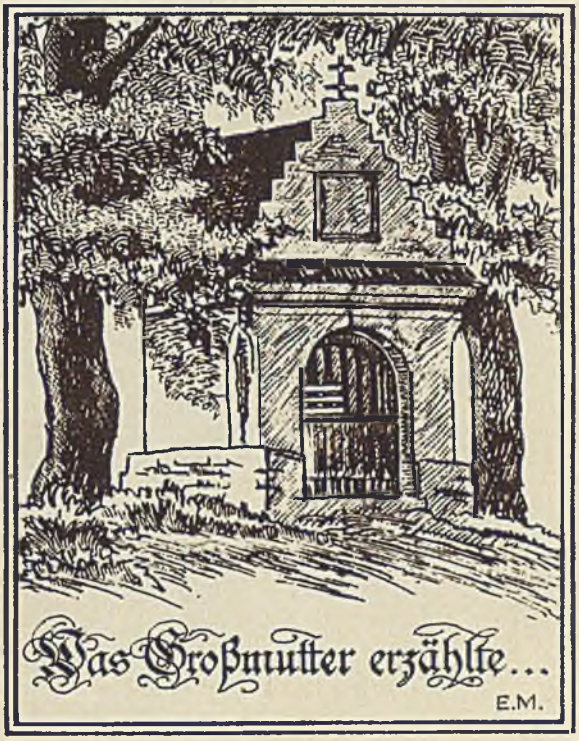

Nauczyciele niemieccy tłumaczą zasłyszane baśnie na swój język. Oto próbka z Markowic

mrówki dozwalała się przeciskać przez dziurkę od klucza, zaś włosię lwa użyczało siły nadludzkiej.

Albo taki przepyszny wątek: miał pewien ojciec trzy córki i zachorował śmiertelnie. Wtedy krasnoludek pewien poradził, że uratuje im ojca woda, przyniesiona z zarośniętej studni. Gdy znalazły się u źródła, ukazał się dziewczynom duch, który zażądał za uzdrowienie ojca ręki jednej z nich. Dwie go wyśmiały, trzecia najmłodsza zgodziła się. I oto nocy najbliższej jawi się ten duch na progu domu w postaci kłody oślizłej i wzywa:

turu, turu, turu iła,
otwórz-że mi moja miła
bościć mnie ty ślubowała
kiedyś wodiczkę w studni brała!

Wierna przyrzeczeniu dziewczyna zaprasza kłodę do izby. A gdy ją objęła, kloc drzewa zmienił się w urodziwego młodzieńca i odtąd często odwiedzał dziewczynę. Zazdrosne siostry podpatrzyły to i z zemsty spaliły korę, którą się okrywał. Nie znalazłszy jej o świcie rzekł: już tylko siedem dni brakowało do ukończenia mej pokuty w tej drewnianej postaci, a teraz nowych siedem łat mnie czeka.

Motywy wspólne ze światem baśniowym centralno-polskim spotyka się co krok, często pomysłowo amplifikowane. Czy to będzie motyw madejowego łoża z ostrymi brzytwami i nożami, o dziewczynach przemienionych w gęsi, o młodzieńcach przemienionych w kruki, o królu-

Młodym nie w głowie świat baśni. Dopiero, gdy dojdą lat...

węzu z koroną na głowie, czy o biedzie, którą człek ubogi przed odjazdem „do Ameryki abo do Polski“ zabił klinem w kadłubku gruszki.

I tak dalej baju, baju chętnie barwnie i rozwlekle opowiada cały Śląsk Opolski. Powiat za powiatem, raciborski, głupczycki, kozielski, gliwicki, bytomski, opolski. Baju, baju, bajuszek, porąbałech se paluszek. Snują się bajędy znane i nieznane, interpolowane własną fantazją, mącone wspomnieniami z książek. Snuje się nić przędziwa i wiatr huczy z północy. A ten wiatr północny miał towarzysza, który się nazywał południowy, ale bardzo mu „zawiścił“. I było czego, bo ten południowy mieszkał se u jednego króla w szumnym ogrodzie i leżał w truchle pod jabłonią, co złote jabłka rodziła i miał na palcu pierścień, którym innym wiatrom rozkazywał.

Gdy Matus Wróbel alias Drozd, roków 70 sobie liczący, skończył rozgwarzać o bajecznych dziwnościach — zamyślił się i dodał:

„Starzy ludzie powiadali, iże przyjdzie taki czas, co kamieniami będą palić. No tuż jako by to mogło być? A to te kamienie nazywają się węgle“.

Potem przerwał i zamartwił się staruch nieco, myśląc chyba o tym, co się w takim razie stanie ze światem śląskich mitów i baśni, które epoka maszyn, pieców koksowych i walcowni zagłuszy i wypali do znaku?

Żebyż same tylko piece i walcownie. Ludzie ją tępią. Nie poradzi przecisnąć się.

Dziś godzina próby najcięższej. Źle bardzo z baśnią, już tylko siwe skronie i wiekowe babulinki rade podjąć jej ginący wątek. A młodzi, którzy idą. Czy przypomną sobie? czy pociągną go dalej? Baśń śląska żmudzi się, patrząc w niewiadomą przyszłość.

Murowańce Bytomia wraz z zabytkami drewnianego budownictwa wypędziły też baśń ludową z miast

MARZANNA I INNE OBRZĘDY

Z koroną żniwną na żerdzi wybiera się strojny Raciborzanin na rolnicze święto

Równie gorliwym państwowcem pruskim jak skrajnym racjonalistą ośmnastowiecznym był radca skarbowy Loewe, który tak pisał w r. 1791 o ludzie śląskim: „Żyją Ślązacy w zupełnej ciemnocie, osaczeni najgłębszym zabobonem, wśród błazeństw i bzdur, urągających zdrowemu rozsądkowi. Wydaje im się, że umieją zdzierać zasłonę z tajemnicy przyszłości, że orientują się w jej ciemnych gąszczach, ba, nawet odgadują przyszłą dolę człowieka. Siebie i bydło swoje umieją chronić od czarów i uroku, chorych uzdrawiają za pomocą mamrotania. Serce mi się krwawi, gdy widzę, jak ten szczery i dobrotliwy ludek z trwogą zabobonną trzyma się kurczowo różnych urojeń i przyzwyczajeń". Dzięki tej przez nikogo nie oświeconej zawziętości „szczery ludek" przechował wiele prastarych cech naszego folkloru, zatraconych gdzie indziej zupełnie.

Na czoło wybija się fenomen Marzanny. Zaiste fenomen, skoro ten obrzęd wiosenny nawiązuje wprost do przekazu najstarszych naszych historyków: Długosza, Bielskiego i Stryjkowskiego i tutaj tylko, a nigdzie indziej w Polsce zachował się w pełni. Długosz przypuszczał, że jest to pamiątka niszczenia bogów słowiańskich za Mieszka I. Dziś wiosenne święto Marzanny uważane jest przez ogół etnologów raczej za echo czasów pogańskich, za resztki uroczystości topienia zimy, upostaciowanej w słomianym bałwanie, wśród rytuału, który z pierwotnej formy sakralnej zmienił się z czasem w groteskową zabawę ludową. Kościół walczył energicznie z przeżytkiem bałwochwalstwa przez wieki całe (np. synod poznański z r. 1426 zaleca przeszkadzać obrzędowi wrzucania do błota bałwana, zwanego śmiercią), tak iż w połowie XIX wieku wydawał się on już tylko dawno minioną przeszłością.

„Za mej to jeszcze pamięci — pisał J. Bielski, sekretarz króla Zygmunta III — był u nas ten obyczaj po wsiach, iż na Białą Niedzielę w poście topili bałwan jeden, ubrawszy snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze, który wszystka wieś prowadziła, gdzie najbliżej było jakie jeziorko albo kałuża, tamże zebrawszy z niego odzienie, wrzucili do wody, śpiewając żałobliwie: śmierć się wije po płotu szukający kłopotu. Zwali tego bałwana: Marzanna".

Gdyby pan Bielski (urodzony w r. 1540) znalazł się w naszych czasach w powiecie raciborskim czy bytomskim, zapewne niewiele spostrzegł by różnic w zasadniczym przebiegu obrzędu. W rolniczych powiatach Śląska dochowała się Marzanna najokazalej, przeto wypada przyjrzeć się jej z bliska. Do „niedzieli marzaniej" (bo tak w kalendarzu śląskim nazywa się *dominica Laetare)* przygotowuje się młodzież długo, powtarzając chóralnie zwrotki obrzędowych pieśni. I albo chłopcy oddzielnie albo razem z dziewczętami urabiają bałwana. Zazwyczaj jest tak jak w Tworkowie (powiat gliwicko-kozielski), gdzie (wedle opowiadania starego gospodarza) „najpierw zrobią daszek czyli snopek ze słomy, taki którym się kopę przykrywa na polu, potem rękę też ze słomy, oblekają go w koszulkę, bruślek (= stanik), potem mazelonki (= spódnice), jedna na drugą, żeby była szeroka; teraz się da bandle na głowę i wieniec na głowę i kokotki, a to są takie wstążki". Żerdka świerkowa, na którą się tę stworę kolorową zatyka, ma też nazwę liturgiczną: „latko". Na tej żerdzi obnoszą marzannę po wsi, w niedzielę po kościele, i nie wstępując do mieszkań, śpiewają pieśni u wrót domów.

Przed szkołą:

O przed tym rektorem tam woda huczy
a ten nasz pan rektór pięknie dzieci uczy.

Przed plebanią:

O, przed tym fararzem jargany grają
a ten nasz fararz pięknie odprawiają.

Po ukończonym obrzędzie starszyzna marzania ustawiła się do fotografii

Inne teksty mniej są uroczyste:

Nasza marzaneczka rosła jak sosna
nasza marzaneczka w kominie
wygląda dziurką na świnie itd.

Pod Głogówkiem nad rzeczką Osobłogą zanotowano taką wersję:

U długosza na końcu
marzaneczka we wieńcu
dokąd-że ją wieść mamy
gdy drożeńki nie znamy?
Wynieście mnie dzieweczki
tu na te pagóreczki
potem wrzućcie do wody
o, do głębokiej wody.

Następuje groteskowe i żartobliwe odstrojenie Marzanny, czyli rozebranie bałwana z tych kokotek, mazelonek aż do gołego daszka na żerdzi. „Wezmą ten daszek, idą z nim do pola, kaj woda jest, śpiewają dycki rozmaite pieśni, a jak przyjdą ku wodzie, to roztyrchają ten daszek i pociepną go do wody — pierwej to my grali na długiego ogona i na rozmaite dziwy" zakończył Hanys Bożek w Tworkowie.

Obrzędom marzańskim towarzyszą obowiązkowe „szarpaczki", często odbywane tradycyjnie między młodzieżą sąsiednich wiosek. Ciekawy obyczaj napotkałem w powiecie raciborskim. W Markowicach i w Raszczycach stają tam do rozgrywki zwolennicy dwóch bóstw czy demonów, bo dokładnie określić tego nie umieją. Markowice opowiadają się z regułą przy

Chwila czepin weselnych w Rozbarku

sztandarze Rokity, Raszczyce wyznają kult Rareka (Raroga?). Od wieków prały się obie wsie pod tym zawołaniem i piorą do dziś, mimo że o dostęp do siebie niełatwo, bo między Raciborzem a Raszczycami biegnie — granica polsko-niemiecka!...

Przed wiekami towarzyszyła topieniu bałwana nuta żałobliwa o śmierci, wijącej się po płotu, w Krzyżanowicach (pow. raciborski) dzisiejsza pieśń natrząsa się hucznie z tonącej zimy:

O marzanna krasna!
radaś gęsi pasła
wczoraś groch warzyła
kolano-ś se oparzyła —
dzisiajś w wodzie zimnej
chłodzić go będziemy
aż do jutra rana w wodzie
cię moczyć będziemy.
Marzo marzo, marzanno krasna!

Złączona z tym obchodem uroczystość „gaik" albo „maik" nawiązuje w niektórych okolicach bezpośrednio do utopienia bałwana, o czym świadczą pierwsze słowa pieśni gaikowej: Ej, wynieśliśmy marzaneczkę ze wsi, Ej, przynieśliśmy latorószczek do wsi. Śpiewają to małe dziewczęta, celebrantki tego powrotu do wsi z latem. Ustroiły sobie już one przedtem „gaik" czyli młodą sosenkę skorupkami z jaj, wystrzygankami z kartonu ufarbowanymi na modro, i umieściły pośrodku lalkę ze słomy. Każda z licznych zwrotek pieśni kończy się refrenem: „nasz gaik zielony, pięknie ustrojony". W obu obrzędach istnieją pewne różnice szczegółów w różnych okolicach, na ogół jednak gaik jest dziś popularniejszy od marzanny, którą wypiera w wielu wioskach.

Kociki rozbarskie już ustroiły sobie „nasz goik zielony“

„Nie za nas się to zaczęło i nie za nas się zakończy!“ — mówi starosta na rozbarskim weselu

Na ogół bowiem święto marzanie jest w stanie zaniku i nie cieszy się popularnością. Rozpytując starych i młodych, zauważyłem, że mówią o całym obrzędzie niechętnie, z jakimś lekceważeniem czy wstydem. Powód wytłumaczył mi wreszcie jeden z gospodarzy w powiecie kozielskim: „Wicie, marzanki to była zabawa bidoty. Żebracka zabawa. Dziouchy i golce chodziły po prośbie. Tera to im wstyd“.

Do oryginalnych obrzędów należy też palenie żuru w Wielką Środę, rozpowszechnione do niedawna na Zaodrzu i w powiecie strzeleckim, w okolicach Góry św. Anny. Gdy zmrok zapadał, pasterze na wzgórzach pierwsi zapalali „skrobaczki“, stare miotły nasycone smołą i żywicą. Obiegało się z nimi po polach i dąbrowach przy wtórze magicznych słów: „żur palę, buchty palę“. Przy akompaniamencie pieśni padały niedopalone miotły na jedno wielkie ognisko.

Palenie żuru jest może echem Sobótki czerwcowej, która się też zatraciła, a raczej zatracona została. Z obawy jakoby przed zaprószeniem ognia prześladowały władze pruskie ten odwieczny obrzęd. Już w połowie XIX wieku ubolewał Józef Lompa, że coraz mniej stosów zapala się na polskim Śląsku w noc świętojańską, płoną natomiast niezliczone ognie na wniemczonych wzgórzach Sobótki (Zobten) pod Wrocławiem. W powiecie głupczyckim rozpalano ognie świętojańskie jeszcze w roku 1883. Gdyby doszedł naszych czasów obrzęd Sobótki śląskiej w całej swej okazałości, zgadzał by się zapewne z „Pieśnią o Sobótce“ Kochanowskiego (1575), tak jak Marzanna zgadza się ze starymi opisami. W odniesieniu do Śląska istnieje przekaz jeszcze starszy z r. 1506; humanista Vulturinus opowiada o białoubranych tancecznicach, śpiewających wesołe pieśni w wilię św. Jana, o sypaniu kwiatów na drogę, o zdobieniu domów zielenią. Jeszcze gdzieniegdzie tlą resztki, w Raciborzu chłopaki skacząc przez ogień mówią sobie: im wyżej skoczysz, tym więcej

szczęścia będziesz miał w życiu. Dzień św. Jana przeznaczony jest na zbieranie ziół, które tylko wówczas zerwane zachowują cudowną moc leczniczą. Na wzgórzach św. Anny dotyczy to szczególnie czarnego bzu i rumianku.

Odmianą zwyczaju rzucania wianków wróżebnych na wodę jest rzucanie wianków na drzewo, dość powszechne. Dziewczęta rzucają wianek, uwity z dziewięciorga ziół, stojąc tyłem do pnia drzewa. Jeśli trafi i wianek zawiśnie na gałęzi, panna jeszcze w tym roku wyjdzie za mąż. Jeśli wianek spadnie, należy rzucać dalej, póki się nie trafi, każde pudło znaczy rok czekania.

Żniwa na Śląsku Opolskim to cały cykl obrzędów ludowych, nawiązujących do typu ogólno polskiego. Też same praktyki uroczyste, co na Mazowszu, Podkarpaciu czy na Rusi. Pierwszy kłos i pierwszy snop jest przedmiotem szczególnej uwagi jako wróżba pomyślnego urodzaju, jako talizman czy lekarstwo w chorobie. W powiecie głupczyckim oryginalny obyczaj towarzyszy pierwszemu wozowi, który ze sprzętem zdąża do przybranej w zieleń stodoły. Przez całą drogę, od chwili, gdy na polu położono pierwsze snopy na wóz, należy zachować uroczyste milczenie, czeladź strzeże się, by ani słowa nie wymówić, porozumiewają się tylko na migi. W okolicach Góry św. Anny dziewczęta, pracujące na łanie, czatują z powrósłem w ręku na obcego przechodnia i wiążą go; dotyczy to przede wszystkim gospodarza i jego gości, którzy odpowiednim datkiem wykupują się z niewoli. Ostatni snop przybiera i tu postać ludzką. Nazywają go „staruchą", „babą" lub „kogutem". Przystrojony w spódnicę, fartuch i różne gałgany jedzie uroczyście do stodoły.

Ogólno-polskie dożynki zwane też „okrężnem" i „wieńcem" na Śląsku Opolskim noszą nazwę żniwniaka. Jest to uroczystość ludowa, starannie przygotowana i hucznie obchodzona. Wieniec dożynkowy, zwany często „koroną", przybiera postać rozmaitą, zależnie od tradycyj lokalnych. Korona w okolicach

Drużba weselny z Rozbarku

Drużka weselna z Rozbarku

Ichmościunie z Rozbarku w pełnej paradzie asystują procesji

Rozbarku bywa bardzo okazała, na mocnym rusztowaniu, ozdobiona wszystkimi rodzajami zboża i wstęgami. Raciborski wieniec żniwniakowy jest delikatniejszy, mieni się od kolorowych papierków i wystrzyganych świecidełek, gdzie indziej wplata się doń gałązki mirtu lub czerwonych jagód jarzębiny. Korona, umieszczona na wozie, staje się centralnym punktem malowniczego korowodu po ukończeniu żniw. Otwiera go banderia konna, parobcy w strojach „narodowych" każdej okolicy, dalej wiozą często narzędzia rolnicze i maszyny, niosą tablice z napisami „niech żyje gospodarski stan", „cześć pieśni" itd., w tańcach i śpiewach biorą udział tradycyjne figury z szopki i kuligu w cudacznych maszkaradach: żyd, cygan, szlachcic. Żniwniak na Opolu to nie tylko uroczystość rolnicza. Corocznie po ukończeniu sprzętu staje w tym dniu do przeglądu w każdej wiosce i powiecie cała ludność polska, organizacje rolnicze i spółdzielcze, towarzystwa śpiewackie odbywają swój apel na żniwniaku.

Pożniwną uroczystością bywał dawniej klepacz, święto młodzieży, która wyprosiwszy sobie dzień wolny u rektora szkoły, urządzała huczną zabawę w największej izbie wioski. Prowadził ją skrzypek lub cymbalista, a w każdej wsi jest jakiś stary muzyk do sprawowania tegu urzędu. „Znałem jednego — pisze A. Hytrek w r. 1879 — który przez pół stulecia grywał na klepaczach na swoim cymbale".

Uroczystości weselne nie wykazują znaczniejszych odstępstw od powszechnego u nas obyczaju. Więc komiczne oracje starostów i drużbów (bukiet ze wstęgami u kapelusza zwie się „woniaczką"), którzy zapraszają gości słowami: „nie za nas się to poczęło i nie za nas się to zakończy, tylko się to poczęło z Trójcy św. i ze żebra Adamowego, z tych ludzi, którzy nie usłuchali przykazania bożego".

W okolicy Kluczborka pan młody otrzymuje w domu młodej w podarunku jabłko, serce z piernika, zieloną gałązkę, wianek i chustkę do nosa. Przesądów weselnych jest wiele. Niepomyślną dolę wróży uśmiech oblubienicy przy ołtarzu, a świeca zgasła rychłą jej śmierć, natomiast płacz zamieni się w radość po ślubie. Zamiast pierścionków kładą nowożeńcom na głowę małe wianki z zielonego jedwabiu. W pół drogi po wyjeździe z kościoła woźnica łamie biczysko i staje na drodze oświadczając, że stało się nieszczęście, panna młoda wręcza mu wówczas parę trojaków na nowe biczysko, które on ma już przygotowane, nakłada na nie bicz i jadą do domu.

Przy końcu obiadu zaczyna się krajanie i rozdawanie kołacza weselnego zwanego „wysuszką", przy czym towarzyszy mu śpiew:

Laską w próg uderzono
Już kołacze dają
a przed kołaczami
panienki śpiewają.

Taniec prędki wiodą
i klaszczą rękami
zabawmy oczy tańcem
a uszy pieśniami.

Rzeczą starszego drużby lub starosty jest tak kołacz pokrajać, aby każdemu z gości dostał się jednaki kawałek, kraj i pośrodek kołacza.

Drużba kołacz siecze
aż mu z czoła ciecze

pan drużba kołacz kraje
gościom go rozdaje.

Żniwniok w Wójtowej Wsi w r. 1929

Co roku, w każdym większym ośrodku, odbywa się żniwna parada...

Oczepiny obfitują, jak wszędzie, w przyśpiewki druchniczek z obowiązkowym chmielem na czele, w Olesnie każda z uczestniczek tańczy z zapaloną świecą w ręku. Jeżeli ma być szumne, nie może się „wesołe" obejść bez tradycyjnego tańca, który tak zrósł się z życiem ludu tamtejszego, jak gdzie indziej, polonez, mazur, krakowiak. Jest to obracany. Taniec powolny w takcie trzyćwierciowym, przystojny starszym, jak polonez, a przeplatany śpiewem, jak krakowiak. Para tancerzy staje przed muzyką i prześpiewując zwrotkę zamawia taniec:

Kiedych szoł bez rynek
Siołech majeronek
a kiedych szoł bez wieś
siołech owies.

Owies się zieleni
ma miło się mieni
bo się dziś napiła
winka w sieni.

Orkiestra wpada w ton, rżnie obracanego, potem idą następne zwrotki i pary.

Zachodzi słoneczko na rogu kościoła
Powiedz mi kochanko, czyliż będziesz moja
Powiedz mi kochanko, powiedz mi na razie
Niech moje koniki nie stoją na mrozie.

Miarą rozpowszechnienia obracanego, który dawał ogromne pole do ulubionych na Śląsku improwizacyj, może być ogromna ilość krążących dotąd przyśpiewek, sam taniec bowiem cofa

...organizowana przez „Związek Polaków w Niemczech, Dzielnica I"

Tak wyglądał żniuniok w Bytomiu w r. 1935

się obecnie pod naciskiem modnego obyczaju jazzowego. „Dawniej — pisze J. Gallus, wydawca „Starosty weselnego“ (Bytom 1925) z Rozbarku — to serce się rozradowało, gdy stary gospodarz, ubrany w piękną sukmanę i z czapką na bakier, brał gospodynię, również stósownie do niego w strój narodowy ubraną, pod rękę, a przystanąwszy kazał sobie zagrać muzyce t. zw. „kansek“, a prześpiewawszy strofkę śpiewki stósownej do tańca „po lekkuśku“ i „po maluśku“ puścił się w pląsy z gosposią. Teraz zaś znika powoli i ten zwyczaj, a zamiast obracanego muzyka gra na wesołach jakieś „krajcpolki“ i „margarinenbuttermarsze“; zdaje się, że wszystkiemu winna nowomodna kultura, która wszystko co polskie zalewa na naszym Górnym Śląsku“.

W przeciwieństwie do obracanego kostur i skakany są tańcami młodzieży. Staje w rzędzie 10 dziewcząt naprzeciw 11 chłopców, w środku kładą na ziemi długi kij. Podnosi go jeden z tancerzy i przetańczywszy chwilę w takt waloszka, rzuca kostur, chwytając upatrzoną tanecznicę, gdy reszta idzie za tym przykładem, pozostały jedenasty bez pary musi „brać się do kostura“ w powolnym takcie walca. Dwućwierciowym, do polki podobnym jest skakany, znamy go z opisu u Bonczyka: na wiejskiej majówce, kiedy „muzyka ukryta w lesie nagle zagrała malców faworyta: skakanego. Zagrzmiały tysiączne okrzyki, nogi, serca skakały w takt takiej muzyki, chleby, żymły, kiełbasy tąże poszły drogą“.

Prym nad wszystkimi bierze wszakże najoryginalniejszy ze wszystkich trojak. Osobliwość tej jedynej w swoim rodzaju kreacji polega, jak wiadomo, na tym, że tancerz ma stale dwie tan-

Pogrzeb 5-ga dzieci w Kucobach pod Olesnem. Spaliły się w czasie przelewania eteru przez przemytników w kwietniu 1934

cerki, po prawej i po lewej ręce. Szkoda wielka, że Zofia Stryjeńska nie upamiętniła tej osobliwości regionu śląskiego w swym wspaniałym cyklu tańcom polskim poświęconym!

Zasioli górałe owies. owies
Od końca do końca. Tak jest, tak jest.

Żywość swą zawdzięcza trojak wielkiej rozmaitości tempa. Zrazu „lekkuśki", potem przybiera na sile *crescendo,* by skończyć akcentem powagi, wytchnienia.

Zasiali górale żyto, żyto
od końca do końca wszystko, wszystko.
A mom ci ja mędeliczek, w domu dwa, w domu dwa,
U sąsiada szwarnych dziołch jest gromada, gromada.

Ze swych tanecznych umiejętności Ślązacy nadodrzańscy zdali egzamin już dawno przed królem Zygmuntem Starym, gdy był jeszcze królewiczem i w r. 1502 przejeżdżał przez Wrocław na objęcie swego księstwa głogowskiego. Podejmowano wystawnie umiłowanego Jagiellona, a wśród piszczków z bębnami i organistów z pozytywkami, najbardziej ujął go ludowy taniec w czasie uczty, wydanej przez gościa na cześć księcia lignickiego. Nie tańczyli oni, lecz „krzepczyli" — tak się wówczas mówiło na Śląsku — owóż tym krzepczykom kazał królewicz całego dukata wypłacić, jak notuje księga wydatków.

W uroczystościach pogrzebowych uderza piękny moment pożegnania zmarłego na końcu wsi przez jednego ze starszych gospodarzy, który przeprasza zebranych w imieniu zmarłego za wszystkie winy, jakich się kiedy wobec nich dopuścił, a po pogrzebie symboliczna ceremonia przewrócenia wozu gospodarza kołami do góry.

Z przesądów ciekawszy obyczaj obserwowany tu i ówdzie w czasie zaćmienia słońca lub księżyca: przykrywa się wówczas studnie, „żeby zaraza na wodę nie padła".

Na ogół zaś z obrzędami i zwyczajami Śląska Opolskiego jest tak, jak z całym jego folklorem. Znamy je ledwie w ułomkach. Nie przeprowadzono dotychczas systematycznej pracy zbierackiej, ani studiów porównawczych nad najważniejszymi zjawiskami. Szczególnie bogaty wydaje się dziś jeszcze świat przesądów. Istnieje tu wyrażenie gdzie indziej nieużywane. Nie zabobon, nie przesąd ale: przywiarek. W każdym zabobonie kryje się cząstka zaginionych, zniekształconych wierzeń starodawnych. Wyrażenie śląskie daje podświadomie wyraz temu zapatrywaniu. Przywiarek. Ślązak opolski do dziś wierzy słusznie, że to nic gorszego od powszechnej, oficjalnej wiary.

TROJOK

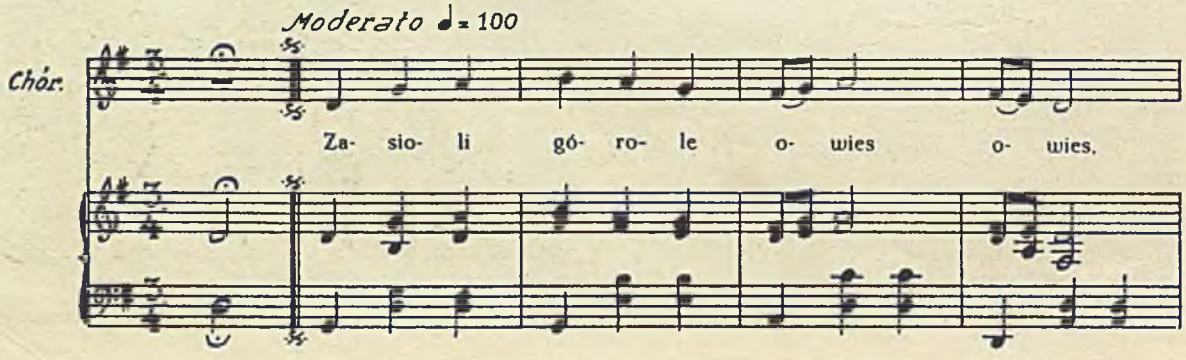

O CZYM PIEŚŃ ŚPIEWA?

Dziołcho, dziołcho, cóż czynisz?
Czy się Boga nie boisz?

Już trzy lata do cię chodza,
A ty o mnie nie stoisz!

Chyba nigdzie indziej w Polsce nie zdarzyło się, by wśród zbieraczy i zapisywaczy pieśni ludowej stanęli przede wszystkim przedstawiciele tej warstwy, która tę pieśń wydała i tworzy. I nie znaleźć też przykładu, by pieśń ludowa w tym stopniu urzekała cudzoziemców: jeden zachwycony fenomenalnym pięknem, oddaje jej wszystkie chwile wolne od pracy zawodowej, drugi swą twórczość na usługi. Od tego ostatniego zacznijmy. Jerzy Filip Telemann, wybitny kompozytor niemiecki, znalazłszy się w XVIII wieku na Śląsku, spotyka na każdym kroku gromady wieśniaków, uprawiających muzykę na kobzach i innych instrumentach, słyszy wieczorne koncerty zespołów wiejskich, podkreśla, że „bogactwo melodyj i rytmów, jakie jeden śląski grajek ludowy wyczaruje ze swego instrumentu w ciągu wieczora, mogło by niejednemu kompozytorowi starczyć do opracowania na całe życie". Za czym pisze „sonaty polskie" na skrzypce i fortepian.

W pół wieku później inny Niemiec, lekarz nadworny jednego z domów magnackich w powiecie raciborskim, doktór Juliusz Roger rozkochał się, jak pisze, w ludzie, który „osiadł na małym piaszczystym polu, wśród wielkich borów, w chałupce słomą pokrytej, gruszami i lipami otoczonej. Na tych piaszczystych polach wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej, tam żyli wieszcze ludowi i skromni kompozytorowie, których imiona dawno przebrzmiały a może i nigdy znane nie były, ale nuty, orzeźwiające duszę i serce, nie zginą, dopóki lud żyć będzie". Osobliwy doktór romantyk, dobrawszy sobie do pomocy K. Schmidta „książęcego kapelmistrza w Rudach", zdołał w czasie swych objazdów zanotować przeszło pięćset pieśni z melodiami, które wydał w r. 1863 w Wrocławiu p. t.: „PIEŚNI LUDU POLSKIEGO W GÓRNYM ŚLĄSKU" (Wrocław H. Skulsch 1863). Marzył w przedmowie, aby ta praca, przez Niemca podjęta, mogła chociaż „w czymkolwiek rozproszyć mgłę, okrywającą lud polski Górnego Śląska i język jego oraz oświetlić jego życie duchowe, które żyje w pieśni niecišnione i nietłumione wpływem świata zewnętrznego".

Jeżeli zgorzkniały i posępny Lompa w Lubszy dostał jeszcze za życia do rąk tom pieśni Rogerowskich — zazdrość zapiekła go pewnie i ból. — On wszakże już przed 20 laty miał materiał zebrany i szukał wydawcy w Krakowie i Poznaniu, nagabywał W. A. Maciejowskiego w Warszawie, daremnie! „Pieśni ludu śląskiego" nikt w Polsce wydać nie chciał. W marcu r. 1844 żalił się Lompa: „W okolicy Dobrodzienia dało by się jeszcze wiele śpiewek uzbierać, alcby mi samemu tam przez niejaki czas być potrzeba. Przez nauczycieli co zyskać jest rzeczą niepodobną. Jedni wymawiają się, że nic mają czasu, drudzy mówią: na co takie błazny spisywać, reszta zaś zazdrości mi zysku, który by ja stąd mieć mogłem". Więcej od nauczycieli zdołali dwaj entuzjaści, jeden „młynarz uczciwy", Piekoszewski w Brzozowicach uzbierał wszelkie pieśni nabożne śpiewane po wsiach i wydał je kilkakrotnie własnym nakładem pt. „Dostateczny śpiewnik kościelny" z nutami (I wyd. Piekary Śląskie 1850, dziesiąte wydanie 1903), drugi nadsztygar Lis, również nakładca zbioru „Magazyn duchowny czyli modlitwa i pieśni dla górników" (Opole 1840). Do pieśni świeckich obaj wydawcy nie kwapili się.

Jakby zawstydzeni, że ich przybysz obcej narodowości wyręcza, wzięli się wreszcie Ślązacy sami do roboty. Na fundamentach, położonych przez Rogera, wznieśli gmach wspaniały, w dwutomowej publikacji Polskiej Akademii Umiejętności zawarty. Na czoło szeregu zbieraczy obok Jana Kupca z Łąki, który u chłopców organistowych podpatrywał tajemnice zapisywania nut, wysuwa się tu maszynista górniczy z Rozbarku pod Bytomiem, Łukasz Wallis. Uświadomiwszy sobie narodowe i artystyczne znaczenie pieśni śląskiej, tak się zapalił maszynista z Rozbarku do poszukiwań, że zorganizował całe biuro zapisywania tekstów, zbieranych gdzie się dało u znajomych po wsiach. Wallis pragnął również sam zapisywać nuty, ale musiał przerwać naukę z powodu śmierci brata, by się nie narazić na zarzut, że lekceważy ża-

W dalekiej od bitego szlaku zagrodzie chowa się chętnie pieśniczka stara

łobę. Muzyczną stroną zajął się więc jego przyjaciel, skrzypek ludowy, Feliks Musialik. W powiecie gliwickim krzątał się przed wojną Teodor Przybyła. Ocalił te wszystkie zbiorki od rozproszenia żarliwy badacz Silesianów, ks. E. Szramek po czym układem całości i naukową klasyfikacją zbioru zajął się uczony również śląskiego pochodzenia, prof. J. S. Bystroń.

Dzięki tym wysiłkom kilku pokoleń można się dziś rozejrzeć w nieprzebranym bogactwie pieśni ludowej na całym obszarze Śląska Opolskiego.

Bogactwo form w dźwięku i słowie, w muzyce i słowach pod nią położonych wprawia zarówno w podziw etnografów jak muzykologów. Talent improwizacyjny i wynalazczość cechuje naszych Ślązaków w wysokim stopniu. Zaznaczają się wyraźne różnice pomiędzy góralami beskidzkimi a Ślązakiem „dólskim"; inny charakter ma pieśń okręgów przemysłowych, inny rolniczych. „Ślązak — pisze F. Sachse — lubi muzykę żywą, dziarską, o rytmach jędrnych i zdrowych. Przepada za humorem, unika zbytecznych roztkliwień, a jeszcze bardziej refleksyj i opisowości... Jest zwolennikiem prostoty. Posługuje się chętnie refleksjami tanecznymi, względnie marszowymi". „W melodiach śląskich — stwierdza znowuż prof. Reiss — przeważa dur nad moll. Nawet w pieśni miłosnej uderza Górnoślązak w ton prostoty bez łezki, żalu czy tęsknoty".

A motywy i teksty? Z pieśnią ludową ma się sprawa na Śląsku tak, jak z językiem, zwyczajami i całym folklorem tej dzielnicy. Sąsiednie ziemie wywarły i tutaj swój wpływ, czyniąc ze skarbca pieśni śląskiej reprezentacyjne niejako zbiorowisko wątków i rodzajów pieśni ogólnopolskiej. Nie brak w nim wpływów czeskich i słowackich oraz niemieckich. Te ostatnie znać

Na Sejmik śpiewactwa polskiego w Bytomiu w 1935 r.

...zjechało zewsząd kilka tysięcy członków, którzy...

...w publicznym pochodzie, pod sztandarem Związku Polaków w Niemczech...

głównie w tempie melodyj trzyćwierciowych. A wszystko wyonacza i piększy ludowy artysta swoim sposobem. Melancholię rozkrusza humorem, smętne refleksje naświetla uśmiechem, ponurą rozpacz wypluwa i precz odrzuca. Bo i on jest zdania, które kiedyś wyrzekł Sabała, że smutkiem samym żyć się nie opłaci.

Rozglądając się po zasobach pieśni, o ile Śląska Opolskiego dotyczy, napotykamy co chwila dobrych znajomych. I to takich najlepszych, którzy szerokim zasięgiem obejmują cały obszar etnograficzny polski. Nie brak prawie żadnego z najbardziej charakterystycznych wątków. Śpiewak ludowy z dorzecza Odry ma często wspólne gusta z jego dalekim pobratymem hen gdzieś ze Sokala nad Bugiem, z Krasnegostawu w Lubelskim, czy z zaścianka szlacheckiego w Wileńszczyźnie. Pieśni tam ulubione zażywają na Opolu jednakiej popularności.

Jest więc ta Kasieńka, co rano nie wstaje i bydełku nie daje, jest ptaszek krogulaszek wysoko latający, Kasia się kąpie w morzu, choć nóżki trzyma we zbożu, dziewczyna wołki gubi w bukowinie i jabłoneczka wyrasta wedle okieneczka. Znajdziemy chyba wszystko, co najbardziej typowe i osłuchane. Więc czerwone goździki i białe tulipany, towarzyszące pytaniu: gdzieżeś ach gdzieżeś Jasiu kochany? i lipka stoi zielona niedaleko jeziorka, a na tej lipce ptaszkowie kawalerowie siedzą. I tenże sam co wszędzie indziej pan rozbija dzban dziewczynie, co poszła po wodę, a miała piękną urodę. Biednej dziewczynie zabierają Jasinka za morze, a mądrzy ludzie, co gwiazdy liczą, nie umieją również Oleśniankom udzielić o nim żadnej wieści. „Ty pójdziesz górą, a ja doliną", jakże by mogło braknąć najpopularniejszego z motywów? Trzeba jednak wiedzieć, że Śląsk dodaje po złotych literach i srebrnych numerach swój własny finał:

Leżą tu ciała, leżą tu ciała
leżą i kości
nie od roboty, nie od roboty
ale z miłości.

Jak wszędzie, tak i w Lasowicach pod Olesnem pod zielonym dębem stoi koń kowany i Kasia się pyta nadobnego Jasia:

Jasiu wiela koszul mosz?
mam jedna koszulka
dała mi mamulka
bedzie se mnie gospodorz.

Białe „łabęty" są częstym ornamentem śląskich stawów, lecz bywa również, że

za stodołą na rzyce
pasie dziołcha kaczyce
I woła je: taś taś
Przyjdź-że Jaśku, przyjdź-że zaś.

Andzia, pasąca pawy między dolinami, zdobywa nie trzech jak zazwyczaj, lecz czterech kawalerów, kuszących ją do wylotu w świat, a pieśń o córusi, która nie wie, czego chce, brzmi w dorzeczu Odry jak następuje:

Cero, cero, cegos ty łod mi chces?
Strzewicki nowe wisą gotowe
Jeno se je wejś

cera zaś odpowiada matce:

Dumna, dumna, dumna ja matka mam
O boć mnie ona nie wyrozumie cego ja żądam.

Albo taka opolska postać pieśni powszechnie znanej:

Łod Opolo czorno rolo, jol ji łoroł nie bada
Boć mi moja kochanka mówiła, że na wojna pojada!

Jedno nie ulega wątpliwości: naszej pieśni ludowej jest bardzo do twarzy w stroju gwary śląskiej. Archaizmami swymi i fonetyką wzmaga ona i udostojnia piękno wieści gminnej. Jakby je patynowała poświatą minionych stuleci.

Inne znamię szczególne. Na ogół polska pieśń ludowa mało trzyma się swoich kątów i rzadko wylicza je po imieniu. Śląska przeciwnie! Sławi chętnie swój region i o nim przyśpiewuje. Dlatego wydaje się, że miasta Śląska Opolskiego są jeszcze swoje, nie obce. O Raciborzu, Opolu, Bytomiu i Rozbarku słyszy się nieustannie. W Raciborzu na ryneczku stoi bronny koń i panna opłakująca

...z hasłem i pieśnią Rodła na ustach...

...manifestowali, że „nie ustaną w walce...

...i wytrwają!..."

Chór męski „Echo“ w Opolu, założony 1930 r.

wygląda z okieneczka. W Raciborzu na moście modry karafioł roście i woda płynie w morza naokoło Raciborza.

W Opolu chociaż „zegary smutnie biją“, tańcują w kamienicy na ryneczku cztery panny z czterema panicami. Inaczej w Rozbarku (przedmieście Bytomia). Przed jego bramą pięknie malowaną dwoje drzewa stoją, jedno kalinowe, jedno jaworowe, a oba zielone. W jednym zaś domie są tam dwie dzieweczki, ale szumne. Na ogół w Rozbarku jest „dość porządnie“, podobnie o Bytomiu pieśń śpiewa, że jest „miastem przekrasnem“ i ma kościół, do którego kochanków przed ołtarz posyła.

A jak wygląda ta ogólnopolska pieśń ludowa, w której Śląsk jest wyraźnie wymieniony, jako ornament tęsknoty, pieśń upamiętniona przez Sienkiewiczowską Danusię w „Krzyżakach“ o dziewczynie, co chciała na skrzydełkach lecieć do Śląska? Oto jedna z licznych jej odmian z Pogorzelca w pow. kozielskim:

Gdybych miała skrzydła jak ta jaskólinka
Poleciałabych ja za miedzę do Śląska
Usiadłabych sobie na warszawskim trakcie
Przyglądałabych się ceglarskiej szlachcie
Ceglarczycy piją, w bilijaty grają
a żony we Śląsku biedy zażywają
O pisze-ć mu ona o paręset złotych
on jej odpisuje, iż nie miał roboty.
Iż nie miał roboty, iż ciężko choruje
on warszawskie panny za kark obejmuje.

W początkowych słowach popularnej pieśni obserwujemy zabawny fakt sublimacji porównania. Pierwotnie musiało być: „jak ta dzika gąska“ dla rymu, snobizm wiejski zmienił pospolitą gęś na jaskólinkę. Pieśń miłosna na Śląsku promieniuje jasnością, wypowiada się

„Gwiazda" w Strzelcach bawi się w karnawale 1933 r.

najchętniej i przeważnie w tonacjach durowych. Bezbrzeżna tęsknota, rozpacz i żal — to stany ducha obce usposobieniu Ślązaka. Nie zna on płaczliwości, unika czułostkowych sentymentów, wyjątkowo chyba sięga do tonacji molowej. Miłość nieodwzajemniona, docisk życia, dola nieznośna — wszystko to nie zdoła przytłumić w nim wrodzonej pogody, nie odbierze optymizmu i zdolności ujmowania życia od weselszej strony. Frant gliwicki zdaje sobie dobrze sprawę z tego:

Tyle mojej wesołości
Kiedy se zaśpiewam
bo gdy mi się powspomina
łzami się oblewam.

„Gdy ja idę do kościoła — wtórzy mu panna spod Opola — tak ja jestem też wesoła, a gdy mrugnę na którego i w tem nic nie widzę złego".

Karczmarzy synek, czy młynarzy synek, czy nawet ubogi pachołek są wymagający, ironiczni, nieufni. Miejskiej dziołchy nie chcą, bo — wiadomo — każda z nich: „włosy czesze na czoło, obraca się wciąż wkoło, od zdrzadła do zdrzadła (= zwierciadła), trzysta grabi zjadła", taka jest dumna. Każdy żąda dla siebie pobłażliwości:

Kiedyś ty wiedziała
Iżech ja pijany
To mogłaś się ty obrócić
Gębusią do ściany.

A oto wesoły dialog, w którym się certolą zakochani:

— A ja ciebie dziołcha nie chca
czarne nogi masz.
— A ja ciebie synku nie chca
bo ty w karty grasz.

— A ja skocza do dunaju
umyja nogi,
a ty przegrasz sto talarów
będziesz ubogi.

Pomaga tej uśmiechniętej filozofii życiowej ton trzyćwierciowy „waloszkowy" (waloszkiem nazywają walca), w którym się najchętniej miłość wypowiada. Jakże wymowna jest budowa pieśni, zaczynającej się sentymentalnie: „Zasnęła kochanka pod lelują, przyszedł kochanek zbudził ją", a zakończonej refrenem: „Tańcujmy wokoło, tańcujmy wesoło dana jeno dana, muzyczko graj". Nawet w przystępie skrajnej rozpaczy miłosnej dziewczyna żądająca by ją mularczyk na złość kochankowi „zamurował w klasztorne ściany" kończy po namyśle: zamuruj, lecz „zostaw mi oczy, żeby one spoglądały, kaj on chodzi w nocy".

Pieśń śląska lubuje się w bogactwie wątków zdobniczych i kosztownej ich oprawie. Heroldem jej jest ten pacholiczek od Dobrodzienia, co to idąc po lipowym moście czesze się perłowym grzebieniem, a z grzebienia złote włosy lecą... Mimo to nie chcą go dziołchy, bo nie ma talarów. I tylko jedna w pow. strzeleckim pod Górą Chełmską rozmiłowała się w pacholiku i tak się ogłasza:

Żadnemu się nie dziwuja
Jeno sama sobie
Czemu ja się zakochała
Ty syneczku, w tobie.

Marzenia innych nie są bynajmniej łatwe do spełnienia. Rade one wyjść za „grzecznego pana", co ma sześć koni w karecie, sześć panien stołowych, dziewięć pokojowych, ponadto żeby były panny „do śpiewania" i chłopcy „do kochania". I wreszcie:

żeby była, żeby była
krakowska muzyka
żeby była, żeby była
piękna polityka.

Wesele wyobraża sobie panna spod Bytomia najpiękniej wówczas, jeśli się odbędzie pod Krakowem, a na uroczystość przyjedzie siedmiu królów z całego świata. Dopiero potem, gdy jej króle usłużą, odda mu wianeczek, przeplatany różą. Przed weselem ani mowy o spełnieniu marzeń natarczywego synka. Choćby goście przyszli „z całej pruskiej ziemi" czeka ich zawsze — „próżny koszyczek ode mnie".

W Dziergowicach w Raciborskiem rozmowa kochanków przybiera taką postać:

Jagech przyszedł pod okienko
Otwórz, otwórz ma kochanko
Ej, otwórz jeszcze jeden raz
Namówimy się zaraz

Kochanka stanowczo odmawia:

A ja ci już nie otworza
Jeno zaprza i założa (=drzwi zaporą)
Ej, ej kochanku idź z Bogiem.

Śpiewacy z Opola przyjechali do Warszawy

Może dlatego tak rozwinął się i wzbogacił na Śląsku znany wszędzie w Polsce wątek ścieżki zarastającej przed kochankiem, który na próżno usiłuje dobrnąć do swej niebogi poprzez olszynę, ziele, ciernie i pokrzywy oraz gadki ludzkie. Co prawda, pawie atakujące odznaczają się na Śląsku większą niż gdzie indziej zuchwałością. Pod Bytomiem np.:

Ten jejej powek
Bardzo rozpieszczony
Potargoł on tej dzieweczce
Fortuszek zielony.

Jeśli się zdarzy, że wianek dziewczyński popłynie z wodą, to ją pocieszają:

Nie płacz, nie płacz, nie lamentuj
nie frasuj się oń
Bo mam ci ja dwóch łabętów
popłyną ci poń
Jeden mówi: nie popłynę
nie umiem płynąć
drugi mówi: ja popłynę
choćbym miał zginąć.
Łabęt płynie, wianek tynie
do samego dna
aleś ty już, ma dzieweczko
wianka niegodna.

I choćby się sznurowała z jedwabiu sznurami, już nie będzie miała szczęścia pomiędzy chłopcami. Gdzie indziej pechowiec jakiś, któremu dziewczyny bronią, próbuje korespondencji:

A jak zacón listy pisać
nocka go nadeszła
i papióru mu zabrakło
świyca mu zagasła.

Dobranoc dobra, Kasieńko nadobna — śpiewa odpalony kawaler i odchodzi w tempie smętnym, ale mimo to nie traci ducha w trzyćwierciowym takcie: mijam twoje ściany, obiecałaś a nie dałaś wianeczek ruciany. Rozbarskie chłopaki radziły sobie w takich razach jeszcze inaczej:

Jak ja ciebie, dziołcho, nie dostanę
Zrobię se ja w mojem sercu ranę
i pójdę do klasztora
Uczyć się za fratora.

Rozmowa matki niedowierzającej z córką to pospolity motyw w pieśni ludowej. Dorotka-niecnotka tłumaczy się, że chodziła do wuja, chowała się za krzakiem, kiedy indziej składa winę na łoskocącego kota, o czym już Papkin w „Zemście" śpiewał. Na Białym Śląsku wykręty dotyczą zajęć wiejskich. Dziewczyna zrosiła się przy „pobabie" lnu, blada jest, bo jadła karpia surowego i wodę mętną piła. Kochanka niewierna od Kluczborka, gdy ją wrócony z drogi dalekiej młodzian pyta o cnotę, wyznaje otwarcie:

Wejrzyj na mnie prawę okię
Jaki mom fartuch szeroki
śmieją się ludzie dokoła
iże jo wionek straciła
przocieli zawstydziła.

Cery szumne i nadobne „jakoby od malerzi malowane" mają zarówno w Strzelcach, jak w Imielnicy czerwone liczka i oczy czarne, a chłopcy radzi do nich chodzić we dnie i w nocy. Wszystkie pamiętają wszakże, że choć „na zielonym dębie listeczek szeleści, nie każdy ten kocha co się ze mną pieści". Opolanki i Gliwiczanki ujmują rzecz jeszcze bardziej stanowczo:

Wyrosła mi biała róża
W ogródeczku na miedzy
Każda głupia ta dziewczyna,
co synkowi wierzy.

Najtrzeźwiej ujmować te sprawy pod kątem ołtarza i dlatego żąda dziewczyna od ukochanego „ogłoski" czyli dania na zapowiedzi:

Palec na twą gębę
palec na twą cnotę
nie będę ci wierzyć
aż będzie ogłoska
aż będzie ogłoska
na opolskiej farze
i ja będę mówić
twemu bratu: szwagrze.

Jest jeszcze jedna, szczególnie cenna grupa pieśni śląskich, a ważna dla folkloru polskiego, zawiera bowiem zanikające gdzie indziej motywy balladowe.

Folklor Śląska Opolskiego (jak i całej tej dzielnicy) obfituje nie tylko w szereg ciekawych reliktów dawnej poezji epicko-baśniowej, ale w wielu wypadkach nawet okazuje się jedynym ich rezerwatem. Znajdą się tu ciekawe wspominki historyczne, na ogół dość rzadkie i wątłe w pieśniach naszego ludu. W powiecie opolskim zapisał Józef Lompa w połowie ubiegłego stulecia ciekawą pieśń o bracie i siostrze w niewoli tureckiej, w której brzmi echo dawnego

pieśniarstwa o jasyrze w Małopolsce i na Rusi. Zaczyna się ona od słów: „Olawo, Olawo, ty nasza dziedzino Dwoje ślicznych dziatek do Turek zajęli". Istnieje również fragment dłuższej pieśni o porwaniu dziewczyny przez Turków z wezwaniem: „Matki co ceruchny macie, Turkowi ich nie dawajcie".

Konfederacja barska, jak wszędzie, tak i tu znalazła odbicie w pieśni ludowej, a nadto w bardzo ciekawym wariancie pieśni kościelnej, przerobionej z bojowego hymnu konfederatów roku 1769. W jednym ze starych śpiewników pątniczych, składających się z kilkunastu czarnych już od ciągłego używania ulotek, znalazłem druczek pt.: PIEŚŃ NOWA O KALWARII, z końca XVIII lub początku XIX stulecia. Jest to transpozycja znanej szeroko pieśni konfederatów: „Marsz marsz me serce w pobudkę biją, Strzelaj mordercę, a chwal Maryją". Dzięki zręcznej adaptacji hymn Barzan mógł służyć pątnikom z Opola, wędrującym do swych kalwaryj na Chełmskiej i Jasnej Górze. Oto jego początek:

Marsz marsz me serce na Kalwaryją
Tam jest twój kwater, tam grzeszni żyją
W trzecim upadku Generał leży
Kto chce pomocy niech k'niemu bieży

Marsz marsz czym prędzej już larum biją
Schodźcie się zewsząd na Kalwaryją
Z dołu do góry iść nam potrzeba
Tam nam pokażą drogę do nieba!

Dalszą ciekawą grupę stanowią pieśni balladowe, o wątkach oryginalnych gdzie indziej w pieśni naszej nie spotykanych. Należy tu pieśń śląska o dziewczynie, co pojechała na grób kochanka; zaswojona w Bytomskiem i Gliwickiem. Kasia, mając wyjść za Jasia, napisała pisemeczko do niego, odpisano jej wszakże, że Jaś już od roku nie żyje. Jedzie tedy dziewczyna na grób:

Wstawaj Jaśku wstawaj
Będziemy ślub brali
— Koszuleczka na mnie zgniła
A ciało zbuczniało.

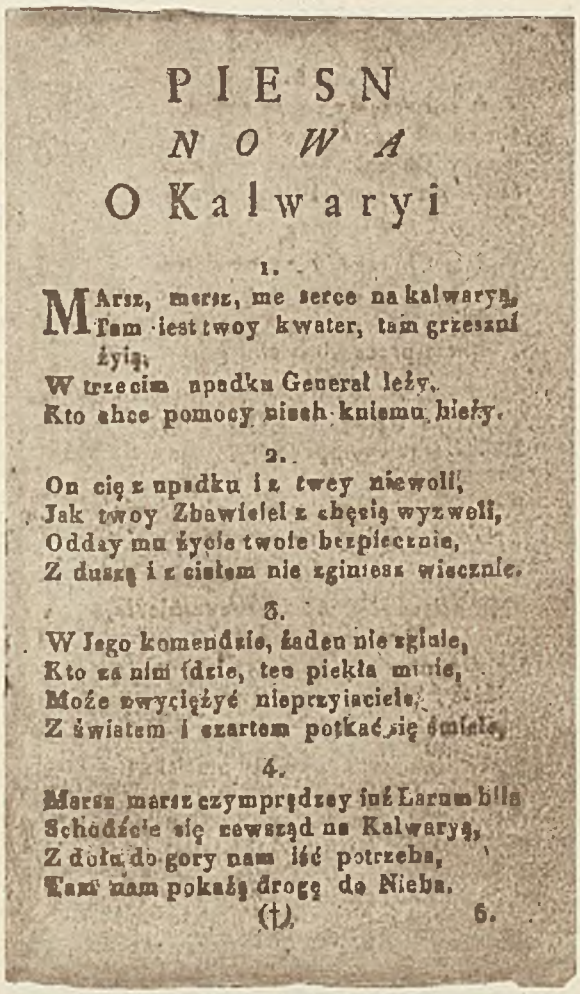

PIESN
NOWA
O Kalwaryi

1.

MArsz, mersz, me serce na kalwaryą,
Tam iest twoy kwater, tam grzeszni żyią,
W trzecim upadku Generał leży,
Kto chce pomocy niech k'niemu bieży.

2.

On cię z upadku i z twey niewoli,
Jak twoy Zbawiciel z chęcią wyzwoli,
Odday mu życie twoie bezpiecznie,
Z duszą i z ciałem nie zginiesz wiecznie.

3.

W Jego komendzie, żaden nie zginie,
Kto za nim idzie, ten piekła minie,
Może zwyciężyć nieprzyiaciele,
Z światem i czartem potkać się śmiele,

4.

Marsz marsz czym prędzey iuż Larum biią
Schodźcie się zewsząd na Kalwaryą,
Z dołu do gory nam iść potrzeba,
Tam nam pokażą drogę do Nieba.

(†) 6.

Udeptaną od wieków drogą zdąża „pąć" z powiatu strzeleckiego na Jasną Górę

Pożegnanie wojańskie.
(Z gliwickiego).
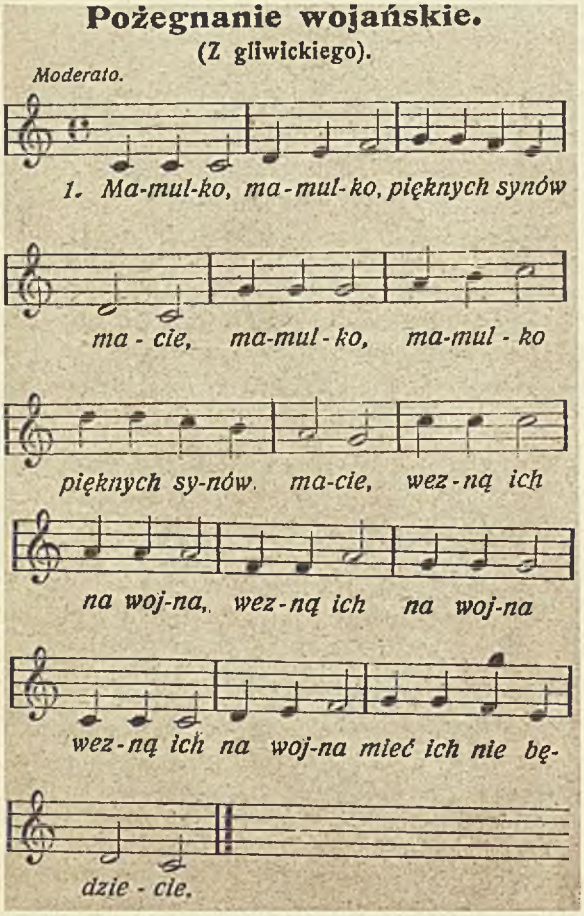
Zbieracz pieśni Teodor Przybyła

Tu należą wątki pieśniowe o kochanku, co umiera jadąc do dziewczyny, o niewiernej kochance z dzieckiem, obie zapisane w Rozbarku, oraz ballada o trzech córkach, z których skrzywdzona najbardziej ratuje ojca z nędzy (motyw „króla Leara").

Niedawno pojawiła się efektowna hipoteza (Eugeniusza Kucharskiego), że słynna pieśń o „pani co zabiła pana" nie skądinąd, lecz ze Śląska jest rodem, stanowi szczęt jego dworskiej poezji z wczesnego średniowiecza i że stąd dopiero rozpoczęła wędrówkę po całym obszarze mowy polskiej.

Średniowiecza sięga również motyw antychrysta, zachowany w pieśni śląskiej odpustowej, drukowanej wielokrotnie w ulotkach pt. „PIEŚŃ NOWA O SĄDZIE PAŃSKIM", którą idąc na pąć na Jasną Górę nucili i nucą chyba jeszcze Opolanie. Zaczyna się od słów:

Posłuchajcie, proszę pilnie
Jak nieba płaczą nad nami
Słońce, księżyc i z gwiazdami
Płacząc, litują się nad nami.

Mamy w niej dalej znane motywy składowe podania o antychryście: małpowanie Chrystusa przez półczwarta roku, piec ognisty, dwóch proroków, krew ognistą, która pałace i zamki obali. Skąd asumpt do wezwania do pokuty i prośba do Madonny: „Uproś pokój, panom zgodę, duszom w czyśćcu daj ochłodę".

Ostatnia pieśń wreszcie, szczycąca się średniowieczną parantelą, to żywa do dziś i bardzo popularna pieśń o sercu na klucz zamkniętym. Motyw jej sięga co najmniej czasów, gdy pan Wernher von Tegernsee tak swą miłość wyznawał: *Ich bin din, du bist min*, jam twoja, tyś mój, zamknięty jesteś w mym sercu, klucz zaginął, na wieki więc w nim pozostaniesz. Powtórzy się to później w znanym parolu szlacheckim: „Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze", w pieśni miłosnej śląskiej zaś znajdzie swój dobitny i piękny wyraz:

Nadeszedł mnie frasuneczek
Odeszedł mnie kochaneczek
Odeszedł mnie bardzo preczka
Wziął mi kluczyk od serdeczka.
Wziął od mego i od swego
I od wianka zielonego.

Z dotychczasowych badań nad tematyką naszej pieśni ludowej wynika, że motyw serca na klucz zamkniętego nigdzie się poza Śląskiem nie przejawia.

A teraz strona muzyczna pieśni znad Odry. Posłuchajmy opinii znakomitego pieśniarza Stanisława Niewiadomskiego: „Często spotykamy tu pomysły, wspólne wszystkim stronom, lub takty i rytmy po całej Polsce rozsiane. Wyraźnych wpływów obcych niewiele, na jakie trzysta melodyj zaledwie jedna ma rytm wąlca. Wpływów czeskich i morawskich dopatrzeć by można nieco więcej, węgierskich nie ma wcale. Charakter ogólny jest jasny, melodyj minorowych znacznie mniej niż w Małopolsce. Ślady tonacyj kościelnych są niewielkie, przeważa najwyraźniej tonalny typ 18-go stulecia z wielkim trójgłosem i akordem septymowym, dominantowym na czele. Spoczywa na nich wszystkich niby jakieś odbicie materialnego dostatku: są pełne gospodarskiego ładu, mniej romantyczne niż te ze wschodu, ale swój polski z gruntu charakter zatrzymały i mogą się nim każdej chwili wykazać, gdyby — do plebiscytu stanęły".

Melodie śląskie przedstawiają również wielką wartość zabytkową. Ustalenie ich archaicznej odrębności wymaga jeszcze badań naukowych. Po wyodrębnieniu krzyżujących się wpływów czeskich i niemieckich uda się ustalić na Śląsku elementy tej „prapieśni — jak pisze prof. Reiss — która wśród cichych pól i lasów znalazła schronienie, nieskażona nalotem obcych wpływów".

Śląsk przyodrzański może być więc strasznie dumny ze swej pieśni. Nie tylko przechował w niej odwieczne zanikłe w głębi ziem polskich tradycje, nie tylko przejął i ubarwił wątki bliźniacze, ale umiał wnieść również swoje własne, mocne i jasne wartości twórcze.

Na koniec jeszcze zapamiętać należy: Ze Śląska wywodził się twórca „Żydówki" Halevy, którego rodzina mieszkała w Głogowie — na Śląsku na dworze magnackim spędził młode lata głośny twórca oper romantycznych Weber, na Śląsku wreszcie, jako syn fabrykanta instrumentów muzycznych w Grotkowie opolskim, urodził się „pierwszy" wedle słów Moniuszki „założyciel muzyki krajowej polskiej", ten, który przez lat 60 w Warszawie nad jej krzewieniem pracował, ten, który był jedynym, najukochańszym nauczycielem Chopina — Józef Elsner.

Czego chcieć więcej od muzykalności ziemi śląskiej?

Pątnicy odpoczywają u celu pielgrzymki

REZERWAT POLSZCZYZNY

To Gębalino! Pado izech coś padała
Alech jo nie padała! Bo cózbych padała?

Izech ji coś padała, kiedych nie padała,
Jenoch ji przyganiała, bo łona padała!
(Bonczyk. Góra Chełmska, III)

Ma Śląsk rolniczy, Opolski, opinię sędziwego matecznika polszczyzny, jakiegoś rezerwatu, w którym do dziś przechowuje się język prastary z epoki chrobrych czasów. Zachwytowi z tego powodu dawali wyraz wszyscy, którzy na przełomie 18 i 19 wieku zetknęli się z ludem tamtejszym. Więc kiedy po minionej epoce kredytowanych zachwytów romantyzmu zaczęto myśleć o tym, aby wiedzę o Polsce pogłębić, Śląsk stał się pierwszy terenem naukowych badań lingwistycznych. Tu skierował pierwsze kroki twórca dialektologii polskiej Ł. Malinowski, zbadawszy i opisawszy dokładnie najważniejsze silesiana w latach siedemdziesiątych, a w pół wieku później lingwistyka nasza rozbudowała tę pracę. Na Mazowszu czy na Kaszubach czujemy się w obrębie jednej zwartej gwary ludowej, która silnie odbiega od obyczajów mowy literackiej.

Na Śląsku inaczej.

Badania lingwistyczne wykazały, że Śląsk cały, a tym samym i Opolski, nie ma szczególnie odrębnej twarzy własnej pod tym względem jak Pomorze kaszubskie czy Mazowsze tj. nie wykazuje jakichś szczególnie znamionujących go właściwości językowych. Natomiast jako prowincja graniczna, stykająca się z trzema rozmaitymi rodzajami gwar polskich, oraz z terytorium językowym czeskim, ulega ich wpływom. Nie jest więc zamkniętym dla siebie obszarem, ale jakby reprezentacją, w której do głosu przychodzą różne istotne znamiona mowy polskiej.

Widać to najlepiej ze stosunku mowy śląskiej do tego szczególnego zjawiska językowego, które nazywamy mazurzeniem. Jedne gwary polskie ulegają mu, inne zachowują się opornie (Wielkopolska). Śląsk mazurzy na północy, nie zna zaś tej cechy na południu.

W Raciborzu, w Strzelcach, w Koźlu aż po samo Opole powiedzą wszędzie: żaba, żelazo, żyto, natomiast poza tą granicą (którą można wykreślić bardzo dokładnie wieś za wsią), w Kluczborskiem, w Olesnie mazurzą:

Gospoda w Bierdzanach na szlaku Olesno—Opole

Stary kościółek wiejski na emeryturze w mieście

Camping w lesie pod Opolem

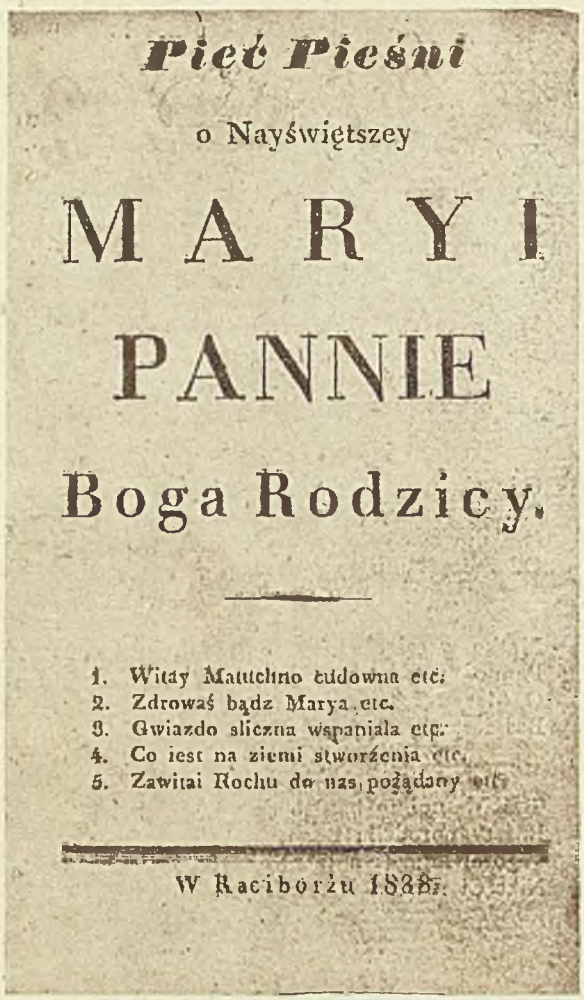

Pięć Pieśni

o Nayświętszey

MARYI

PANNIE

Boga Rodzicy.

1. Witay Matuchno cudowna etc.
2. Zdrowaś bądz Marya etc.
3. Gwiazdo sliczna wspaniała etc.
4. Co iest na ziemi stworzenia etc.
5. Zawitai Rochu do nas pożądany etc.

W Raciborżu 1888.

zaba, zelazo, zyto. Powinno by być raczej na odwrót. Nic by dziwnego nie było, gdyby mazurowały okolice, sąsiadujące z mazurzącą Małopolską, a tymczasem mazurzą powiaty północne, bliższe Wielkopolsce. Ten szczególny pojaw tłumaczy nauka jako pozostałość owych odległych czasów, gdy w zachodniej Słowiańszczyźnie wyodrębniały się dopiero plemiona czeskie i polskie.

Drugą cechą, rozgraniczającą wyraźnie dialekty polskie, jest zasada udźwięczniania niektórych spółgłosek, tzw. fonetyka udźwięczniająca międzywyrazowa. Tu Śląsk idzie w jednym rzędzie z Wielko- i Małopolską przeciw Mazowszu. Śląski chło*b* mierzy pa*z* ładny, gdy warszawski chło*p* mierzy pa*s* ładny.

A cóż mówi „geografia wyrazów“, nauka śledząca jakie zespoły wyrazów istnieją na obszarze języka i w jakich grupach po nim krążą? Dochodzi i ona do wniosku, że trudno mówić o istnieniu jednolitej, równie zwartej grupy śląskiej, jak to się dzieje na Pomorzu, czy na Mazowszu. Na Śląsku występują dwa wyraźnie odrębne zespoły: jeden powinowaty z grupą wielkopolską, kujawską czy mazowiecką, drugi nawiązujący do grupy małopolskiej. Zbadano więc np. że terminologię budowlaną ludową ma Śląsk wspólną z obyczajem mało- i wielkopolskim, i równie, jak tam, używa wyrazów przycieś, bant, kalenica, w przeciwieństwie do Mazowsza, które te same części chałupy nazywa: podwalina, jętka, strop. Słabą jednolitość wewnętrzną narzecza śląskiego objaśnia znany antropolog J. Czekanowski historycznymi warunkami rozwoju szczepu śląskiego: „Ślązanie, rozpadający się w okresie wczesno-historycznym na szereg drobniejszych szczepików, jak np. Dziadoszanie

Śląski talerz weselny z r. 1872 z wytwórni gliwickiej (Muzeum Śląskie w Katowicach). Na talerzu napis:

„Co się znaydzie w tym Wianku dla ciebie Marianko ius was zaden nierosłący jeno Pan Bóg Wszechmogący, na pamiątkę Wesela tego, które się stało. Maia 13, ato iesce dla ciebie Bernata Mnicha bo łon Mieysce utrzimuie, choć i Oyca niema i toiesce, dla Małzonki jego bo łon będzie gospodarzem, as dosmierci iego. Roku Pańskiego 1872“

Od Markowic, od Dobrodzienia, od Głogówka, od Kędzierzyna

między dolną Odrą i Bobrą, Bobrzanie nad górną Bobrą, Ślązanie właściwi nad średnią Odrą na Śląsku Średnim i Opolanie na Śląsku Górnym, nie osiągnęli widocznie nigdy wyższego stopnia wewnętrznej konsolidacji etnicznej". Nie stanowiąc i później zwartej jedności politycznej, nie mieli wprost sposobności do wytworzenia jednolitego zespołu gwarowego.

W zasadzie północna część Śląska Opolskiego przejęła cechy właściwe mowie ludu wielkopolskiego, gdy południowa zbliża się ku gwarom małopolskim. Na południu jest więcej urozmaicenia i różnic lokalnych, niż na północy. „Po lewej stronie Odry każda prawie wieś mówi inaczej" — stwierdza prof. Nitsch, który już w roku 1908 zdeptał osobiście te okolice i z notatnikiem w ręku przesłuchał mieszkańców.

Polacy Śląska niemieckiego zdają sobie doskonale sprawę z tej niejednolitości i nie tylko nie pragną zjednoczenia swych pogwarków, ale z dumą pewną podkreślają różnice w wymowie czy wyrazownictwie, które ich czasami tak cieszą, jak odrębności w stroju ludowym. Objaśnią tedy gościowi ze „Starej Polski" jak to się u nich rozgwarza po wioskach rozmaicie: „jo ci kans przajam" powiedzą w Strzelcach, „jo ci feste przajam" usłyszysz w Raciborzu, co razem wyjdzie na jedno: bardzo ci sprzyjam. Kans, kąsek czasu to w ogóle ulubiony parol na całym Opolu. Różnolitość dialektów sprawiła, że nie przyszło nigdy do stworzenia literatury gwarowej, jaką mają np. Kaszubi. A przemyśliwał nad tym niejeden z pisarzy Śląska, ks. Stabik między innymi. Zamiarom tym przeciwili się z jednej strony sami Ślązacy, domagający się polszczyzny literackiej takiej, jaka jest w książkach z Częstochowy przynoszonych, ponadto trudność zasadnicza: którą gwarę wybrać, jak pogodzić północ z południem i nikomu nie ubliżyć? Różnice te, istotne dla tubylców a uchwytne dla ucha wyszkolonego lingwisty, nam nic tylko nie wadzą, ale piększą jeszcze i urozmaicają odwieczny skarbiec mowy, jaki trwa w gwarach śląskich.

Zobaczymy na dwóch przykładach. Najpierw początek bajki o siedmiu synach w kruki zamienionych, zapisanej dosłownie w górnej Ligocie pod Kluczborkiem:

Opolanie u siebie w domu na zebraniu „Rolnika" w Strzelcach

„Byua jedna matka, miaua siedmiu synów i pośli do skouy; ona piekua chlib i prosiuy te dzieci zeby i te placki popiekua, a ona na prendce przepomniaua ta rzec; i przysuy te dzieci z tej skouy i mówiuy tej matce svojej o te placki, a ona móviua: „ja do fondamantu zapomniaua"; i ona sie bardzo rozgnievaua nad tem: „Bodajbyście sie krukoma stali". Tak sie rychtych vypouniuo".

A teraz przenieśmy się na drugi kraniec, z północy na południe Śląska Opolskiego, gdzieś pod Rudę czy Nędzę w Raciborskiem i posłuchajmy początku legendy, zapisanej przez Jana Paszendę, o tym, jak św. Franciszek głupiego do śmiechu zmusił: „W mieście w kierem żół swięty Franciszek, żół też jeden człowiek, co miał pomylone w łebie. Ludzi go gupim nazywali. Ten gupi dycko som jeden łaziół po łąkach, po polach i lasach. Jak łoboczoł kaj jakiego człowieka, tak broł nogi na ramia i uciekoł aż sie kurzyło za nim. A dycki cosik tam czwandrosiół pod nosem, czego żoden nie rozumioł. Łaziół dycki smutny. Łoczy mioł kiej ta mgła, co to wisi kajś tam nad stawem" itd.

Nie będziemy tu omawiali szczegółowo cech gwarowych, spotykanych na Śląsku, zwrócimy raczej uwagę na jedną tylko właściwość, łatwiej wpadającą w ucho nieobeznanego z lingwistyką laika. Jest nią archaiczna resztka dawnego aorystu — *ch*. A więc robiłech, mówiłech, chodziłech — dzisiejszemu: robiłem, mówiłem, chodziłem. Archaizm ten wspólny wielu narzeczom polskim, spotkamy zarówno na najdalszej północy obszaru językowego, w Warmii, jak na małopolskim podgórzu. Więc gdy Ślązak za granicą niemiecką zacznie mówić: kiebych to wiczioł... może góral podhalański zdania dokończyć: tobyk poseł. Obok szeregu znamion fonetycznych, które istniały w staropolszczyźnie literackiej a żyją do dziś w mowie śląskiej — czaruje nas w tym kraju samo słownictwo, ten dobór wyrazów niestatranych, niewyużywanych a pełnych mocnej pierwotności. Zdarzy się dziś wyrażenie, tak przedziwnie zastosowane, że stajemy zdumieni zmianą znaczenia, które jakby cofnęło całą rzeczywistość dzisiejszą o długie wieki wstecz.

Taki chociażby czasownik do cna spospoliciały: działać. Dziecko z pod Bytomia zapytane przez nauczyciela w szkole wiejskiej czemu nie nauczyło się lekcji — odpowie: „panie rechtór nasi działali". I nie potrzeba objaśniać na Śląsku co to znaczy, wszyscy wiedzą: nasi robili masło. Bo tutaj, od wieków po dziś dzień „działanie" nie ma żadnego innego znaczenia tylko takie ściśle gospodarskie. Z humorem też opowiadał mi jeden ze społeczników Śląska Opolskiego, że jeśli go jaki przybysz nazwie na wiecu działaczem, dyskusjanci biorą go zaraz na języki. Kompromitacja zupełna. Politykowi przecie działać nie uchodzi, babom tylko. Archaizm ten, w innych gwarach ludowych dotąd nie notowany, reprezentuje dobrze odrębność wyrazownictwa śląskiego. Pokrewną mu i równie osobliwą jest starość. Przysłowie „starość nie radość" wśród Opolan i Raciborzan ma zgoła inny sens, znaczy bowiem: kłopot nie radość, co się też zgadza z ich tężyzną, która niełatwo dopuści, by wiek sędziwy stał się kłopotem. Mam starość materialną = mam kłopoty pieniężne. Albo żymła, bułka zaswojona w całej Polsce od 15 wieku, przez Mikołaja Reja indygenatem obdarzona. W literackim języku dawno o niej słuch zaginął, na Śląsku picką ją dalej. I do almerii (= szafy staropolskiej) chowają. Prześcieradło nie zmieniło nazwy od średniowiecza, nazywa się „łoktuszą". Dyszel = ojc, prasłowo zatracone w reszcie Polski już w 16 wieku. Albo taki cynamon, czyż nie ładniej go wołać polskim mianem „skórzyca"? A wszędzie przedziwna prostota w doborze określeń. Klękanie to Anioł Pański, sypanie to śpichlerz. Mieszkaniec przybrzegów Odry rządzi po polsku i po niemiecku, t. zn. mówi jednym i drugim językiem.

Wymieńmy teraz nieco swoistych określeń z bieżącego życia towarzyskiego i rodzinnego: „staruszek" i „staruszka" to ojcowie rodziców dziadek i babka, prastarość, która zapewne była w użyciu w całej polszczyźnie. Młoda,

W powiecie bytomskim

W powiecie dobrodzieńskim

„Prędzej się rozłączą drobne rybki z wodą,
Niżeli ja się rozłączę, kochaneczku z Tobą“

ładna dzioucha zwie się pieszczotliwie kocik lub kręcik, zanim tysiąc niedziel przeminie (± 20 lat) powinna wyjść za mąż. Chyba że niebardzo szykowna, nazywa się wówczas papuć, a jeśli całkiem bez uroku to papuć wyszpocony. W powiecie strzeleckim tylko dzieciatej niewieście przystoi miano kobiety, bezdzietną piętnują obowiązkowo przezwiskiem baba, choćby najmłodsza była. Panna, o której źle mówią lub której przydarzyło się dziecko, zowie się tu, podobnie jak w innych gwarach, zawitką. I jest przedmiotem wzgardy na obyczajnej wsi opolskiej. „Śmierdzirobotka“ to znów taki, któremu swoja, obowiązkowa robota śmierdzi, wolał by coś innego, łatwiejszego. „Papidudą“ nazywają gospodarza, co mu baba rozkazuje.

Przezwisk soczystych i obelżywych ale w miarę nie brak. Strupica, motyka zaklęta, chrómski pysk — to niektóre z nich. Albo i jeszcze wymyślniejsze: ty minerwo, ty francuska bryfmarko. Pogoda przeziera z takich słów jak chlebuś „to ten co żyje z drugich ludzi potu“, jak komornik nazywany — sekutnikiem. Mamiduch wołają człowieka spokojnego, pobożnego. A grabarz nazywa się: kopidół. I rdzennie i dosadnie. Dorastający parobek zowie się pachołek, otrok lub po prostu golec, dziewczyna uganiająca się za chłopcami to chłapcorka. Rozważcie se to.

Wrażenie archaiczności języka śląskiego potęguje się jeszcze wskutek wielu widocznych wpływów czeszczyzny. Przypomina się nam podświadomie dzieciństwo naszego języka, Bogurodzica, początki literatury i ów czas pradawny, kiedy język czeski pod względem wyrobienia, elegancji i bogactwa wyrazów stał wyżej od polskiego. A Ślązak mając od wieków sąsiada czeskiego, a potem żyjąc długo pod czeską administracją nie miał czasu zatracić tych różnych cech wspólnych, od których wyosobniła się Polska, stworzywszy własną literaturę. W starych dokumentach znajdzie dość wyrażeń czasem dosłownie z czeskiego języka przejętych. W akcie fundacyj-

nym np. kościoła św. Rocha w Olesnie z r. 1711 występują burmistrz i rada „upelnej obce“ (= pełnej gminy) miasta Olesna. A do dziś w żywej mowie przetrwało wpływów czeskich wiele. Wykazuje je zarówno głosownia (hruby = gruby, kohót = kogut) jak wyrazownictwo. Córka nazywa się cerą, droga = cesta, młot = klaziwo, zboże = obiel, zrzadło = zwierciadło, przyjaciel = przociel itd. Tak widocznych wpływów czeskiego nie znajdziemy w żadnej innej gwarze polskiej.

Wpływ czeski wyda się większy niż gdzie indziej, natomiast wpływ niemiecki jest stosunkowo nieznaczny, mniejszy częstokroć niż w innych dzielnicach, które przez wiek XIX podlegały politycznym wpływom niemieckim i przeszły ich twardą szkołę. Stwierdziły to również badania naukowe. Im dalej na południe wzdłuż granicy językowej polsko-niemieckiej, tym bardziej słabnie wpływ niemiecki, gdy na północy jest bardzo silny i wkracza nawet w nazwy domowe i gospodarcze. Mazurzy pruscy „draszują“ (od dreschen) zamiast „młócić“, sosnę nazywają „danną“ (= Tanne), żłób „krypą“ itd. Prof. Nitsch zwraca uwagę, że w północnej części Kongresówki, na Kurpiach np., inwazja niemczyzny w słownictwie wsi jest nawet większa, niż w rolniczych okręgach śląskich nad Odrą. Istotnie to ciekawe: gdy kurpik z puszczy myszynieckiej odczuwa jakieś zmartwienie powie, że ma „zorgę“, natomiast raciborski czy kozielski siedlak błyśnie w tym wypadku, jak słyszeliśmy, terminem świetnie staropolskim.

W całym szeregu nazw rolniczych i domowych stwierdzimy słabą stosunkowo infiltrację niemczyzny. Panoszy się ona natomiast wszędzie tam, gdzie dociera wpływ szkoły i administracji. Przykładem zaśmiecania polszczyzny przez te wpływy mogą być takie dziwolągi: *chciołech ci wczora napisać postkarta, alech nie mioł ani blajsztyfta, ani federhaltru, ani dinty.*

Piętnują to sami Opolanie w swych czasopismach. Władając na równi językiem państwo-

W Bytomiu 1936

„Przed bytomską bramą, pjyknie malowaną...“

Brama zagrodowa w Bytomiu z r. 1907

wym, jak i swoim narodowym, czują, jak duże niebezpieczeństwo wynika z tej symbiozy i jak łatwo o przenikanie obcych wpływów. Bo działa tu nie tylko szkoła i urząd, ale w wyższym jeszcze stopniu — snobizm, który tak często ośmiela mniej uświadomionych do ciężkich grzechów przeciw czystości języka. Obok germanizmów semantycznych, mniej groźnych, bo wchłoniętych niejako na surowo, są inne, nieznośne i obrzydłe, bo przeciwiące się duchowi i duktowi polszczyzny. Zdarzają się pożyczki teutońskie wchłonięte w składnię i tak zmyślnie doformowane, że je czasem trudno i dostrzec: Gdy Raciborzanin ci powie, że ma majętność wielką 150 tysięcy twardych „we warcie“ — nie łatwo dojdziesz, że to po prostu niemiecka Wert. Opolanie strofują się wzajemnie taką przestrogą: „nie gebrauchuj tela niemieckich ausdrucków“. I uśmiechają się melancholijnie, bo już z tego zdania ironicznego widać, jak trudna jest walka z niedbalstwem. A niedbalstwo owo sprawia, że w opinii niemieckiej wciąż pokutuje jeszcze wyobrażenie o śląskich „wasserpolakach“, używających języka, „który nie może być uważany ani za dialekt niemiecki, ani za polski lecz za osobliwą mieszaninę obydwu“.

Ten liczman obiegowy, powtarzany stale w literaturze propagandowej ostatnio w obszernym ustępie książki P. Fischera „Erlebtes Grenzland Schlesien“, ma również prawo obywatelstwa w podręcznikach dla młodzieży szkół powszechnych przeznaczonych. Oto czytana i używana w pow. oleskim „Heimatskunde des Kreises Rosenberg O. S. Heraugegeben von Rektor Wonschik und Schulrat Dwucet“. Autorzy ustalają również zasady owej gwary wasserpolskiej. Warto je zacytować dosłownie (str. 33):

1. Wir finden Wörter und Bezeichnungen darin, die den deutschen vollständig gleich sind, wie Dach = dach, Schrank = szrank (hier hat sich nur das Wortbild geändert), Vorhang = vorhang, Besuch = besuch, Bahnhof = bahnhof usw.

2. Ist das „e“ am Ende eines deutschen Wortes in „a“ umgewandelt oder ein „a“ ist angehängt worden, z. B. Suppe = zupa, Watte = wata, Binde = binda, Flasche = flaszka, Schwein = swina usw.

3. Ein oder mehr Buchstaben sind im deutschen Worte geändert worden: Pflug = plug, Zucker = cukier, Rinne = rynna, Kirmes = kiermasz.

4. Die Tätigkeitswörter haben an das deutsche Stammwort ein „ować“ angehängt: stricken = strikować, bügeln = büglować, putzen = putzować, malen = malować usw.

5. Bei vielen Wörtern ist der Stamm nicht mehr zu erkennen. Es mag ein altes Deutsch sein, das in der sprachlichen Entwickelung zurückgeblieben ist.

Szkoda, że pp. Wonschik i Dwucet tak skromny użytek uczynili z tej znakomicie uproszczonej metody porównawczej. Można wszakże na zasadzie takiej samej ilości przykładów udowodnić, że nie tylko gwara śląska, ale cały język polski jest jedną z gałęzi mowy niemieckiej, lub, jeśli kto woli, że język niemiecki to tylko zepsuta mieszanina gwary polskiej i śląskiej.

Zaznaczyć trzeba wszakże, że zasady gramatyki „wasserpolskiej“ ułożone powyżej w 5 paragrafów nie są tak zupełnie wyssane z palca. Język taki spreparowany specjalnie przez administrację niemiecką w ciągu XIX wieku istniał, ale nie zdołał mimo nacisków wyjść poza zielone biurko. Dokładano starań rozmaitych, drogą również literatury pięknej. Tu należy kuriozum: „Ten Kampf z tem drachem od Szillera zmyślony a na polskie od Nachbaru übersecowany“, albo „Ten Richter Toggenburg strasznie smutno bojka od Schillera, tak na spas übersecowana przez dr. H.“ Dr. Haase, autor tych parodyj, niestety, nie miał zbyt wiele pomysłowości i poczucia humoru, więc wytwory jego muszą pozostać gdzieś na szarym końcu polskiej literatury parodystycznej. Intencje i wartości przekładów były kilkakrotnie ocenione i przypominane (St. Karwowski, Gustaw Morcinek), ale w grunt śląskiej mowy, rzecz prosta, nie weszły.

40-lecie Banku Ludowego w Bytomiu, najstarszej spółdzielni polskiej w Niemczech

— *Moiściewy! jak to te Niemce mowam polskom przekażają szpotawie.*
— *Jakże to?*
— *Ano: chlebiczek jak słuńce a oni padają BRUD, Panbóczek na niebie to je u nich GOD.*

Stara, złożona z druków ulotnych książka o dużych literach. Spracowana bardzo, i tym staranniej przechowywana. Czasami jedyna poza gazetą książka jaką przechowuje się w chałupie wiejskiej. To śpiewnik pątniczy, zbiorek najrozmaitszych, ulubionych pieśni odpustowych, z nim pod pachą idzie się na „pąć", na Górę św. Anny, do Piekar lub Częstochów.

Każdy taki śpiewnik pątniczy to strażnik czystości języka i spowiednik błędów przeciw niej popełnianych, to jeden z ważnych sprawdzianów, które ostrzegają przed poddaniem się obcemu naciskowi i bronią mowę żywą od zaguby.

Dziwne ogarnia wrażenie, kiedy się przyjrzeć tym sędziwym towarzyszom pątników, które w niejednym domostwie napotkasz. Są to druki przeważnie z pierwszej połowy XIX wieku, tłoczone w Raciborzu lub Opolu, a, nam wydaje się, jakbyśmy cofnęli się gdzieś w epokę złotego wieku, przechowały bowiem formę i treść taką, jak w reszcie Polski była przed wielu set laty. Żyją i trwają, są użyteczne i nikogo nie rażą, mimo że naiwne, niehebłowane, pierwotne słownictwo i rymy pozostały takimi, jak były w dzieciństwie naszej literatury. Z ulotki, drukowanej zapewne w Raciborzu w drugim dziesiątku XIX stulecia, przywiodę tu pieśń o św. Walencinie:

O tym świętym Walencinie
wielka sława o nim słynie

Jaki on prześliczny był
Oliwnemu drzewu podobien był

Panny mu się dziwowały
wielkie dary mu dawały

Młodzieniec wszakże nieczuły na wdzięki świata poszedł na księdza i prosił Boga, iżby mu przemienił krasę jego. I stało się tak, bo

Gdy pierwszą mszą celebrował
to go ciężki wrzód nagabował

Rozgwarzają z przeorem OO. Paulinów na Jasnej Górze

Nawiedzają planty w Krakowie

Zadumali się nad masowym grobem powstańców

Chrystusik frasobliwy, rzeźba ludowa

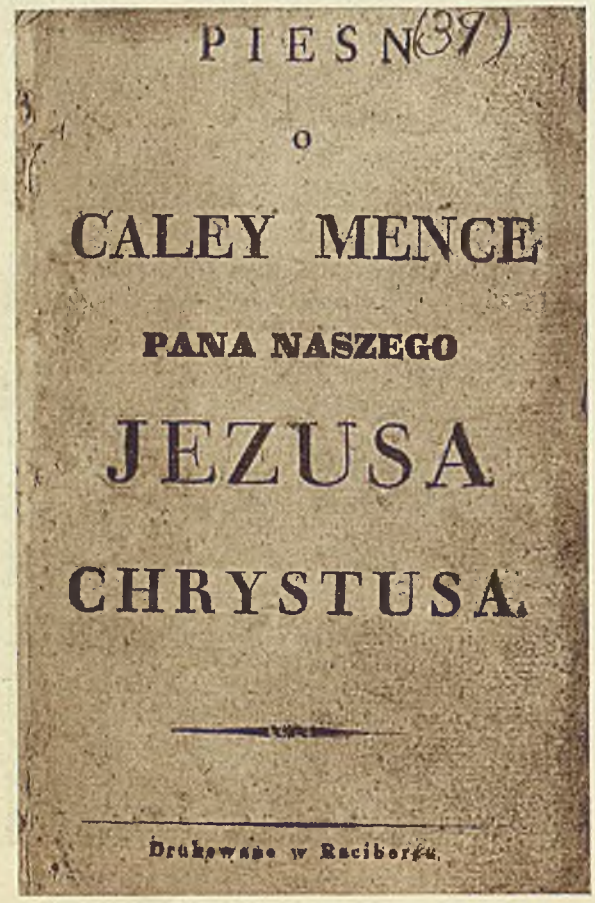

Ciepało go po pościeli
od ołtarza na pościenie

Panny mu się dziwowały
i tak sobie rozmawiały:

Nie jest to Walencin święty
ale to jest czart przeklęty

Jak te słowa wymówiły
to się w kamień obróciły

Amen, amen tak Bóg daj
byśmy przisli w niebieski ray

Byśmy się w niebo dostali
z tobą Walencinku królowali.

Amen.

Inna pieśń wzruszająca nie tylko prymitywizmem treści, ale i naiwnością pisowni fonetycznej, wytłuszczona paluchem, wyplamiona oddechem kilku pokoleń, a odnaleziona przeze mnie w śpiewniku pochodzącym z lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Jest to „Pieśń Nowa o Najświętszej Pannie Maryi Pszowski", pierwsze dwie zwrotki brzmią:

Słoneczko zaszło
Pójdziemy spaci
Tej Pszowski Maciczce
Dobrą noc daci

Ona każdemu
Duchowi złemu
Nie dopuści szkodzić
Człowiekowi swemu

Zakończenie długiej litanii Maryjnej dodaje poeta ludowy od siebie:

Tak was na tę noc
Już chcę pożegnać
Abyście szczęśliwie
Mogli rano wstać

Takich pieśni pątniczych w ulotkach wydawano na Śląsku wiele w pierwszej połowie XIX wieku.

Gdy się rozejrzeć w ich budowie, w naiwnych repetycjach tych samych słów, w nie-

udolnym kołowaniu, w prymitywiźmie wyrazu — wydaje się doprawdy, że „czas cofnął się i odmienił lice".

Jesteśmy w epoce zabytków językowych; kiedy słowo było w kołysce, a pieśń maryjna, tak bujnie później rozkwitła, pierwsze kroki stawiała, przed epoką druku, niezbyt daleko od wieku „Bogurodzicy". Ciężko spracowany śpiewnik, wysmarowany uczciwie przez żartkich pątników przyświadczał by takiej starożytności, chociaż sam niewiele ponad setkę liczy.

I dopiero firma nakładcy Riedingera w Raciborzu objaśnia, że to wiek XIX, a rozrzewniający autograf właściciela pozwala jeszcze ściślej datę określić: Simon Wosch ty Pieśni naleszą Onymu. Amen. ze Schalkowitz 1836.

I oto powody, dla których nas ten język przepełnia takim gromkim entuzjazmem — w rozmowie z Opolakiem sycimy się dostojną pierwotnością i dosadą jego wyrazu a przywiedzione „pieśniczki" odpustowe świadczą, że żyje w nich po dziś dzień dźwięk, rytm, treść, którym rówieśnego odpowiednika szukać chyba w sercu Zygmunta na Wawelu, gdy przed wieluset laty rozdzwaniać potęgę Rzeczypospolitej zaczęło.

Jedyny na całej połaci mowy polskiej umiał Śląsk rolniczy na przybrzegach Odry zachować uparcie prastare znamiona języka naszego w takiej obfitości i wiedział jak, z drapieżnym konserwatyzmem, strzec ich od zaguby w cudzoziemczyźnie.

Zapewne dlatego powiodło się to Ślązakom, iż tam mowa ludowa panuje sama jedna i niepodzielna, nie obok i nie na łasce możniejszego od niej, strojniejszego i rozpychliwszego narzecza literackiego. „Śląsk — jak słusznie zauważono — to bodaj jedyna w Polsce dzielnica, w której narzecze ludowe nie zostało zepchnięte do roli pogardzanego kopciuszka, z rzadka tylko i sztucznie przywoływanego do artystycznego pokazu; tu żyje ono jeszcze, nieraz w swobodnej mowie ludzi wykształconych".

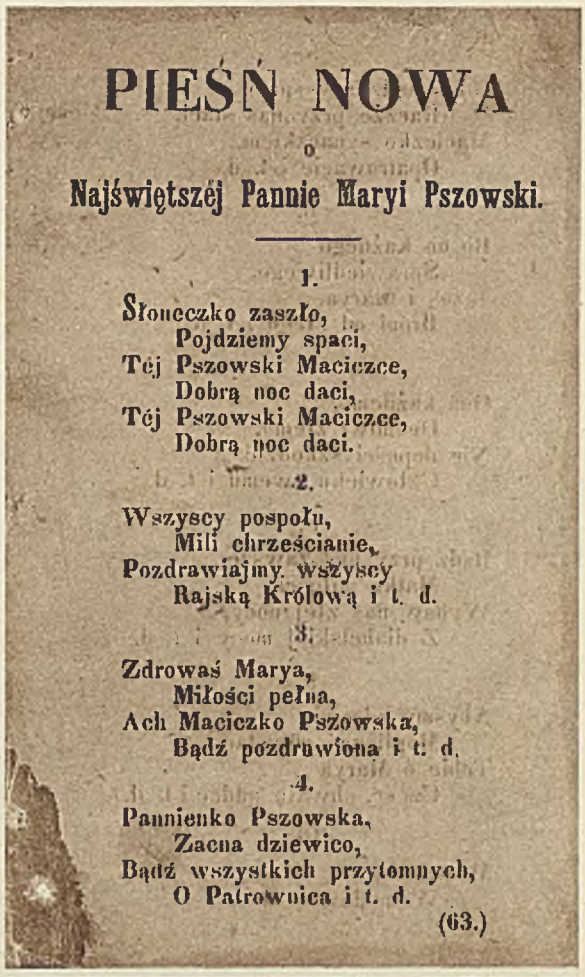

PIEŚŃ NOWA

o

Najświętszéj Pannie Maryi Pszowski.

1.

Słoneczko zaszło,
Pojdziemy spaci,
Téj Pszowski Maciczce,
Dobrą noc daci,
Téj Pszowski Maciczce,
Dobrą noc daci.

2.

Wszyscy pospołu,
Mili chrześcianie,
Pozdrawiajmy wszyscy
Rajską Królową i t. d.

3.

Zdrowaś Marya,
Miłości pełna,
Ach Maciczko Pszowska,
Bądź pozdrowiona i t. d.

4.

Pannienko Pszowska,
Zacna dziewico,
Bądź wszystkich przytomnych,
O Patrownica i t. d.

(63.)

Znakomity lingwista prof. Kazimierz Nitsch chwyta na gorąco właściwości gwary śląskiej

Gospodarstwo kościelne w Wachowie w powiecie oleskim

Pozostawiony samemu sobie, zapomniany i wzgardzony przez starą Rzeczpospolitą, w nędznej poniewierce bytując przez wieki całe, bez opieki warstw oświeceńszych — zachował lud śląski to, co mu ta opieka łatwo wydrzeć i spospolitować mogła: odwieczną architekturę.

Nie obfitowały wsie śląskie w dziedziców, którzy uszczęśliwiali swych poddanych wspaniałymi świątyniami, nie sprowadzano architektów z miast, by je z cegły budowali i blachą kryli. Więc dłużej niż gdzie indziej chłop śląski budował sobie kościoły sam, jak swoje chaty, nie wyręczany przez nikogo.

Wszędzie indziej nacisk cywilizacji usuwał je stopniowo, celowo, nielitościwie.

Tu pozostały w obfitości i w krasie pierwotnej.

Mapa, obrazująca rozmieszczenie kościółków drewnianych w zachodniej Europie, prowadzi nas przede wszystkim w rolnicze okolice Śląska. Do bardzo rzadkich wyjątków należą relikty w Czechosłowacji oraz w pogranicznych prowincjach Niemiec, w znaczniejszych skupieniach występują dopiero w ziemi sandomierskiej, lubelskiej, na podgórzu karpackim i w zachodniej Małopolsce, ale najokazalej na Śląsku. *„Elles sont charmantes* — pisze Henri de Montfort — *ces églises en bois de la Haute-Silesie, et dont le touriste ne trouvera d'autres specimens en Europe que dans le reste de la Pologne et dans la Scandinavie!“*

Ubóstwo kraju, obfitość drzewa, nieufność do wszystkiego, co z miast przychodzi, pozwoliły przechować tu długo dziedziczoną po ojcach tradycję budowlaną. Bardzo powoli ustępował kościółek drewniany miejsca murowańcowi. Jeszcze pod koniec XVII stulecia w całym archidiakonacie opolskim stosunek przedstawiał się jak 2 : 1. (199 drewnianych obok 112 murowanych). A później mimo pożarów, którym tak łatwo i powszechnie ulegały sosnowe dworzyszcza, mimo wojen, przechodów obcych wojsk i reformacji, mimo postępującej w wieku XIX szybko urbanizacji wsi, cieśla wiejski, wyłączny budowniczy swego kościoła, nieprędko dał sobie odebrać chleb i ambicję. Dochowały się nawet — rzecz tak rzadka gdzie indziej — nazwiska artystów. W aktach urzędowych zapisane, na sosrębach kościelnych kozikiem wycięte, mówią głośno, komu Śląsk zawdzięcza swą dumę i ozdobę. Oto Tomasz i Andrzej, chłopi z Pisarzowic (r. 1559), Jan Ożga z Leszczyny (r. 1606), Jerzy Laska z Chybia, zwany Baczałą, Jerzy Kasztura z Łąki, Marcin Młyński (r. 1684), nareszcie najoryginalniejszy wśród wszystkich, o którym jeszcze więcej usłyszymy, Marcin Snopek z Gliwic. Nawet w obliczu rozpoczynającej się epoki maszyn, kominów i wielopiętrowych kamienic plejada artystów chłopskich nie daje za wygraną. Mateusz Pindur z Chudowa kończy wieżę w Gierałtowicach w r. 1844. (O późniejsze daty też nie będzie w aktach trudno.)

Wzruszający jest kult, jakim wieś otacza te stare pomniki swej twórczości. Szanowane są jak relikwie. Nie ma prawie wypadków niszczenia i rozbierania kościółków, tak częstych u nas do niedawna. Gdy starowina okaże się za mały i nie może już pełnić służby, ustępuje miejsca murowańcowi z cegieł, a sam czule chroniony dożywa wieku sędziwego na tym samym miejscu albo przenosi się gdzie indziej. (Obyczaj to piękny, godzien rozpraktykowania i w kraju!). W r. 1812 mieszkańcy Kolanowic w pow. opolskim za uzbieraną z groszy sumę 99 talarów zakupili kościółek drewniany z Opola, wznoszący się na tym miejscu, gdzie dziś w śródmieściu stoi pamiętny z czasów plebiscytu i powstań Forms' Hotel. Ubodzy chłopi z Zawady książęcej w Raciborskiem, cierpiący wiele od wylewów Odry, nie mając funduszów na budowę nowej świątyni, nabyli w r. 1868 kościółek w Ostrogu, sami go rozebrali i sami każdą przycieś dębową, wszystkie sędziały omszałe przewieźli do Zawady. Miejscem emerytury zabytków, przedstawiających szczególną wartość muzealną, bywa czasem cmentarz. Takiego starowinę z Zembowic w powiecie olesk im przeniesiono na cmentarz w Gliwicach, podobnie w parku miejskim w Bytomiu wznosi

Domostwo Boże w Roznowie (pow. kluczborski) w krasie wiosennej zieleni

się od r. 1902 okazała i typowa, bardzo stara, bo szesnastowieczna, świątynia drewniana z Mikulczyc. Toż samo w Sławikowie (pow. raciborski), skąd kościółek wraz z dzwonnicą przetransportowano do Zabełkowa. Niedawno Babice zakupiły kościół w Gierałtowicach (pow. rybnicki). Kłopoty i przeżycia złączone z rozbiórką i przeniesieniem kościoła dały Bonczykowi asumpt do napisania epickiego poematu. Dzięki tej opiece, która nigdzie chyba w Polsce nie ma sobie równych, można było w r. 1905 doliczyć się na samym Górnym Śląsku aż 115 (stusiedemdziesięciu pięciu) kościółków drewnianych, gdy w Wielkopolsce, ileż razy większej, dotrwało ich już tylko 57.

A w naszych czasach? Wedle szczegółowego obliczenia konserwatora województwa śląskiego, dra T. Dobrowolskiego, mamy obecnie w granicach województwa 44 kościołów wieżowych i kaplic drewnianych — poza granicami zaś, na Śląsku Opolskim, który nas tu wyłącznie interesuje, prawie dwa razy tyle, bo: 84. W niektórych okolicach górują one tam do dziś dnia nad kościołami murowanymi. Tu powiat oleski bierze rekord nad innymi; na ogólną ilość 40 świątyń, zaledwie 13 jest murowanych.

Jakże bardzo do twarzy wsiom nadodrzańskim z tą obfitością, jak dalece ubarwia ona i udostojnia skromną urodę krajobrazu.

Kościół murowany wydaje się zawsze jednaki, nieczuły jakby na wszystko, co się dzieje wokół. Biała gładzizna tynku, niclitościwie twardy masyw budowli jest plamą obcą w krajobrazie wsi. Drewniany zaś sprawia wrażenie, że jest dziełem nie ręki ludzkiej, lecz samej przyrody. Cieszy się z nią i cierpi, współżyje. Jak gdyby sam z ziemi wyrósł i z niej soki czerpał. Ni to lipa, ni dąb wiekowy, szumny, rozłożysty, zrośnięty z dolą i niedolą czasu. Zieleni się i srebrzy, gdy omszone „sędzioły“ opalizują w słońcu, skrzypi żałośnie, gdy wicher jesienny grozi

Dziadek tego kościółka w Popielowie (pow. opolski) musiał znać dobrze Mikołaja z Popielowa, słynnego podróżnika w dobie średniowiecza, który pisał w roku 1485: „Niektórzy ganią królowi polskiemu, że tyle swobody dozwala rozmaitym wyznaniom religijnym w swym kraju"

więźbom stolca lub po „pawłaczu" (chórze) hula, przycicha i bieleje pod śniegiem. Im więcej dobudówek i doczepek, tym więcej efektów światłocieniowych, które stwarzają załamujące się zwykle pod kątem prostym poziome rzuty budynku.

Jak drzewo wspaniały, lecz od drzewa bardziej malowniczy. A często drzewom najsędziwszym nie ustąpi w metryce. Świątyńki drewniane śląskie, jak wszędzie indziej zresztą, to pomniki bardzo odległej przeszłości. Pochodzą sprzed dwustu, trzystu lub czterystu lat, ale można przyjąć śmiało, że postać ich jest jeszcze odwieczniejszej daty. Zważmy najpierw, że kult religijny niechętnie zmienia miejsce upatrzone raz przed wiekami. Więc na tym samym majdanie czy wzgórku, nad wodą, w okolu starych drzew, stać mogła również gontyna słowiańska, którą epoka chrześcijaństwa zmiotła z powierzchni ziemi. Ale nie zniknęła wraz z nią bez śladu słowiańska tradycja budowlana.

Jakiś jeden, drugi promyk światła wyjrzy nawet spod ziemi, by tę ciągłość potwierdzić. Słyszeliśmy, że na wyspie odrzańskiej w Opolu odkopano resztki starosłowiańskiego osiedla. Są to budowle zrębowe w kształcie kwadratu, tej samej postaci, która przetrwała do dziś w kwadratowym zasadniczo planie nawy kościółka drewnianego. Potem mijały wieki, a wraz z nimi kościółki, płonąc, butwiejąc, poddając się wpływom architektury gotyku czy baroku, ale nie wypierając się nigdy prastarego kształtu. Kilka pokoleń domów bożych mogło przesunąć się kolejno przez to samo miejsce, ale każde nawiązywało lub nawet wzorowało się na poprzednich. „Tym wzorowaniem nowej budowli na starej — zauważa trafnie Dobrowolski — owym konserwatyzmem wiejskiego środowiska tłumaczy się fakt, że kościół z XVIII wieku nie różni się zbytnio od kościołów z XVI wieku. Na tej podstawie można konsekwentnie wnioskować, że

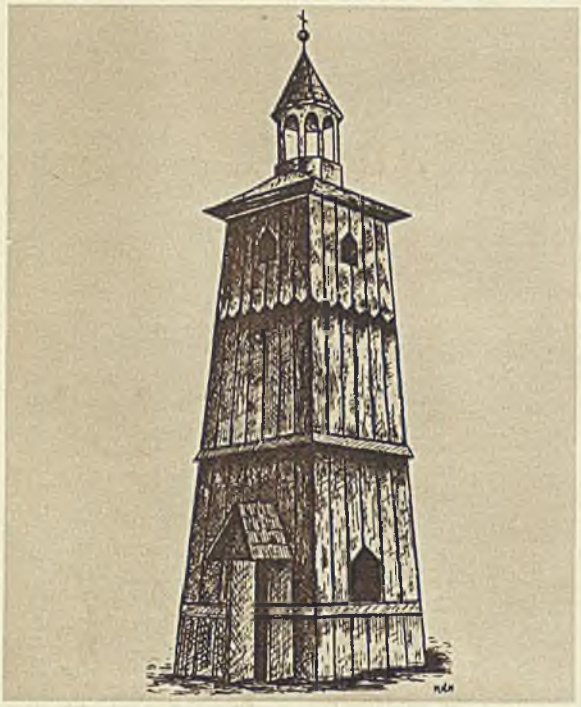

Legenda mówi: Gdy Tatarzy najechali i uprowadzili w jasyr rodzinę dzwonnika w Sławikowie pod Raciborzem — dzwon tamtejszy sam dzwonił na trwogę

W 1576 r. rozpoczęto kryć szkudłami tę świątynię w Kościeliskach. Do niedawna jeszcze powałę podpierał słup na środku nawy, dzwonnica zaś mieściła się w gałęziach pobliskiej lipy

taki sam stosunek, jaki zachodzi między zabytkiem osiemnasto- a piętnastowiecznym, zachodził również między tym ostatnim a budowami z XIV czy XIII wieku".

Więc na każdą z nich patrząc pomyśl, że jest wnukiem i prawnukiem przodków, którzy tu rośli przed nią, a których rysy i ona stara się wiernie zachować w dziedzictwie. A we wszystkich nie trudno zauważyć pewną słowiańską odrębność form, typ i styl niezmienny w ciągu stuleci, a wspólny porówni ziemiom przez Polaków zamieszkałym. Odszukamy go z radością tak w Prusach Wschodnich, na Warmii w Ełku, Olecku, Liczbarku (Heilsbergu), jak pod Krakowem i na Podhalu, nad Narwią, nad Bugiem, nad Sanem, pod Babią Górą w Beskidach i pod Górą św. Anny w Opolskim.

Więcej jeszcze: patrząc w osędziałą twarz starowiny pod Koźlem czy Raciborzem, odniesiemy wrażenie, że zawędrował tu gdzieś z okolic Tarnobrzega, Sandomierza lub Radomia, że nie Odra płynie w pobliżu, lecz Dunajec czy Nida. Są bowiem te świątyńki opolskie rodzonymi siostrami kościółków Powiśla i Podkarpacia i stanowią wspólną z nimi grupę stylistyczną.

Na czym polega wspólna im słowiańska odrębność formy? Najpierw: konstrukcja zrębowo-węgłowa. Kładzione są, jak chałupa słowiańska, z bierwion poziomo układanych i na węgieł wiązanych. W przeciwieństwie do chałupy germańskiej, która, a za nią kościół, była od najdawniejszych czasów wznoszona ze słupów pionowych, ściśle do siebie przylegających. U nas „na słup" stawia się tylko wieże i dzwonnice, konstrukcja nawy-chaty jest na węgieł i zrąb.

Dalszą cechą odrębności jest układ trójdzielny: kościółek drewniany składa się z przedsionka (kruchty, babińca lub babienicy), nawy głównej, która najpowszechniej wznosi się na planie kwadratu lub prostokąta, jest najwyższa i najszersza, po czym zwęża się w część kapłańską (prezbiterium) o poligonalnym zakoń-

czeniu. Znamieniem najłatwiej oku laika się narzucającym są soboty, owe pochyłe daszki na słupach, obiegające kościół dokoła. Celem ich architektonicznym było odprowadzać wodę z dachu kościoła, celem praktycznym ochrona procesji od deszczu. Soboty, zwane też „podchełmiem", czasem są oszalowane, a w kościołach pątniczych, ściągających pielgrzymki z daleka, przestronniejsze niż w parafialnych.

Wreszcie tęcza, ów łuk tryumfalny, oddzielający prezbiterium od nawy. Jak gdyby na komendę kościoła Mariackiego w Krakowie, śląskie świątyńki drewniane, i nie tylko one, kładą w tym miejscu, jako symboliczny znak przedziału, belkę poprzeczną z figuralnym przedstawieniem Męki Pańskiej. Niby na sosrębie chałupy kładzie się na tej belce wśród nacinań i ozdób profilowanych, wśród polskich wersetów z pisma św., datę zbudowania świątyni.

Z dawnego, harmonizującego z prymitywizmem budowy, wnętrza kościółków na Śląsku Opolskim niewiele się dziś spotyka. Z rzadka trafi się charakterystyczna kamienna lub drążona w drzewie „żegnaczka", konfesjonał czy cyborium, będące dziełem tej samej sztuki ludowej, która wzniosła kościółek, — ciosane i zdobione rękami parafian; usunęły je w cień i na strych kościelny krzykliwie lśniące fabrykaty nowoczesne. Nie zinwentaryzowano też dotychczas szczegółowo okazów rzeźby ludowej sakralnej, jak to się już stało w kościołach województwa śląskiego. Może dlatego dr. Peter Fischer, etnograf znad zielonego biurka, w książce „Erlebtes Grenzland Schlesien" lamentuje nad brakiem sztuki ludowej na Opolu. O polichromii ścian, nielicznie zachowanej, wspominają często dawne protokoły wizytacyjne z XVII wieku. Czytamy tam o „sklepieniach malowanych i zdobionych bardzo starożytnym sposobem" *(antiquissimo modo)* w jednym z kościołów w powiecie opolskim, w Kobylnie, o „ścianach malowanych w obrazy" w Sławikowie (pow. raciborski), w Mechnicach (powiat opolski) i in. Musiał

Staruszek, urodzony przed 400 laty w Zębowicach (powiat oleski), żyje od niedawna (1925) w doskonałym zdrowiu na cmentarzu w Gliwicach

Zacharzowice (powiat gliwicki): soboty, dach dwu-okapowy, wieloboczna absyda — to cechy typowe

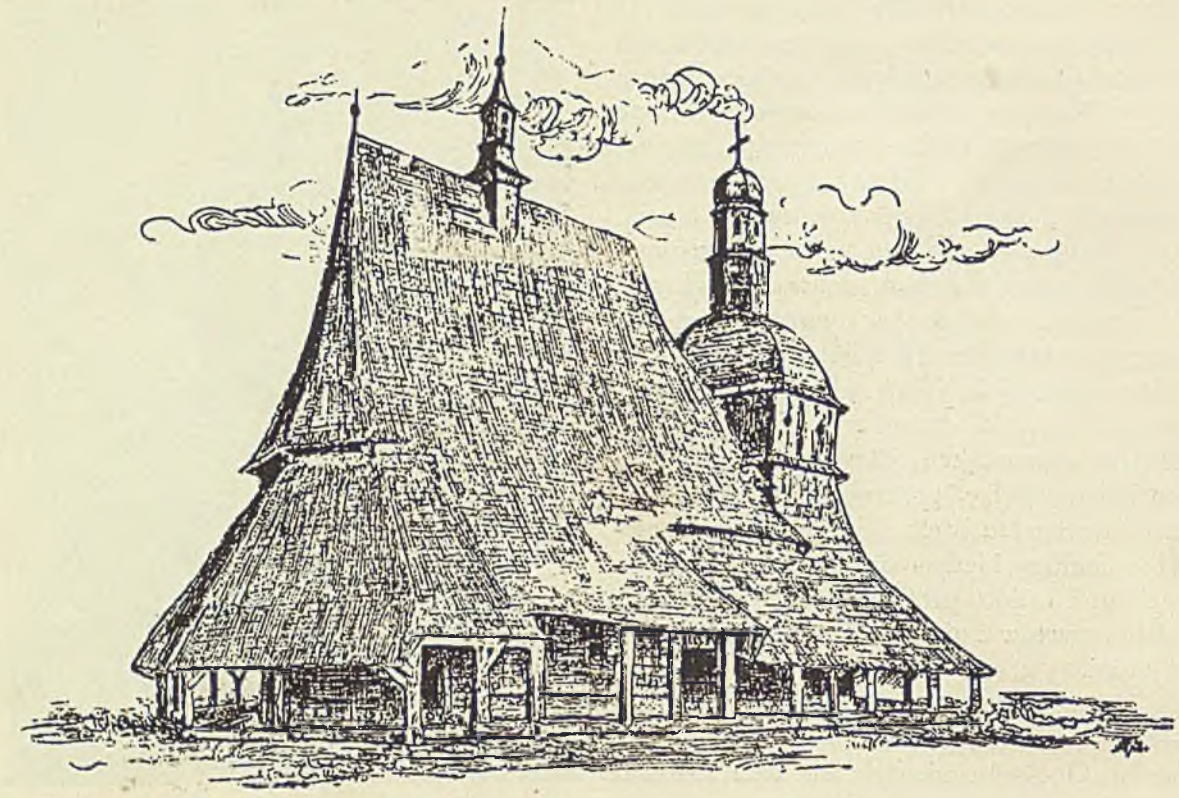

Sękowa na Podkarpaciu *(Rys. St. Wyspiański)*

Kapliczce murowanej w Raciborskiem ani się równać w pięknie z drewnianymi staruchami

znacznie odbiegać pierwotny charakter tych wnętrz od obyczaju miejskiego, skoro gorszyli się nim nie na żarty wizytatorzy wrocławscy z Wrocławia w XVII wieku. Przyrównują oni pogardliwie niektóre kościółki do „jaskiń zbójeckich" *(spelunca latronum)*. Jak tłumaczyć to powiedzenie? Zapewne swoistym, etnograficznym obyczajem. Bo nie tylko święte obrazy i sprzęt liturgiczny można tam było napotkać. W wielkiej obfitości wisiały na ścianach stare stroje ludowe, barwiste czepce siedlaczek, wieńce ze żniwniokόw, kołnierzc, ba nawet zeschnięte kołtuny parafian. Wiadomo, że proboszcz Pecheń w Olesnie w końcu XVIII w. rozkazał zerwać ze ścian i spalić te osobliwe wota, czy też objawy zabobonu.

A teraz rzut oka od zewnątrz.

Kościółki mniejsze wieży oddzielnej nie posiadają. Starczy im dzwonnica z hełmikiem baroko-

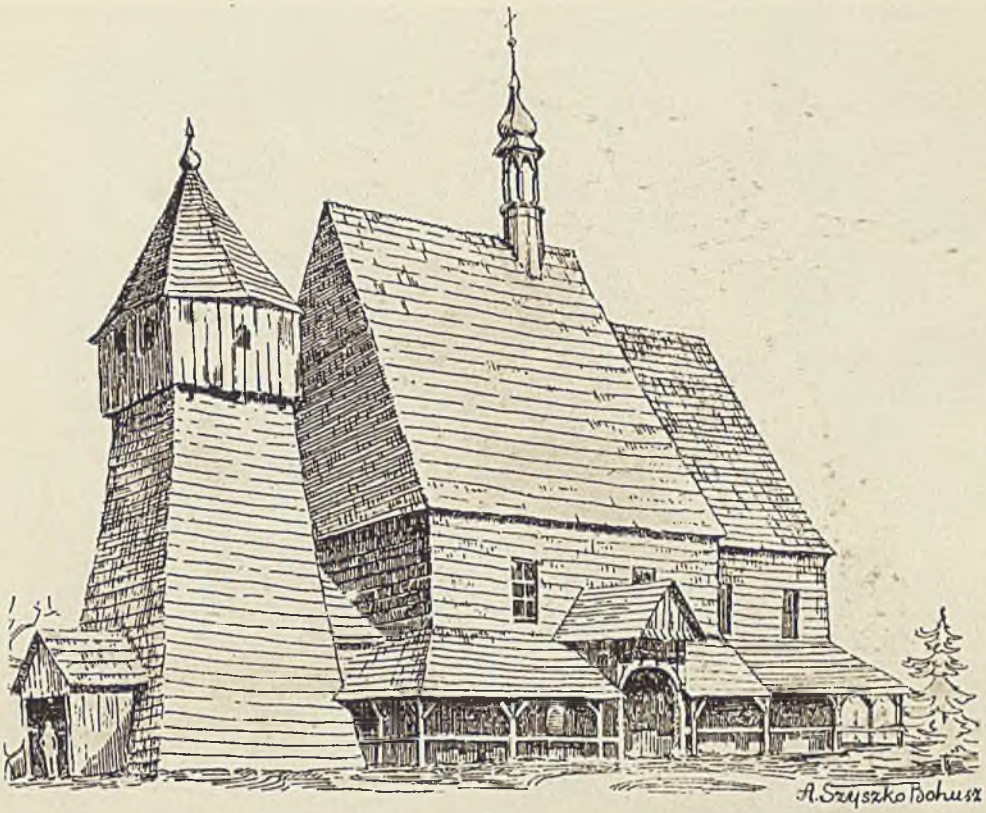

Mikulczyce pod Bytomiem *(Rys. A. Szyszko-Bohusz)*

wym, wieńcząca namiotowy dach. Wieże stanowią oddzielną dla siebie konstrukcję: cztery pochylone ku sobie słupy, związane poprzecznymi zastrzałami i mieczami; wzór wzięty z baszt obronnych na zamkach średniowiecznych, bo też i były nimi często w czasach najazdów tatarskich czy szwedzkich i niejedna dziś jeszcze ma swoją legendę. Pokrytą tarcicami lub szendziołami kampanilę wiejską wieńczy iglicowaty hełm, znowuż wspomnienie iglic Panny Marii na krakowskim rynku. Do okazalszych zabytków tego rodzaju należy typowa i wspaniała kampanila w Poniszowicach (pow. gliwicko-toszecki).

Dwór szlachecki w dawnej Polsce poszerzał się, doczepiając ze wszystkich stron dobudówki, oficyny, alkierzyki, nie zawsze foremne i do planu domu dostosowane. Psuły one harmonię całości, ale zaradzały brakowi miejsca. I w kościółku

Nie można powiedzieć, żeby zdobnictwo najnowsze prześcignęło „słowiańskich barbarzyńców!...“

„Sąd Ostateczny", polichromia z XIV wieku na ścianie kościoła w Jesionnej (pow. strzelecki)

drewnianym śląskim podobna bywa tendencja. Dodawano zakrystie parterowe, a nawet piętrowe, podwajano i potrajano rozmiary przedsionków, nierzadko u zewnętrznej strony nawy wyrastała wysoka ambona, szczególnie w kościółkach odpustowych, aby również pątnicy, zgromadzeni na cmentarzu, mogli słuchać kazania. Bo cmentarz, jak przed wiekami, tak i dziś na wsi śląskiej, niechętnie oddala się od dziedzińca kościelnego. Cmentarz z rzędami mogiłek, które na równi ze sobotami obiegają (ale w szerszym promieniu) świątynię dokoła, a polszczyzną napisów na swych krzyżach stwierdzają narodowość parafian.

Wyszedłszy z najprostszego założenia domu mieszkalnego, jednej izby z przedsionkiem, zaczął kościółek śląski ulegać powoli wpływom swych wyniosłych towarzyszy murowanych. Naśladował strzeliste wieżyce gotyku (wtedy budownictwo drewniane rozwinęło się najszerzej); budował kościoły z transeptami na planie krzyża, w zdobnictwie dawał czasami przykłady doskonałego odczucia renesansu. Tu warto wymienić prześliczny renesansowy portal zakrystii w Mikulczycach, w powiecie bytomskim, powstały w epoce renesansu. Wybornie naśladuje artysta ludowy jońskie kapitele, zdobywa się na zgrabny architraw i w ogóle daje doskonały przykład „architektury odrodzenia, przetłumaczonej na język drzewa“ (L. Burgemeister).

Jak natomiast wygląda Agia Sofia w Konstantynopolu czy słynna kaplica akwizgrańska, wyrażona w przycięsiach dębowych i dylach sosnowych — o tym zamarzył Marcin Snopek w Gliwicach, i stworzył w Olesnie jedno z najśmielszych dzieł, jakie zna polska architektura ludowa. To już nie kościółek, lecz cała ich grupa, cała kaskada kaplic w jedno domostwo związana. Jadąc szosą ku miastu od Gorzowa można od razu odróżnić dwie partie: kościółek pierwotny, starowinka typowa, z wieżą strzelistą w słup, dach namiotowy, soboty dokoła. A tuż przy nim budowla druga, o bardzo

Gola (powiat oleski) też się wstydzić nie potrzebuje

Św. Maria Magdalena, fragment kompozycji „Opłakiwanie Chrystusa“, z Jodłownika (powiat rybnicki)

Kościół św. Anny w Olesnie, dzieło Marcina Snopka, cieśli i budowniczego z Gliwic, w wieku XVII. W głębi widoczna hala, łącząca stary kościółek (1518) o strzelistej wieży z nowszym (1668) w kształcie róży pięciolistnej

oryginalnym kształcie w stylu centralnym, trzonem jej jest sześciobok, z którego jak liście róży wykwitają promienie kaplic w liczbie pięciu. I jeszcze widoczna dość długa hala, łącząca obie grupy.

Legenda i dokumenty opowiedzą jak przyszło do powstania tej centralnej bazyliki w Olesnie. Legenda twierdzi, że zaczęło się to przed półtysiącem lat, w roku jakoby 1444. Puszcze nieprzebrane otaczały Olesno, położone na samym skraju księstwa opolskiego, niedaleko Kluczborka. Zabłąkaną w lesie dziewczynę opadają zbójcy, czy, co gorsza, jeden zbójca. Osaczona kryje się za pniem starej sosny i westchnąwszy do swej patronki, za jej sprawą staje się niewidzialną. Na pamiątkę cudownego ocalenia świątkarz wiejski rzeza figurynkę, która, umieszczona w konarach sosny, słynie cudami i ściąga takie rzesze ludu, że wreszcie wznoszą kościółek na tym miejscu. (Podobno w roku 1518. Taką datę głosi belka tęczowa.) Odtąd Olesno, jako miejsce odpustowe, rozsławia się szeroko, pątują tu nie tylko Opolanie i Raciborzanie, ciągną kompanie z Piotrkowa, Kielc, Radomia. Znoszą wosk i świece. Św. Anna robi kunkurencję pobliskiej Madonnie z Jasnej Góry. Foremny i piękny kościółek w lot okazuje się za ciasny, ale nie na długo. Ruch reformacyjny zdziesiątkuje wnet rzesze pątników, wojna trzydziestoletnia zamyka w ogóle dostęp do miasta. Już nie legendarni zbójcy, ale autentyczni żołnierze Wallensteina zawładli puszczą. Sam Wallenstein obozuje pod Olesnem.

Więc dopiero po wielu dziesiątkach lat wróciły rozmodlone tłumy, a z nimi problem budowy nowego kościoła, który by sprostał natłokowi. W protokole wizytacji z r. 1679 czytamy: „Kaplica pierwotna, mierząca zaledwie 26 łokci długości i 12 łokci szerokości, nie mogła pomieścić wielkiej ilości ludzi, dlatego proboszcz Andrzej Pechenius polecił otoczyć ją przed dziewięciu laty świątynią na kształt gwiazdy zbudowaną, która wielkie tłumy pomieści". Przed dzie-

Olesno: Trzy bliźniacze kaplice, opodal krzyże z polskimi napisami

więciu laty t. zn. w r. 1668 i z tego też roku pochodzi umowa augustianów z artystą. Czytamy w niej jako „obywatel miasta Gliwic cieśla i budowniczy Marcin Snopek podejmuje się zbudować nowy kościół św. Anny w postaci róży pięciolistnej, pięć kaplic zawierającej; na górze róży będzie kopuła o pięciu oknach, a w każdej kaplicy po trzy okna. Wszystko drzewo do budowy potrzebne, jako też progi winny być najstaranniej i najpiękniej obrobione, a cała budowa wedle najlepszej wiedzy i możności wykonana, ukończona być musi najpóźniej w ciągu czterech miesięcy (albo i wcześniej). Proboszcz wraz z konwentem zobowiązują się wypłacić mistrzowi za tę pracę w gotówce 50 talarów (licząc każdy talar po 36 groszy, a każdy grosz po 12 małych halerzy śląskich), poza tym cztery korce żyta, trzy korce pszenicy, dwa korce kaszy tatarczanej, dwa korce jęczmienia, ćwierć prosa, ćwierć grochu, 30 kwart masła, dwa połcie słoniny, trzy kopy sera i cztery beczki piwa". „Obie strony — kończy się umowa, podana tu w przekładzie z niemieckiej broszury Lompy, — obiecują sobie dotrzymać warunków przez podanie ręki, jak uczciwym ludziom przystało, nie naznaczając żadnej grzywny za zwlokę".

Mimo tak solennego zapewnienia nie obeszło się bez konfliktu między władzami kościelnymi a artystą. Wykonanie śmiałego planu okazało się nieosiągalne. Snopek, artysta mocno samodzielny i zrywający z odwieczną tradycją, znał chyba tylko z drzeworytów dwie wspomniane najpiękniejsze świątynie w świecie w stylu centralnym. Zapewne Olesno nie było pierwszą jego próbą w tym kierunku. Bardzo prawdopodobne, że już przedtem dokonał prób budowy na planie centralnym w pobliskiej Uszycy (rok 1661) i w Łężcu koło Koźla (rok 1665), gdzie stara świątynia została przebudowana w formie rotundy *(reaedificata in formam rotundam)*. Róża pięciolistna, zamierzona w Olesnie, była zadaniem od tamtych bez porównania trudniejszym. Kłopoty z realizacją Snopkowej fantazji zaczęły się od samego początku. Oto ich echo, wyjęte przez Józefa Lompę z 17-wiecznej kroniki kościelnej Błażika: „Okazało się przy kładzeniu przy-

Tęcza, strop i pawłacz jednej z kaplic w Olesnie

ciesi, że plan budowy, łatwy do wykonania w kościele murowanym, przedstawia w budowie drewnianej trudności z powodu łuków wygiętych. Kazał przeto proboszcz Pecheń rozrzucić przyciesie i budować po prostu. Budowniczy zaś postanowił dodać dwa otwory w kopule, a wewnątrz umieścić chór, biegający dokoła, „co wykonano na podstawie nowej umowy i zapłaty".

Ukończywszy dodatkową pracę, Snopek już nie chciał pokryć kościoła gontami, twierdząc, że umowa nie zobowiązuje go do tego. Wypadło tedy odwołać się do ofiarności parafian: niech pomyślą o dostarczeniu „szendziołów" na odachowanie wszystkich kaplic i o podłodze, której brak. Początek dał Wawrzyniec Chyłek, pustelnik, który po stracie rodziny osiadł na dewocji w małym domku opodal kościoła, żył tam przez lat 22, po śmierci w roku 1697 pochowany w kaplicy północnej, którą nie tylko sumptem własnym wykończył, ale dodał jeszcze dwie słuchalnice i ambonę. Potem przeor Michał Ochocki sprawił podłogę w drugiej kaplicy, w trzeciej południowej uczynił to samo Wacław Słaby, fundując nadto ołtarz św. Krzyża. Ukończeniem kaplicy czwartej zajął się Jerzy Istel. Zamówił on ołtarz do kaplicy u miejscowego szewca, Jakuba Śliwy, który był również snycerzem, zaś ojcu swemu Tomaszowi zlecił położyć podłogę z desek. Nareszcie Jerzy Czerski na łożu śmietelnym zlecił żonie swej, aby w zakrystii ustawiono jego kosztem dwie pary nowych drzwi, w końcu następcy Pichenia na probostwie Bartel i Czekała dokończyli ostatecznej wyprawy wszystkich kaplic.

Jakże urocza jest ta zabiegliwość mieszczan oleskich, starających się na wyścigi o przyozdobę świątyni, taki podziw budzącej u pielgrzymów po dziś dzień. Sami chcą wszystko. Wspaniały cieśla z Gliwic rozbudził w nich ambicje twórcze. Szewc biedzi się nad ołtarzem, inni majstrują

„żegnaczki", słuchalnice, świątki i tablice wotywne, na których koślawią litery swych nazwisk. Zespolony zapal Olesnian przypomina najpiękniejsze czasy średniowiecza, epokę katedr gotyckich we Francji, które również budowało całe społeczeństwo. Więc niechby jakiś Huysmans — śląskiego rodu — napisał też powieść o swej cud-bazylice!

Kościół pątniczy w Olesnie to niezawodnie jedna z najoryginalniejszych drewnianych budowli sakralnych w stylu polskim. Nie znaczy to wcale, że jest również jednolitym i harmonijnym dziełem sztuki. Nie równać się jej z takimi klejnotami, jak słynny kościółek w Sękowej pod Gorlicami lub w Dębnie podhalańskim. Ujmuje nas i olśniewa raczej niezaradnością prymitywu, jak śląska pieśń pątnicza. Śmiałość, z jaką ludowy artysta porwał się na drewnianą imitację stylu centralnego i mimo oporu ludzi i dębów doprowadził ją do końca, nie powinna dziwić. Marcin Snopek był Ślązakiem.

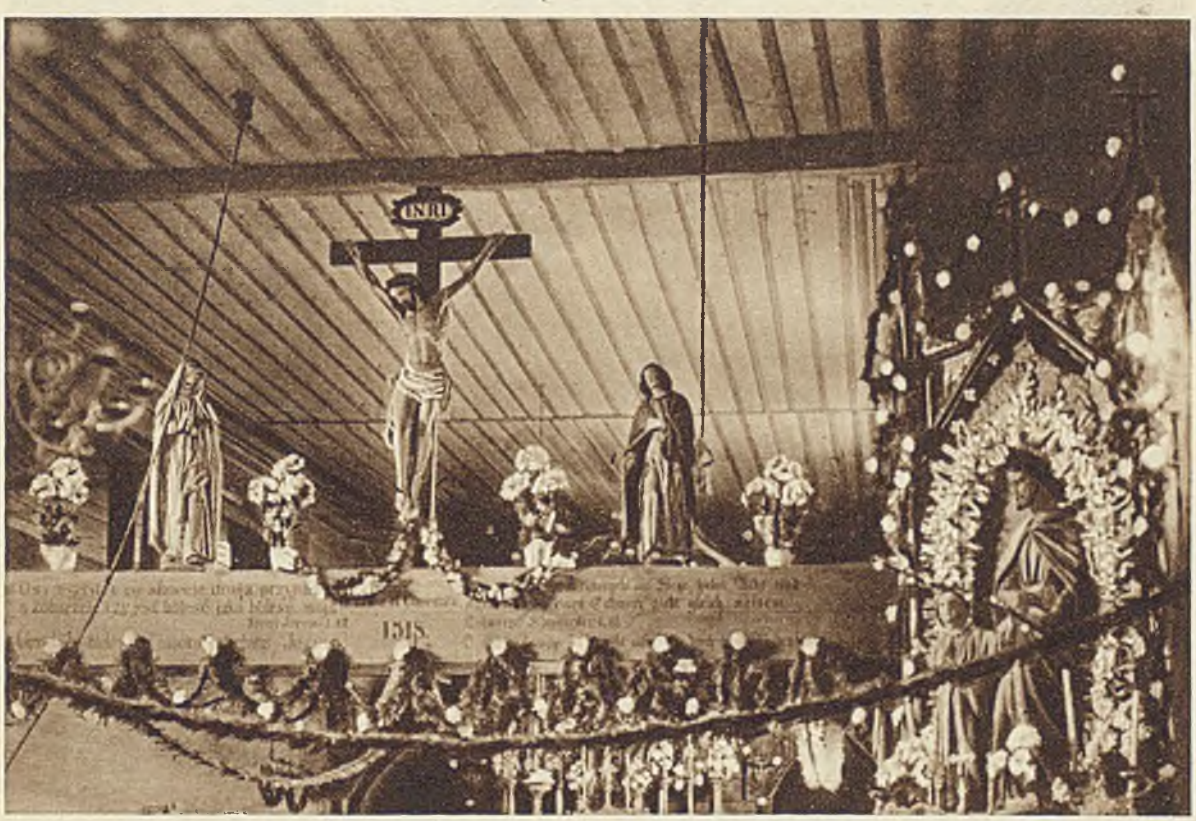

Prezbiterium kościoła macierzystego w Olesnie. Na belce tęczowej data konsekracji: 1518 oraz polski werset z Trenów Jeremiasza (I. 12): „O wy wszyscy co idziecie drogą, przypatrzcie się a zobaczycie czy jest boleść, jako boleść moja"

S T R Ó J N A R O D O W Y

Zbytkowny strój niewieści z okolic Góry św. Anny: Turecka chusta na ramionach. Na głowie czepiec z długimi, kwiecistymi wstęgami, na których komplet wychodzi 40 łokci tkanic

Gdy spojrzeć w twarze trzech gospodarzy na stopniach kościoła, ogarnąć skupioną, krzepką ich postawę, zajrzeć w serce przedwiecznych modlitewników, które pod pachą trzymają — ma się doprawdy wrażenie, że to przeszłość bardzo odległa. W istocie zaś nie jest to ani wizja z obrazu Matejki, ani jakieś zygmuntowskie mieszczaństwo w sukmanach i lisich czapach, lecz nasze czasy: pod kościołem św. Jacka na Rozbarku pod Bytomiem składają sobie życzenia noworoczne obywatele tameczni: Garus Franciszek, Spyra Piotr i Muszalik Tomasz. Dziś, w naszej współczesności.

Rozbarczanie słusznie są dumni i strzegą swego stroju ludowego, który w całej okazałości, dostojeństwie i powadze barwy trwa dotąd i ujawnia się każdego święta i każdej uroczystości. Tworzy on odrębną grupę w ubiornictwie naszego ludu.

Strój męski typu rozbarskiego składa się z szaty wierzchniej, zwanej „kamzola“ i szaty spodniej: „bruślek“, który pełni rolę kamizelki. Obic jednakowej długości z granatowego sukna z błyszczącymi „knefiami“ mosiężnymi; guziki te zazwyczaj w liczbie dziewięciu wyobrażają rozmaite chwile pracy rolnika. To zdobnictwo zalatuje wpływem niemieckim, natomiast obszywki amarantowe, oraz szamerunki nawiązują mocno do tradycji ubiorczych staropolskich. Strojem uroczystym jest długa po kostki sukmana, zwaną „suknią“. Zapinana na haftki, lamowana amarantem, o dostojnych fałdach („skrzydłach“), które nadają tyle honorności uśmiechniętym gospodarzom. Spodnie bywają z sukna granatowego (galoty) lub ze skóry jelenia (jelenioki), wpuszczone w buty z cholewami. Dopełnia całości bardzo efektowne nakrycie głowy: zimą zamaszysta czapa futrzana, zwana „tworzówką“, bo z tchórza winna być uszyta i aksamitem ozdobiona, latem „kania“, czarny kapelusz z szeroką strzechą i wstęgami. Epik śląski Norbert Bonczyk pisze z wielką dumą:

Obywatele Garus Franciszek, Spyra Piotr i Muszalik Tomasz składają sobie pod kościołem na Rozbarku życzenia noworoczne

Para do ślubu w Markowicach pod Raciborzem

Górnik bytomski w stroju uroczystym

Z Rozbarku z respektem ma wzory
Strojów cały Śląsk Górny. Z tego Rozbark słynie,
Że chłopy jak rycerze, strojne gospodynie.
Bo weźmijmyż no chłopa: kania ze wstęgami
Suknia ciemno-niebieska długa a z frędzlami
U rękawów, kołnierza i z przodu kieszeni;
But wysoki, w nim spodnie ze skórki jeleniej.

W stroju kobiecym w Rozbarku dominuje miękka biel jako ozdoba głowy. Nito średniowieczny „hennin" na fryzurze umiłowanej damy trubadura, ni kornet mniszki zakonnej. Czepiec jest biały z okazałym płóciennym rąbkiem wokoło. Od tego czepca płyną „faborki", długie, kosztowne jedwabne wstęgi, w rzuty kwiatów haftowane. Do takiego czepca trzeba podobno aż czterdzieści łokci „tkanic". „Zwykły ubiór — pisze człowiek tamtejszy A. Hytrek (1879) — stanowią krótkie żakiety z dwoma rąbkami aksamitnymi, na szyję chustka wełniana, w niedzielę jedwabna; suknie czyli „mazelonki" jasnego lub ciemnego koloru, lecz nie pstre; długie, w środku zwykle jednego koloru, a świąteczne często jedwabne. Chust zielonych (zwyczajnych w okolicach Raciborza i Głupczyc) nie widać tu całkiem, natomiast noszą „szale tureckie", szare lub żółte, w czasie żałoby czarne".

Bonczyk zaś tak charakteryzuje gosposie rozbarskie:

A niewiasty w trzewiczkach z długimi korkami
W sukni ciężko fałdzistej, z przodu z fartuchami
Zielonego jedwabiu, gorset lamowany;
Szal bieluśki, o kibić najzgrabniej rzucany
A u szyji korale niezmiernej wartości
Zaiste Rozbarczanka równa się jejmości.

Tak mężatki, a dopieroż dziołchy! Gdy się pannica ustroi we wszystkie przybiorki i świecidła, w „kwicie" i faborki, w „strzewiczki cajgowe ze sznelkami", na wiosenne święto Marzanny czy procesję Bożego Ciała — zazdrość bierze powiaty okoliczne. W pieśni ludowej trwa do dziś żurnal-ideał rzadko dościgły, jak powinna wyglądać kochanka bytomskiego synka: Purpurka z kwiateczkami na głowie, w uszach zausznice z brylantami,

krzyżyk korali na szyi, z czerwonego sukna „wierzcheń“, kaboteczek z koronkami i „pawłowiczka“ w prążki i ząbkowana spódnica i watówka czerwona aksamitna, a jeśli jeszcze „bieluśka koszulka batystowa“, to —— „moja kochanka cała nowa“.

Każda okolica, każda osada nieledwie ma jakąś odrębność przystroju. Czasem wyraża się to choćby w drobnym szczególe kroju lub deseniu zdobniczego. W Pyskowicach w powiecie gliwickim bohaterka pieśni

Miała złote dzwonki
U tej swojej mazelonki
Co krokniła, to dzwoniła
Aż się chłopcom ulubiła.

A w znanych powszechnie pretensjach córki, która wciąż czegoś chce od matki, wymienione są kolejno: strzewiczki nowe, pończoszki, mazelonka, lajbiczek i czepieczek.

Opisana wyżej grupa rozbarsko-bytomska obejmuje także powiaty katowicki, świętochłowicki i tarnogórski. Odrębną całość stanowią grupy: szywałdzka, opolska i raciborsko-głupczycka.

Szywałd, stara z XIII wieku osada niemiecka w powiecie gliwickim, posiada ludność silnie mieszaną, a to z powodu częstego ściągania mężczyzn z Polski do żeniaczki. Starzy Szywałdzianie noszą jeszcze dziś kamizelki z perłowymi guzikami, na nich jak czarnego lub ciemno-fioletowego koloru oraz płaszcze z mantylami po dojściu do pełnoletności. Szywałdzianki jakby naśladowały krótkie stany z epoki empiru, staniki ich bowiem podszyte w pasie grubym wałkiem zachodzą wysoko pod szyję; jak wszędzie, tak i tu lubują się w chustach kwiecistych, skrzyżowanych na piersiach i zatkniętych po bokach za stanik.

Grupa opolska już prawie nie istnieje i trudno ją wskrzesić nawet do celów dekoracyjnych, np. w czasie żniwnioka. Jeszcze pod koniec ósmego dziesiątka ub. stulecia K. Wł. Zieliński, opisujący „Śląsk pruski słowem i ołówkiem“, spotykał opolskie kamuzole

„Tyle mojej wesołości, kiedy se zaśpiewam...“

„Co krokniły to dzwoniły aż się chłopcom ulubiły!"

granatowe do pasa z bufiastymi rękawami, filcowe szare czapki oraz płaszcze z oryginalną faldzistą peleryną zwaną „kraglem". Do stroju kobiecego należał stanik, lamowany wstążkami, przyszyty do kiecki, haftowany wzorzyście, głęboko wycięty pod pachami i na plecach. Suknią wierzchnią bywał biały kabotek z koronkami, do koniecznych ozdób należały korale, fartuch jedwabny w kwiaty jaskrawe, a wreszcie długi tiulowy czepiec, przybrany w kwiatki i wstęgi, zapewne skromniejszy od dzisiejszych rozbarskich.

Ubiory kobiece zwróciły od razu uwagę pierwszych podróżników niemieckich. „Widziałem — pisał jeden z takich odkrywców w r. 1784 — najszlachetniejsze okazy stroju kobiecego, ale raczej ku południowi i w stronę Polski, gdzie i ludzie są szlachetniejsi *(wo auch die Gesinnungen edler sind)*". W różnorodności efektów współzawodniczą tu z Rozbarczankami siedlaczki i dziouchy z Raciborza i Głupczyc. Noszą białe kabotki, staniki do kiecek przyszyte, chustki skrzyżowane na piersiach, noszą jupy jedwabne z kanicami, pufy na ramionach, obowiązkowy „faborek z mendalijką", ale przede wszystkim pysznią się zawiciem głowy; mężatki kładą czepce raciborskie, a panny odrębne od innych okolic wieńce. Ten wieniec to taka powiatowa duma Raciborzanek, jak czepiec z tkanicami na Rozbarku. Jakże wzorzyście i bujnie prezentują się trzy dziołchy„tamstąd", każda w twarzowym, dodającym jej tyle uroku wieńcu i w białym szalu, w tureckie wzory drukowanym!

A teraz spójrzmy na parę ślubną w Raciborskiem. Pan młody ambicjonuje, by odpowiedzieć nakazom elegancji miejskiej (w jego rozumieniu), włożył tedy smoking, biały krawat i cylinder, młoda natomiast, choć już przez pół zwaszecia ubrana, nie może obyć się bez wieńca. Moda męska zanika więc zupełnie, kobieca zaś utrzymuje się w kilku zaledwie szczegółach.

Szczegółowych informacyj o wspomnianych grupach ubiorczych szukać trzeba w wy-

Panny z Raciborza w wieńcach z „różyczków"

Markowiczanki spod Raciborza w czarno-jedwabnych jupach z kanicami, uczesane na „bruzdę"

Stroje śląskie na Wystawie w Katowicach w maju r. 1936

czerpującej monografii A. i T. Dobrowolskich; istnieje również praca niemiecka E. Grabowskiej, staranna w opisach, pełna jednak naiwnych i tendencyjnie fałszywych uogólnień w wywodach genetycznych.

W innych miejscowościach stroje lub ich resztki nie przedstawiają szczególnie ciekawych postaci. Podlegają one filiacjom z pogranicznymi gminami Królestwa Polskiego albo Czechosłowacji.

Im skromniejszy jest zasięg stroju ludowego, im mniej po wioskach rozmaitych dochowało się jego form, tym większy wzbiera podziw dla okolic, trwających wiernie przy obyczaju śląskim. Rozbarczanki i raciborzanki również dlatego z takim zapałem biorą udział w „pąciach" corocznych na Górę św. Anny czy do Częstochów, bo wiedzą, że będą tam przedmiotem podziwu i zazdrości ze strony wszystkich, nie tylko najbliższych sąsiadów. Malowniczy i kosztowny ich strój stanowi też przedmiot niemałej zazdrości Niemek, pątujących z Dolnego i Średniego Śląska na polskie kalwarie.

Nie od wczoraj się ten podziw datuje i nie tych tylko okolic dotyczy. Bo bywały czasy, gdy Ślązak opolski, pojawiwszy się w całej swej swoistej okazałości na szerszym terenie, zachwycał rodaków swym wyglądem. Kiedykolwiek i gdziekolwiek zaprezentował swe szaty domowe w ojczyźnie, poklask mu towarzyszył szczery i radosny. Tak było ongiś na lwowskiej Wystawie Krajowej w r. 1894, tak na poznańskiej Wystawie Powszechnej w r. 1929, tak wreszcie w warszawskich Łazienkach i Belwederze, gdy pielgrzymki z Opola gromadą przybywały w najpierwszych i najcięższych chwilach rodzącej się Polski Nowej. Przyglądała się Warszawa, gapił się ciarach jaki taki, nie dziwne to. To dziwne i znamienne natomiast, że tych cichych, nie narzuca-

Szły trzy panny gościńcem. *Kaj wy dziołchy idziecie,*
Potkały się z młodzińcem. *Kiero moją bedziecie?*

jących się Rozbarczan czy Raciborzan przypuszczał do równia ze sobą ten, co się dotąd za najstrojniejszego galanta w Polsce uważał: góral podhalański w cyfrowanych portkach i chłop łowicki w tęczowym pasiaku.

Obcy zaś reagowali w inny, sobie właściwy sposób. Tak więc w gorących tygodniach Zgromadzenia Narodowego w Berlinie (1848) rozpisały się wszystkie gazety niemieckie o tym pośle śląskim z Olesna, który osobiście wybrał się na zamek królewski, aby królowi pruskiemu doręczyć żądania Ślązaków, domagających się swobód narodowych w szkole i urzędzie. Przybył, pisały dzienniki niemieckie, „w białej do kostek sukmanie polskiej, w długiej kamuzoli z błyszczącymi knefikami mosiężnymi, w butach sznurowanych i w kapeluszu filcowym z krezą szerokości koła u wozu". Z obawy, że to koło z Olesna zatamuje ruch uliczny w stolicy Prus, uprzejma policja berlińska zamknęła pana posła od razu do aresztów...

Nie łatwo jest dochować wiary obyczajom ubiorczym na Śląsku, w każdej okolicy innym, i wszędzie tak jej prastarą rodzimość polską poświadczającym, jak za nią świadczy język codzienny. Taniość tandety miejskiej, dogodność przy jej nabywaniu, snobizm, ogarniający coraz powszechniej ciche nawet i dalekie od świata wioski nad Odrą, to wszystko świadczy przeciw niewspółmiernie drogiemu strojowi ludowemu.

Tu jednak czasem świdrować zaczyna ambicja. Cóż to my są gorszego od tych z Bytomia czy Raciborza? Więc budzi się tu i ówdzie chęć odnowy, przypominają sobie ludzie pod Toszkiem i pod Strzelcami i pod Olesnem i w Dobrodzieniu i w Czarnowąsach i wszędzie, wszędzie indziej, gdzie wzrasta świadomość narodowa. Przypominają sobie, szukają, grzebią w trówłach, wśród pamiątek po ojcach. Mamiduchy nie myślą o tym, tym milsze smokingi z białym

miastowym krawatem (to są ludzie pod format, im w tych smokingach z cylindrami „żgbieta nie zesztywnieje").

I „kocik" niejeden, albo „kręcik", czyli dziopucha szumna dojrzy nieraz i zrozumie, że od jedwabnych pończoch i krepdeszyny tamte raciborskie stroiki cudniejsze są. Bo krzyk i rozgwar idzie za nimi. Sprawa odrodzenia i wskrzesin stroju ludowego w tych okolicach, gdzie już zaniknął, lub gdzie okazuje skłonność do zaniku, nie jest więc zaprzepaszczona zupełnie.

W sąsiedztwie Śląska, bo w Gorcach podhalańskich zrodzony, pisarz świetny, Władysław Orkan, pisał kiedyś, już prawie w testamencie przedśmiertnym: „Zaiste tak były te ziemie polskie udane w swym różnym postroju — każda miała swój odrębny wyraz, swoją niepożyczaną postawę, swoją barwę — a razem tworzyły jakby wieniec z defilujących łąk, lasów i łanów całej rozbieży Polski ułożony. A niechby dziś każda z tych ziem uderzyła w swój ton!... Bo do niedawna ziemie te niosły się w swoim honorze. Niestarzy są, którzy pamiętają..."

Niechby i Opole uderzyło. Bo ono też wie i pamięta.

Lalka rozbarska w Muzeum Śląskim w Katowicach

N A P I S Y M Ó W I Ą

Tablica erekcyjna na balku domu w Naczysłowicach pod Głogówkiem

Działacze niemieccy nie przestają nigdy słowem i pismem, przez radio i film, zapewniać o rdzennej, odwiecznej niemieckości Śląska, zamieszkałego, jak ostatnio dowiedzieliśmy się, już przed trzema tysiącami lat przez „wysoce ucywilizowanych współrodaków niemieckich" *(hochstehende deutsche Stammesgenossen)*. Dziwna przy tym rzecz: nie krzyczy się ciągle, że niemieckim jest Hannover czy Brandenburgia, o Śląsku powtarza się ciągle, do utrapienia.

U nas zupełnie inaczej. Nie potrzeba krzyczeć i podniecać się uczuciowo, bo mówią już choćby napisy. *Saxa loquuntur...* Napisy kamienne, metalowe, drewniane na tablicach erekcyjnych, mogiłkach, grobach żołnierskich. Nie krzyczą głośno, nie chwalą się, istnieją po prostu. Podam kilka tylko przykładów.

Daleko w średniowiecze, aż do czasów Piotra Własta, fundatora legendarnych 77 kościołów, sięga napis pierwszy. Na tympanonie fundowanego przezeń kościoła św. Michała we Wrocławiu stał niegdyś pośrodku Chrystus w mandorli, mając po lewicy założycieli kościoła w Bytomiu Bolesława Kędzierzawego z synem Leszkiem, trzymających w ręku model kościoła z napisem *in Bithom*, ale — tajemnym rzeczy porządkiem — tympanon ten naszych czasów nie doszedł i znany jest tylko z wiarygodnego przerysu.

W Naczysłowicach pod Głogówkiem u jednego ze znajomych gospodarzy słyszę długą historię o nowym domu, który niedawno zbudowano na miejscu starego „na kopcu", a w tym starym domu była na „balku" głównej izby tablica. Zaraz, zaczekajcie ino, może jeszcze znajdę. Drewniana tabliczka, którą tu w reprodukcji podaję, ujawniła niezwyczajną i tak rzadką

Grób masowy w Siedlicach (pow. strzelecki)

Napis polski na krzyżu przed kościołem Matki Bożej w Raciborzu

w Polsce sentencjonalność. Zamiast sakramentalnych, wszędzie spotykanych znaków: A. D. i daty, czasem jeszcze z ornamentem lub symbolicznym zaklęciem, tu mamy całe zdanie:

ŁASKAWEI PAN PATER WIKTORI
DAŁ POSTAWIĆ TO POMIESZKANIE
JEDNEMU UBOGIEMU TKACZIKOWI
JĘDRZEJOWI ZAIDLOWI 1730 ROKU.

Trudno na poczekaniu sprawdzić, co zacz był ten pater Victori, ojciec duchowny czy świecki przełożony, w każdym razie przyzwoity jakiś człowiek, którego pamięć rozjaśnia epokę, napiętnowaną głupotą Austriaków i bestialstwem dziedziców śląskich w rodzaju rittmajstra von Paczkovsky, herbu śpiczasty osieł.

Inne napisy stropowe w starych domostwach, jeszcze tu i owdzie dochowane, nawiązują do ogólno-polskiego obyczaju; są to owe dziwne, nieczytelne znaki prastare, którymi cieśla przedwieczny duszki domowe i moce tajemne uspokajał, oddając im dom w opiekę. Może w związku z nimi pozostaje

Groby powstańców na cmentarzu w Olesnie

i ta rozeta w koło wpisana, tak powszechny wszędzie towarzysz daty zwieńczenia domu. Jak wszędzie, tak i na tragarzach śląskich powszechny jest INRI. Rzadszym natomiast, a odnalezionym przeze mnie w Markowicach pod Raciborzem objawem są podpisy wiejskich budowniczych na sosrębie. Wyraźny monogram: J. Cz. widny zarówno na balku w domu mieszkalnym rodziny Ulińskich (r. 1803), jak też w stodole, gdzie data wcześniejsza o lat kilkanaście.

Dalej w wiek XIX sięgając znajdziemy widny jeszcze do niedawna na kaplicy, a upamiętniony na zdjęciu akt „wdzięczności Panu Bogu za uwolnienie od pańszczyzny w r. 1814" na frontonie kaplicy w Kłodnicy.

Później z tekstu napisów przebijać zaczyna nastrój ludności. Taki „Carol Ocik i jego żona Veronika" spokojnie jeszcze fundują zamaszysty obelisk w r. 1857, w Ostropie (powiat gliwicki), tożsamo małżonkowie Wolnik z Tworkowa przed kościołem „Matka-Borża-Kirche" w Raciborzu. Wnukom ich już gorzej się dzieje. Za wszystkich niechaj przemówi

Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny (1817 r.)

Ostropa, powiat gliwicki

Grób masowy w Zabrzu

niepokój Józefa Łabacza w Poborszowie, który stawiając pasję murowaną w r. 1909, kładzie na niej napis: „O witaj krzyżu, witaj nam Nadzieją naszą tyś jest sam!“ Powszechne, na każdym cmentarzysku kościelnym po wsiach i w miastach są polskie nagrobki. Zwiedzając cud kościółek w Olesnie odpisałem sobie kilka z najbliższych przykościelnych mogiłek. Na grobie kryjącym parę starzyków dzieci ich taki napis kładą: „Ojcowie nasi Jan Kozioł, gbur z Szewoda umarł 24 sierpnia 1847 w wieku swoim 35, Susanna Kozioł umarła 1 grudnia 1876. Niech odpoczywają w Bogu Amen“.

Albo: „Tu spoczywaje w Bogu nasza najmiłsa matka Julija Glomb z Kamieńca: * 1859 † 30/XI. 1918“.

I ostatni wymowny: Tu spoczywa w Bogu mój ukochany mąż nasz dobry ojciec, szwagier i staruszek Błażej Trocha (3/II. 1854—19/XII. 1930). Niech odpoczywa w spokoju.

W epopei Bonczyka (Stary Kościół Miechowski) kołodziej wioskowy zdąża tam, kędy Rokitnianie chowali swych zmarłych; na dole przy stawie widać krzyż już pochyły we wysokiej trawie, na nim napis: „tu czeka na swe zmartwychwstanie nauczyciel Czogola. Daj mu niebo Panie“.

Na wszystkich cmentarzyskach wiejskich roi się od tych napisów. Ale nie ma jednolitości pod tym względem. Można zauważyć falowanie i zmienność szczególnie w czasach ostatnich. Pytałem o wyjaśnienie tego zjawiska. To zależy od proboszcza, od kapelana, odpowiedziano. Jakto? Ano, bywa, że proboszcz albo kapelan naciskają, żeby po niemiecku. Z takim nie idzie „grzbiecić się“, bo będzie potem nękał przy każdej okazji. Bywa inaczej: ksiądz sprzyja po cichu Polakom i nie tylko nie dociska, ale rad. Niestety dominuje najczęstszy typ fararzy, obojętnych, rządzących parafią pod hasłem: *lasst mich in Ruh.* Rozglądając się więc po mogiłkach zmarłych Opolan czyta się z napisów na ich krzyżach nie zawsze ich narodowość, lecz często postawę polityczną rządcy parafialnego.

W Bytomiu na Rynku około r. 1910

Przechodzimy do ostatniej grupy, najliczniejszej i wzniosłej. Rzesza niepoliczona zalega cmentarze oficjalne i przygodne; są wśród nich płyty kamienne i obeliski piękne, są krzyże i krzyżęta skromne; są gromadne, masowe i samotne, są znani i nieznani. Wszyscy żyją nie tylko w pamięci najbliższych, ale każdych świąt, imienin, uroczystości, każdych zaduszek pokrywają się ich groby wieńcami, światłem. Bezmiar znajdziesz wszędzie, gdzie się obrócisz, w Kozielskiem, Gliwickiem, Raciborskiem. Jeden tylko przytoczymy napis. W Olesnie, na naczelnym miejscu cmentarza płyta mocna, kamień sprosta wspaniały ze słowami:

„TU SPOCZYWAJĄ W BOGU
Ś. P. NIEZNANI, KTÓRZY
DALI ŻYCIE ZA SWÓJ ŚLĄSK".

Ostatnio rząd niemiecki wydał wyrok potępienia na resztki nazw polskich, o ile się jeszcze gdzie śmiały zachować. I daje dowody systematyczności, o jakiej nie śniło się władzom rosyjskim, gdy tępiły objawy polskości i katolicyzmu w ziemiach zabranych. Gdy już dokumentów materialnych niewiele pozostało, wzięto się z niesłychanym zapałem do niszczenia i zniemczania nazw miejscowości. Energia, jaką w tej sprawie ujawnia rząd totalnych Niemiec, pozostawia daleko za sobą usiłowania, podejmowane przez wszystkie rządy niemieckie od chwili okupacji Śląska w XVIII wieku! Okazało się, że całe tuziny nazw miejscowości, odwiecznie zamieszkałych przez ludność polską, dziś dopiero ujawniły swą groźną dla niemieckiego stanu posiadania postać. Bliższe szczegóły o technice i zasięgu pracy ubezpieczającej niemieckość Śląska Opolskiego znaleźć można w szczegółowej rozprawie L. Musioła, wydanej przez Instytut Śląski w r. 1936. Częściowo wybuchło niebezpieczeństwo polskiej rdzennej od tysiąca lat toponomii już po zwycięstwie pruskim roku 1870. Regencja w Opolu domagać się zaczęła wówczas takiej

zmiany nazw, aby „oko niemieckie mogło je czytać, ucho dźwięk ich uchwycić, a język niemiecki wymówić". Kunsztownie obmyślone kaleczenie lub dosłowny przekład objął wówczas znaczną połać nazw miejscowych. Proceder ten niewiele pomógł oku, uchu i językowi niemieckiemu, przyczynił kłopotów administracji, nie wpłynął natomiast nic na oko, ucho i język polski, który został przy swoim. Po wojnie, od ustalenia się stosunków poczynając, akcja rozwijała się dalej. Domagano się w prasie i propagandzie niemieckiej jak najrychlejszej germanizacji przez: 1) dosłowny przekład nazw „słowiańskich" na język niemiecki, 2) dostosowanie brzmienia do wymowy niemieckiej, 3) tworzenia nowych zupełnie nazw niemieckich. Obecnie główny nacisk położono na realizację trzeciego punktu. Nie tłumaczyć, lecz wygolić do czysta i zniszczyć nawet ślad semantyczny polski w nazwie miejscowości! Pół tysiąca nazw przeinaczono w ciągu kilku miesięcy. Rok 1935 i 1936 stał pod znakiem systematycznej pracy, pod hasłem, aby Śląsk Opolski robił na zewnątrz bardziej niemieckie wrażenie, niż okolice Berlina. Pracy, która w sposób cyniczny przekreśla słowa Wodza narodu niemieckiego. Kanclerz Hitler powiedział w r. 1935: *„Wir geben keine Anweisung für die Verdeutschung nichtdeutscher Namen aus, im Gegenteil: wir wünschen es nicht"*. Nie tylko nie wydajemy żadnych poleceń niemczenia nazw, ale przeciwnie: nie życzymy sobie tego!"

Piastowie śląscy na fasadzie zamku w Brzegu. Pośrodku: Władysław Wygnaniec, pierworodny syn Krzywoustego

W A L K A O S Z K O Ł Ę

Pierwsi wychowankowie gimnazjum w Bytomiu (1932) na stopniach bursy

Niemiec Bogedain (1810—1860) pisał: „Nie sprzeciwiam się temu, aby uczono po niemiecku — lecz przede wszystkim nie zapominajcież: tylko macierzyńskim językiem można... uszlachetnić człowieka!“

Gimnazjum w Opolu, do którego w latach 1880—1882 uczęszczał Jan Kasprowicz

Pierwszemu urzędowemu orędownikowi szkolnictwa polskiego na Śląsku — którym był Bernard Bogedain (1810—1860) — mają Niemcy za złe nie tyle to, że „w fanatycznym poczuciu sprawiedliwości i z wolą niezłomną“ dążył do stworzenia szkoły powszechnej z polskim językiem wykładowym, ale to raczej, iż uznał jako autochton, że językiem Ślązaków jest język polski *(er setzte die polnischen Dialekte O. Schlesiens dem Hochpolnischen gleich)* i na tym oparł swoją działalność.

Ks. radca Bogedain nie był bynajmniej wyjątkiem. Niejednokrotnie zdarzali się na Śląsku Niemcy, którym proste poczucie prawa i słuszności kazało wystąpić w obronie żywiołu polskiego, przeciwstawić się atakom zoologicznej nienawiści lub nawet wystąpić z inicjatywą. Do pierwszych należeli prof. Schummel z Wrocławia, który w r. 1792 powróciwszy z umyślnej podróży w głąb kraju zawyrokował, że „Polak tak samo jak Niemiec posiada zdolność rozwijania swego umysłu za pomocą języka ojczystego“, za czym „nie należy pozbawiać go sposobności kształcenia i doskonalenia się w tym języku“.

Podobnie na jakąś złośliwą charakterystykę dialektu śląskiego odpowiedział z oburzeniem radca szkolny Benda w piśmie „Oberschlesischer Anzeiger“ (1827), wykazując, że Ślązacy-Polacy nie są niczym gorszym od Ślązaków-Niemców w okolicach Wrocławia. Dalej godni są wspomnienia dr Juliusz Roger, znany nam wieloletni zbieracz i wydawca pieśni ludu śląskiego (Wrocław 1863) oraz protestancki radca konsystorialny Richter, który w ciągu 30 lat pracy na Śląsku postępował zawsze obiektywnie, a już w roku 1827 dał wyraz przekonaniu, że uważanie języka polskiego za przeszkodę oświaty jest wielkim błędem, bo nie język polski, lecz brak dobrych nauczycieli tego języka i pozostawienie ludu śląskiego na pastwę ciemnoty — oto główne powody niskiego stanu oświaty.

Bogedain, realizując ten postulat, wziął się z wielką energią do roboty. Jako poseł

opolski w sejmie pruskim mówił na posiedzeniu z 10 kwietnia 1849: „Postawiłem to sobie za cel życia i działalności, aby być reprezentantem praw językowych ludu. Górny Śląsk spodziewa się po mnie i żąda właśnie ode mnie abym praw jego dochodził. Uważam to za najpiękniejsze i najważniejsze zadanie mego urzędu". W ciągu 10-letniej pracy, organizującej szkolnictwo polskie od podstaw (1848—1858), osiągnął wiele. Obliczywszy, że do obsadzenia szkół w „dwujęzycznych okolicach" potrzeba co najmniej 700 nauczycieli, doprowadził po wieloletnich usiłowaniach i targach z wrocławskim *„Provinzialschulkollegium"* do utworzenia seminarium nauczycielskiego w Pyskowicach i częściowo wprowadził w życie swój szczegółowy plan rozbudowy całego szkolnictwa.

Pani Ilse Schwidetzky przecenia może trochę wiekopomne niechybnie zasługi Bogedaina, gdy pisze, że jego robota utorowała do tyla grunt „agitacji polskiej", iż w okresie *Kulturkampfu* już było za późno na decydujący sukces Niemców. Zdecydował bowiem o klęsce nie wpływ jednostki, choćby najszlachetniejszej, ani robota agitacji, lecz wola i przynależność 700.000 Ślązaków, bo tylu ich w owych czasach poczuwało się do polskości. Ze śmiercią księdza biskupa w roku 1860 skończyła się sprawiedliwość w szkolnictwie. Ucisk wrócił i wzrastał stopniowo. 20 września 1872 regencja w Opolu zezwoliła posługiwać się na najniższym oraz średnim stopniu nauczania początkowego przy nauce religii językiem polskim, ale tylko pomocniczo, bo nauka religii, jak i wszystkich innych przedmiotów, odbywała się po niemiecku.

Czynną postawę wobec germanizacyjnych praktyk tego okresu ujął znakomity poeta Jan Kasprowicz. Wydalony z gimnazjów wielkopolskich próbuje szczęścia na Śląsku. Usuwają go naprzód za nieukrywaną polskość z Opola, przenosi się do Raciborza. Tu jeszcze gorzej: przyłapanemu na zbrodni należenia do tajnego kółka polskiego grozi niedopuszczenie

Polskie gimnazjum w Bytomiu

Bursa polska w Bytomiu

Budynek szkoły polskiej w Wędzinie (powiat dobrodzieński)

Otwarcie gimnazjum polskiego w listopadzie 1932 r.

do matury. W rozpaczy ciska butelką atramentu w znienawidzonego profesora i, wydalony, wraca do Poznania, by później zapoznać się jeszcze z więzieniem w Wrocławiu.

Dopiero w końcu wojny światowej pruski minister oświaty pismem, wystosowanym do kurii biskupiej w Wrocławiu w dniu podpisania zawieszenia broni (11 listopada 1918), pozwolił na polską naukę religii w trzech pierwszych oddziałach nauki w szkole powszechnej, a później (31. XII. 1918) dopuszczono w razie życzenia rodziców naukę polskiego czytania i pisania na średnim i wyższym, a ewentualnie i na niższym stopniu. Do czasu plebiscytu stosowano to rozporządzenie wcale liberalnie, po podziale G. Śląska postawa władz zmieniła się zasadniczo. Uregulowała częściowo sprawę Konwencja Genewska; art. 114 orzekał, że „rząd niemiecki zarządzi, co potrzeba, aby utworzono na części niemieckiej obszaru plebiscytowego instytucje szkolne mniejszości", rząd polski zaś „czuwać będzie nad tym, aby na G. Śląsku nauka dzieci niemieckich w tym zakresie, w jakim przewidziane są instytucje szkolne dla mniejszości, nie doznała przerwy".

Z jaką sumiennością rząd polski wykonywał i wykonywa postanowienie konwencji — ogólnie wiadomo. Inaczej po stronie niemieckiej. Oto słowa z memoriału ludności polskiej na Opolu: „...Celowa akcja rządu i władz mu podległych nie dopuściła do powstania szkół mniejszościowych zgodnie z duchem Konwencji Genewskiej... Siły nauczycielskie nie odpowiadają minimalnym wymaganiom... wybrane celowo doprowadzają do upadku szkół przez szykany dzieci i rodziców". Wobec tego od końca r. 1922 inicjatywę zakładania szkół powszechnych z polskim językiem wziął w swe ręce Zarząd Dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech, a póź-

W kuchni bursy polskiej w Bytomiu

niej „Polsko-katolickie Tow. Szkolne na Śląsk Opolski" w Bytomiu. W rezultacie ze zgłoszonych od r. 1923 wniosków o szkołę polską dla przeszło 5000 dzieci — maksymalna ilość dzieci pobierających naukę po polsku wyniosła 1275, która to cyfra zaczęła szybko spadać poniżej tysiąca. Przyczyny były rozmaite: w pierwszym rzędzie nieprzychylna postawa władz, wywierających nacisk na rodziców, dobór nauczycieli oraz brak potrzebnego hartu u ludności, nękanej ciągłymi szykanami. Nie dały również dobrych wyników starania o wprowadzenie nauki języka polskiego w szkołach z językiem wykładowym niemieckim.

Od roku 1929 położenie się zmienia. „Ordynacja, dotycząca uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej" (30 grudnia 1928), przeznaczona dla całych Prus, nie pozostaje bez wpływu na losy szkolnictwa polskiego, chociaż nie dotyczy bezpośrednio obszaru plebiscytowego. Na mocy jej postanowień ludność polska w Niemczech ma prawo zakładać szkoły prywatne lub też żądać szkół publicznych z polskim jęz. wykładowym. W roku szkolnym 1930 dopiero akcja ta objęła Śląsk Opolski, przedtem bowiem założono 36 szkół na Pograniczu i w Prusach Wschodnich. Powstało wówczas 10 szkół powszechnych na Opolu: w Jędryniu (pow. strzelecki), w Wielkich Borkach, Wysokiej i Wolęcinie (pow. oleski), w Małych Łagiewnikach i Wędzinie (pow. dobrodzieński); w następnym wreszcie roku w Centawie (pow. strzelecki), Grabinie i Wierzchu (pow. prudnicki) i Kucobach (pow. oleski), przeniesiona później do pobliskich Bocianowic. Obok szkół powszechnych założono również pięć prywatnych szkół dokształcających. Nie wszystkie z tych poczynań były szczęśliwe, nie wszędzie trafnie obrano miejsce, nie wszędzie liczono się ze stosunkami lokalnymi i zależną od nich postawą ludności. Nie wszędzie też umiano

Szkoła w Bocianowicach (powiat oleski)

Kurs języka polskiego w Bytomiu

Polska szkoła prywatna w Wolęcinie (powiat oleski)

zająć właściwą postawę wobec konserwatywnej, czasem zatwardziałej w swym konserwatyźmie ludności. Są przecież w arystokracji wiejskiej babiny, które wcale uczyć się czytać nie potrzebują, kuzynki starej Niemczyckiej z Miechowic, która to idąc na „pąć do Częstochów a nie znając liter wbijała śpiewaniem w pamięć rządków znaczenie i to zwała czytaniem". Więc cóż jej szkoła? — Kokocie mleko. „Kokot" koguta znaczy, który przeca mleka nie daje. A gdy jeszcze przyszedł kryzys ekonomiczny i ścieśnił wydatnie zamiary, plan rozbudowy szkolnictwa uległ zahamowaniu.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa przedszkoli. Trudności terenowe, a nie na ostatku finansowe, nie pozwalają na założenie większej ilości ochronek. Dość powiedzieć, że na całym Śląsku Opolskim istnieją dziś zaledwie trzy ochronki polskie! (Bytom, Racibórz, Strzelce), a ilość dzieci objętych ich opieką nie przekracza setki. Przygotowanie terenu pod założenie nowych przedszkoli należy do najpilniejszych zadań chwili bieżącej.

Organizacje opiekuńcze dokładają starań, aby inny rodzaj placówek pracował i rozwijał się jak najbardziej celowo. Są to kursy języka polskiego, przeznaczone dla trzech rodzajów słuchaczy: a) dzieci ze szkół państwowych niemieckich, b) młodzieży od lat 14—20, która już ukończyła naukę, c) dla starszych, chętnie uzupełniających swe wiadomości. Kursy te walczą z wielkimi trudnościami, gdy chodzi o wynalezienie odpowiedniej sali, pozostają przeważnie pod opieką nauczycielstwa szkół powszechnych. Najwięcej aktywności w tej mierze ujawniły powiaty oleski, dobrodzieński, potem opolski, i strzelecki. Z 60 placówek najlepiej prosperowały miejscowości: Bytom, Zabrze, Imielnica, Mikulczyce, Wieszowa, Budziska i Nakło, wykazując przeciętną frekwencję od 24—68 osób.

Najmłodszą, bo dopiero od r. 1934 istniejącą placówką oświatową jest Polski Uniwersytet Ludowy. Pierwszy rok pracy dał rezultaty niezłe, ujawniając przede wszystkim

ciekawość wiedzy w starszym i młodszym pokoleniu. Słuchacze najchętniej odwiedzali wykłady, oświetlające im w popularnej formie zarówno ważne zdarzenia aktualne z dzisiejszego życia Polski, jak i z jej przeszłości. Prelegentami byli przeważnie nauczyciele gimnazjum polskiego w Bytomiu, do którego z kolei przechodzimy.

Jedyna to obecnie szkoła średnia na całym terenie Trzeciej Rzeszy, mająca służyć potrzebom półtora miliona Polaków w Niemczech, jedyna w tym olbrzymim skupieniu kadra, z której uzupełnia się inteligencja już nie samego Śląska Opolskiego, ale Pogranicza, Warmii, Westfalii. Na 246 uczniów w r. 1935 pochodziło ze Śląska Opolskiego 135, Pogranicza i Kaszub 41, Prus Wschodnich 23, z Westfalii i Nadrenii 38, z Berlina 2.

Gimnazjum Polskie w Bytomiu, założone sumptem całego społeczeństwa w kraju, które dopomogło chudej kiesie Polaków w Niemczech, otwarto uroczyście dnia 8 listopada 1932 po długich a uciążliwych zwłóczeniach ze strony władz; posiada ono dziewięć klas wedle ustroju szkół niemieckich o programie typu klasycznego. Już w pierwszym roku istnienia okazało się, jak pilną jest ta potrzeba bytomska, napłynęło tyle zgłoszeń, że niesposób było je wszystkie uwzględnić. Prawo publiczności zdobyto w r. 1935 znów po walce z udziałem Komisji Mieszanej w Katowicach. Gimnazjum mieści się w gmachach zlikwidowanego wydawnictwa „Katolik" w Bytomiu. Równocześnie z remontem tego kompleksu pomyśleć musiano o bursie i internacie dla młodzieży zamiejscowej przecież w olbrzymiej większości. Bursa mieści się obecnie w wydzierżawionej willi (ul. Eichendorfa 22) oraz zajmuje niemal w całości dwupiętrowy „Dom Polski" (ul. Gliwicka 10). Przebywało w niej w r. 1935 stale 217 wychowanków, reszta bowiem była miejscowa, albo dojeżdżała z najbliższej okolicy.

Przełamują się zwolna lody, skorupiące konserwatyzm siodłaka opolskiego. Wiedział on z dziada pradziada, że nauka w mieście jest kosztowna. Sto talarów, (prócz chleba z masłem) kosztował każdy rok pobytu w szkołach; sto twardych, nim się człowiek oksiężył wreszcie. A w Bytomiu taniej: 20 marek opłata za całoroczną naukę, 30 marek za caluteńkie utrzymanie w bursie, a potem już prosta droga do adwokatury albo medycyny.

Co roku po maturze opuszcza mury gimnazjum w Bytomiu kilkunastu wychowanków, materiał na przyszłych lekarzy, adwokatów i pracowników polskich. Jest to drobniutkie ziarnko piasku w morzu potrzeb inteligencji polskiej w Niemczech. Dlatego usiłowania Opolan dążą zawzięcie do rychłego doprowadzenia pod dach drugiej średniej uczelni polskiej. Będzie nią liceum żeńskie w Raciborzu, którego gmach wspaniały, usilnym a zawziętym wysiłkiem całego ludu polskiego w Trzeciej Rzeszy, jest obecnie w budowie. A równocześnie w Tarnowskich Górach — po polskiej stronie — szkolą się roczniki gimnazjastek wedle programu, przewidzianego dla Raciborza, tak że z chwilą otwarcia gimnazjum ciągłość nauki będzie mogła być podjęta już u siebie w domu. Pamiętać należy wszelako i na każdym kroku przypominać, że nawet po wywalczonym otwarciu średniej szkoły żeńskiej w Raciborzu stosunek niemieckich szkół mniejszościowych w Polsce do polskich szkół w Niemczech wyrażać się będzie w wymownej proporcji: **12:1.**

Niezwykle ciężka walka poprzedza każdy z tych drobnych sukcesów. Wypada uzbroić się w ogromny zasób cierpliwości, z którą należy kolejno łamać całe zastępy dużych i małych, zasadniczych i przypadkowych trudności, szykan, niechęci, odwłóczeń. Co chwila wydaje się, że już — jak się mówi na Opolu — „amen, zjadła baba kamień". Walka nie jest nowiną Ślązakowi, trwa w niej od chwili, gdy doszedł do uświadomienia, od czterech więc pokoleń. Sam ją zawsze podjąć musi od początku, gdy o imię dziecka na chrzcie walczy, i wtedy dopiero zakończyć, gdy jego dzieciom o napis na krzyżu mogilnym z fararzem użerać się przyjdzie.

NARODO

ŚPIEW, HARCERSTWO, TEATR

U masztu czuwa straż! Na obozie harcerskim w Imielnicy (pow. strzelecki)

W jednej z wiejskich sal teatralnych — a wiadomo, że to artykuł pierwszej potrzeby na całym Śląsku — czytałem wielkimi literami na ścianie: „Źli ludzie pieśni nie mają". To też Śląsk Opolski śpiewa nie tylko z zapałem, ale z nabożeństwem.

Zdarzyło mi się widzieć kompanię śpiewaków wiejskich, oczekującą na przybycie dyrygenta chóru z miasta. Dziouchy, okraszone odświętnie jak do komunii, nawet „chłopcorki" cichną wobec poważnego nastroju, a gruchliki świarne jak do bitwy jakiej nastroszone. Niemcy, którzy wszystko śledzą i wiedzą, umieją też wiele opowiedzieć o „polskiej ofensywie", jaka się nad Odrą rozwija za pomocą polskiej pieśni, o polskich związkach śpiewaczych, które są „filarami górnośląskiego ruchu narodowego". I wykazują — jak pisze sprawozdawca dziennika „Ostdeutsche Morgenpost" — stały rozwój i wzrost. W roku 1893 powstała pierwsza „Lutnia" w mieście Opolu, w r. 1913 w związku śpiewaczym było już czynnych 47 kół z 2000 członków. Po wojnie: grudzień 1919; wybitną rolę w akcji plebiscytowej odgrywa 120 chórów na całym Śląsku. Potem gwałtowne osłabienie, tak iż w r. 1926 liczono na gruncie opolskim zaledwie 10 kół śpiewaczych. A dziś są czynne i pielęgnują pieśń polską, która przenika w najodleglejsze polskie zakąty Śląska Opolskiego. Największe zrzeszenie — opowiada dalej reporter niemiecki — wykazuje okręg strzelecki (15 kół).

Omówiwszy szczegółowo i cyfrowo rozwój, zasięg i działalność kół śpiewaczych wszystkich okręgów uderza pismo w wielki dzwon na trwogę i stwierdza, że należy co prędzej jąć się immunizacji, czyli zacząć szczepić ludność niemieckiego Śląska, aby się nie zaraziła od polskiego śpiewu. „Ubezpieczenie to — kończy autor — musi być zadaniem niemieckiej kultury i polityki na zachodnim Górnym Śląsku". Kaliber armaty, z której wystrzelił autor, jest nadmiernie wielki; imputowanie naszym śpiewakom takich groźnych

Starzy tylko po odpustach chodzili...

...młodzi ku zlotom się garną

Naczelny harcmistrz polski na weselu harcerskim

Harcerze opolscy w r. 1929 w Poznaniu na „Pewuce"

Na zjeździe śpiewaczym w Bytomiu...

Pierwsza mobilizacja młodzieży — czerwiec 1935

dla polityki niemieckiej zamiarów wygląda raczej na ironię, lub na pretekst do alarmu.

Organizacją naczelną polskiego śpiewactwa na Opolu jest „Związek Polskich Kół Śpiewaczych" z siedzibą w Zabrzu. Owocem jego pracy są zjazdy i zloty śpiewacze, odbywane co jakiś czas w Strzelcach, Raciborzu, Opolu i innych większych ośrodkach. Dziełem związku był ostatnio wielki zjazd śpiewaków w Bytomiu, w r. 1935, który stał się przeglądem nie tylko ześpiewanych krtani, ale i sił zorganizowanych, i zmienił się w żywiołową, potężną manifestację na cześć pieśni ojczystej. Jest to w ogóle organizacja zwarta, dobrze prosperująca i skupiająca wiele tysięcy członków. Organizuje ona kursy dla dyrygentów, zabiega około skompletowania nut pieśni chóralnych dla każdego koła, wydaje śpiewniki (ostatnio: „Echa Śląskie", zbiór na dwa tomiki zakrojony, a ogłoszony w r. 1935 nakładem Związku). Nawiązując do starych i pięknych tradycyj Rogera i Lisa, powybierano najważniejsze i najpopularniejsze pieśniczki nabożne, uroczystościowe, marszowe i ludowe oraz toasty i kanony. Takim kanonem 8-głosowym kończy się miły a bardzo skwapliwie przyjęty tomik:

Płyń polska pieśni w podniebną dal
Potężna wielka, jak huk fal.
Biją serca, dźwięczy głos, słowa pieśni idą w świat.
W świat szeroki pieśni bież!
W duszach ludzkich znacz swój ślad!

Harcerstwo opolskie jest jeszcze młodziutkie, ale bardzo ambitne. Pierwsze jego zalążki oglądaliśmy na P. W. K. w Poznaniu w r. 1929, obecnie Związek Harcerstwa Polskiego z siedzibą zarządu w Opolu dzieli się na trzy hufce (Bytom, Zabrze i Opole). Związek przykłada dużą wagę do organizowania letnich obozów harcerskich, odbywających się corocznie i jednoczących wieś śląską dla idei harcerstwa. Ostra dyscyplina i piękne oporządzenie, idee karności, ofiarności i delikatności w obejściu podobają się bardzo Ślą-

Letni obóz harcerski w Imielnicy (pow. strzelecki)

zakom i niejedna starka dobywa „twardych" z pończochy, aby kupić kapelusz i mundurek harcerski dla swego wnuka. Zuchy opolskie, dają nieraz dowód, że są zuchami. Szczególną sympatię zjednała harcerzom z Opola akcja ich w czasie pożaru we wsi Kucoby, gdy pożar, rozszalały w niedzielę, w czasie gdy wieś była w kościele, zniszczył 5 gospodarstw. W czasie akcji ratunkowej wysunęli się na plan pierwszy. Dziękowali im za to Kucobianie, ba, nawet żandarm niemiecki pokiwał głową i rzekł: *Nein, die Kerls die arbeiten wirklich mit Aufopferung und allen ihren Kräften!* — W czasie strasznej powodzi na Podkarpaciu harcerze bytomscy bawili obozem w Sromowcach, w Pieninach, i za ofiarną pomoc zostali przedstawieni do odznaczenia.

Sport opolski ma więcej niż pieśń i harcerstwo opiekunów. Zajmuje się sprawami sportowymi „Polsko-katolickie Towarzystwo młodzieży" („Pekaesy"), oraz liczne robotnicze kluby sportowe („Erkaesy"). Młodzież opolska na ubiegłą Olimpiadę polską wystawiła jedną z najlepszych ekip, uzyskała też wybitne miejsce 1-szego wicemistrza Polonii zagranicznej. Dzielni sportowcy opolscy nie hołdują jednak zasadzie „zdrowe ciele w zdrowym ciele", lecz umieją patrzyć szerzej i pracują również poza boiskami, nie brak ich w działalności świetlicowo-kulturalnej, w organizacji corocznych „żniwnioków" oraz w pierwszym rzędzie z pasją grywają w teatrach amatorskich.

Pisze poseł Tadeusz Kopeć w „Gazecie Polskiej": „Do najmilszych występów, mimo trudności, a czasami niebezpieczeństw osobistych, należą przedstawienia teatru z Katowic na Śląsku Opolskim. Przyjazd teatru polskiego do Bytomia, Gliwic, Zabrza, Strzelec, Raciborza czy Opola, to wielkie święto ludności na Śląsku Opolskim. Z najodleglejszych krańców Opolszczyzny zjeż-

dżają się wówczas rodacy w strojach śląskich, aby z rozpromienionym obliczem, zapartym oddechem wchłaniać ze sceny słowo polskie. Każde takie przedstawienie jest dla nich przede wszystkim pokrzepieniem i wzmocnieniem dumy narodowej"!

Warto też zobaczyć cud „Dziadów" w Bytomiu. Gustaw z Konradem, choć im zwyczajna kontemplacja widowni, takich pałających wzruszeniem twarzy chyba nigdzie nie oglądają. Naprawdę misterium i nabożeństwo odprawia się na scenie z udziałem setek wiernych, wsłuchanych w modlitewnym skupieniu w dźwięk polszczyzny literackiej i rozkoszujących się treścią dlatego wspaniałą, bo prawie niedosiężną. Gdy grano Fredry „Gwałtu co się dzieje", słyszałem, jak narzekał jeden z gospodarzy, że to „błozny i zbyte". Wolejby z czym innym przyjeżdżali, z czymś pożywniejszym dla zgłodniałych warg. Jakby w obronie Fredry padły wówczas ze sceny słowa Doręby: „Gdzie tchórz tam i zdrajca", które sala przyjęła zawziętym oklaskiem, przydając im swoją własną, mocniejszą od humorystycznej klechdy treść.

Repertuar zespołu, przybywającego na Śląsk rolniczy z terenu przemysłowego, bywa poza tym urozmaicony. Jest tam i „Halka" i „Krakowskie Zuchy" i lekkie sztuki, bywają „pstrokacizny" pt. „20 aktów konania ze śmiechu". Każdy zaś przyjazd jest ostrogą i zachętą dla własnej inicjatywy. Rozwija ją z wielką energią Bytomski Zespół Teatralny, dysponujący zgranym gronem amatorów i olbrzymią dozą zapału. Brak mu tylko własnej szatni, kostiumy musi wypożyczać, co powiększa koszta każdej imprezy. Wśród sztuk przygotowanych w roku 1934/5 najwięcej poklasku zdobyły „Skalmierzanki". Dano 23 przedstawień na całym obszarze opolskiego Śląska, tj. wszędzie tam, gdzie była możność zdobycia na wieczór sali teatralnej. Frekwencja wahała się przeciętnie pomiędzy 300 a 500 widzów, w sumie było ich około 9 tysięcy. Dialogi aktualne w gwarze miejscowej, pisane i grane przez amatorów, cieszą się też wielkim powodzeniem. Pomysłowi aranżerowie zespołu rekrutują się ze Związku Polaków w Niemczech, patronującego niezmiennie i tym poczynaniom również.

W KAMIENIU, U ŚW. JACKA

Zamek hr. Strachwitzów w Kamieniu (pow. strzelecki), miejsce urodzenia św. Jacka i kaplica z pamiątkami po nim

Typowa wieś-gródek, gospodarstwa i domy koncentrycznie okalają wielki, błotnisty majdan-nieużytek, pastwisko gromadzkie. Na obu jego końcach dwa kościoły, a raczej kościół i kaplica z relikwiami. Już poeta humanistyczny Mikołaj Husowski sławił w r. 1525 miejsce urodzin św. Jacka Odrowąża, misjonarza wschodnich i południowych kresów, założyciela prowincji polskiej dominikanów (1228), patrona zakonu († 1257). Św. Jacek to postać bardzo popularna i często obecna w legendach ludowych Śląska. Podobnie jak brat jego rodzony Czesław i siostra Bronisława. O Czesławie wiedzą wszyscy jako ręką gołą odbijał kule, którymi Tatarzy prażyli Wrocław, o Jacku, że się na własnym płaszczu przeprawiał przez wezbraną Wisłę. W Rozbarku pod Bytomiem jest wzgórze kościelne, na którym wedle legendy kazał u źródła św. Jacek; w czasie kazania rozsypały się perły różańca, nawiasem mówiąc przezeń wprowadzonego do przyborów kultu. Gdy nie można było w czerwonym piasku odszukać paciorków, gniewny święty zawołał: „Więc rośnijcie tu póki źródło nie wyschnie!“ Odtąd przez wieki znajdowano na tej górze kamyczki okrągłe, przypominające kształtem paciorki różańcowe. (Chodziło niezawodnie o szczątki meteorytu: *encrinus liliiformis)*. Motyw srok przeszkadzających i odpędzonych łączy się w legendzie śląskiej z Jackiem i Czesławem. Jedna, trochę makabryczna, nawiązuje do późniejszego zresztą mordu księży bytomskich. Z chwilą, gdy Bytomianie, bogaci w srebro, odmówili zapłaty dziesięcin i utopili księdza, śluza otwarła się i woda zniszczyła kopalnię. Gdy św. Jacek w namiętnych słowach potępiał sprawców mordu, przyleciała gromada srok, krzyczących i przeszkadzających. Zaklął je i odtąd nigdy nie pojawiły się w tych stronach. Znowuż św. Czesławowi miały pobrudzić brewiarz w czasie modlitwy i też je przepędził.

Powszechny kiedyś kult św. Jacka powoli zaniknął, stłumiony przez rząd i skierowany

Grota Matki Boskiej w ogrodzie Banku Ludowego w Strzelcach

Wzgórze w Rozbarku, na którym, jak mówi legenda, kazał św. Jacek

przez kościół ku innym, mniej narodowo niebezpiecznym, bardziej domowym świętym. Cała działalność misjonarska św. Jacka odbywała się w Polsce, grób cudami słynący i relikwiarz znajduje się w Krakowie. (W r. 1649 na żądanie królowej Ludwiki Marii, dzierżycielki Opola, wyjęto z czaszki św. Jacka jeden ząb i odstąpiono Paryżowi, gdzie pobożna królowa założyła nowicjat dominikański.) Kraków i narodowa działalność Jacka groziła pewnym niebezpieczeństwem, przeto kult ustał (raczej „został ustany") i zacieśnił się niemal do jego rodzinnego kąta. Bojkot św. Jacka musi być daty dość odległej, o czym świadczyłaby nieobecność jego w pieśniach pątniczych Śląska. Znajdziemy tam pieśni błagalne do różnych świętych w rozmaitych odmianach (do św. Anny, św. Rocha, Jana Nepomuckiego, Walencina, Jerzego itd.), o Jacku nie śpiewa się.

Do tego stopnia zapomniany jest jako patron, że gdy w towarzystwie Opolaka znalazłem się jesiennego popołudnia w Kamieniu, uczynny młodzieniec nie wiedział, gdzie się zwrócić. Na dziedzińcu rozpartego mocno pałacu chodzimy samotni, szukając kaplicy. Kamieniem włada rodzina Strachwitzów, najbliższych potomków świętego, którzy jednak prawdopodobnie nie zdołają nawet wymówić jego nazwiska, a jako panowie i opaci położyli duże zasługi dla germanizacji Śląska. Nareszcie znaleźliśmy kaplicę. Mieści się nieco na uboczu, w oddzielnej baszcie pałacu, gdzie przechowują kołyskę, beret, habit i pas świętego.

Już się zmierzcha. Roztopami wczesnego przedwiośnia wracamy na majdan wsi. Zagadnięta babina opowiada z zapałem w prześlicznych rejowskich deminutiwach, jak to się corocznie odbywa odpust w Kamieniu, jak obnoszą kosteczki Czesławki, Bronisławki i Jacka z pałacu do fary i z powrotem. Hrabia nie tylko pozwala, lecz sam bierze udział w procesji. Schodzą się karlusy, babiny i rządzimy sporo o tym, o owym, że na odpust owszem przyjeżdżają ludzie, siła i mało, ale tylko z okolicy. Rozgwarzając czekamy, aby powrócił od kowala ten obywatel Kamienia, co niedawno rozsławił szeroko ojczyznę św. Jacka. Pan „szołtys" Śledziona, o którego przepałach na Komisyji w Katowicach już wyżej była mowa. Ale że samą polityką nie wyżyje człowiek, a gościa ubawić wypada, więc mi pan szołtys na odchodnem rozgwarza taką „bojkę". Śniły się chłopu trzy szczury, chudy, tłusty i ślepy. — Kiebyś mi ten śnik wyjawiła — powiada rano do baby. Baba dumała długo i wyjaśnia: Chudy szczur to ja a dzieci, tłusty to koczmarz, a ślepy toś ty je — ożyraku szpotawy. Ale chłop wcale nie śmiatał przed nią, choć go i „błogosławić" chciała, bo jest taki staroświecki obyczaj, że szołtysowi śląskiemu nie poradzi inaczej, musi dać koczmarzowi zarobić, musi być ożyrakiem, czyli zaglądać często do kieliszka.

Powróciłem w parę dni potem do kraju z tej bardzo niedalekiej — w linii powietrznej — a przecie tak rzadko odbywanej wycieczki za mur graniczny, gdzie żyje i walczy o swe prawo kilkaset tysięcy autochtonów. I — rzecz zabawna. Usłyszałem w Warszawie najnowszy dowcip polityczny na motywie trzech szczurów osnuty.

U KSIĘDZA PREZESA KOZIOŁKA

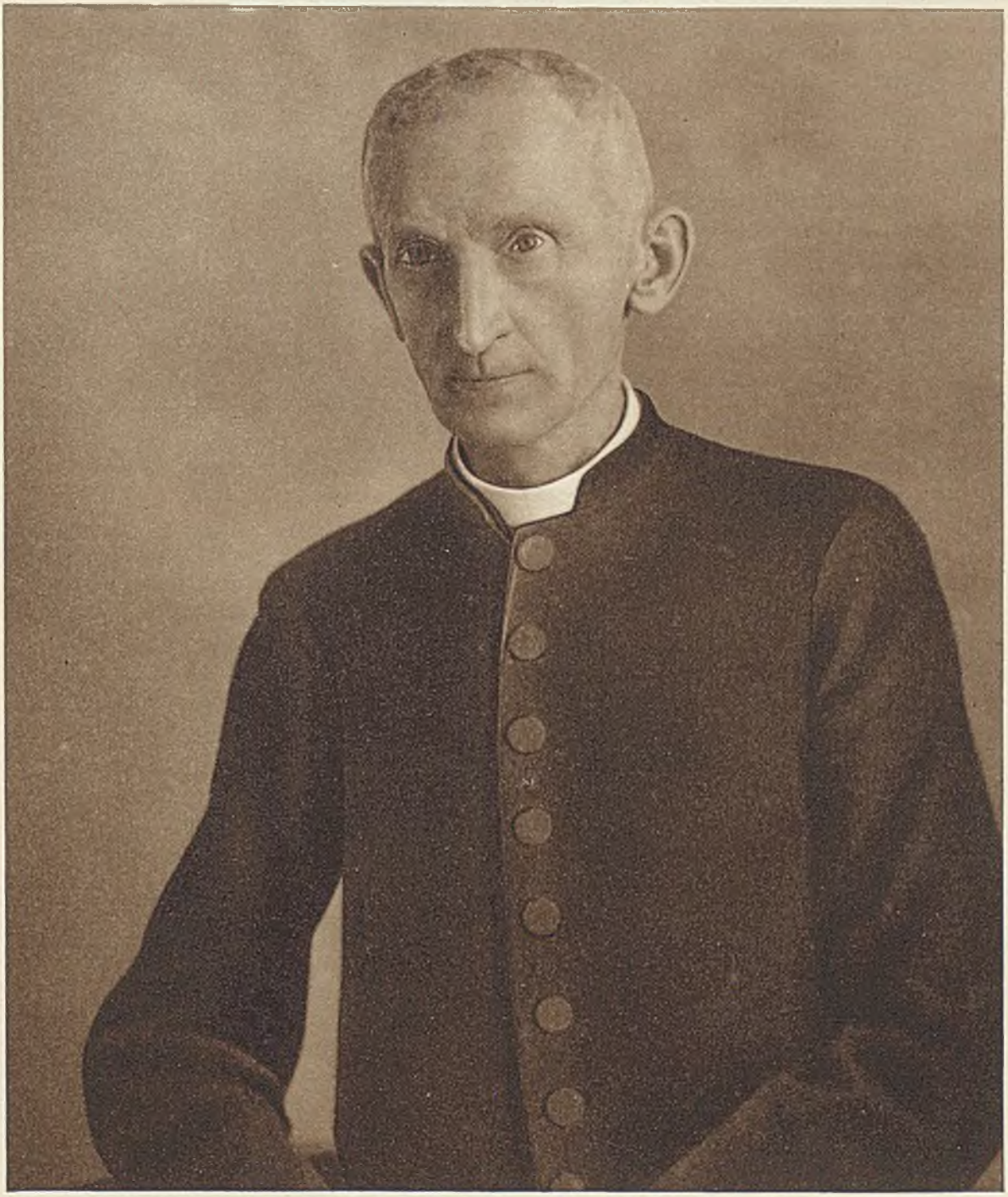

„Kto się zaś wstydzi narodu swego przez wzgląd na doczesne korzyści — ściąga na siebie hańbę na tym i na tamtym świecie"

Bohaterowi znanej noweli Tetmajera „Ksiądz Piotr“ brakowało trzynastu lat do setki. Ksiądz prezes Koziołek w Odmęcie nad Odrą na Śląsku Opolskim mógł by po tabakę chodzić tamtemu proboszczowi z noweli. Jest odeń usilnie młodszy. A patrząc nań, nie myśli się w ogóle o starości.

Jasne, małe oczka jarzą się, jakby u liszki jakiej dobrotliwej, świdrują, biegają, wypatrują naokół. Z fotografii sądząc, spodziewałem się, że kościej będzie zapiekły, zrzędliwy, a tu widzę: ks. Koziołek, gestykulując żywo, przybiera nagle postawę na baczność. Bo opowiadał paniom, jak to kiedyś bywało w wojsku, za młodych, księżulowych lat. I właśnie tym entuzjazmem wspomnień militarnych przywiódł mi na pamięć swego starszego konfratra z Tetmajera. Wobec oczywistej *„compatibility of temper“* drobiazgiem wydać się musi różnica, że tamten służył w powstańskich ułanach listopadowych, a ten w pruskiej piechocie we Wrocławiu. Wyszedłszy z wojska obaj oksiężyli się, ale każdy z innego powodu. Ks. Piotr uczynił to w ekspiacji (jego ojce-dziedzice za dużo bili chłopów po pyskach), proboszcz z Grabiny zaś poszedł do seminarium z prostego poczucia obowiązku. Zorientował się, że ci tu nad Odrą wsiowscy ludkowie dość już długo żyli poza sferą uświadomienia narodowego. Nawet trochę za długo. Przez sześćset lat bez mała nikt się o nich nic zatroszczył!

Gościnna siostrzanka ks. Koziołka wystąpiła z kawką, przy której właśnie siedzimy. Przed godziną przyjechaliśmy tu z Opola przez Chrapkowice, zatykając nosy od straszliwego zaduchu, wydzielanego przez kominy tamtejszej papierni; ks. Koziołek poziera śmigle po swych gościach, ja zaś ujmuję mu jeszcze siedemdziesiąt lat i dyrdamy razem na piechtę, zimą i latem do gimnazjum w Opolu przez te właśnie jeszcze wtedy niezaśmierdłe Chrapkowice. Ma ci wprawdzie stary Koziołek aż 60 „juter“ (mórg) gruntu, a dzieci — jak na obyczaje grabińskie słynne z wielo-

Przed kościołem w Opolu pogwarka

„Owieczko stracona, ach! kandy-żeś jest?“

rództwa — mało, bo tylko ośmiu synów, alc w domu bieda. Jeden chyba Skarga, którego „Żywoty“ czytają głośno („zyztematycznie głośno“) w domu — ratuje Koziołków od dopustów twardego czasu. Za sprawą Skargi głośno czytanego, Karlik dyma do szkoły w podskokach, na nutę:

Jakech chodził do szkoły
uczyłech se litery
Jedna, dwie, trzy, cztery
to są szumne litery!

Potem się szumne litery ułożyły w pióropusz wysiłku i wychowały człowieka, którego żywot, sześćdziesiąt lat upartego żywota, wpisać można w kresowego Plutarcha w całkości.

Bywał ks. Koziołek zrazu wikarym i prebendarzem w Pszczynie, potem w Woli pod Oświęcimiem, by wreszcie na pełnych lat 37 wylądować na chudziutkim probostwie w Grabinie w pow. prądnickim.

Jakto? I nic więcej? Żaden prałat, poseł, dostojnik sejmowy, czy parlamentarny? Ano nie. Woleli go nie puszczać na front, bo za dużo prawdy ludziom zwykł mówić, oglądając się nie na hierarchię, tylko na słuszność, na literę prawa bożego i ludzkiego.

Nie najlepsze, raczej najgorsze panowały stosunki wśród kleru. Nie tylko Bismarck i jego *Kulturkampf*, więcej przeszkadzała miałka postawa samych fararzy śląskich. Ci proboszczowie nie bardzo się zmienili od czasów starego Lompy, który w r. 1862 tak uskarżał się w liście do Karola Libelta: „Księża nasi prawią polskie kazania i słuchają polskiej spowiedzi, ale sami

Zebranie rodzicielskie szkoły powszechnej w Grabinie (powiat prądnicki) (1934) z ks. Koziołkiem pośrodku

Św. Jan Nepomucen schował się pod przydaszkiem

Ks. prezes Koziołek na czele kompanii pątniczej w Krakowie

nic czynią żadnego postępu w języku polskim, żeby lud za sobą na wyższy stopień pociągać. Są oni na wszystko obojętni, co się narodowości polskiej tyczy. Nie kupują polskich kalendarzy, nie utrzymują pism... mówiąc, że się przy niemieckich obejdą. Są na wszystko obojętni, co się narodowości polskiej tyczy... To indywidua zniemczone i germanizm zasilające. Więc jak tu obchodzić 1000-lecie Polski?!"

Duchowy spadkobierca patriarchy z Olesna, zdołał ks. Koziołek stworzyć inny, do nowego czasu stosowny typ duszpasterza. I cierpliwie nauczał swoich parafian, że nieprawdą jest, jakoby Pan Bóg chętniej słuchał spowiedzi w języku niemieckim, a również, że nieko-niecznie trzeba, aby dzieci starowieśniaków opolskich, włodarzy śląskich od prawicku — „panoszyły się", czyli szły do miast na panów urzędnych; lepiej będzie, gdy w domu na wiejskich śmieciach pozostaną i tu o polskiej nowinie pamiętać będą.

Nauki podobne nie w smak szły władzom przełożonym tak duchownym, jak i świeckim, więc nijakiej kariery ks. proboszcz z Grabiny nie zrobił. Najchętniej by go wysłano na tę parafijkę na małym „landzie", gdzie diabeł młode ma, — ale się nie dał. W wojsku bywały, wiedział, co „szarpaczka" znaczy. Walczył zaciekle, a zawsze na gruncie owej litery prawa. Bożego i ludzkiego.

Proboszczom śląskim dzieje się nieźle. Choćby był ksiądz w lesie, to mu każdy niesie! — mówi tameczne przysłowie. Koziołkowi znosili też, ale wszystko na biedotę szło. Nie dojadł, nie dospał, pomagał. Swoim ani obcym nie dał się wszakże „zonaczyć", czyli od swych nieugiętych zasad polskiego proboszcza odwieść. I zeszedł mu na tej walce wiek męski. Na wojowaniu zaiste dłuższym, niż u tamtego podkrakowskiego ułana w sutannie.

— Czyniło się, co można — opowiada skromnie, a z mocna o tych latach i poziera oskomliwie naokół niebieskimi oczkami.

Rozmowa przeskakuje po zdarzeniach, tematach, ludziach. Wszystko obchodzi księdza prezesa. Jeszcze młodszym wydaje się, niż na początku rozmowy. Widzę, że moja skala oceny wieku ludzkiego sprawdza się i na Opolu. Powiedz mi, jaki masz zasięg ciekawości, a ja ci powiem, ile masz lat.

Kawka już dopita. I tort orzechowy (doskonały!) dojedzony. Na ścianie nad łóżkiem, tam, gdzie w domu szlacheckim krzyżują się dwa pałasze, wisi ryngraf z Madonną z Jasnej Góry. 50-lecie pracy kapłańskiej ks. prezesa uczczono w ten sposób na Opolu. Świetny dar i celny dar, bo że się nawojował, to nawojował, choć karabina nie nosił.

Obecnie spracowany emeryt dożywa wieku na emeryturze w swym rodzinnym Odmęcie nad samą Odrą. (Odra, jak wiadomo z geografii, jest to rzeka zaporowa, za której uprzejmym pośrednictwem Warta może dostać się do Bałtyku). Emerytem jest ks. prezes i spracował się bardzo. Ale pomimo wszystko Opolanie cichcem tylko opowiadają w jego obecności, że się gdzieś szykuje jakaś robota społeczna. Bo ks. prezes zaraz, 9-tego krzyżyka niepamiętny, gotów wskoczyć w limuzynę czy bryczkę i dalejże prawić ludziskom zebranym to, co zawsze powtarza w swych pismach i broszurach: „Kto zaś wstydzi się narodu swego przez wzgląd na doczesne korzyści — ściąga na siebie hańbę na tym i na tamtym świecie".

Pacholę prowadzące ks. Piotra — pamiętacie państwo? — nawoływało go troskliwie: — Pomalušku, jegomość, pomalušku, boście starzy.

Chciałbym to samo poradzić czcigodnemu ks. Prezesowi. Ale czy mnie posłucha? Na pewno nie. Ślązak jest przecie.

Takich tęgich Ślązaków nie brakło wśród rówieśnych ks. Koziołkowi duszpasterzy. Dwa tylko nazwiska wymienimy wśród kilku godnych: Ks. Aleksander Skowroński (1863—1932), proboszcz w sąsiadującym z Grabiną powiecie prudnickim. Przez lat kilkadziesiąt pracował on nie tylko na polu uświadomienia parafian, ale i w literaturze śląskiej, wzbogacając ją szeregiem zbożnych wierszy po polsku i po łacinie. Drugim wzorowym księdzem-obywatelem był młodo zmarły ks. Michał Przywara (1867—1906). Rodem z Nowejwsi w pow. opolskim, zdołał w czasie studiów teologicznych we Wrocławiu uzyskać pozwolenie na założenie „Towarzystwa naukowego akademików górnośląskich", którego był główną podporą wraz z Karolem Myśliwcem. Duszpasterstwo Przywary zaczęło się w czasach, kiedy rugowano resztki polszczyzny ze szkół. Stąd jego gorliwość w pracy ratunkowej, językoznawczej. Okazał się znakomitym pracownikiem na polu gwary śląskiej i zbieraczem jej słownictwa. Zostawił kilkanaście prac, zasługujących na ogłoszenie. Ważne materiały słownikarskie, zbiór przywiarków, bajek, pieśni, zebrane trudem całego życia przez ks. Przywarę, każą go zaliczyć do dzielnych pracowników i pisarzy.

Cechą dominującą w poczynaniach tych działaczy była zawsze bezinteresowność. Typ taki jest dziś raczej odosobniony wśród młodego pokolenia księży, chociaż — i to z naciskiem podkreślić należy — nawiązuje do najstarszych etnicznych tradycyj Śląska. Podobny jest do znanych z mitologii ludowej ubożąt. Wiadomo: tak w całej Polsce nazywają się dobre i życzliwe duszki domowe. Kraśnięta te na Śląsku pomagają górnikom w kopalni, rolnikom w polu i stodole. Nie wolno im wszakże nigdy dziękować za życzliwą posługę. Legenda, zapisana na Śląsku już w XVI w. przez Rozdzieńskiego, przestrzega przed losem górnika Kota, który zdjęty litością na widok boso pracujących ubożąt, przyodział je w nagrodę. I oto dobre duszki urażone zniknęły natychmiast, unosząc z sobą szczęście górnika. Bo na dnie duszy śląskiej schowany jest najprzedniejszy ideał ludzki: bezinteresowność.

Obiegły niedawno prasę polską żarliwe felietony znanego pisarza Jana Wiktora, który

w czasie swych wędrówek po Opolu poczynił bardzo przykre spostrzeżenia, obserwując zachowanie się obecne kleru śląskiego wobec potrzeb narodowych ludności polskiej. Wiktor uwikłał się z tej racji w ostrą polemikę z publicystami katolickimi po tej stronie granicy. Niestety, wyjaśnienia zaatakowanych nie stępiły ostrza jego oskarżeń! Pomimo chlubne tu i ówdzie wyjątki, sytuacja obróciła się na gorsze i jest znów taka, jak ją widział Lompa w r. 1862. Lud śląski liczyć musi się z obojętną dla jego potrzeb, mało gdzie im przyjazną postawą ambony i konfesjonału. I zdany jest na własne siły!

Przyszła baba do farorza,
Była bardzo strapiona:

Powiedzom mi książoszku,
Cy jo byda zbawiona?

Ksiądz jej wejrzoł do paszczęki
Baba zębów nie miała...

CO SIĘ DZIEJE W SULKOWIE?

Kamień graniczny między Polską a Czechosłowacją, tam gdzie Olza wpada do Odry

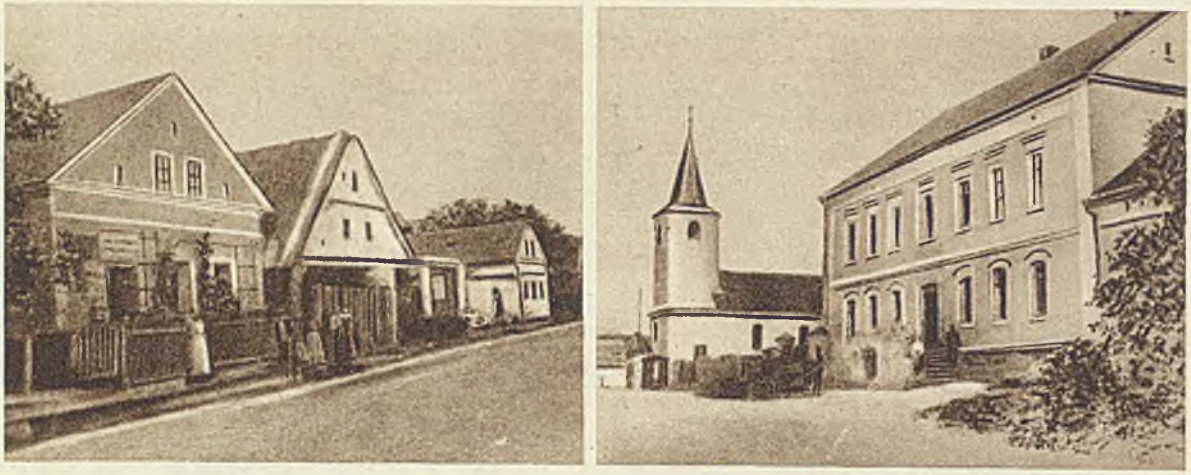

Ulica i kościół w Sulkowie koło Baborowa (pow. Głupczycki)

Sulków leży bardzo blisko, bo tuż poza granicą państwa polskiego, na Śląsku Opolskim. I zarazem bardzo daleko — bo na ostatnich krańcach polskiego obszaru językowego na południo-zachodzie. Jest to mała wioska (815 mieszkańców) w powiecie głupczyckim, którego polskość jest od szeregu lat w stadium kurczenia. W czasie plebiscytu powiat ten głosował w 99 proc. za Niemcami, a w ostatnim spisie ludności ledwo 4 proc. mieszkańców przyznało się do polskości. Sulków leży nad rzeczką Psiną, która jest lewobrzeżnym dopływem Odry. Sąsiednie wioski wynarodowiły się już bardzo dawno. Babice, Wierzbno i Stara Psina już od kilkuset lat mówią po niemiecku. Sulkowianie natomiast ostali się przy polskim. Sami jedni w tej stronie, obok mieszkańców Dziećmiarowa, z którymi zresztą nie mają żadnej łączności. Zmian demograficznych bywało tu w ciągu wieków niewiele. Zapewne od wiciuset lat nie uległ zmianie profil rasowy ludności.

Sulkowianie są zamożni, dzięki urodzajnej glebie. I od dawna piśmienni. Szkołę pobudowano już w r. 1760. Należą do parafii w Baworowie, ale z kazań niedzielnych w tamtejszym kościele niewiele mają pociechy dla swej mowy. Z dawien dawna proboszcze wygłaszają je w gwarze czesko-morawskiej.

Przed laty trzydziestu (1905) rozpoczęła się w Sulkowie wzmożona ofensywa szkoły niemieckiej, a w ślad za nią zaczęła nagle słabnąć dotychczasowa siła odporu. Dawniej, gdy się kmieć sulkowski żenił, narodowość żony mogła być nawet rzeczą obojętną. Niemki polszczyły się prawie zawsze. Od czasów wojny światowej małżeństwo mieszane oznacza nieuchronny wyłom. Dom staje się niemiecki. „W ostatnich latach nawet chałupnicy, którzy pomiędzy sobą posługują się językiem polskim, przemawiają do dzieci po niemiecku. Zachodzi obawa, że najpóźniej po dwu pokoleniach język polski zaniknie w Sulkowie ostatecznie".

Tak pisze Feliks Steuer, rodowity Sulkowianin, autor obszernej pracy pt. „Dialekt sulkowski" (Kraków, Akademia Umiejętności, 1935). Nie jest to tylko rozprawa lingwistyczna i nie tylko naukowa charakterystyka tamtejszej gwary, ale coś nierównie ważniejszego: bo jakby szczegółowy raport i meldunek z reduty, która ze wszech stron otoczona melduje, że trwa na stanowisku.

Cóż się tedy dzieje w Sulkowie?

Ano, nic uderzającego na oko. Kwitnie tu na pozór bujne i pełne życie polszczyzny:

Starodawny obrzęd mycia rąk i nóg w Wielki Czwartek, odbywany do dziś w Sulkowie

Wraz z bałwanem Marzanny na przedwiośniu toną resztki mowy polskiej

Szczuki pływają w wodzie, śliwy targa się z drzewa, gęsi żenie się do rzeki, ćwikłę przerywa, ostrężyny zbiera się w lasach, w chlebie zdarzy się zakalec.

Tęsknica albo tchórz bierze młodzieńca, dziewczyska jeżą się na wsi i smykają po nocach, śnieg kurzy na podzimiu i topi się na słońcu, gęsior szczypie synka, któremu usmarkane sople wiszą aż do gymby.

— Ty zdechlino zdechlińska zajć nie chcesz ciągnąć? — wołają na leniwego konia.

Do ślubu jedzie się „kolasą", bułka nazywa się, jak wszędzie na Śląsku, „żymła". A kiedy Rudlik szkli, to znaczy, że Rudlik kłamie. „Jechał Maciek na jermaczek, kupił se tam wielki placek" — mętują dzieci w czasie zabawy w polu. Pewne dość widoczne wpływy czeszczyzny w morfologii i semantyce nie wadzą, raczej powiększają wrażenie starożytności gwary sulkowskiej.

A gdzież w takim razie przejawy germanizacji języka, na czym ona polega, jak ją poznać? W rdzennym zasobie językowym Sulkowa nie masz jej prawie. Kto mówi po polsku, mówi bogatym, dorodnym, różnolitym językiem. Tak różnolitym, że czasem w kąt wobec niego nasza mowa inteligencka. Takie chociażby nazwy wielkiego tygodnia! — Ileż w nich dosłownie kolorów: żółty poniedziałek, modry wtorek, krzywa środa, zielony czwartek, wielki piątek, biała sobota, czarna niedziela.

Polskie jest w języku tej ostatniej stanicy wszystko, co się tyczy przyrody, nazw rolniczych i życia wsi. Polskie jest wszystko, co ma związek z przyrodą i życiem wewnętrznym człowieka. Polska jest pieśń, przysłowie i baśń. Do świętego Ducha nie zoblekaj kożucha, a po świętym Duchu oglądaj się po kożuchu. Niemieckie natomiast to, co ma związek z miastem, co stamtąd przyjechało lub tam się załatwia. Dlatego mówi się: schruń se zachy do szranku albo narzeka na mały wert żyta, albo ubiera się kristbaum, wyciska zoft i ze sznuplichlą idzie na majandacht i t. d.

Z takim procentem iniekcyj germańskich w organiźmie języka można żyć doskonale. Zdrowo i dobrze. Gdyby przebrać gwarę ludową na Kurpiach czy północnym Mazowszu, wykazała by o wiele więcej nalotu niemczyzny w słownictwie nawet w rdzennych nazwach rolniczych.

A mimo to Sulkowianie żyć nie chcą.

— Tamte czasy były szumne — mówią — a dziś już nie ma nic, choćby wszycko wymżyło.

Urzynają kąsek wierzbowego kija, siadają na kamieniu i robią piszczałkę z takim obrzędowym zamawianiem: „Piszczałeczko wybij mi się — bo cię zabijam, a jak mi się nie wybijesz, pociepnę cię pod plot, zeżere cię kokot, pociepnę cię do rzyce, zeżerą cię kaczyce".

Tamte czasy były „szumne". Znakomite określenie. Coś jakby *kalokagatia*. Bo szumny, to i piękny i urodny i grzeczny i pokaźny i śmiały. O tamtych czasach nie chcą wiedzieć pachołkowie w masztalni (parobcy w stajni), którzy najchętniej mówią między sobą po niemiecku. Teraz som ludzie nauczeni paskudzić. Kupują bumbuny, szukulady i dorty, a dzieciom dają imiona niemieckie na chrzcie.

Już tylko starzy dziękują w niedzielę Panu Bogu za urodę życia i za to, że dobrze skludzili obiel do stodoły. Na Nimcach rządzą hołdy-fołdy, to im ani nie rozumiesz. Tylko starzy krzyczą, że dziaucha ma wszy w głowie, że szwaby i rusy są w kuchni, więc żeby to plugastwo zbyteczne wyplenić. A zambol to jest takie dziecko, co ma zamby, jak wilk. Ty świńska świnio, zakryjesz se, mówią do takiego zambola. A gdy są senni, robią małe oczka.

Tamtym czasom dochowuje wiary pieśń. O komarze, co z dęba spadł. I o tym wróblu, co się ożenił z kawą, cztery mile za Opawą. Bo pieśń ludowa nierychło da się przetłumaczyć i nie pozwoli się zagłuszyć wiosenny „maik", który i tu rozbrzmiewa, jak na całym Śląsku:

Nasz maik zielony, pięknie przystrojony
Na tymto maiczku zielone faborki
Któż ich to przypinał?
Sulkowskie dzieweczki.

Kiedy przed pół wiekiem Lucjan Malinowski obchodził te strony, niby drugi Kolberg, zbierając podania ludowe, nie mógł się wydziwić bogactwu tutejszego folkloru. W każdej wsi powiatu głupczyckiego znachodziły się całe naręcza przedziwnych, niespotykanych gdzie indziej wątków baśniowych. Te baśnie nie zginęły. Starzy Sulkowianie umieją je „rządzić" po polsku. Dzieci zaś opowiadać je będą swoim dzieciom — po niemiecku!!

Rzecz ma się zupełnie tak samo, jak gdzie indziej ze strojem ludowym. Nie chcą go nosić. Dlaczego? Bo jest niemodny i zawstydzający, nie tylko drogo kosztuje, ale poniża człowieka i deklasuje w mieście. Młodzi Sulkowianie są tego samego zdania o mowie, bogatej i szumnej mowie swoich ojców. Wydaje im się niemodną: poniża ich i deklasuje w mieście. I dlatego Rudlik nie chce szklić po polsku, do ślubu nie pojedzie kolasą. A na szczelinę nie powie: skałba.

Polszczyzna dalekiej wioski traci wszelką możność życia. Brak jej tchu. Usycha jak pod kloszem, z którego wypompowano powietrze. „Uważajcie, bo serce stłuczone", jak mówi francuski poeta, S. Prudhomme. Zachodzi bielmem, zanika, traci dźwięk i urodę-ochotę do życia.

Tonie razem z bałwanem Marzanny, którego Sulkowianie topią o przedwiośniu.

Jeżeli zginąć przyjdzie, to zginie, ale w całej krasie słowa, w pełnym bogactwie wyrazu. Na kompromis nie pójdzie.

Tymczasem zaś Sułków posyła mowie i ziemi polskiej swe ostatnie orędzie pożegnalne. Jeden z jego wiernych synków, okryty przybraną nazwą „F. Res", ogłosił niedawno drukiem (Katowice 1935) dwie drobne broszurki: „Ostatni gwojźdźaurz" (prozą) i rymem, słowem z prosta wiązanym: „Z naszej żymjy śluskej". Opis Sulkowa i Baworowa w tamtejszej, dalekiej od toku literackiego, gwarze. Realizuje się tu sprawa, nad którą debatowali i spierali się Ślązacy od wielu setek lat: wprowadzić czy nie wprowadzać w ogóle swej gwary do literatury? Więc

czy lepiej: pisać gwarą śmiało, skoro się nie ma odwagi sięgać do wyżyn literackiej polszczyzny, czy też lepiej — nie pisać w ogóle?

Może to źle, może bardzo źle, że nie pisali. I nie stworzyli już za dawnego wieku swej własnej regionalnej literatury. Może jaki wielki talent nie dał o sobie znać z krzywdą całej poezji polskiej? A na pewno minął bez echa cały zastęp rapsodów i baśniarzy, po których jeno strzępy tułają się w folklorze.

Może to źle, ale z drugiej strony, to i dobrze. Z utwierdzeniem się literatury gwarowej w piśmie, umocniłby się był niechybnie separatyzm językowy, który mógł utrudnić Ślązakom powrót do ziemi i kultury szczepu swego.

Ostatni Sulkowianin śpiewa melancholijnie o słońcu, co już zaszło, o mijaniu „rzeczy", o wietrze i mgłach:

Wysoko styrczum gury mgły płachtum owity
Wszycko im jedno; bo sum przywyknuty
Do dyszcza i słońca.

Powraca w jego wierszętach coraz i coraz poczucie tragizmu mijania: stari czas ne wruci, nowy pokolijni już starziczków zapomina. I leżąc na łące w trawie rozgawędził z młyńskim kołem z pobliża. Koło narzeka na czasy ponure, nie słyszy śpiewu dziewuch w kwietnią niedzielę, po wojnie tylko żal i smutek wszędzie gambam otwiera.

Mało se robi, moc se mundruje
Nyma mjyłojści, zawiść panuje
Zwyki przez długy wjeki chowany
Wy wsi, zostały z chałup wygnany
W sercu głemboko czujam tam zmianam,
Co wywjertała wjelkum mi ranam.
Synku pamjyntej, gdo se zapjyrau
Rzeczy i wjary, w gańbie umjyrau.

Po tych słowach koło młyńskie w Sulkowie zagrzypnęło i stanęło. Z żalu ciężkiego serce mu pękło.

Gwara śląska źle się czuje w tonacjach melancholijnych, molowych, podobnie jak pieśń tamtejsza. Dlatego od ostatnich Sulkowian spojrzmy tam, gdzie życie wre w pełni, w świat raciborski, opolski, oleski. A jeśli chcemy posłyszeć prawdziwy wydźwięk i pełny jej ton — to najłatwiej tam, gdzie jest śmiech, radość i uciecha z dobrego kawału. „Bery i bojki śląskie" Stanisława Ligonia, pisarza i artysty malarza z dynastii dobrze zasłużonej na Śląsku, są jakby zwierciadłem, w którym przegląda się zuchowatość pierońskich gruchlików. Dwa dotychczas wydane tomiki, to brewiarz humoru Śląska, niosący się od mikrofonu katowickiego poprzez wszystkie niwy Czarnego, Białego i Zielonego Śląska i wiążący je wspólną nicią żywotności. Ten Karlik z „Kocyndra" (pismo humorystyczne w czasie plebiscytu) pełni ważną służbę uświadamiającą. Bronią śmiechu, o której już dawno powiedziano, że dlatego jest mocna, bo miesza szyki. I ciągle powtarza: *non-stop*. Nie dam się. Nie poddam się. No.

„I NIE USTANIEM W WALCE..“

Obrońcy Lwowa przywieźli w darze sztandar obrońcom Śląska „na znak jedności duchowej i braterstwa broni“

Krajobraz wsi śląskiej nad granicą zaboru rosyjskiego przed wojną

I

Śląsk, jedna z najstarszych ziem Rzeczypospolitej, jest w pewnym sensie dzielnicą najmłodszą. Najpóźniej zaczął uświadamiać się narodowo. Proces ten, rozpoczęty na dobre dopiero po t. zw. wiośnie ludów, trwał przez całe półwiecze do wielkiej wojny i trwa niezakończony do dziś na Białym i Zielonym Śląsku.

Wiedziony nieomylnym instynktem rasy odczuł Ślązak jeszcze wcześnie, że uratować go może jedynie kontakt, czyli stała łączność duchowa, z krainą ojców, od której go oderwano. I sam się w ciągu całego ubiegłego stulecia o ten kontakt dopraszał, nalegał, sam go mimo wszelkie przeszkody szukał. Przeszkodą był mur twardy i nieprzebyty, zdawało by się. Budowali go bowiem przez ciąg wieków nie tylko polscy nietroskliwi o Śląsk królowie, nie tylko władcy tego kraju, Austriacy naprzód, Prusacy potem — ale budowała go również własna, uśpiona i sycona pokoleniami obojętność narodowa. Jakaś typowo śląska a-narodowość. Gdy jednak senny wał runął — gdy kmiecie śląscy garnąć się zaczęli sami i dopraszać sami: a to żeby na pąć do Jasnej Góry, a to żeby do grobu Kościuszki na Wawelu, a to żeby na zamek królewski w Warszawie, na Kopiec Unii Lubelskiej we Lwowie — wtedy wynikło zjawisko piękne i rzadkie, raz na sto lat spotykane w naszym społeczeństwie. Była nim harmonijna współpraca wszystkich dzielnic, aby temu Śląskowi do wydźwignięcia się z topieli dopomóc.

Jak gdyby w odpłacie czy w pokucie za tylowiekową niepamięć i obojętność, za inercję, za boleśnie pokarane opieszalstwo — Polska, bijąc się w piersi, okazała Śląskowi cnotę, wyjątkowo tylko u nas spotykaną: Oto Królewiacy, Małopolanie i Poznańczycy nie pobili się wzajemnie, jak to przy innych okolicznościach solidarnie *una voce* czynić zwykli — lecz dosyć zgod-

Redaktor Joachim Sołtys w Gliwicach w drzwiach swego sklepu-redakcji w r. 1905

nie wzięli się do odbudowy zanikłej służby łączności. W drugiej połowie ubiegłego wieku zjeżdżają na Śląsk pracownicy z wszystkich dzielnic. Mają na celu podtrzymać, umocnić, rozszerzyć ruch narodowy, jaki się tam w najszerszych masach społeczeństwa zaczął. Masy najszersze, to znaczy: gospodarz małorolny, chałupnik i robociarz, bo innych sfer społecznych już nie ma. Skończyło się mieszczaństwo, wynarodowiła się szlachta. *„Die hatten sich glatt eingedeutscht"* — stwierdzają z radosnym obiektywizmem historycy niemieccy.

Został tylko chłop. I do tego chłopa przyjechali misjonarze z Krakowa, Poznania i Warszawy. Każdy z nich reprezentował inną postawę psychiczną, inną metodę i program pracy oraz inny rodzaj dobrych chęci. Aż dziw, że z tylu rozmaitych dobrych chęci nie powstała prościutka droga do piekła. Nastąpił bowiem przezorny i szczęśliwy podział pracy. Każda z dzielnic budziła ducha narodowego w Ślązakach na swój sposób: Królewiacy, ogarniając szerokie horyzonty, organizowali akcję oświatową i robili dobrą propagandę w barwnym, przekonywującym słowie, Krakowianie nieśli powiew romantyzmu, oparty o stare naukowe tradycje wszechnicy Jagiellońskiej, Poznaniacy wreszcie wskazywali im praktyczne na codzień cele. Radzili walczyć tak, jak sami walczą, uczyli wymowy cyfr, bilansu, tłumaczyli wagę organizacji gospodarczej. Pokwitowaniem, że tak powiem, tej roboty może być podzięka rymowana kowala poety Juliusza

Ligonia pt. „Bratnia życzliwość“, napisana w 50-tą rocznicę powstania listopadowego i w ręce weteranów złożona. Kończy Ligoń tak:

Upraszam przyjąć od Górnoślązaka
Tych uczuć kilka ze serca płynących
Które tchnie duchem prawego Polaka
W modłach za zmarłych przy uczcie żyjących
Którym usta dzisiaj wykrzykują:
Wiwat Wam bracia — Sarmaci niech żyją!

Przyjrzyjmy się trochę bliżej tej robocie sarmackiej.

Zaczął ją Kraków biernie i czynnie. Znowu ciągną Ślązacy, jak przed wiekami, na wszechnicę Jagiellońską. A w Krakowie na rozmaite, jawne i tajne sposoby umacniają łączność z rozbudzoną dzielnicą. J. S. Bandtkie w latach 1820-tych robi wiele pożytecznego hałasu swymi rozprawami o języku polskim na Szląsku i o polskich Ślązakach. Bandtkie, spolszczony Niemiec z Lublina rodem, już z górą sto lat temu z całą przenikliwością prześwietlił problem Śląska i nakreślił program działania. Później ks. Karol Antoniewicz, głośny misjonarz, który nawracał lud okolic dotkniętych rzezią galicyjską, wyprawia się w roku 1848 na Opole z płomiennymi kazaniami, które już przez to miały duże znaczenie, że głosił je kaznodzieja, władający wspaniale mową ojczystą. Józef Łepkowski († 1894), korzystając z chwilowych uprawnień r. 48, redagował „Dziennik Górnośląski“ w Bytomiu, a gdy wydalono go, stał się ambasadorem sprawy śląskiej na bruku krakowskim i ogłosił wiele cennych artykułów. O pracy naukowej pro-

Na Wystawie Krajowej we Lwowie w r. 1894 zjawiła się garstka Bytomiaków...

...w dwadzieścia pięć lat później

fesorów *Almae Matris* nieraz były wyżej wzmianki. Dziś może być dumną szczególnie wszechnica krakowska. U steru spraw śląskich stoi jej wychowanek wojewoda Grażyński.

Zabór rosyjski w siódmym i następnych dziesiątkach ubiegłego wieku podejmuje z ogromnym zapałem opiekę i orędownictwo nad Śląskiem. Przez długi czas hasło to jest nawet modą salonów. Pomoc oświatowa i propaganda wiedzy o Śląsku zatacza szerokie granice, bez różnicy przekonań politycznych. Dość powiedzieć, że interesują się czynnie sprawami ludzie z tak odległych obozów, jak socjalista Bolesław Limanowski i konserwatysta Henryk Sienkiewicz. Pierwszy ogłasza nieprzestarzałą do dziś broszurę „Odrodzenie i rozwój narodowości polskiej na Śląsku" (wyd. 3-cie, Warszawa 1921), drugi jeszcze jako młodziutki publicysta zajmuje się wydarzeniami śląskimi w swych felietonach.

Trwale oddali się pracy budzicielskiej Alfons Parczewski (1849—1933), uczony i prawnik, i Stanisław Bełza (1849—1929), głośny swego czasu pisarz podróżniczy. Mecenas Parczewski z Kaliskiego to wzruszający przykład żarliwego ideowca, oddanego umiłowanej idei. Zwrócił on przede wszystkim, jak wiemy, uwagę na najdalsze okraje polskiego obszaru językowego na Średnim Śląsku, wydane na łup wynarodowienia, bo zamieszkałe przez ewangelików. Zawzięta robota Parczewskiego dla ewangelików nie cieszyła się zbyt wielką sympatią w obozie katolickim, który wyłączał ich poza nawias opieki. Doskonałą znajomością ludzi i stosunków śląskich odznaczała się działalność drugiego misjonarza Stanisława Bełzy. W bez liku artykułów, broszur i książek, mimo trudności stawiane przez trzy cenzury zaborcze, mimo początkowa obojętność

Warszawy, przypominał i nawoływał. I dużo dobrego zrobił tym swoim okrągłym, serdecznie patetycznym, a jedynie celowym w owych czasach frazesem. Obaj żarliwi adwokaci dobrej sprawy wzięli przed śmiercią zasłużoną satysfakcję za swe wysiłki. Zobaczyli Śląsk, chociaż nie w całości, powróconym Rzeczypospolitej.

Późno, ale w chwili najpotrzebniejszej, zgłosił się do współpracy Lwów. W r. 1920 przysłał najpierw egzekutywę akademicką i techniczną do roboty plebiscytowej. Spora secina młodzieży pracowała z żarliwym poświęceniem. A potem stanęli również Lwowianie do apelu w szeregu powstań. Ośmiu legło śmiercią żołnierską na cmentarzykach śląskich, w większości kadeci lwowscy z potomkiem hetmanów, Chodkiewiczem, na czele.

Zakordoniarzom jednak nie wolno osiedlić się wśród najmłodszych braci na stałe. Warszawiacy i Krakowianie mogli na terenie śląskim działać tylko dorywczo. Możność symbiozy trwałej na codzień dana była tylko Poznańczykom.

Zdawało by się: nic łatwiejszego i prostszego jak Poznaniak na Śląsku. Zdawało by się: Poznaniak właśnie będzie tu, z natury rzeczy, najodpowiedniejszy, *primus inter pares*. Są wszakże wychowańcami jednej i tej samej szkoły zaborczej, jednego i tego samego systemu politycznego. A że starsi, doświadczeńsi i hartowniejsi bracia — więc tym łatwiej młodziutkiego Józefa wdrożą i uodpornią. Gdy tymczasem istnieją pewne, trudno dostrzegalne, a nieco — jak już wiemy — istotne różnice między typem psychicznym wielkopolskim a śląskim. Różnice owe doprowadziły początkowo do tarć, budzących wzajemną nieufność i fermenty.

Trzy główne dziedziny objęła praca Poznańczyków na Śląsku Opolskim. W rozległych, rolniczych jego okolicach należało całe jego życie społeczne i narodowe zorganizować i w ogóle rozpocząć. Niby owi pionierowie nad brzegami Susquehanny — o których czytaliśmy za młodu — wysilali się Poznaniacy na dziewiczej, od tylu set lat nietkniętej, tak

W sztabie śląskiej P. O. W. w przededniu powstania

Przed wybuchem Powstania III-go — komendanci P. O. W. (drugi od prawej obecny wojewoda dr Grażyński)

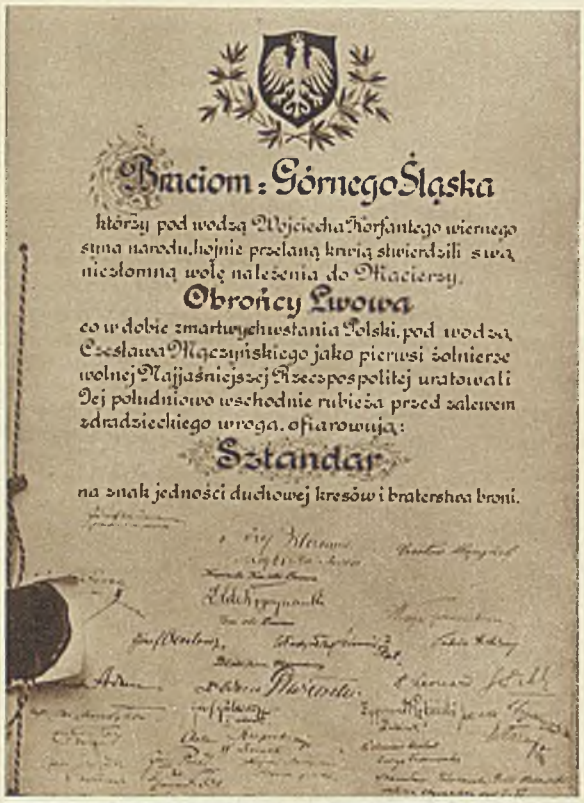
Braciom z Górnego Śląska
którzy pod wodzą Wojciecha Korfantego wiernego syna narodu, hojnie przelaną krwią stwierdzili swą niezłomną wolę należenia do Macierzy.
Obrońcy Lwowa
co w dobie zmartwychwstania Polski, pod wodzą Czesława Mączyńskiego jako pierwsi żołnierze wolnej Najjaśniejszej Rzeczpospolitej uratowali Jej południowo wschodnie rubieże przed zalewem zdradzieckiego wroga, ofiarowują:
Sztandar
na znak jedności duchowej kresów i bratersiea broni.

wyjątkowo kamienistej glebie. Zaczęła się więc: 1. praca oświatowa i wydawnicza, 2. praca organizacyjno-gospodarcza, 3. praca porady prawnej. Od tej trzeciej zaczniemy, bo jest najznamienniejsza.

Administracja królewsko-pruska, stanąwszy wobec faktu przebudzenia się Ślązaków, zorientowała się, że nieprawdą jest to, co się *pro foro externo* opowiada o „wasserpolakach" na Śląsku, czyli o takich po prostu Niemcach, którzy używają dialektu śląskiego *(eine schlesische Mischsprache)*. Okazało się, że żaden adwokat niemiecki tej „Mischsprache" nie zrozumie. Stąd konieczność zawezwania sekretarzy adwokackich z Poznania, bo ci — o dziwo — jakoś prędzej się z „dzikimi wasserpolusami" dogadać mogą. Stąd wziął głośny w latach 80 i 90-tych exodus prawników poznańskich z Cyrylem Ratajskim na czele — na Śląsk Opolski.

Na polu oświatowym od starego i tyle dla oświaty ludowej zasłużonego Józefa Chociszewskiego trzeba zacząć. Chociszewski już od roku 1862 realizował tu program K. Libelta, zakładając tajny związek w jednym z gimnazjów. W następnych dziesiątkach lat do najczynniejszych należą: Bronisław Koraszewski, Stanisław Karwowski, profesor gimnazjum w Głupczycach, ale nade wszystko Adam Napieralski. Ostatni, syn młynarza spod Śmigla, ćwierćwickową, niezwykle energiczną działalnością ogarniał dwie dziedziny: oświatową i gospodarczą. Pod wodzą Napieralskiego „Katolik" zdobył ogromny nakład i wpływ. Założone przez Napieralskiego „banki ludowe" rozwinęły się wspaniale, skupiając zwyż 50 milionów dobrych przedwojennych marek oszczędności chłopa polskiego. Śląsk zyskał dzięki Napieralskiemu własną, niezależną od nikogo bazę materialną. I mógł nawet w chwilach ciężkich dla starszych braci spieszyć im z pomocą. Gdy więc tuż przed wojną pewien bank poznański bliski był „upadku", wyratował go nie kto inny, jak właśnie Bank Ludowy z Bytomia.

To była by *action directe*, bezpośrednia działalność Wielkopolan na Śląsku przyodrzańskim. Ale to jest przeszłość. Dziś Poznaniacy na Śląsk Opolski nie jeżdżą i pracować tam nie mogą. Granica państwowa oddziela. Ale mimo to nie brak ich przy robocie społecznej. Gdzie się rozejrzysz, tam spotkasz Wielkopolanina. W drugim i trzecim wydaniu. To są wnuki i dzieci tych emigrantów („sachsengängerów“), którzy kiedyś „wyciągnęli“ za robotą na Saksy. Polacy z Westfalii. Jedna z najżywszych dziś gałązek plemienia polskiego. Rzekłbyś: zachodniopolscy Królewiacy. Umieją tak samo, jak mieszkańcy województw centralnych, dać sobie wszędzie radę i być jak u siebie w domu. Westfalacy sterują Związkiem Polaków w Niemczech — Westfalacy stoją na czele banków, spółdzielni, redakcyj, organizują chóry i związki śpiewacze, pracują w świetlicach, harcerstwie i w uniwersytecie ludowym — wszędzie są, nigdzie ich nie brak. Czujni, zapobiegliwi, przezorni. To samo mówi się o nich na Opolu, co o „warszawistach“ w Poznaniu. Zdołali w ciągu lat zorientować się w tajnikach, w zakamarkach duszy opolskiej (co nie jest rzeczą łatwą); wiedzą też, jak postępować z władzami nowego reżimu (co jest rzeczą bardzo pożądaną). Uczą Ślązaków patrzeć przez okienko znad Odry na wielki polski świat, wskazują im, że nie tylko Racibórz, Koźle, Olesno istnieją na świecie, ale Olsztyn i ziemia złotowska, ale Warmia i Mazury. Że nie tylko krocie dusz polskich na Śląsku utwierdzać nam trzeba w świadomości, ale miliony Polaków w całych Niemczech i na całym wielkim nieprzejrzanym świecie!

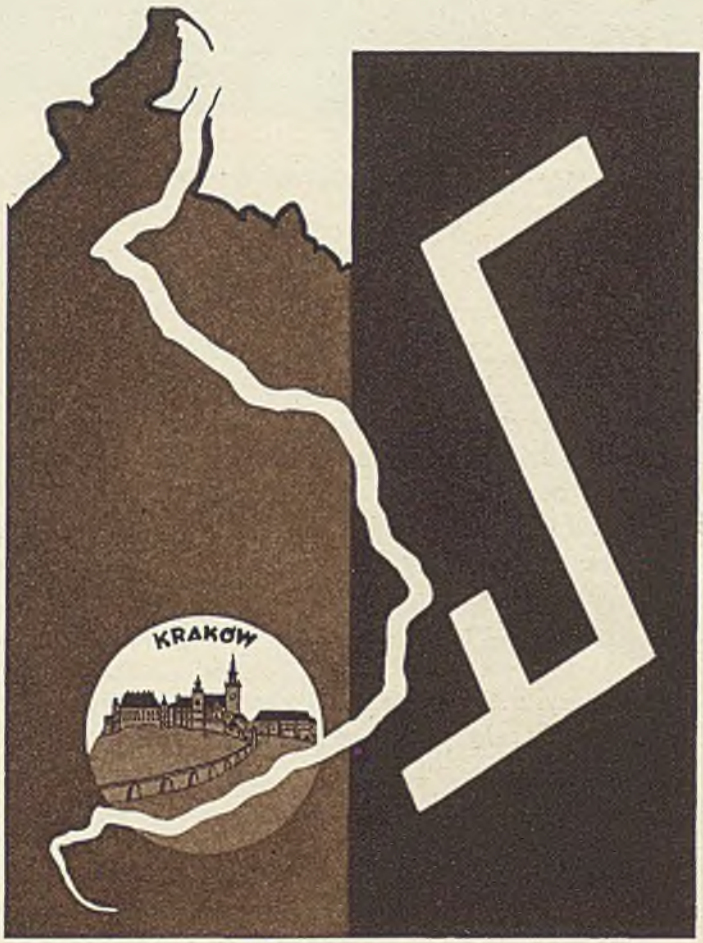

Sejmik dzielnicy I. Związku Polaków, (Śląsk Opolski) w marcu 1931 r.

II

To była bardzo dobra myśl: zjednoczyć wszystkich Polaków, żyjących w państwie niemieckim pod jednym zawołaniem, jak pierwotni rycerze polscy w zgiełku bitewnym jednoczyli się na zawołanie półkozy czy jastrzębca. Takim zawołaniem stało się RODŁO. Nowy wyraz, wszedłszy nagle do języka potocznego, zadziwił ludzi swoim doskonale antycznym dźwiękiem. Byli nawet tacy, którzy studia urządzali po słownikach, aby koniecznie wynaleźć jego genealogię i stare znaczenia. Tymczasem żadnego rodła nigdy nie było, zostało świeżo i celnie ukute. Co oznacza? Rodło jest to hasło, które mówi: „Jesteśmy Polakami, należymy do narodu polskiego, którego kultury kolebką jest Kraków, wierną rzeką Wisła. Te dwie siły to rodło, które nie jest ani herbem, ani godłem, ale symbolem naszego pochodzenia i łączności naszej z całym narodem polskim i jego duszą".

Jeśli się teraz wpatrzyć w rysunek emblematu, który w biało-czerwonej emalii zdobi każdą pierś Polaka w Niemczech, każdą salę i występ publiczny, rozpoznamy stylizowaną linię biegu Wisły. I odróżnia się tym, na pierwszy rzut oka, od swastyki. Pierwsi ozdobieni tym zawołaniem członkowie organizacyj polskich nie budzili nawet wśród brunatnych koszul protestu, raczej kiwano głowami, że to owszem, *artverwandt*, wcale podobne do naszego znaku.

Rodło objaśnia się dalej i legitymuje pieśnią, która, od niedawna wprowadzona, zdołała już wkorzenić się w masach najszerszych; od niej zaczyna się każda uroczystość i zebranie:

Eliminacja szachowa o mistrzostwo Polonii w Niemczech (zdobyła przez Ślązaka z Dobrodzienia)

Od wieków wszystko zwyklim kłaść w ofierze,
Od wieków walczyć co dnia wciąż na nowo
O okruch prawa polskie „W Boga wierzę“,
O polską duszę, każde polskie słowo.

Jesteśmy Polakami!
I tego żadna moc nie zmieni.
Bóg z nami! Sprawa z nami!

Bóg nam wiarą serca rozpłomieni!
Rodło królewskie mamy!
Jesteśmy Polakami!

Rodło i stojący za nim Związek Polaków w Niemczech ma szczególnie doniosłe znaczenie dla rozwoju uświadomienia w najstarszej (i najmłodszej zarazem) warstwie polskości: na obu przybrzegach Odry, w puszczach oleskich, na ogrodach raciborskich. Włącza bowiem sobie pańskich Ślązaków do wielkiej rodziny, jaką stanowi Polonia w Niemczech, stawia w jednym szeregu z rodakami z Pogranicza złotowskiego, z Westfalii. Ślązacy nie byli by nieodrodnymi Lechitami, gdyby na dnie ich duszy nie kryła się chętka do warcholstwa i niekarności organizacyjnej. Lubią chodzić luzem, każdy na swej zagrodzie równy wojewodzie, jak szlachcic siedemnastowieczny. Stają często bezradni w walce z rzeczywistością i nie wiedzą którędy? („ze wszystkimi nie możemy na raz wojny wieść, bo mych są pogrzebani w butach“). Wtedy bierze ich w opiekę Związek Polaków w Niemczech.

Miasto Opole, siedziba naczelnych władz państwowych, jest też siedzibą Dzielnicy I Związku Polaków, która tu powstała celem organizowania życia narodowego i nadania jednolitego kierunku wszystkim poczynaniom w dziedzinie kulturalnej i ekonomicznej. Jedyna to instancja, w której znaleźć może obronę uciśniona a pozbawiona jakiejkolwiek reprezentacji polskość Opolan. Dzielnica I Związku Polaków w Niemczech dzięki nieznużonym wysiłkom została wreszcie oficjalnie uznana przez Komisję Mieszaną w Katowicach jako reprezentacja mniejszości polskiej na należących do państwa niemieckiego obszarach Śląska. Fakt ten zwiększył powagę organizacji i zdobył jej zaufanie w najszerszych masach. A wypadło zmagać się od pierwszych chwil o osiągnięcia najskromniejsze. O wolność oddychania po polsku w ogóle!

„Walczyć musimy — słowa sprawozdania z 10-lecia prac Związku — o każdą literę prawa. Walczyć muszą nasze dzieci o pacierz do Boga, o polską pieśń kościelną, o każde słowo z elementarza. Walczyć musimy o lokale do zebrań, lekcji, przedstawień teatralnych. Walczyć muszą rodzice o zarejestrowanie imienia dla nowonarodzonego dziecka".

Dodajmy, że wyraz „o literę prawa" należy rozumieć dosłownie. Precyzja nacisku jest pod tym względem niezwykła. Każdy atak przemyślany w najdrobniejszym szczególe, a obliczony na znużenie, zniechęcenie osaczonego przeciwnika, który może wreszcie machnie ręką i zre-

zygnuje z dalszej walki o to, co mu się należy. Chodzi o to, by jak najdłużej grać na zwłokę i zniechęcać, czyli *„mürbe machen“*, jak to mówią Niemcy.

Walka o niezależność gospodarczą ma dawne tradycje i ugruntowaną przyszłość przed sobą. Oglądając grafikon, na którym uwidoczniono obecny stan i rozwój spółdzielni polskich w Niemczech, spostrzegamy, że udział Śląska Opolskiego jest tam zawsze wydatny i bardzo rozgałęziony. Zobaczymy sieć banków ludowych, działających na całym terenie (Bytom, Gliwice, Opole, Głogówek, Strzelce, Racibórz, Olesno), że równie liczne są w tych miejscowościach organizacje „Rolnika“, (Opole, Racibórz, Strzelce, Olesno, Dobrodzień), dalej niewielka, słabo z powodu kryzysu prosperująca, spółdzielnia ogrodników w Raciborzu, spółka budowlana w Opolu, wydawnictwo „Nowin Codziennych“ itd. Są to wszystko rezultaty wysiłków dwóch ostatnich pokoleń, których postawa może być przykładem dla innych dzielnic.

Z chwilą rozpoczęcia przebudowy ustroju Niemiec w myśl zasad narodowego socjalizmu zasięg prac zwiększył się wielokrotnie; wypadło bronić się na frontach dotychczas nieatakowanych.

Szczególnej czujności wymaga ustawa z 29 września 1933 o t. zw. włościach dziedzicznych *(Reichserbhofgesetz)*. Ustawa ta poddaje rolników drobnych i średnich od 7½ ha wzwyż prawom wyjątkowym, ograniczając wolność rozporządzania gospodarstwem i majątkiem. Opierając się na staroniemieckim obyczaju dziedziczenia, rząd hitlerowski postanowił zmienić włościan w lenników państwa i utrzymać ich jako źródło krwi narodu niemieckiego. Wobec nieulegającego wątpliwości faktu, że ustawa taka nie może dotyczyć ludności polskiej, Z. P. wystosował do rządu Rzeszy 15 maja 1934 na ręce kanclerza Hitlera odpowiednie podanie, oczekując, że nie będzie stosowaną. Dopiero w rok prawie później 13 marca 1935 minister spraw wew-

Jesteśmy Polakami i tego żadna moc nie zmieni!

...Rodło królewskie mamy!...

Bóg z nami! Sprawa z nami!

nętrznych w dłuższej odpowiedzi wyjaśnił, że „nie ma powodu podawać w wątpliwość stosowanie tej ustawy do ludności polskiej", a „fakt przynależności do mniejszości nie będzie brany pod uwagę przy stosowaniu ustawy". Nie pozostawało nic innego, jak założyć uroczysty protest, co też uczyniono pismem „Do Wodza i Kanclerza Rzeszy", wystosowanym dnia 2 maja 1935 r. Podkreślono w proteście sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy tym nowym dociskiem, godzącym w mniejszość polską, a oświadczeniami kanclerza, wykazano, że „podobna interpretacja nie odpowiada podstawowej idei narodowego światopoglądu Trzeciej Rzeszy", w której „niemieckie prawo — wedle słów ministra dra Franka — ustanowione jest w tym celu, aby było narzędziem państwa dla ochrony rasy niemieckiej, ziemi niemieckiej, człowieka niemieckiego i kultury niemieckiej". Ponieważ mniejszość polska nie zamierza zaginąć zarówno pod względem biologicznym, jak prawno-państwowym — zakłada niniejszym uroczysty i stanowczy protest przeciwko stanowisku ministra spraw wewnętrznych Rzeszy i Prus w piśmie z dnia 13 marca 1935.

W związku z całym szeregiem nowych zarządzeń organizacyjnych, o których często interesowani drobni rolnicy śląscy nic mają dokładnego wyobrażenia, czynne są: pomoc prawna, biura porady, przy organizacjach zawodowych, dnie oszczędności, dodatki tygodniowe „Nowin Codziennych" i in.

Związek Polaków to nie tylko instancja opiekuńcza i poradnia dla Ślązaków Opolskich, to zarazem jedyna już dziś trybuna, z której milionowa rzesza w Niemczech może przemawiać w obronie swej egzystencji. W r. 1936 pozbawiono bowiem ludność polską prawa posiadania swego przestawicielstwa w parlamencie Rzeszy niemieckiej.

Tym potrzebniejszą i ważniejszą jest praca Z. P. na terenie Opolszczyzny. Uświadamia ona Ślązaków, co mają czynić, aby spełniając obowiązki obywatela Trzeciej Rzeszy nie narazić równocześnie na umniejszenie swego duchowego i materialnego stanu posiadania. Słowem ujmuje w normę prawną i daje podbudowę rzeczową uczuciom, które wyraża śpiewane powszechnie hasło Polaków w Niemczech:

I NIE USTANIEM W WALCE
SIŁĘ SŁUSZNOŚCI MAMY
I MOCĄ TEJ SŁUSZNOŚCI
WYTRWAMY I WYGRAMY!
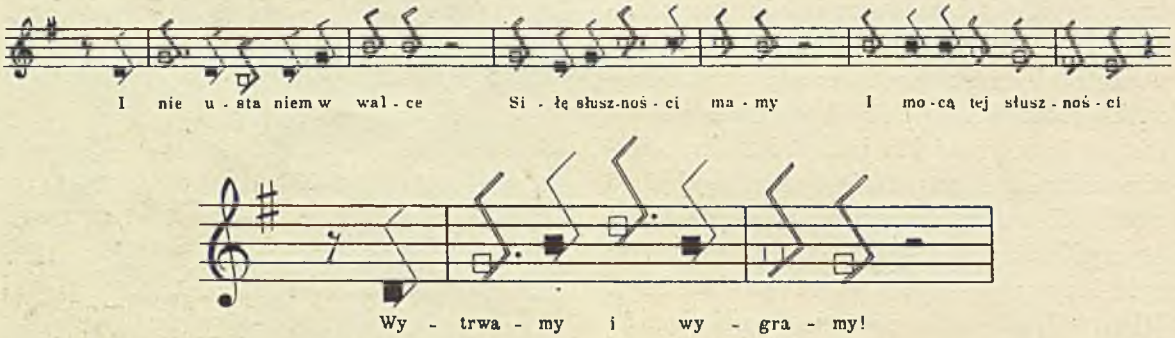
W samym znaczeniu wyrazu „Opole“, zanim zaczął on jeszcze służyć jako nazwa miejscowości i krainy, przechowała się najstarsza pra-polska i pra-słowiańska tradycja pierwotnej organizacji lechickiej. „Opole“ był to związek społeczny, opierający się na sąsiedztwie. Do obowiązków jego należały: solidarna odpowiedzialność mieszkańców za przestępstwo, solidarne świadczenia w sprawach granicznych, solidarne ofiary na rzecz wspólnego dobra.

Solidarność! Z potopu stuleci minionych, burzliwych wynurza się teraz hasło, kiedyś, przed lat półtora tysiącem tu nad Odrą rzucone. I staje jako przykazanie, jako ostrzeżenie. Więzią być winno łączącą Opolan między sobą, łączącą Nas z Nimi.

Śląsko Opolskie! Ludkowie złoci! Trzym się, nie zapom!

Pochód Związku Polaków w Niemczech

INFORMACJE BIBLIOGRAFICZNE

NA ZGLISZCZACH POLSKOŚCI WROCŁAWIA

W. P(ol). Z wycieczki. Bibl. Ossolińskich II. Lwów 1847. str. 640—1.

L. Malinowski. Listy z podróży etnograficznej po Szląsku. Na dziś. Pismo zbiorowe. r. 1872. II. 292.

Wł. L. Anczyc, Paweł Stalmach. Wisła, księga zbiorowa. Kraków 1873, s. IV.

Peuckert. Schlesische Volkskunde 134 s.

Parczewski Alf. Warszawa Śląskowi, Warszawa 1920 s. 13—4.

Semkowicz Wł. Historyczno-geograficzne podstawy Śląska. (Historia Śląska, T. I. Kraków. Ak. Um. str. 1—71).

Beiträge zur Beschr. von Schlesien IV. Brieg 1785 s. 316.

Bernacki L. Geneza i historia Psałterza Floriańskiego. Lwów 1927.

Musioł Ludwik. Polskość w protokółach wizytacyj kościelnych archidiakonatu wrocławskiego w XVII w. Komunikaty Instytutu Śląskiego w Katowicach S. II. nr. 6 (1936).

Pamiętnik Towarzystwa literacko-słowiańskiego we Wrocławiu. Bydgoszcz 1869.

K. Prus. Przedmowa do zbioru wierszy K. Damrotha: „Z niwy Śląskiej" Mikołów 1922.

Eisenmann Louis. La Silésie dans l'histoire (w dziele zbiorowym: La Silésie Polonaise, Paris 1932).

Z BIEGIEM ODRY

Semkowicz Wł. Rola czynników fizjograficznych w rozwoju dziejowym Polski. (Przewodnik kongresowy II. Zjazdu słowiańskich geografów i etnografów w Polsce. Kraków 1927 r. 49 s.).

Pol Wincenty. Z wycieczki l. c.

Koziełek A. Piękno rodzime wsi polskiej. („Ze Śląska Opolskiego" Opole 1917).

MIASTO, WIEŚ, KOPALNIA

Tygodnik literacki, Poznań, 1842 s. 303—4.

Stenzel. Scriptores rerum silesiac. II. 149 (przekład polski u Piernikarczyka, Historia górnictwa l. c. s. 69-71).

Oberschlesische Heimat, IV, 1908 s. 218 (tablica Spiery z rysunkiem).

Lompa. Listy do Kraszewskiego l. c. s. 59 i 58.

Ze Śląska Polskiego, Opole 1917 s. 60 (A. Stabik, Gliwiczanki).

Pol W. Z wycieczki Bibl. Ossol., Lwów, 1847 s. 545—7.

Balzac. Podróż do Polski. Przekład Boya Żeleńskiego. Tyg. Il. 1931, nr 34.

(Zieliński Wł. K.). Szląsk (pruski) słowem i ołówkiem na podstawie najnowszych źródeł przedstawiony, Warszawa, 1889 s. 34 i n.

Komar, Rybarz-Szczepański. Górny Śląsk, Katowice (1931) s. 38—40.

Drzażdżyński St. Słowiańskie nazwy miejscowości na Śląsku pruskim. Kwartalnik etn. Lud., t. XIX (1915) s. 23 (Gnadenfeld).

Grabowski. Elisabeth, Die Volkstrachten in Oberschlesien, Breslau, 1935 s. 3212.

Zimmer. Entwickelung und Stand der O/S Landwirtschaft. Erlangen 1924 (oraz informacje p. Wacława Olszewicza).

DWORZYSZCZE I ZAMEK NA PASIECE

Jachimowicz Roman. Odkopanie osady wczesnohistorycznej w Opolu. Z otchłani wieków. R. VII (1932) s. 29—37.

Szczepaniak Stefan. Odkrycie polskiej osady w Opolu. Il. Przegląd Katolicki. Rok I. (1931) str. 164—1.

Spychalski Zbigniew. Nowoodkryte osiedle piastowskie. Kurj. Pozn. z 25 stycznia 1931.

Soński Wiktor (Stanisław Karwowski). Z przeszłości Śląska. I—II, Bytom 1895—98.

Nosek Stefan. Życie naszych praojców Słowian. I.K.C. (dod.) z 27 lipca 1931.

Kostrzewski Józef. Przedhistoryczne związki Śląska z resztą ziem polskich, Katowice 1936.

Godebski X. Pamiętniki Hansa Szlązaka. Paryż 1847 s. 7. (Pomnik ostatniego Piasta).

POD JEDNYM PRAWEM I JEDNĄ ZWIERZCHNOŚCIĄ Z KORONĄ

Barycz Henryk. Ślązacy na uniwersytecie jagiellońskim od XV—XVIII w. Katowice 1935.

Hans v. Schweinichen. Lieben, Lust und Leben des Deutschen des 16 Jhr. (wiele wydań). Po polsku: Pamiętnik H. Schweinichena do dziejów Śląska i Polski 1552—1602, przekład skrócony Hier. Feldmanowskiego. Drezno 1870.

Godebski X. Pamiętniki Hansa Szlązaka z XVI wieku. Paryż, w biórze interesów polskich, 1847.

Piernikarczyk J. Pierwsza polska ustawa górnicza czyli „Ordunek Górny", historyczny dokument G. Śląska z r. 1528, Tarnowskie Góry, 1928.

— Historia górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku. Tarn. Góry 1935 s. 237 sq.

Dobrowolski Kaz. Listy J. Lompy do Kraszewskiego. Katowice 1931, s. IX.

Zivier. Die Amtssprache in Schlesien. Oberschlesien 1903, I. 12.

Nehring Wład. Eine schlesische polnische Urkunde vom Jahre 1587. Archiv f. slav. Phil. 1881. 465.

Ogrodziński W. Stan i potrzeby nauki polskiej w zakresie piśmiennictwa śląskiego. Katowice 1936.

Nehring Wład. Listy polskie śląskie z XVI w. Pamiętnik Literacki 1902. 449.

Kopeć Tadeusz. Szkodliwa sugestia. Gazeta Polska z 30. VI. 1935.

Kot Stanisław. Zaniedbania polskie wobec kulturalnej przeszłości Śląska. Zaranie śl. 1929.

Pawiński A. Młode lata Zygmunta Starego. Warszawa 1893 s. 133 i nast.

Szelągowski A. Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego. Lwów 1904 s. 44 i 46.

Breyster E. König Sigismund von Polen in Schlesien. (dysertacja wrocławska) Striegau 1906.

Piotrowicz K. Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii. Katowice, 1936 s. 3 i 41.

Dzięgiel Wł. Król polski Zygmunt I. na Śląsku. Odczyt z cyklu „Polski Śląsk".

Reces graniczny między Wielkopolską a księstwem głogowskim z roku 1528—1531 wydał dr. Z. Celichowski. Poznań 1900.

Soński Wiktor (=Karwowski St.). Z przeszłości l. c. I. 247: Czarny Krzysztof.

W JARZMIE HABSBURGÓW

Popiołek Franciszek. Przyczynki do dziejów polsko-śląskich. Zaranie Śl., t. X, s. 194 n.

— Stosunki polsko-śląskie w czasie wojny 30-letniej. Zaranie Śl., t. XI, s. 25—36.

Szelągowski Adam. Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego, Lwów, 1904.

Dzięgiel Wład. Utrata Księstw Opolskiego i Raciborskiego przez Ludwikę Marię w r. 1666. Kraków 1936. Polska Akademia Umiejętności.

Hoffmann H. Die Jesuiten in Oppeln, Breslau, 1934.

Barycz H. Ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na G. Śląsku, Zaranie Śl., R. 1935 s. 243—83.

JAN III PRZEPRAWIA SIĘ PRZEZ ODRĘ

Piwarski Kaz. dr. Śląsk a Polska za Jana III. Księga o Śląsku, Cieszyn 1929, s. 107.

— Jan III na Śląsku w r. 1683. Roczniki Tow. Przyj. Nauk na Śląsku. Katowice IV. (1934).

Popiołek Fr. „Potrzeba wiedeńska". Zaranie śląskie IX. zesz. 3.

Szczodrok Karol. Schlesiens Anteil an den Türkenkriegen. Der Oberschlesier 1933, Heft 9.

Hejnikowski F. Sobieski na Śląsku w drodze pod Wiedeń. I.K.C. z 11 września 1933.

Czudek Andrzej. Drzewa Sobieskiego na Śląsku. Zaranie Śląskie IX, zesz. 3.

Pszczółka Krakowska 1821 t. III s. 238 (Diariusz Diakowskiego).

Kallenbach Józef. Kalendarz króla Jana III z roku 1683. (Czasy i ludzie, Warszawa 1905).

Wóz tryumfalny Sobieskiego na Śląsku. Zaranie Śl. 1934 s. 197—8

JAK SIĘ WNIEMCZYLI EWANGELICY POLSCY?

Ogrodziński W. Stan i potrzeby nauki polskiej w zakresie piśmiennictwa śląskiego. Katowice 1936.

Kolbuszewski K. Postylografia polska XVI i XVII w. Kraków 1921.

Dobrowolski Kaz. Uwagi wstępne o piśmiennictwie polskim na Śląsku. Listy J. Lompy do J. I. Kraszewskiego z lat 1860—1862. Katowice 1931 str. VII—XXVIII.

Bock Jerzy. Nauka Domowa i wyjątki z Agendy. Opracował W. Ogrodziński. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. T. V, Katowice 1936.

Łempicki Stanisław. Nieznany kancjonał z Byczyny. Sprawozdania Towarzystwa Naukowego Lwowskiego, Lwów 1928.

Buzek Andrzej. Dzieje polskości w kościele ew. na Śląsku. Zaranie Śląskie 1933—1935.

Głos pastora R. Fiedlera za polskimi protestantami w Szląsku. Tygodnik Literacki, Poznań 1844 nr. 34.

Badura Jerzy. Liczby prorockie. Odolanów, nakład Fr. Przykuty, 1920.

Rektor Alfons Parczewski. Życie i prace. Odb. z „Rocznika Prawniczego" Wilno 1930.

Korfanty Wojciech. Śp. pastor Jerzy Badura. „Dziennik Poznański" z dnia 6 września 1911.

KLASZTORY WALCZĄ

Wattenbach. Abriss der Geschichte des Klosters Czarnowanz. Zeitschr. für Geschichte u. Alterthum Schlesiens. Breslau 1858. T. II. str. 41—71.

Szlakiem dziejów klasztoru Norbertanek w Czarnowąsach pod Opolem. „Nowiny codzienne", Opole 23 luty — 24 kwietnia 1930.

Lange Ernst. Kloster Czarnowanz. „Der Oberschlesier" Verlag Oppeln 1930.

Soński Wiktor (=Karwowski St.). Z przeszłości Śląska. Bytom 1898. II. s. 290—305.

Wuttke K. Dr. Nationale Kämpfe in Kloster Trebnitz. Zeitschrift für Geschichte u. Alterthum Schlesiens. T. 24. (Breslau 1890) s. 1—30.

Pierzchalanka-Jeskowa Stef. Dzieje klasztoru w Czarnowąsie na Śląsku w wiekach średnich. Poznań 1928.

Nehring Wł. Listy śląskie. Pamiętnik literacki, 1902.

Wasylewski. Klasztor i kobieta. Poznań, 1923.

NA POWITANIE NOWEJ WŁADZY

Ziekursch J. 100 Jahre schl. Agrargeschichte. Breslau 1927 (częściowe streszczenie w Komunikacie Instytutu Śl. nr. 50).

Lud t. XXXIII. s. 112.

Pampuch P. Usamowolnienie chłopów górnośląskich. Roczniki Tow. Przyj. Nauk na Śląsku t. I. s. 36 i nast.

Soński W. (=Karwowski St.). Z przeszłości Śląska. Bytom 1895. I. 361 II. 232 sq.

Przyjaciel Ludu, X. 44 Leszno 1843 sq.

Malinowski L. Powieści ludu polskiego na Śląsku. Mat. antr.-etn. t. V. s. 157 (pieśń z Dzierzna).

Ziekursch J. Hundert Jahre schlesischer Agrargeschichte. Breslau. 1927 s. 46—7, 51—3, i in.

Müller — Prem. Fritz. Das Musikleben am Hofe der Herzöge von Württemberg in Carlsruhe in OSchlesien. Breslau 1922 (dysertacja).

Regchly. Geschichte und Beschreibung von Carlsruhe in OS. Nürnberg 1799.

Lompa J. Ofiara miłości niewczesnej. W Jaśle 1858 s. 16; Soński W. Z przeszłości Śląska. I. 371—8; Bonczyk. Góra Chełmska s. 14, 25, 33, 36, 58 (O Gaszynach).

Bonczyk N. Stary kościół Miechowski Op. 1922 s. 85 i nast. (O Mleczkach i innych dziedzicach).

Prus K., J. Lompa s. 52, 71; Schwidetzky Ilse. Die polnische Wahlbewegung in OS. Breslau 1934 s. 6. 11 (o Kosickim).

por. nadto:

Jaroń J. Z pamiętnika Górnoślązaka. Katowice 1932. s. 167.

Nowaczyński A. Co za temat! Co za temat! (Książęta Sułkowscy ze Słupnej pod Mysłowicami). Polonia z 17 marca, 1935.

HEJ, HEJ, ŻOŁNIERZE!

Staszewski Janusz. Wojsko polskie na Śląsku w dobie napoleońskiej. Katowice 1936.

Dobiecki Wojciech. Wspomnienia wojskowe, „Czas" dodatek miesięczny 1859 zesz. 44 s. 226 n.

Kołłątaj Hugo o Śląsku. Komunikaty Instytutu Śląskiego, seria I, nr. 31.

Bartoszewicz Kaz. Napoleon wobec Śląska. Rzeczpospolita 1921 (numer napoleoński).

Latterman. Oberschlesien und die polnischen Aufstände im XIX Jhr. Zeitschrift des Vereins für Geschichte Schlesiens t. 64 (1930) s. 212 n.

Wojtkowski Andrzej. Antoniewicz Franciszek. Polski Słownik Biograficzny I., 137.

KOLEBKA I GŁÓD

Dobrowolski K. Uwagi wstępne o piśm. pols. na Śląsku (w „Listach J. Lompy do Kraszewskiego"). Katowice 1931.

Ksiądz (=Kudera). Dziennikarstwo polskie na Śląsku. Zarys historyczny. Bytom 1912.

Prus Konstanty. O pierwszych polskich drukarzach i wydawcach na Śląsku Górnym to i owo. Mikołów 1920.

Parczewski A. J. O literaturze ludowej Śląska pruskiego i Łużyc. Pamiętnik Zjazdu literatów i dziennikarzy polskich. I. Lwów 1894.

O Kosickim zob. Prus K. Lompa l. c. s. 52, 71 Schwidetzky J. l. c. s. 6, 11.

Rok 1848: Hanke E. Tyfus głodowy na G. Śląsku w r. 1848. W książce zbiorowej „Ze Śląska Polskiego" Opole 1917. — Prus K. Lompa l. c. s. 44—8

Bismarck's Fürst Reden. t. XI s. 150 (Reclam's Bibl. t. 3871).

Kusche Lucia. Schlesiens Anteil an der national-deutschen Entwicklung von 1840—48. Zt. d. Vereins f. Gesch. Schlesiens t. 53. — Latterman. Oberschlesien u. die poln. Aufstände im 19 Jh. Tamże t. 64.

LOMPA

Prus Konstanty. Józef Lompa, jego życie i prace. Bytom, nakład autora, 1913.

Listy J. Lompy do J. I. Kraszewskiego z lat 1860—1862. Wydał i wstępem poprzedził Kazimierz Dobrowolski. Katowice, nakład Muzeum Śląskiego, 1931.

Musioł Paweł. Lompa w świetle swych listów do Kraszewskiego. Zaranie Śląskie. VIII. 2.

Sławiczek Jan. Z wycieczki do ojczyzny Lompy. Zaranie IX. str. 185.

Barycz Henryk. Zamierzone studia J. Lompy w uniwersytecie krakowskim. Zaranie Śląskie XI 3.

JAN DZIERŻOŃ, KOPERNIK ULA

Po 125-tej rocznicy urodzin wielkiego pszczelarza. Nowiny Codzienne. Opole G. Śl. z 29 stycznia 1936. nr. 23.

Ks. dr. Dzierżoń. „Zdrój", Opole 1928. nr. 1 s. 10—12. Illustrowany Kuryer Codzienny z 2. II. 1936.

HOMER ŚLĄSKA ZIELONEGO

Norbert Bonczyk. Stary kościół miechowski. Wydanie IV. Krytycznie opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1936 (Biblioteka Pisarzy Śląskich I).

Jacek Kędzior. Ks. N. Bonczyk jako poeta. Opole. Druk „Gazety Opolskiej" 1918.

Ks. N. Bonczyk, życiorys w 25-tą rocznicę zgonu jego, Opole. Druk Miarki w Mikołowie, 1918.

Dr. E. Szramek. Ks. Norbert Bonczyk, Homer górnośląski i poeta walki kulturnej. Roczniki Tow. Przyj. Nauk na Śląsku. II.

TYP RASOWY I PSYCHICZNY

Czekanowski Jan. Zarys antropologii Polski. Lwów 1930.

Czekanowski Jan. Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. Katowice 1936.

Krzywicki L. Charakterystyka fizyczna ludności ziem polskich. Encyklopedia Polska I, 465.

Stołyhwo K. Zagadnienie składu rasowego ludności Śląska. Katowice, 1935.

Komorowski-Sedlaczek L. Pierwsze niemieckie badania antropologiczne na G. Śl. (Komunikat Instytutu Śląskiego w Katowicach nr. 31 z r. 1935).

Malinowski L. Na dziś l. c.

Krzyżanowski J. Najdawniejszy erotyk żakowski. Ruch literacki 1935 r.

Czekanowski Jan. W kalendarzu IKC na rok 1935.

MARZANNA I INNE OBRZĘDY

Ziekursch J. Hundert Jahre schlesischer Agrargeschichte. Breslau 1927. (Opinia Loewego, str. 143 s.).

Nehring Wł. Bericht über Abergaluben, Gebräuche etc. in Schlesien. Mitteilungen d. schles. Gesell. f. Volkskunde. Breslau 1897—1898.

Peuckert W. E. Schlesische Volkskunde. Leipzig 1928.

Peschel Fr. Mittsommerfeuer in Schlesien. — Ohl Wilhelm. Johannisnächte. — Perlick A. Der Johannestag im oberschlesischen Brauchtum. Der Oberschlesier 1935, 5, str. 257—66.

Hytrek-Kalicki. Górny Śląsk pod względem obyczajów, języka i usposobienia ludności. Przegląd Polski. Kraków 1879.

Lompa Józef. Wesele na Górnym Śląsku (wyd. St. Ciszewski) Lud, 1910.

Bystroń. Zwyczaje żniwiarskie w Polsce. Kraków 1916.

Gallus Józef. Starosta weselny. Wydanie 7-me, Bytom, 1930.

Pawiński Aleks. Młodość Zygmunta Starego. Warszawa 1893.

Ligoń Stanisław. Wesele na Górnym Śląsku, widowisko ludowe w 4 obrazach. Katowice 1934.

O CZYM PIEŚŃ ŚPIEWA?

Lompa J. Ustęp z podróży po Szląsku. Kronika wiad. kraj. Warszawa 28 paźdz. 1856. (Piekoszewski, Lis).

Pieśni ludowe z Polskiego Śląska (wyd. J. St. Bystroń). Polska Akademia Umiejętności, Kraków, 1934.

Tekst piosenki „Gdybych miała skrzydła" zob. L. Malinowski, Powieści ludu polskiego na Śląsku. Materiały antrop-archeol. T. V. s. 139, Kraków, 1901.

Kucharski E. „Pani pana zabiła" jako zabytek średniowiecznej poezji dworskiej. Pamiętnik literacki 1931.

Sachse Feliks. O muzykalności ludu śląskiego. Katowice 1934. Komunikaty Instytutu Śląskiego nr. 6.

Reiss Józef. Socjologiczne podłoże śląskiej pieśni ludowej. Katowice, 1935.

Niewiadomski Stanisław. Pieśni znad Odry. Rzeczpospolita 1921 (czerwiec).

Prejzner Tadeusz. Kilka nieznanych pieśni ludowych ze Śląska zapisanych przez J. Lompę. Zaranie Śląskie 1935 r.

REZERWAT POLSZCZYZNY

Łoś-Nitsch-Rozwadowski. Gramatyka języka polskiego. Kraków. Akademia Umiejętności.

Teksty gwarowe zapisane w opolskim „Zdroju" 1928 r. Czekanowski J. Wstęp do historii Słowian. Lwów, Jakubowski, Soński W. (Karwowski St.). Z przeszłości Śląska. Bytom 1895. I. s. 447, nast. Morcinek G. „Ten Kampf z tem Drachem" Gazeta Polska z 25 lutego 1936.

84 KOŚCIÓŁKÓW DREWNIANYCH

Gloger Zygmunt. Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce. Warszawa 1907.

Mokłowski Kaz. Sztuka ludowa w dawnej Polsce. Lwów 1903.

Burgemeister Wiggert. Die Holzkirchen und Holztürme der preussischen Ostprovinzen Schlesien etc. Berlin 1905.

Dobrowolski T. dr. Sztuka województwa śląskiego. Katowice, Nakład Muzeum Śląskiego, 1933.

Lompa J. Beschreibung der Stadt Rosenberg. Nach einer polnischen Chronik und anderen geschichtlichen Quellen. Gleiwitz, Gedruckt bei J. Neumann 1832.

Gębarowicz Mieczysław. Stosunki artystyczne Śląska z innymi dzielnicami polskimi. Katowice 1935. Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400. Dz. III. Kraków 1936.

STRÓJ NARODOWY

Hytrek A. i B. Kalicki. Górny Śląsk pod względem obyczajów. Przegląd Polski, październik 1879.

Malinowski L. Listy z podróży etnograficznej po Szląsku. Na Dziś. Kraków 1872. I. s. 295, 311.

Pieśni ludowe z Polskiego Śląska (Bystroń) s. 118, 143.

„Lud" t. XXXIII. A. 116.

(Zieliński Wł. K.). Szląsk pruski słowem i ołówkiem. Warszawa 1889 s. 145.

Dobrowolscy A. i T. Strój, haft i koronka w woj. śląskim. Kraków, Polska Akademia Umiejętności 1936.

Grabowski E. Die Volkstrachten in Oberschlesien. Breslau 1935; por. recenzję: Dobrowolska Agn. Niemiecka publikacja o stroju śląskim. (Komunikat Instytutu Śląskiego w Katowicach, nr. 43 z r. 1935).

Schlesische Zeitung z 8 czerwca 1848 (awantura w Berlinie), cytat w pracy: Schwidetzky Ilse. Die polnische Wahlbewegung in Schlesien. Breslau 1934.

Orkan Władysław. O strojach ziem. Czas z 19. IV. 1930.

Scholz O. Ländische Trachten Schlesiens aus d. Anfange dieses Ihr. Mitteilungen der schles. Ges. für Volkskunde. Breslau 1896. II. 6.

WALKA O SZKOŁĘ

Soński Wł. l. c. I. 448—52.

Schwidetzky Ilse. l. c. s. 15, 23.

Laubert M. Drei Schlesier als Anwärter im Posener Schuldienst (Bogedain, Lompa, Kolzott). Der Oberschlesier, Oppeln 1933 Heft 3 s. 135—40; Koster A. M. Ein wichtiges Urteil über den politischen Charakter Oberschlesiens, tamże s. 140—4.

Ogrodziński W. Bogedain Bernard. Polski Słown. biogr. (II. 192), gdzie częściowo podana literatura.

Zdrojewski Eug. dr. Szkolnictwo polskie na Śląsku Opolskim a) do roku 1929, b) od roku 1929. Komunikaty Instytutu Śląskiego nr. 15—16 z r. 1934.

Szwed Edward dr. Polskie Gimnazjum w Bytomiu. Komunikat Instytutu Śląskiego nr. 42 z r. 1935.

Poraj Stanisław. Polskość w Rzeszy i jej szkolnictwo. Gazeta Polska z 8. IV. 1935

Trzy lata istnieje polskie gimnazjum w Bytomiu. Nowiny Codzienne z 23. XI. 1935 nr. 270. por. też nr. 276.

W KAMIENIU, U ŚW. JACKA

Żukiewicz Konstanty. Święty Jacek Odrowąż. Lwów 1905.

Nehring Wł. Bericht über Aberglauben, Gebräuche, Sagen... in Oberschlesien. Mitteilungen der schles. Ges. f. Volkskunde. Breslau 1896. Heft III nr. 1. s. 9—11.

SPIS ILUSTRACJI

Bogaty materiał ilustracyjny zawdzięcza ta książka uczynności wielu osób po tej i po tamtej stronie granicy. Z kolei dostarczyły go zbiory autora oraz kilka instytucji, z których najwięcej Muzeum Śląskie w Katowicach, skąd pochodzą ilustracje na str.: XII 1 11 43 61(d) 66(d) 136 142 164—7 188(d) 198(g) 209(d) 216 220. Ilustracje na str.: VII XI 31 33 34(d) 104 125 144 154 162 168 173 186 196 214 218 — wykonane zostały przez firmę „*Photo Glauer-Oppeln*“ w Opolu.

		Str.
1.	Mówią, że ja paradują...	VII
2.	Odległość 100 km z Opola do głównych miast (rys. Wiktor Nechary)	VIII
3.	Zdziechowice w pow. oleskim	VIII
4.	Jan Gaszyna, przedstawiciel dawnego ziemiaństwa	IX
5.	Ślązacy na dorocznym święcie obrony Lwowa	IX
6.	Kruchta kościoła w Czarnowąsach na Śląsku Opolskim	X
7.	„Czy po to — pyta N. Bonczyk — urwałaś się Góro Chełmska...“	XI
8.	Sala plebiscytowa na Wystawie Pamiątek Powstańczych (1936)	XII
9.	Wydawnictwo „Nowin Codziennych“ w Opolu	XIII
10.	Przedwojenne dziouchy z Bytomia i Zabrza	XIV
11.	Z wystawy powstań śląskich, 1936	1
12.	Czara srebrna z Wiechuły (pow. opolski)	2
13.	Domostwo kościelne w Uszycach (pow. oleski)	2
14.	Stara zagroda (ojcowizna) w Sierakowicach (pow. gliwicki)	3
15.	Stary wiatrak w Strzeleczkach (pow. prudnicki)	3
16.	Mapa Śląska	5
17.	Fotomontaż z grobów powstańczych	6
18.	Dwie kamienice średniowieczne tworzą bramę wejściową kościoła św. Elżbiety w Wrocławiu	8
19.	„Obiecadło“ polskie wydane w Żeganiu w XVIII w.	8
20.	Średniowieczni kanonicy wrocławscy na sarkofagu Henryka IV († 1290)	10
21.	Czaty nad Odrą w Trzecim Powstaniu Śląska w maju 1921 r.	11
22.	Mapka ilustrująca postępy niemczyzny na Śląsku w ostatnich 120 latach	11
23.	Wieżyca kościółka śląskiego.	12
24.	Rewia świniołów i koniąt na dziedzińcu	13
25.	„Czarna Kumtesa“ sprzyjaźniona ze swą panią	13
26.	Duma ogrodów raciborskich na wystawie	13
27.	Zwyczajna kuchnia wiejska	14
28.	W gromadzie każda piękną się wyda	14
29.	Straż ogniowa w Markowicach święci swój sztandar	14
30.	Odra w okolicach Góry św. Anny	15
31.	Odra w porcie kozielskim.	16
32.	Odra w Opolu	17
33.	Skwer nad Odrą w Raciborzu	18
34.	„Ojczyzna“ siedlacza od frontu	19
35.	W Wójtowej Wsi pod Opolem zbierają się do wyjazdu na „żniwniok“	20
36.	Na piątkowym targu pod figurą w Opolu	21
37.	Pawłowiczki, osada sprowadzonych z Niemiec ewangelików	22
38.	Droga leśna w powiecie kozielskim	23
39.	Radzą sobie przy choince o tym, co ich boli...	24
40.	Dom robotniczy w Zabrzu	24
41.	Boże Ciało w Bytomiu ok. 1909 r.	24
42.	Bytomiacy pod Babią Górą	25
43.	„W Opolu zegary smutnie biją...“	25
44.	Górnik bytomski na marach	26
45.	Górnicy bytomscy Wszechnicy Jagiellońskiej w 500 rocznicę	27
46.	Wśród „gałęzi“ w Olesnie	29
47.	Wśród „gałęzi“ w Gwoździanach	29
48.	Jak ul wiosenny huczy plac targowy w Opolu od szumnej mowy śląskiej	30
49.	Tyle zostało z Zamku Piastowskiego po rozwaleniu w r. 1930	31
50.	Kaplica Zamkowa w Opolu, której mury i gałęzie ostały się	32
51.	Resztki chaty słowiańskiej wczesnohistorycznej na Pasiece	33
52.	Palenisko kamienne na środku chaty w Biskupinie w Wielkopolsce	34
53.	Chata opolska musiała być podobna do swej prababki z Biskupina	34
54.	Zamek piastowski w Opolu...	34
55.	...tak wyglądał za czasów Jana Kazimierza...	35
56.	...Tak w połowie ubiegłego stulecia...	35

Str.

57. A tak wygląda obecnie!... 35
58. Najstarszy kościół w Opolu („Na Górce") 36
59. Z obelisku marmurowego ostatniego Piasta opolskiego została tylko... 36
60. Ratusz w Opolu z piękną wieżą renesansową 37
61. Jan Matejko: Konrad Głogowski, syn Henryka Pobożnego († 1274) 39
62. U góry: Władysław Herman, Bolesław Krzywy, Bolesław Wysoki na fasadzie zamku w Brzegu. 40
63. Piastowie śląscy: Henryk Brzeski, Henryk Lubiński, Ludwik Brzeski na fasadzie zamku w Brzegu. 41
64. Z legendy obrazowej o św. Jadwidze . 42
65. Stroje uroczyste dworzan śląskich, m. i. rękawy zwane „psie uszy" 42
66. Pisarz dworski z pergaminem i stylusem 42
67. Posążek św. Jadwigi Śląskiej z Dąbrówki Wielkiej. 43
68. Jan Matejko: Władysław Opolczyk (1356-1401) 44
69. i jego pieczęć majestatowa 44
70. Pątnicy z Opola w drodze do Częstochowy, do Swojej Panienki 45
71. „Głowa Wawelska" (dekoracja stropu Sali Poselskiej Zamku Wawelskiego) 46
72. Zygmunt I, płaskorzeźba w domu krakowskim... 47
73. Renesansowy portal bramy zamkowej w Toszku 47
74. „Najwyższy Haytman a sprawca Górnego i Dolnego Śląska" 49
75. Królowa Bona, gorliwa orędowniczka rewindykacji Śląska 49
76. Tak mógł wyglądać ów Ambroży Skliorz, mieszczanin z Olesna... 50
77. „Ordunek górny" księcia Jana Opolskiego (1528) 50
78. Instrukcja dla sołtysów wiejskich na Śląsku... 51
79. Królowa polska, Ludwika Maria Gonzaga 55
80. Zamek Kamieniec w Szląsku pruskim . 56
81. Stroje mieszczek śląskich w XVII w. . 57
82. „Kaplica" św. Rocha pod Olesnem . . 58
83. Akt fundacyjny kaplicy św. Rocha pod Olesnem 58
84. Stary kościół w Gliwicach 59
85. Wieża zamkowa w rezydencji Marii Ludwiki w Głogówku 60
86. „Kopalina", starodawna owczarnia pod Bierdzanami 60
87. Figura św. Sebastiana w Opolu z 1680 r. 60
88. Siedlacy śląscy przed 600 laty 61

Str.

89. „Opłakiwanie Chrystusa" z Jodłownika (powiat rybnicki). 61
90. J. H. Rosen: Jan III służy na Kahlenbergu do mszy.... 63
91. Sztandar rycerstwa pszczyńskiego z r. 1683 64
92. Historyczny kościół w Raciborzu, w którym modlił się król Sobieski 64
93. Most, którego wtedy nie było na Odrze 65
94. Racibórz dzisiejszy, siedziba spółdzielni polskich... 66
95. Rozbarski synek w stroju narodowym . . 66
96. Tak się dziś noszą druhny z Raciborza . 67
97. „Nadeszedł mnie frasuneczek..." 67
98. Z Akademii żałobnej w Raciborzu w maju 1935 r. 68
99. Sobieski na Śląsku (rys. A. Czudek) . . 70
100. Pod Byczyną, która w w. XVII była ogniskiem polskiego protestantyzmu... . . . 71
101. Jerzy Badura, ostatni pastor polski. . . 73
102. I jego tygodnik 73
103. Widok Międzyborza pod Wrocławiem... 74
104. Felieton „Nowin dla ludu ewangelickiego" z r. 1891 75
105. Alfons Parczewski z Kalisza zawziął się... 77
106. „Oto, łaskawy Czytelniku, masz..." . . 77
107. Plebania rz.-kat. niemiecka i kościół w Międzyborzu 78
108. Obłóczyny księżniczki Ofki... 79
109. Św. Jadwiga z bucikami... 81
110. Dostojnik z dworu św. Jadwigi 81
111. Widok Trzebnicy w XVIII w. 83
112. Błogosławiona Ofka z Raciborza... . . 84
113. Norbertanka z Czarnowąsów... 84
114. Renesansowi opaci klasztorni 85
115. Renesansowi opaci klasztorni 85
116. Klasztor w Czarnowąsach... 86
117. Upaństwowione Norbertanki... 87
118. Karykatura z „Kocyndra" bytomskiego w okresie plebiscytu 88
119. Ale podatki ściągał Fryderyk II w języku polskim! 90
120. Na dziedzińcu „Gospody Polskiej" w Bytomiu. 91
121. Przed kościołem św. Sebastiana w Opolu 91
122. Okrężne Związku Polaków w Niemczech 94
123. Sztab I Powstania Śląskiego na wiosnę roku 1919 95
124. Wydział Sokoła w Bytomiu z roku 1898 96
125. Przedwojenni Sokoli z Bytomia... . . . 97
126. Myśliwi bytomscy przed 35-ciu laty... . . 98
127. Wycieczka z Opola na szczycie Pilska w Beskidach 99
128. Drużyna palanta w powiecie opolskim . 100
129. Zlot młodzieży w Warszawie 100

Str.

130. Delegacja Opolan na pogrzebie Marsz. Piłsudskiego 100
131. Wycieczka ze Śląska Opolskiego w hołdzie przed Belwederem 101
132. Na rok przed Ustawą Majową... . . . 102
133. Stare domostwo pod Kluczborkiem . . 104
134. Pieśń o świętym Rochu... 104
135. Rok 1935: Przed kościołem w Opolu . 106
136. Rząd pruski ostrzega jakichkolwiek obywateli ludu śląskiego 106
137. Nabożeństwo majowe w domu górnika . 108
138. Patriarcha Lompa u schyłku życia . . 110
139. List Józefa Lompy do J. I. Kraszewskiego 110
140. Stara szkoła w Lubszy. Warsztat jego pracy 110
141. Kurs języka polskiego w Wierzchu (pow. prądnicki) r. 1935 111
142. Fragment wystawy Tygodnia Książki Polskiej na Opolu 111
143. Autobus Tow. Przyjaciół Teatru Pol. w Katowicach... 111
144. W zecerni „Nowin Codziennych" w Opolu 113
145. W zecerni „Nowin Codziennych" w Opolu 113
146. Spółdzielnia „Rolnik" pracuje w Dobrodzieniu 113
147. Na odpuście „przy Magdalence" spotykają się znajomi... 114
148. Święto sportowe na Śląsku Opolskim w Zabrzu 1935 r. 114
149. Otwarcie gimnazjum polskiego w Bytomiu 114
150. Model liceum żeńskiego w Raciborzu . . 115
151. Ks. dr Jan Dzierżoń († 1906) na emeryturze swej światowej sławy 116
152. Popiersie Jana Dzierżonia w Związku Pszczelarskim w Krakowie 118
153. Ule z wyobrażeniem księdza, zakonnika i zakonnicy... 118
154. Pośmiertny portret ks. Norberta Bonczyka 120
155. Autograf wiersza Bonczyka 122
156. Karta tytułowa jego eposu 122
157. Dom rodzinny poety w Miechowicach pod Bytomiem w r. 1900 124
158. „U szyi korale niezmiernej wartości..." . 125
159. „Tu obok żony Joanny, córek Marianny..." 126
160. „Dzieła jego podążą za nim" — napisano... 126
161. Dwaj filareci śląscy („Elsowie") 128
162. „Iskra", tygodnik gliwicki z r. 1903 . . 130
163 Karol Miarka (1824—1882), redaktor, pisarz, przodownik 130
164. Adam Napieralski (1861—1928), redaktor „Katolika" 131
165. Bronisław Koraszewski (1864—1924), red. „Gazety Opolskiej". 131
166. W. Lutosławski w gronie swych uczniów śląskich w 1905 r. 131

Str.

167. Redakcja i personel „Katolika" w Bytomiu około r. 1905 132
168. Odezwa krakowska z r. 1905 133
169. Fotomontaż strojów regionalnych . . . 134
170. Stanisław Ligoń: Powstańcy śląscy... . 135
171. Na dachu hotelu „Lomnitz" w Bytomiu... 136
172. W redakcji „Kocyndra".... 137
173. Alfons Zgrzebniok z Dziergowic... . . . 138
174. Misja koalicyjna w Błotnicy... 138
175. „Mundek", 15-letni kurier sztabów powstańczych 139
176. Pogrzeb majora francuskiego... 139
177. Kurier powstańców w służbie łączności . 140
178. Szczerbiec, ofiarowany kadetom Lwowa przez Śląsk 140
179. Papież Pius XI, jako Nuncjusz papieski Achilles Ratti... 141
180. Z wystawy pamiątek powstańczych, 1936 142
181. Z wystawy pamiątek powstańczych, 1936 142
182. Staruszek z okolic Raciborza 143
183. Staruszek w mycce 144
184. „Ojciec Polak, matka Polka..." 145
185. „Póki młoda to ją czesz..." 145
186. Stefania Halina Szczepaniak... 146
187. Zielony wianuszek na lewej ręce, to oznaka... 146
188. Trzy gracje spod Olesna... 147
189. Druhny raciborskie urzędują 147
190. W Zabrzu już od dawna noszą się po miejsku 147
191. Typowa postać fararza 148
192. Świarny rolnik z powiatu opolskiego. . . 148
193. Trzeci Maj w Bytomiu w r. 1920 . . . 149
194. Smutny maj 1935 roku 149
195. Wesoły maj każdy... 149
196. Staruszek liczący sobie siła i mało roków z okolic Raciborza 150
197. „Rodzeństwo" Bożków i Sławików... . . 153
198. Ruiny starego zamku w Toszku... . . . 154
199. „Dobrodzień był punktem przechodnim..." 156
200. Rynek w Olesnie.... 156
201. Choć mało już po wsiach kołowrotków... 156
202. ...w zimowe wieczory ożywa po wioskach baśń... 157
203. ...w ucieczce przed żarówką Edisona, przylega do starych strzech... 157
204. ...i drewnianych kapliczek. Ale i stamtąd ją pędzą... 157
205. Przed kościołem św. Sebastiana w Opolu 159
206. Nauczyciele niemieccy tłumaczą zasłyszane baśnie... 159
207. Młodym nie w głowie świat baśni... . . 160
208. Murowańce Bytomia wraz z zabytkami drewnianego budownictwa.... 161
209. Z koroną żniwną na żerdzi... 162

Str.

210. Po ukończonym obrzędzie... 164
211. Chwila czepin weselnych w Rozbarku . 165
212. Kociki rozbarskie już ustroiły sobie... . 166
213. „Nie za nas się to zaczęło...“ 166
214. Drużba weselny z Rozbarku 167
215. Drużka weselna z Rozbarku 167
216. Ichmościunie z Rozbarku... 168
217. Żniwniok w Wójtowej Wsi w r. 1929 . 169
218. Co roku, w każdym większym ośrodku... 170
219. ...odbywa się żniwna parada... 170
220. ...organizowana przez... 170
221. ...„Związek Polaków w Niemczech, Dzielnica I“ 170
222. Tak wyglądał żniwniok... 171
223. ...w Bytomiu w r. 1935 171
224. Pogrzeb pięciorga dzieci w Kucobach... 171
225. Dziołcho, dziołcho, cóż czynisz?... . . . 173
226. W dalekiej od bitego szlaku zagrodzie chowa się... 175
227. Na sejmik śpiewactwa polskiego w Bytomiu w 1935 r. 176
228. ...zjechało zewsząd kilka tysięcy członków, którzy.... 176
229. ...w publicznym pochodzie pod sztandarem Związku... 176
230. ...z hasłem i pieśnią Rodła na ustach... . 177
231. ...manifestowali, że „nie ustaną w walce... 177
232. ...i wytrwają!...“ 177
233. Chór męski „Echo“ w Opolu, założony 1930 r. 178
234. „Gwiazda“ w Strzelcach bawi się w karnawale 1933 r. 179
235. Śpiewacy z Opola przyjechali do Warszawy. 181
236. Pieśń nowa o Kalwarii... 183
237. Udeptaną od wieków drogą zdąża „pąć“... 183
238. Zbieracz pieśni Teodor Przybyła . . . 184
239. Pątnicy odpoczywają u celu pielgrzymki 185
240. To Gębalino! Pado izech coś padała... . 186
241. Gospoda w Bierdzanach na szlaku Olesno-Opole 187
242. Stary kościółek wiejski na emeryturze w mieście 187
243. Camping w lesie pod Opolem 187
244. Pięć pieśni o Nayświętszey Maryi Pannie... (karta tytułowa) 188
245. Śląski talerz weselny z roku 1872 z wytwórni gliwickiej... 188
246. Od Markowic, od Dobrodzienia, od Głogówka, od Kędzierzyna 189
247. Opolanie u siebie w domu na zebraniu „Rolnika“ w Strzelcach. 190
248. W powiecie bytomskim 191
249. W powiecie dobrodzieńskim 191

Str.

250. „Prędzej się rozłączą drobne rybki z wodą...“ 192
251. W Bytomiu 1936 193
252. „Przed bytomską bramą, pjyknie malowaną...“ 193
253. Brama zagrodowa w Bytomiu z r. 1907 194
254. 40-lecie Banku Ludowego w Bytomiu . 195
255. — Moiściewy! jak to te Niemce mowam polską przekażają szpotawie... 196
256. Rozgwarzają z przeorem oo. Paulinów na Jasnej Górze 197
257. Nawiedzają planty w Krakowie 197
258. Zadumali się nad masowym grobem powstańców 197
259. Chrystusik frasobliwy, rzeźba ludowa . . 198
260. O caley męńce Pana Naszego Jezusa Chrystusa (karta tytułowa) 198
261. Pieśń nowa o Najświętszej Pannie Maryi Pszowski (karta tytułowa) 199
262. Znakomity lingwista prof. K. Nitsch... . 199
263. Gospodarstwo kościelne w Wachowie w powiecie oleskim 200
264. Domostwo Boże w Roznowie (pow. kluczborski) 202
265. Dziadek tego kościółka w Popielowie (pow. opolski) musiał znać... 203
266. Legenda mówi: Gdy Tatarzy najechali. 204
267. W 1576 r. rozpoczęto kryć szkudłami tę świątynię w Kościeliskach... 204
268. Staruszek, urodzony przed 400 laty w Zębowicach... 205
269. Zacharzowice: soboty, dach dwu-okapowy 205
270. Sękowa na Podkarpaciu 206
271. Kapliczce murowanej w Raciborskiem... 206
272. Mikulczyce pod Bytomiem 207
273. Nie można powiedzieć, żeby zdobnictwo najnowsze prześcignęło „słowiańskich barbarzyńców!...“ 207
274. „Sąd Ostateczny“ polichromia z XIV w. 208
275. Goła (pow. oleski) też się wstydzić nie potrzebuje 209
276. Św. Maria Magdalena... 209
277. Kościół św. Anny w Olesnie... 210
278. Olesno: Trzy bliźniacze kaplice... . . . 211
279. Tęcza, strop i pawłacz jednej z kaplic w Olesnie 212
280. Prezbiterium kościoła macierzystego w Olesnie... 213
281. Zbytkowny strój niewieści z okolic Góry św. Anny... 214
282. Obywatele... 215
283. Para do ślubu w Markowicach pod Raciborzem 215
284. Górnik bytomski w stroju uroczystym . 216

Str.

285. „Tyle mojej wesołości, kiedy se zaśpiewam...“ 217
286. „Co krokniły to dzwoniły aż się chłopcom ulubiły!“ 218
287. Panny z Raciborza w wieńcach z „różyczków“ 219
288. Markowiczanki spod Raciborza... . . . 219
289. Stroje śląskie na Wystawie w Katowicach 220
290. Szły trzy panny gościńcem... 221
291. Lalka rozbarska w Muzeum Śląskim w Katowicach 222
292. Tablica erekcyjna na balku... 223
293. Grób masowy w Siedlicach (pow. strzelecki) 224
294. Napis polski na krzyżu... 224
295. Groby powstańców na cmentarzu w Olesnie 225
296. Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny (1817 r.) 225
297. Ostropa, pow. gliwicki 226
298. Grób masowy w Zabrzu 226
299. W Bytomiu na Rynku około r. 1910 . . 227
300. Piastowie śląscy na fasadzie zamku w Brzegu... 228
301. Pierwsi wychowankowie gimnazjum w Bytomiu... 229
302. Niemiec Bogedain (1810—1860) pisał... 230
303. Gimnazjum w Opolu... 230
304. Polskie gimnazjum w Bytomiu 231
305. Bursa polska w Bytomiu 231
306. Budynek szkoły polskiej w Wędzinie . 231
307. Otwarcie gimnazjum polskiego w listopadzie 1932 r. 232
308. W kuchni bursy polskiej w Bytomiu . . 233
309. Szkoła w Bocianowicach (pow. olecki) . 234
310. Kurs języka polskiego w Bytomiu . . . 234
311. Polska szkoła prywatna w Wolęcinie . . 234
312. Fotomontaż z życia sportowego na Śląsku Opolskim 236
313. U masztu czuwa straż... 237
314. Starzy tylko po odpustach chodzili... . . 238
315. ...młodzi ku zlotom się garną 238
316. Naczelny harcmistrz polski na weselu harcerskim 238
317. Harcerze opolscy w r. 1929 w Poznaniu na „Pewuce“ 239
318. Na zjeździe śpiewaczym w Bytomiu... . . 239
319. Pierwsza mobilizacja młodzieży — czerwiec 1935 239
320. Letni obóz harcerski w Imielnicy . . . 240

Str.

321. Proporzec harcerstwa polskiego w Niemczech 241
322. Zamek hr. Strachwitzów w Kamieniu... 242
323. Grota Matki Boskiej w ogrodzie Banku Ludowego w Strzelcach 243
324. Wzgórze w Rozbarku, na którym, jak mówi legenda, kazał św. Jacek 243
325. „Kto się zaś wstydzi narodu swego...“ . 245
326. Przed kościołem w Opolu pogwarka . . 246
327. „Owieczko stracona, ach! kandy-żeś jest?“ 246
328. Zebranie rodzicielskie szkoły powszechnej w Grabinie 247
329. Św. Jan Nepomucen schował się pod przydaszkiem 248
330. Ks. prezes Koziołek na czele kompanii pątniczej w Krakowie 248
331. Przyszła baba do farorza... 250
332. Kamień graniczny między Polską a Czechosłowacją... 251
333. Ulica... 252
334. ...i kościół w Sulkowie... 252
335. Starodawny obrzęd mycia rąk i nóg... . 253
336. Wraz z bałwanem Marzanny... 253
337. Obrońcy Lwowa przywieźli w darze sztandar... 256
338. Krajobraz wsi śląskiej nad granicą zaboru rosyjskiego... 257
339. Redaktor Joachim Sołtys w Gliwicach . 258
340. Na Wystawie Krajowej we Lwowie... . 259
341. ...w dwadzieścia pięć lat później . . . 260
342. W sztabie śląskiej P. O. W. w przededniu powstania 261
343. Przed wybuchem Powstania III-go — komendanci P. O. W. 261
344. Dyplom Obrońców Lwowa, ofiarowany „Braciom z Górnego Śląska“ 262
345. Sztandar, ofiarowany przez Obrońców Lwowa 262
346. Fotomontaż biegu Wisły z Krakowem i Rodło 263
347. Sejmik dzielnicy I Związku Polaków... . 264
348. Eliminacja szachowa o mistrzostwo Polonii... 265
349. Spółdzielnie polskie w Niemczech . . . 266
350. Jesteśmy Polakami i tego żadna moc nie zmieni! 267
351. ...Rodło królewskie mamy!... 267
352. Bóg z nami! Sprawa z nami! 267
353. Hasło Polaków w Niemczech 268
354. Pochód Z. P. w N. 269

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Babia Góra 204
Babice 202 252
Bałtowie 2
Baworów 252 254
Bąkowice 119
Bełz 45
Berlin X 19 23 89 93 118 221 228 335
Beskid IX
Beskidy 17 204
Bęskin 64
Bęskiński pow. 145
Bielsko 97
Biskupin 32 34
Bobra 189
Bobrzanie 189
Bocianowice 233
Bogumin 18
Borki Wielkie 233
Bożanowice 90
Brama Morawska IX 2
Brandenburgia 100 145 223
Brzeg VIII X 23 48 52 54 64 68 69 72 73 76 77 94 103 117 152
Brzeskie Księstwo 72
Brześć n/B. VIII 72
Brześć Kujawski VIII
Brzezie 84
Budziska 234
Budzyń 47 49
Bug 176 204
Bukownica 7
Byczyna VIII X 44 64 72 73 74 75 82 103 118
Byczyńskie 72
Bytom 23 24 28 52 80 96 101 103 106 112 113 121 131 133 137 138 140 151 155 174 177 178 180 181 191 201 215 221 223 233—235 239 240 241 243 259 262 267
Bytomska dzielnica 41
Bytomski pow. 27 92 93 161 163 209
Bytomskie 183

Celtowie 3
Centawa 233
Cerkwica 90
Chrapkowice 141 246
Chudów 201
Chybie 201

Cieplice 69
Cieszyn 48 113
Cieszyńska dzielnica 41
Cieszyńskie 72 80
Czantoria 80
Czarnowąsy 64 80 85 86 87 221
Częstochowa 7 17 45 47 86 101 114 189 197 220 234

Dębno 213
Dobrodzień 14 23 140 155 174 180 221 267
Dobrodzieński pow. 233
Dunajec 204
Dziadoszanie 3 188
Dziećmiarów 252
Dziergowice 180
Dzierszno 89

Elbląg 60
Ełk 204

Gaszynka 90
Gdańsk 72 155
Gieraltowice 201 202
Gliwice 17 23 25 28 52 65 70 96 97 101 112 131 137—140 201 209 211 212 240 267
Gliwicki pow. 27 89 92 156 161 163 175 207 217 225
Gliwickie 183 227
Głogowa 100
Głogowskie Księstwo 48 52 172
Głogów 47—51 185
Głogówek 37 59 113 164 223 267
Głupczyce 3 26 50 137 216 219 262
Głupczycki pow. 26 89 146 158 161 166 167 252
Głupczyckie 105 155
Gogolin 140 141
Gołążyce 3
Gopło 4
Gorce Podhalańskie 222
Gorlice 213
Gorzów 44 140 209
Gościęcin 105
Góra Chełmska 17 90 126 180 183
Góra Ślęza 2
Góra św. Anny VIII 17 18 126 140 141 166 167 197 204 220
Górka 35 36
Górnoślązacy 7

Góry Olbrzymie 17
Grabina 28 233 246—249
Grabowna 7
Grotkowski pow. 27 91
Grotków 26 52 136 185

Hannower 223
Henryków 8

Imielnica 43 92 182 234
Istebna VIII

Jasna Góra 45 87 183 184 210 249 257
Jomsborg 20
Jura Krakowska IX

Kadłub 140
Kaliskie 260
Kalisz 77 101
Kamień 152 244
Karłowice 103
Karpaty 147
Kartuzy 131
Kaszuby 131 187 189 235
Katowice XIV 74 117 118 129 140 152 235 240 244 254 266
Katowicki pow. 217
Kędzierzyn 139 140
Kiejdany 72
Kielce 210
Kietrze 90
Kluczborek 72 73
Kluczbork VIII 44 47 52—54 73 117 118 137 169 182 189 210
Kluczborski pow. 76 118
Kluczborskie 70 92 93 107 155 187
Kładzko 9 99
Kłodnica 225
Kobylno 204
Kolanowice 201
Komorzno 74
Kongresówka 109 145 193
Korzuchów 90
Kosorowice 140
Kościerzyn 140
Kozielska dzielnica 41
Kozielski pow. 27 156 159 161 166 178
Kozielskie 2 105 158 227
Koźle 3 13 24 25 96 97 99 112 137 139—141 151 187 204 211 263

Krakowska Rzeczpospolita 101 104
Kraków XII 9 25 41 47 48 50 52 64 72 101 104 110 114 115 131 155 174 180 204 205 244 252 258 259 264
Krasiejów 140
Krasnystaw 176
Królestwo 101 109 117 129
Królestwo Polskie 105 109 220
Krzanowice 66
Krzepice 47
Krzyżanowice 165
Księstwo Warszawskie 97 100 109
Kucoby 233 240
Kujawy 42 159

Lasowice 177
Leszczyny 201
Lgota 52
Liczbark 204
Lignica VIII X 48 52 54 68 69 152
Ligota k. Kluczborka 158 189
Lipsk 119 146 155
Litwini 3
Lubelska Ziemia VIII
Lubelskie 176
Lubiąż 81 82
Lublin 259
Lubliniec 130
Lubsza 109 174
Lwowska Ziemia 42
Lwów 30 60 155 257 261

Łabęty 139 140
Łagiewniki Małe 233
Łąka 174 201
Łężce 211
Łotysze 3
Łowkowice 117 118
Łużyce Dolne 48

Makoszowy 70
Malborg 36 43
Małapanew 17
Małopiana 3
Małopolska 2 145 146 183 185 188 201
Markowice 19 28 164 225
Masłowice 72
Mazowsze 167 187 188 253
Mazurzy 4 263
Mazurzy pruscy 77
Mechnice 204
Michałkowice 151 155 159
Miechowice 37 107 121 122 126 134
Międzyborze 76 77 78
Mikołów 37
Mikulczyce 94 202 209 234
Milin 136
Monachium 119
Mysłowice 53 101
Mysłowickie 72

Nadrenia 235
Nakło 234
Namysłowice 223
Namysłowski pow. 7 76 136
Namysłów 4 7 44 72
Narew 204
Nędza 190
Nida 204
Niemen 72
Niemodlin 4 136
Norymbergia 90
Noteć 127
Nowa Wieś 249
Nysa Kładzka (rzeka) 3 4
Nyssa 26 52 99 136
Nyski pow. 26 91

Ochojec 70
Odmęt 246 249
Odra VIII IX XII 2 3 4 7 8 13—15 19 20 26 27 32 34 35 42 59 67 68 72 89 96 100 101 126 127 138—140 145 148 176 185 189 191 199 201 204 221 238 246 249 252 263 265 269
Olawa 69 76
Olawski pow. 7
Olawskie Księstwo 72
Olecko 204
Oleski pow. 27 156 194 201 202 233
Oleskie 92 93
Olesno VIII 4 14 17 61 90 101 106 109 112 115 137 140 141 155 170 177 187 193 206 209 210 211 213 221 226 227 248 263 267
Oleśnica 7 44 74 80 82 84
Oleśnicki pow. 7
Oleśnickie Księstwo 72
Olkusz 47
Olsztyn 263
Olza VIII
Olza (wieś) 156
Ołomuniec 68 146
Opawa 48 146 254
Opolanie XII 3 4 22 29 32 148 152 184 189 191 193 194 210 235 266 269
Opole VIII 3 4 13 14 17 19 20 22 23 26—28 32 34—38 42—45 48 51—53 57—62 64 72 80 86 87 89 90 92 103 105 112 113 122 127 130 131 143 137 138 152 153 158 168 174 176—179 184 189 197 201 203 205 220 222 227 231—233 238—240 244 246 249 250 259 263 266 267 269
Opolska dzielnica 41
Opolska regencja 107 139
Opolska Ziemia 62 30
Opolski pow. 27 89 140 159 161 182 201 205 249
Opolskie 2 58 69 86 204
Opolszczyzna VIII IX 4 10 30 42 104 129 138 141 240 268
Oppersdorf 66
Ostróg 201
Oświęcim 247
Ozimek 23 140

Paryż 99 136 244
Pasieka 32—36
Pawłowiczki 22 23
Pełtew 42 109
Penke 7
Pickary 64 65 174 197
Pilcz 146 147
Piotrków 210
Pisarzowice 201
Poborszów 226
Podhale 155 204
Podkarpacie 167 204 240
Pogorzelec 178
Pogranicze 233 235 265
Pokój 90
Polanie 4
Pomorzanie 4
Pomorze 96 97 187 188
Poniszowice 207
Powiśle 13
Poznań XII XIV 72 78 110 113 114 129 174 232 239 258 262 263
Poznańskie 7 129 145
Prasłowianie 2
Prądnik 136 137
Prosków 130

Prostków 68
Prudnicki pow. 26 27 233 249
Pruska prowincja 93
Prusy 93 100 106 268
Prusy Wschodnie 65 68 73 97 204 233 235
Przeców 7
Przyodrze IX 13
Pszczyna 103 246
Pszczyńska Ziemia 104
Pszczyński pow. 92 146
Pyskowice 23 140 217 231

Raciborska dzielnica 41
Raciborska ziemia 62
Raciborski pow. 26 27 92 155 163 164 165 174 202 205
Raciborskie 2 15 58 69 105 158 180 190 201 219 227
Racibórz VIII 3 18 20 36 37 48 51 52 57—60 64—66 69 70 72 80 82 94 105 106 129 131 133 137 139 161 165 166 177 178 187 189 197 204 216 219 221 225 231 234 235 239 240 263 267
Radom 204 210
Raszczyce 164 165
Regencja Opolska 107 139
Roszkowice 103
Rozbark 168 171 174 177 178 184 215 216 219 243
Ruda 190
Rudy 23 64 65 70 174
Ruś 45 65 163 183
Ruś Czerwona 42 109
Rybnicka ziemia 105
Ryczyn 4

San 204
Sandomierz 72 204
Scytowie 3
Semnowie 3
Sękowa 213
Siedmiogród 51
Silingowie 3
Sławików 202 205
Słowianie 2 3 14 34
Słowiańszczyzna 15 18 188
Sobótka góra 8 166
Sokal 176
Srocza Góra 80
Staniszcze 140
Stara Psina 252
Stobrowa 3 4
Strachowice 8
Strzelce 4 23 64 137—140 182 187 189 221 234 239 240 267
Strzelecki pow. 27 89 92 140 166 180 233
Strzelno 85
Strzygłów 10 98
Sudzice 93
Sulków 252—255
Sycowski pow. 7 76 136
Sycowskie 93
Szamowice 70
Szczecin 19
Szkarotka 97
Szywałd 23 140 217

Ściborowice 146
Śląsk Biały VIII 130 182 255 257
Śląsk Cieszyński 129 145
Śląsk Czarny 244
Śląsk Dolny X 7 9 10 16 22 48 52 72 78 89 98 220
Śląsk fabryczny IX
Śląsk Górny 4 9 14 22 28 48 93 104 105 171 174 189 202 231 232 238
Śląsk niemiecki 103 157 189
Śląsk Opolski IX X 2 27 28 29 30 61 62 72 106 112 123 131 140 146 152 161 167 172 175—177 182 187 189—191 202 205 227 228 233—235 238 240 246 252 261 262 263 267
Śląsk polski 130
Śląsk pruski 22 101 145 155
Śląsk przyodrzański 185 187
Śląsk Średni 4 10 22 76—78 189 220 260
Śląsk wrocławski 48 152
Śląsk Zielony VIII 130 255 257
Ślęzanie 3 4 8 189
Świętochłowicki pow. 217

Tarnobrzeg 204
Tarnogórski pow. 217
Tarnowice 53
Tarnowskie Góry 14 53 65 69 101 235
Toszecki pow. 92 93 163 207
Toszek VIII 23 92 101 140 221
Trzebnica 7 80 82 84 85
Trzebnicki pow. 7
Tuln 67
Tworków 94 163 164 225
Tylża 72 99
Tynicz 41

Uszyca 211

Wałczyn 74
Wandalowie 3
Warmia 190 204 235 263
Warszawa 82 89 101 110 114 131 174 185 220 244 257 258 260 261
Warta 4 13 19 127 249
Westfalia 235 263 265
Wędzin 233
Wiechuł 3
Wiedeń 57 64 68 69 81 82 101
Wielkopolska 28 40 96 130 187 188 202
Wieluń 17 90
Wierzbno 252
Wieszowa 234
Wineta 20 32
Wilcza Górna 70
Wileńszczyzna 176
Wilno 72 115
Wisła VIII 3 4 13 126 243 264
Wiślanie 3 4 147
Wołęcin 233
Wołyń pomorski 18 19 29
Woźniki 53 90 155
Wrocław 7—10 19 36 47 48 49 52 53 72 76 84 86 98 99 101 103 109 114 119 121 146 166 172 174 206 223 230 232 243 246 249
Wrocławska regencja 136
Wysoka 233

Zabełków 202
Zabrski pow. 27
Zabrze 28 94 131 132 137 234 239 240
Zadniestrze 147
Zawada Książęca 201
Ząbkowice 99
Zembowice 201
Zębowice 140
Zgorzelec 52
Ziembica 48 54 80
Złotowska Ziemia 263

Żarki 47
Żegań 48 117
Żyrowa 90

SKOROWIDZ NAZWISK

Albert, wójt krakowski 35
Aleksander Jagiellończyk 50
d'Alerac 68
Andrzej z Pisarzowic 201
Anhalt-Pless ks. 99
Anielewski 23
Anna Jagiellonka 57
Antoniewicz Fr. 101
Antoniewicz K. 259
Armbruster prof. 118
d'Arquien 69
Asnyk A. 121 123

Bach J. S. 115
Badura J. 77 78
Balzak 25
Bandtkie J. S. 110 259
Bar A. XIV
Bartel proboszcz 212
Bartłomiej ziembicki 51
Barycz H. 52
Bełza St. 260
Bem J. gen. 101
Benda radca 127 230
Berlepsch 118
Bethlen Gabor 56 57.
Bielski J. 163
Bieniek 121
Bieniewska J. 84
Biskupski P. 54
Bismarck 105 106 121 126 127 129 130 247
Błazik 211
Bnińska D. 84
Bock J. 74
Bogedain B. 230 231
Bolesław Kędzierzawy 223
Bolesław Krzywousty 40
Bona Sforza 51 59
Bonaparte Hieronim ks. 97 99 100
Bonczyk N. 10 90 96 97 107 121—124 126 127 130 131 171 215 216 226
Borelowski, p. Grażyński
Bożek H. 164
Brzozowski St. 104
Burgemeister L. 209
Bystroń J. S. 175

Cecylia Renata 58
Chociszewski J. 262
Chojecki M. 8
Chuć J. 73
Chyłek W. 212
Ciesielski A. 31
Convasius A. 86
Czekała proboszcz 212
Czekanowski J. XIV 145 188
Czerski J. 212
Czugk M. 54

Dambrowski S. 75
Damroth K. (Lubiński Cz.) 18 10 130 131 149
Daszyński Ign. 129
Dąbrowski J. H. 96
Dembowski Ed. 101
Djakowski M. 65 67
Długosz J. 45 163
Dmowski R. 136
Dobiecki 98 99
Dobrowolscy A. i T. 220
Dobrowolski K. 103
Dobrowolski T. XIV 202 203
Ducius D. 75
Dwucet 195
Dzierżoń 112 117—119
Dzięgiel W. 56

Elsner J. 185
d'Enghien H. 60 61
Erbrig M. 54
Eugeniusz Wirtemberski ks. 90

Ferdynand II 58
Ferdynand III 58
Ficek J. A. ks. 107 114
Fiedler R. 76—78
Fijałkowski kpt. 98
Fischer P. 17 18 194 205
Fredro A. 241
Fredro M. 109
Fredro M. A. 101
Freytag G. 117
Fryderyk II 40 54 62 65 76 89 91
Fryderyk lignicko-brzeski 48
Fryderyk Wilhelm III 93

Gaffron Hanus 54
Gallus J. 171
Garus Fr. 215
Gdacjusz A. 72
Geisler prof. 40
Godebski ks. 53
Goethe J. W. 8
Gomulicki 123
Gonzaga Ludwika Maria 37 59 60 86 244
Gorzałka poseł 106
Goszczyński S. 155
Götzen gen. 100
Górnicki Z. 158
Grabiński gen. 99
Grabowska E. 23
Grabski St. 129
Grau R. 147
Grażyński M. (Borelowski) 133 138 139
Grimm 156
Grzesik (Hauke) 140

Haase dr 195
Hadelius J. 52
Hauke, p. Grzesik
Heneczek T. 115
Henryk głogowski 43
Henryk XI lignicki 52
Henryk wrocławski 43 44
Hoffman A. 54
Horzyński A. 86
Hoym hr. 92 93
Husowski M. 243
Huta P., p. Kasprowicz J.
Hytrek A. 168 216

Istel J. 212

Jadwiga królowa 9
Jan Kazimierz 37 38 59 60
Jan z Kluczborka 52
Jan Kropidło 35 43
Jan Luksemburczyk 35 41
Jan Olbracht 48
Jan Opolski 48 52 56 86
Jan Ostatni 36 37
Jan Ożga 201
Jan Polak 48
Jan III Sobieski 62 65 69 70 96 98 147
Jan z Woźnik 72
Jan na Ziembicy 80
Jan z Żegania 48
Jemiołowska A. 81
Jerzy I Brzeski 51 54
Jerzy Laska 201

Jerzy Kasztura 201
Jerzy Wilhelm na Brzegu i Lipnicy 68
Juraszówna E. XIV

Kamiński J. N. 109
Kapliński L. 101
Kapusta J. 72
Karol VI 42
Karol Ferdynand biskup wrocł. 58 59 84
Karol z Ziembicy 48
Karwowski St. 195 262
Kasprowicz J. (Huta P., Szyba Fr.) 87 129 231
Kazimierz Cieszyński 48
Kazimierz Opolski 35
Kazimierz Wielki 41 44 47 68
Kettner H. 82
Kętrzyński Ad. (Winkler Ad.) 103
Kleist 65
Klicki mjr. 99
Z Kluczborka Jan 52
Kochanowski J. 75 78 166
Kolberg O. 156
Kołłątaj H. 100
Konopka płk. 99
Konopnicka M. 123
Konrad Wallenrod 36 42
Kopeć T. 240
Koraszewski Br. 130 240 262
Koraszewski J. XIV
Korfanty W. 78 133 139
Kosicki K. (Koschützki C.) 103 105
Kościewska D. 85
Kośny J. 75
Koziołek J. ks. 16 28 246—249
Z Kozla Mikołaj 151
Kraszewski J. I. 25 113 114 121
Królowa Bona 51 59
Królowa Jadwiga 9
Królikowski D. 130
Krzywicki L. 145
Krzyżacy 42 43
Krzyżanowski J. XIV 151
Kucharski E. 184
Kudera J. 104
Kuglin J. XIV
Kupiec J. 174
Kusche L. 106

Lefèbvre-Desnouettes gen. 98
Leszczycki R. 47
Libelt K. 113 247 262
Licinius J. 72
Z Lignicy Maciej 52
Ligoń J. 69 259
Ligoń St. XIV 255
Limanowski B. 260
Lindner B. 86 87
Lis sztygar 174 239
Lizoń M. 155
Loewe 163
Lompa J. 7 24 25 28 105 107 109 112—115 117 118 121 123 155 166 174 182 211 247 250
Lottermann 106
Lubiński Cz., p. Damroth
Lubomirska R. VIII
Lubomirski H. 64 97
Lubomirski J. 60
Lucae 62
Luck M. 82 84
Ludwik XIV 68
Ludwik Jagiellończyk 56
Ludwika Maria Gonzaga 37 59 60 86 244
Lutosławski W. 131 132

Łepkowski S. 259

Maciej z Lignicy 52
Maciejowski W. A. 174
Maćkowski J. K. 130
Maeterlinck 117 118
Malinowski L. 7 254
Malinowski Z. 155 187
Maksymilian II 56
Makuszyński K. 132
Marbach 112
Marysienka królowa 65 69
Męciński gen. 101
Miarka K. 118 129
Mickiewicz A. 124 155
Mierosławski L. 101
Mieszko I 19 163
Mikołaj z Koźla 151
Mikołaj Opolski 44
Młyński M. 201
Montfort H. de 201
Morcinek G. 195
Morstin 156
Musialik F. 175
Musioł L. XIV 227
Muszalik T. 215
Muthman J. 73

Nagło D. 73
Napieralski A. 129 262
Napoleon 99 100 101
Nass S. 82
Nechay W. XIV 131
Negius K. 72
Nehring Wł. 7 9 54 156
Nieritz 112
Niewiadomski St. 185
Nitsch K. 189 193

Ochocki M. 212
Ocieski M. 47
Ogrodziński W. 74
Olszewicz W. XIV
Opaliński Z. 52
Orkan Wł. 222
Ossoliński J. M. 50

Pac K. 60
Paczyński z Byczyny 64
Paprocki B. 75
Parczewski Al. 7 77 78 260
Partsch J. 9
Paszenda J. 190
Pechenius A. 210 212
Peterek ks. 107
Peuckert W. E. 157
Piekoszewski 174
Pindur M. 201
Piotrowicz K. 44
Piotrowska E. 84
Z Pisarzowic Andrzej 201
Z Pisarzowic Tomasz 201
Pisecki T. 72
Pistorius Sz. 72
Plater Wł. hr. 118
Podworski E. XIV
Pol W. 7 13 14 25 112
Polbmann 118
Poniatowski J. ks. 38 97 101 121
Popiołek Fr. XIV
Proskowska E. 82
Prudhomme S. 254
Prus K. XIV 10 112
Przyborowski A. 54
Przybyła J. XIV 132
Przybyła T. 175
Przybyszewski St. 129
Przykutowa z Badurów B. XIV
Przywara M. ks. 249
Ptolomeusz 3
Purkynie J. 9

Ratajski C. 262
Regehly 90
Reiss J. 175 185
Rej M. 72 191
„Res F." 254
Reyscwitz K. von (Krzysztof Czarny) 49
Richter radca 230
Rodziewiczówna M. 16
Roger J. 174 230 239
Rostek J. 130
Rot J. 48
Rozdzieński W. XII 249
Rudolf II 81 82 85
Rybarz Ed. 132

Sachse F. 175
Schemmel Kr. 103 104 107
Schiller 195
Schillerowa Fr. 8
Schmidt ks. 112
Schmidt K. 174
Schreter A. 53
Schummel prof. 230
Schweinichen H. 52
Schwidetzky I. 106 231
Semkowicz Wł. 13
Seydlitz von 22
Sędzimirowa z Parczewskich R. XIV
Sienkiewicz H. 16 178 260
Skarga P. 156 247
Skliorz A. 54
Skowroński A. ks. 249
Słaby W. 212
Smolka E. 103 105
Snopek M. 201 209 211—213
Sobieski J. 69
Sołtys J. 131 132
Sołtysowa H. 132
Spyra P. 215
Sułkowski J. ks. 97 98
Stabik ks. 25 189
Stadnicka z Ciecіszowskich T. 62
Stalmach P. 129
Starzy G. 8
Starzyński kpt. 98
Staszewski J. 96
Stegowscy J. W. B. 81
Steuer F. XIV 252
Stoiński J. 74
Stryjeńska Z. 172
Stryjkowski 163
Strzodowa A. XIV
Szafranek J. ks. 10 105 106
Szczypiorek A. 54
Szlachcińska B. 82
Szoman J. 72
Szramek E. ks. XIV 175
Szyba Fr., p. Kasprowicz J.
Szydłowiecka K. 80
Szydłowiecki K. 47

Ścibora J. 8
Śledziona „szołtys" 152 244
Śliwa J. 212
Świderski, grosmjr 98
Świnka J. 54

Telemann J. F. 174
Telniczanka K. 47
Tetmajer K. 246
Tomasz z Pisarzowic 201
Trembecki por. 96
Twardy P. ks. 76

Ursinus Velius 52

Virchow R. 104 145
Vogel 118
Vulturinus 166

Wallenstein 210
Wallis Z. 174
Wawrzyniak ks. 130
Weber C. M. 90 185
Weinhold K. 112
Wichman 19
Widukind kronikarz saski 19
Wiktor J. 249 250
Winkler Ad., p. Kętrzyński Ad.
Wirtemberski Eugeniusz ks. 90
Władysław IV 37 58 59 60 68
Władysław Jagiełło 9 36 42 43 51 52
Władysław Łokietek 35
Władysław Opolczyk 36 42 43 45
Włast Piotr 223
Wojciech książę na Opolu 43
Wolska M. 132
Wonschik 195
Woschaty Simon 199
Z Woźnik Jan 72
Wtorkowska B. 82
Wuttke prof. 117 127

Zasadius L. 73
Zborowski J. XIV
Ziekursch J. 89 92
Zieliński Wł. K. 18 26 217
Z Ziembicy Karol 48
Zimmermann F. A. 7 26 76
Zygmunt III 37 52 57 58 82 84 163
Zygmunt Luksemburski 42
Zygmunt I Stary 47—50 52 62 172

Z Żegania Jan 48
Żeromski S. VIII

BIBLIOTEKA
Państw[illegible]
w GLIWICACH
Nr.[illegible]

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE Biblioteka Oliwa

1993 -01- 18
2009 -09- 03
11.05.1999
2011 -10- 19
2013 -09- 10

Głogów
Bobrawa
Lignica
Odra
Trzebnica
Oleśnica
Wrocław
Zgorzelec
1588
Byczyna
Bóg z nami
Warta
Kluczborek
Olesno
Strzegowa
Oława
Ślęza
Brzeg
Częstochowa
Świdnica
Karłowice
Dobrodzień
Opole
Nisa
Strzelce
Paczków
Nisa
Toszek
Kłodzko
Kędzierzyn
Bytom
Prudnik
Głogówek
Zabrze
Głubczyce
Racibórz
Wisła
Odra
Olza

C Z E C H O - S Ł O W A C J A

P O L S K A

Cyt. Faz. Bocheński

TEGOŻ AUTORA

NOWOŚĆ:

NIEZAPISANY STAN SŁUŻBY

WYD. J. PRZEWORSKIEGO, WARSZAWA 1937

ORAZ POPRZEDNIO WYDANE:

BARDZO PRZYJEMNE MIASTO

*

DUCISSA CUNEGUNDIS

*

KLASZTOR i KOBIETA

*

LWÓW

„CUDA POLSKI" IV

*

NA KOŃCU JĘZYKA

*

O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ

*

ROMANS PRABABKI

*

O SIEDMIU DUSZACH KOBIETY

*

ZERWANA KOKARDA

I IN.

SN
K
1
8
9
1
4